

TESS GERRITSEN DAWCA

W tym gatunku nie ma nikogo lepszego
Harlan Coben



TESS GERRITSEN

DAWCA

(HARVEST)

Z angielskiego przełożył JERZY ŻEBROWSKI

TMN

Wydanie polskie: 2008

Wydanie oryginalne: 2006

*Jacobowi,
mojemu mężowi i najlepszemu przyjacielowi.
I dla mojej ukochanej Mani.*

Podziękowania

Dziękuję z całego serca Emily Bestler za jej taktowną i wnikliwą pracę edytorską; Davidowi Bowmanowi za podzielenie się swoją wiedzą na temat rosyjskiej mafii; transplantologom: Susan Pratt z Centrum Medycznego w Penobscot Bay i Bruce'owi White'owi z Centrum Medycznego w Maine za ich bezcenne informacje na temat pobierania narządów do przeszczepów; Patty Kahn za pomoc w korzystaniu z komputera w bibliotece medycznej; Johnowi Sargentowi z Rockland, w stanie Maine, za porady ślusarskie; Rogerowi Pepperowi za rzetelne dostarczanie materiałów niezbędnych do napisania tej książki.

Przede wszystkim dziękuję jednak Meg Ruley i Donowi Cleary'emu z agencji Jane Rotrosen. Dzięki wam powstała ta powieść.

Przedmowa

Przed Jane Rizzoli i Maura Isles była Abby DiMatteo.

Abby to bohaterka mojego pierwszego thrillera Dawca, od którego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku rozpoczęłam karierę pisarki powieści sensacyjnych i który od razu trafił na listę bestsellerów „New York Timesa”. Pomysł fabuły przyszedł mi do głowy podczas poruszającej rozmowy z emerytowanym policjantem, który podróżował po Rosji. Moskiewscy koledzy opowiadali mu, że z ulic ich miasta znikają dzieci, a tamtejsze władze uważają, że są one sprzedawane za granicę jako dawcy organów.

Byłam wstrząśnięta. Kilka tygodni później, wciąż myśląc o tych dzieciach, wiedziałam już, że będzie to temat mojej następnej książki. Jestem lekarką i w Dawcy wykorzystałam całą moją wiedzę na temat świata medycyny. Opisuję w niej kulisy transplantologii i przeżycia młodej stażystki, Abby DiMatteo. Zdobycie umiejętności koniecznych w zawodzie chirurga kosztuje wiele wysiłku, ale Abby jest zachwycona, że pracuje w szpitalu Bayside wraz z elitarnym zespołem lekarzy, zajmujących się przeszczepami serca. Wkrótce jednak odkrywa przerażającą tajemnicę. Ujawniając ją, może zapłacić najwyższą cenę.

W książce tej opowiadam również historię Jakowa, dzielnego jedenastolatka z Rosji, który trafia na pokład frachtowca płynącego do Ameryki. Chłopcu powiedziano, że ma zostać adoptowany. Ale gdy

statek przemierza wody Atlantyku, dociekliwy Jaków zaczyna podejrzewać, że zamiast nowej rodziny czeka go tam coś strasznego.

Jeśli w książkach, których bohaterką jest Jane Rizzoli, zainteresowała Państwa tematyka medycyny sądowej, także i w tej powieści znajdziecie opisy cięć skalpela chirurga i noża patologa, klimatu napięcia panującego na ostrym dyżurze oraz widoków i zapachów prosektorium.

Wszystko zaczęło się od Dawcy.

Tess Gerritsen, Maine, rok 2006

Rozdział pierwszy

Był drobny jak na swój wiek, drobniejszy niż inni chłopcy, którzy zebrali w podziemnym przejściu na ulicy Arbatskaja, ale mając jedenaście lat, potrafił już wszystko. Od czterech lat palił papierosy, od ponad trzech kradł, a od dwóch lat sprzedawał się klientom. Tego ostatniego zajęcia nie lubił, ale kazał mu to robić wujek Misza. Skąd by inaczej brali pieniądze na chleb i papierosy? Jaków, jako najmniejszy i najbardziej jasnowłosy spośród wszystkich chłopców wujka Miszy, miał największe powodzenie. Klienci zawsze preferowali młodziutkich blondynów. Najwyraźniej wcale im nie przeszkadzało, że Jaków nie ma lewej dłoni. Najczęściej w ogóle nie zauważali uschniętego kikuta jego ręki, byli zbyt oczarowani drobnym blondynkiem o błękitnych oczach.

Jaków bardzo chciał być duży i marzył o tym, by zostać kieszonkowcem, jak starsi chłopcy. Co rano, gdy budził się w mieszkaniu wujka Miszy, i każdego wieczoru, zanim zasnął, chwycił zdrową ręką za poręcz łóżka nad głową i rozciągał się, mając nadzieję, że przybędzie mu chociaż centymetr. Wujek Misza twierdził, że to bezcelowe. Według niego Jaków był niski, bo pochodził ze zdegenerowanej rodziny. Kobieta, która siedem lat wcześniej porzuciła go w Moskwie, też była karłowata. Jaków prawie jej nie pamiętał. Nie przypominał też sobie niemal wcale, jak wyglądało jego życie, zanim znalazł się w mieście. Wiedział tylko tyle, ile usłyszał od wujka Miszy, i tylko w połowie w to wierzył. Mając zaledwie jedenaście lat, był drobny jak na swój wiek, ale bystry.

Z nieufnością przyglądał się więc teraz mężczyźnie i kobiecie, którzy załatwiali z wujkiem Miszą interesy przy stole w jadalni.

Przyjechali dużym czarnym samochodem z przyciemnionymi szybami. Mężczyzna, który nazywał się Gregor, miał na sobie garnitur i krawat oraz buty z prawdziwej skóry. Kobieta o jasnych włosach, Nadia, była ubrana w spódniczkę i garsonkę z delikatnej wełny. Trzymała w rękach małą walizeczkę. Nie była Rosjanką— wszyscy czterej obecni w mieszkaniu chłopcy natychmiast to spostrzegli. Mogła być Amerykanką albo Angielką. Mówiła po rosyjsku płynnie, ale z wyraźnym obcym akcentem.

Gdy obaj mężczyźni omawiali interesy przy wódce, kobieta rozejrzała się po małym mieszkaniu, popatrzyła na stojące pod ścianą stare wojskowe łóżka, sterty brudnej pościeli i czterech przytulonych do siebie, zalęknionych chłopców. Miała piękne jasnoszare oczy, którymi przypatrywała się po kolei każdemu z nich — najpierw najstarszemu z całej czwórki, piętnastoletniemu Pietii, a potem trzynastoletniemu Stiepanowi i dziesięcioletniemu Aleksiejowi.

Na koniec spojrzała na Jakowa.

Chłopiec przywykł do tego, że dorośli go oglądają, więc spokojnie patrzył jej w oczy. Nie był jednak przyzwyczajony do tego, że nie poświęcano mu większej uwagi. Zwykle dorośli nie interesowali się pozostałymi chłopcami. Tym razem jednak uwagę kobiety przyciągnął nie on, ale chudy i przyszczaty Pietia.

— Słusznie pan robi, Michaile Isajewiczu — powiedziała do Miszy.
— Te dzieciaki nie mają tu przyszłości. A my możemy dać im wielką szansę — dodała i uśmiechnęła się do chłopców.

Stiepan wyszczerzył zęby jak zakochany idiota.

— Jest jednak pewien problem... żaden z nich nie mówi po angielsku
— zmartwił się wujek Misza. — Znają tylko pojedyncze słowa.

— Dzieci szybko się uczą.

— Ale powinny mieć na to czas. Żeby nauczyć się języka, przywyknąć do innego jedzenia...

— Nasza agencja wie, że muszą się zaadaptować. Pracujemy z wieloma dziećmi z Rosji, z sierotami takimi jak ci chłopcy.

Przez kilka miesięcy będą przebywać w specjalnej szkole, żeby mieli czas się przystosować.

— A jeśli im się to nie uda?

Nadia milczała przez chwilę.

— Cóż, czasem zdarzają się wyjątki. Najczęściej dotyczy to dzieci z problemami emocjonalnymi. — Popatrzyła na chłopców. — Czy myśli pan o którymś z nich?

Jaków wiedział, że to właśnie on ma problemy, o których mówili. Rzadko się śmiał, nigdy nie płakał i wujek Misza nazywał go „chłopczykiem z kamienia”. Jaków nie wiedział, dlaczego nigdy nie płacze. Inni chłopcy, gdy spotkało ich coś złego, zalewali się łzami. A on po prostu się wyłączał. Jego umysł przypominał ekran telewizora, który późną nocą, gdy kończy się program, po prostu robi się biały. Nie ma na nim nic, żadnego obrazu, tylko drgające białe kropki.

— To wspaniali chłopcy — powiedział wujek Misza. — Wszyscy czterej.

Jaków spojrzał na pozostałą trójkę. Piotr miał wystającą szczękę i pochylone do przodu ramiona, co upodabniało go do goryla. Uszy Stiepana były dziwnie małe i pomarszczone, a między nimi tkwił mózg wielkości orzecha. Aleksiej ciągle ssał kciuk.

A ja, pomyślał Jaków, patrząc na swój kikut, mam tylko jedną rękę. Dlaczego mówią, że jesteśmy wspaniali? Ale wujek Misza właśnie tak twierdził, a kobieta kiwała głową. Byli dobrymi, zdrowymi chłopcami.

— Mają nawet zdrowe zęby! — oświadczył Misza. — I spójrzcie, jaki mój Piotr jest wysoki.

— Tamten wygląda na niedożywionego — mruknął Gregor, wskazując Jakowa. — W jaki sposób stracił rękę?

— Taki się urodził, ale poza tym jest całkiem normalny.

Brak mu tylko dłoni.

— To nie powinno stanowić problemu — stwierdziła Nadia i wstała z krzesła. — Musimy jechać. Już pora.

— Tak szybko?

— Mamy swój harmonogram.

— Ale... ich ubrania...

— Agencja zapewni im odzież. Lepszą, niż mają teraz.

— Tak szybko? — powtórzył wujek Misza. — Nie będziemy mieli nawet czasu na to, by się pożegnać?

W oczach kobiety pojawił się cień rozdrażnienia.

— Macie tylko chwilę. Nie możemy się spóźnić.

Wujek Misza spojrzał na swoich chłopców, swoich czterech chłopców, związanych z nim nie pokrewieństwem ani nawet uczuciami, lecz wzajemną zależnością. Tym, że siebie potrzebowali. Obejmował każdego z nich po kolei. Jakowa ścisnął nieco dłużej i nieco mocniej. Pachniał znajomo cebulą i papierosami. Były to swojskie zapachy, ale Jaków zawsze unikał bliskiego kontaktu. Nie lubił, by ktokolwiek go obejmował lub dotykał.

— Nie zapomnij o swoim wujku — szepnął Misza. — Kiedy wzbogacisz się w tej Ameryce, pamiętaj, że o ciebie dbałem.

— Nie chcę jechać do Ameryki — burknął Jaków.

— To dla twojego dobra. Dla dobra was wszystkich.

— Chcę zostać z tobą, wujku. Chcę być tutaj.

— Musisz jechać.

— Dlaczego?

— Bo tak postanowiłem. — Wujek Misza chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął. — Tak postanowiłem.

Jaków spojrzał na pozostałych chłopców, którzy uśmiechali się radośnie, i pomyślał: oni są szczęśliwi. Dlaczego tylko ja mam wątpliwości?

Kobieta wzięła Jakowa za rękę.

— Zaprowadzą ich do samochodu, a Gregor dokończy formalności.

— Wujku! — zawołał Jaków.

Ale Misza odwrócił się już i spoglądał w okno.

Nadia wyprowadziła czwórką chłopców na korytarz i zeszła z nimi po schodach. Stukanie ich butów i odgłosy rozsadzającej ich energii rozbrzmiewały głośnym echem w pustej klatce schodowej.

Byli już na parterze, gdy Aleksiej nagle się zatrzymał.

— Zaczekajcie! Zapomniałem wziąć Szu-Szu! — krzyknął i ruszył z powrotem na górę.

— Wracaj! — zawołała Nadia. — Nie wolno ci tam wchodzić!

— Nie mogą go zostawić! — wrzasnął Aleksiej.

— Natychmiast wracaj!

Aleksiej dalej pędził po schodach. Pietia wzruszył ramionami i powiedział:

— On nie pojedzie bez Szu-Szu.

— Kto to jest Szu-Szu, do diabła?

— Pluszowy pies. Ma go od zawsze.

Kobieta spojrzała na schody prowadzące na trzecie piętro i w tym momencie Jaków dostrzegł w jej oczach coś dziwnego.

Niepokój.

Wyglądała, jakby za chwilę miała stracić Aleksieja. Kiedy chłopiec zbiegł z powrotem po schodach, trzymając w objęciach swojego wystrzępionego Szu-Szu, z wyraźną ulgą oparła się plecami o poręcz.

— Mam go! — zawołał z triumfem Aleksiej, tuląc do siebie pluszowego zwierzaka.

— Pospieszcie się! — powiedziała kobieta, wyprowadzając ich na zewnątrz.

Czterej chłopcy wpełnęli się na tylne siedzenie samochodu. Nie mieścili się na nim i Jaków musiał usiąść Pietii na kolanach.

— Nie możesz zabrać ze mnie swojego kościstego tyłka? — burknął Pietia.

— Wolisz go mieć na twarzy? — odparował Jaków.

Pietia szturchnął go łokciem, a Jaków natychmiast mu się zrewanżował.

— Przestańcie! — odezwała się z przedniego siedzenia kobieta.

— Ale tu jest za ciasno — poskarżył się Pietia.

— Musicie sobie jakoś poradzić. I zachowujcie się ciszej — powiedziała kobieta i spojrzała w okna mieszkania Miszy.

— Na co czekamy? — spytał Ałeksiej.

— Na Gregora, który podpisuje papiery.

— Ile to potrwa?

Kobieta oparła się plecami o fotel.

— Niedługo — odparła.

Niewiele brakowało, pomyślał Gregor, gdy Ałeksiej wyszedł po raz drugi z mieszkania, zatraskując za sobą drzwi. Gdyby ten gówniarz zjawił się chwilę później, byłaby wpadka. Co ta kretynka wyprawia, czemu pozwoliła smarkaczowi wrócić na górę? Od początku był przeciwny temu, żeby ją do tego włączać. Ale Reuben uważał, że potrzebna im kobieta, bo kobietom ludzie bardziej ufają.

Odgłos kroków chłopca ucichł na klatce schodowej, a potem rozległ się łoskot zamykanych frontowych drzwi.

Gregor odwrócił się do sutenera.

Misza stał przy oknie, patrząc w dół na ulicę, na samochód, w którym siedzieli jego czterej chłopcy. Przytknął dłoń do szyby w geście pożegnania. Kiedy spojrział na Gregora, miał oczy zamglone łzami.

Ale jego pierwsze słowa dotyczyły pieniędzy.

— Są w walizce?

— Tak — odparł Gregor.

— Cała suma?

— Dwadzieścia tysięcy amerykańskich dolarów. Pięć tysięcy za każdego dzieciaka. Na taką cenę się zgodziłeś.

— Tak. — Misza westchnął i przeciągnął dłonią po pobrużdżonej, przedwcześnie postarzałej twarzy. Był to niewątpliwie efekt zbyt dużej ilości wódki i zbyt wielu papierosów. — Na pewno trafią do odpowiednich rodzin?

— Nadia się tym zajmie. Kocha dzieci. Dlatego wybrała tę pracę.

Misza zdobył się na słaby uśmiech.

— Może znalazłaby też jakąś amerykańską rodzinę dla mnie...

Gregor wskazał walizeczkę, która leżała na stoliku.

— Sprawdź, jeśli chcesz.

Misza podszedł do walizeczki i otworzył zatrzask. Wewnątrz były starannie ułożone pliki amerykańskich banknotów. Dwadzieścia tysięcy dolarów. Będzie mógł kupić za nie wystarczającą ilość wódki, by zrujnować sobie wątrobę.

Jak niewiele kosztuje dziś ludzka dusza, pomyślał Gregor. Na ulicach nowej Rosji można było kupić wszystko. Skrzynkę izraelskich pomarańczy, amerykański telewizor, rozkosze kobiecego ciała. Wszędzie istniały możliwości dla tych, którzy potrafili z nich korzystać.

Misza wpatrywał się w pieniądze, ale zamiast zadowolenia czuł odrazę do samego siebie. Zaniknął walizeczkę i stał ze spuszczoną głową, z dłońmi na twardym czarnym plastiku.

Gregor podszedł do niego od tyłu, uniósł lufę pistoletu z tłumikiem i strzelił dwa razy w jego łysiejącą potylicę.

Krew i mózg obryzgały ścianę. Misza zwałił się na podłogę, przewracając stolik. Walizeczka upadła na dywan obok niego.

Gregor chwycił ją szybko, by nie zalała jej krew. Była zabrudzona z boku mózgiem Rosjanina. Poszedł do łazienki, wytarł plastik papierem toaletowym i spuścił wodę. Gdy wrócił do pokoju, w którym leżał Misza, kałuża krwi rozlała się już po podłodze i wsiąkała w dywan.

Gregor rozejrzał się wokół, by się upewnić, czy zrobił wszystko jak należy i nie pozostawił żadnych śladów. Kusilo go, żeby wziąć także stojącą na oknie butelkę wódki, ale się powstrzymał. Musiałby tłumaczyć, dlaczego ją zabrał Miszy, a nie miał cierpliwości odpowiadać na pytania dzieciaków. To było zadanie Nadii.

Opuścił mieszkanie i zszedł na dół.

Nadia i jej podopieczni czekali w samochodzie. Rzuciła mu pytające spojrzenie, gdy siadał za kierownicą.

— Wszystkie papiery podpisane?

— Tak. Wszystkie.

Usiadła wygodnie, oddychając z wyraźną ulgą. Za bardzo się denerwuje, pomyślał Gregor, uruchamiając silnik. Bez względu na to, co sądził Reuben, kobieta była balastem.

Z tylnego siedzenia dochodziły odgłosy przepychanki. Gregor zerknął we wsteczne lustro i zobaczył, że chłopcy ciągle się szturchają. Wszyscy, z wyjątkiem najmniejszego, Jakowa, który w milczeniu patrzył przed siebie. Ich spojrzenia zetknęły się w lustrze i Gregor odniósł wrażenie, że z tej dziecinnej twarzy spoglądają na niego oczy dorosłego człowieka.

Nagle chłopiec odwrócił się i uderzył w ramię swojego sąsiada. Tylnie siedzenie w jednej chwili zamieniło się w kłębowisko splątanych ciał i kończyn.

— Zachowujcie się jak należy! — krzyknęła Nadia. — Nie możecie siedzieć cicho? Przed nami długa droga do Rygi.

Jej podopieczni się uspokoili i na tylnym siedzeniu zapanowała cisza. Ale po chwili Gregor zobaczył we wstecznym lustrze, że mały chłopiec z oczami jak u dorosłego znów szturcha łokciem swojego sąsiada.

Uśmiechnął się do siebie. Nie ma powodu się martwić, pomyślał. To w końcu tylko dzieci.

Rozdział drugi

Była północ i Karen Terrio oczy same się zamykały. Walczyła z sennością, by nie stracić kontroli nad kierownicą. Prowadziła samochód prawie od dwóch dni. Wyruszyła w drogę zaraz po pogrzebie ciotki Dorothy i zatrzymywała się tylko na krótką drzemkę lub hamburgera i kawę. Wypiła mnóstwo kawy. Z pogrzebu pozostały jej w pamięci jedynie zamglone obrazy. Więdzące gladiole. Nieznani kuzyni. Czerstwe tartinki. I to, co jeszcze musi zrobić. Było tego cholernie dużo.

Jednak teraz chciała tylko dotrzeć do domu.

Wiedziała, że powinna znów się zatrzymać i spróbować trochę się zdrzemnąć, zanim pojedzie dalej, ale była już tak blisko — zaledwie siedemdziesiąt parę kilometrów od Bostonu. W ostatnim barze Dunkin Donuts wlała w siebie trzy filiżanki kawy, co dało jej dość energii, by dojechać ze Springfield do Sturbridge. Teraz jednak kofeina przestawała działać i choć Karen myślała, że jest przytomna, co jakiś czas głowa jej opadała, a oczy same się zamykały.

Z mroku wyłonił się znak Burger Kinga. Zjechała z autostrady.

Zamówiwszy kawę i babeczkę z jagodami, usiadła przy stole. O tej porze na sali było tylko kilku klientów. Wszyscy mieli równie zmęczone twarze. Widma autostrady, pomyślała Karen. Udręczone dusze, które straszyły w każdym przydrożnym barze. Wokół panowała dziwna cisza. Wszyscy koncentrowali się tylko na tym, by nie zasnąć i móc ruszyć w dalszą drogę.

Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta z dwójką małych dzieci, które spokojnie jadły ciasteczka. Na widok tych grzecznych jasnowłosych malców Karen pomyślała o swoich córeczkach. Jutro mają urodziny. Już tylko ta noc dzieli je od ukończenia trzynastu lat.

Kiedy się obudzicie, pomyślała, będę już w domu.

Ponownie napełniła kubek kawą, zamknęła go plastikową pokrywką i poszła do samochodu.

Senność ją opuściła. Da radę. Godzina jazdy, siedemdziesiąt kilometrów i znajdzie się przed swoim domem. Włączyła silnik i wyjechała z parkingu.

Siedemdziesiąt kilometrów, pomyślała. Tylko siedemdziesiąt kilometrów.

Trzydzieści kilometrów dalej Vince Ławry i Chuck Servis, siedząc w samochodzie zaparkowanym za restauracją 7-Eleven, kończyli ostatni sześciopak piwa. Pili już od czterech godzin. Chodziło o to, który z nich potrafi wlać w siebie więcej i nie porzygać się. Chuck był o jedną puszkę lepszy. Stracili już rachubę, ile w sumie wypili. Dowiedzą się tego rano, gdy policzą puste puszki na tylnym siedzeniu.

Ale kiedy Chuck zaczął wygrywać i chełpić się tym, wkurzyło to Vince'a, bo uważał, że kumpel nie gra uczciwie. Gotów był na jeszcze jedną rundkę, ale skończyło im się piwo, i Chuck uśmiechał się cynicznie, chociaż wiedział, że gra nie fair.

Vince pchnął drzwiczki samochodu i wygramolił się zza kierownicy.

— Dokąd idziesz? — spytał Chuck.

— Przyniosę jeszcze piwa.

— Więcej już nie dasz rady wypić.

— Pieprz się! — warknął Vince i chwiejnym krokiem ruszył przez parking w stronę drzwi restauracji.

Chuck zaśmiał się.

— Nie możesz nawet iść! — krzyknął przez okno samo chodu.

Dupek, pomyślał Vince. Przecież idzie, kurwa. Wejdzie do 7-Eleven i kupi jeszcze dwa sześciopaki. Albo trzy. Jasne, mogą być nawet trzy.

Ma żołądek z żelaza i poza tym, że musi sikać co parę minut, piwo wcale mu nie szkodzi.

Potknął się w drzwiach i upadł na kolana — cholera, za taki wysoki próg powinno się ich zaskarżyć! — ale zaraz się podniósł. Wyjął z lodówki trzy sześciopaki i staniając się na nogach, podszedł do kasy. Rzucił na ladę dwudziestodolarowy banknot.

Sprzedawca spojrział na pieniądze i pokręcił głową.

— Nie mogę pana obsłużyć.

— Jak to?

— Nie mogę sprzedawać piwa nietrzeźwym klientom.

— Twierdzi pan, że jestem pijany?

— Właśnie.

— Płacę, prawda? Nie chce pan moich pieprzonych pie niędzy?

— Nie chcę odpowiadać przed sądem. Odstaw to piwo z powrotem, synu, dobrze? Najlepiej kup sobie kawę albo coś innego. Może hot doga.

— Nie potrzebuję żadnego pieprzonego hot doga.

— Więc po prostu stąd wyjdź, chłopcze. I to zaraz.

Vince zepchnął jeden z sześciopaków z lady. Puszki z łośkotem upadły na podłogę. Miał zamiar strącić także drugi, ale sprzedawca wyciągnął broń.

— Wynoś się, do cholery — powiedział.

— W porządku — wymamrotał Vince i cofnął się, pod nosząc rękę.

Wychodząc, znowu potknął się na progu.

— Nic nie kupiłeś? — spytał Chuck, gdy kumpel z powrotem wgramolił się do wozu.

— Skończyło im się piwo.

— Niemożliwe.

— Mówię przecież, że się skończyło — warknął Vince.

Uruchomił silnik i wcisnął pedał gazu. Ruszyli ostro z par kingu.

— Dokąd teraz jedziemy? — spytał Chuck.

— Znajdziemy inny sklep. — Vince wpatrywał się w mrok, mrużąc oczy. — Gdzie jest wjazd na autostradę? Musi tu gdzieś być.

— Człowieku, daj spokój. Jeśli wlejesz w siebie jeszcze jedno piwo, porzygasz się.

— Gdzie ten pieprzony wjazd?

— Chyba go minąłeś.

— Nie, jest tutaj — odparł Vince i z piskiem opon skręcił w lewo.

— Hej! — powiedział Chuck. — Chyba...

— Zostało mi jeszcze dwadzieścia dolców. Ktoś je przecież weźmie.

— Vince, jedziesz w złym kierunku!

— Co?

— Jedziesz pod prąd! — krzyknął Chuck.

Vince potrząsnął głową i próbował skoncentrować się na drodze, ale światła reflektorów były zbyt jasne i raziły go w oczy. Świeciły coraz mocniej.

— Skręć w prawo! — wrzasnął Chuck. — To samochód!

Skręcaj!

Vince skręcił w prawo. Światła reflektorów również.

Usłyszał przeraźliwy krzyk. Nie był to jednak krzyk Chucka, lecz jego własny.

Doktor Abby DiMatteo była zmęczona jak jeszcze nigdy w życiu. Nie spała od dwudziestu dziewięciu godzin, jeśli nie liczyć dziesięciminutowej drzemki w poczekalni rentgena, i wiedziała, że to po niej widać. Kiedy, myjąc ręce w umywalce na oddziale intensywnej terapii, zerknęła w lustro, zobaczyła swoje podkrążone oczy i czarne potargane włosy z oklapniętą grzywką. Była już dziesiąta rano, a ona nie wzięła jeszcze prysznic ani nawet nie umyła zębów. Na śniadanie zjadła jajko na twardo i wypła słodką kawę, którą godzinę temu przyniosła jej pielęgniarka z chirurgii. Będzie miała szczęście, jeśli znajdzie czas na lunch. A będzie miała jeszcze większe szczęście, gdy uda jej się wyjść ze szpitala o piątej i dotrzeć na szóstą do domu. Teraz jednak marzyła tylko o tym, by choć na chwilę opaść na krzesło.

Ale podczas porannego poniedziałkowego obchodu nikomu to się nie mogło udać. Zwłaszcza gdy brał w nim udział doktor Colin Wettig, szef stażystów na oddziale chirurgii w Bayside Hospital. Doktor Wettig,

emerytowany generał, znany był z podchwytliwych, bezlitosnych pytań i Abby potwornie się go bała. Podobnie jak wszyscy inni stażyści.

Jedenaścioro z nich stało teraz półkolem na oddziale intensywnej terapii, w białych fartuchach i zielonych operacyjnych uniformach. Wszyscy wpatrywali się w Wettiga. Wiedzieli, że w każdej chwili może ich zaskoczyć jakimś pytaniem. Kto nie potrafił na nie odpowiedzieć, poddawany był długotrwałemu, upokarzającemu egzaminowi.

Odwiedzili już czterech pacjentów, którzy niedawno przeszli operacje, i teraz zebrali się przy łóżku numer jedenaście. Była to nowa pacjentka Abby. Przypadek, który musiała przedstawić generałowi.

Miała ze sobą notatki, ale do nich nie zaglądała. Patrząc na poważną twarz doktora Wettiga, zaczęła mówić:

— Pacjentka jest trzydziestoczteroletnią białą kobietą. Została przyjęta o pierwszej w nocy. Jej samochód zderzył się czołowo przy dużej prędkości z innym pojazdem na autostradzie numer dziewięćdziesiąt. Na miejscu wypadku pacjentkę zaintubowano i w stanie stabilnym dostarczono do nas śmigłowcem. Po przyjęciu jej na ostry dyżur stwierdzono rozległe urazy. Liczne wgniecenia czaszki, złamanie lewego obojczyka i ramienia oraz poważne rany twarzy. Wstępne badanie wykazało, że jest dobrze odżywioną kobietą średniej budowy. Nie reaguje na żadne bodźce, jeśli nie liczyć wątpliwej reakcji mięśni prostujących...

— Wątpliwej? — powtórzył doktor Wettig. — Co pani przez to rozumie? Czy mięśnie reagowały, czy nie?

Abby czuła, jak wali jej serce. Cholera, już się do niej przyczepił. Przełknęła ślinę i wyjaśniła:

— Czasem kończyny pacjentki prostowały się pod wpływem bodźca bólowego, a czasem nie.

— Jak pani myśli, ile to będzie w skali Glasgow, określającej odruchy pacjentów w stanie śpiączki?

— Cóż, ponieważ brak reakcji to jeden punkt, a wyprost mięśni dwa, sądzę, że tej pacjentce można dać... półtora.

Kilku stażystów zaśmiało się niepewnie.

— Nie ma takiej punktacji — oświadczył doktor Wettig.

— Wiem o tym — odparła Abby. — Ale reakcje tej pacjentki nie odpowiadają...

— Proszę kontynuować raport — przerwał jej Wettig.

Abby spojrzała na wpatrzone w nią twarze. Czyżby zdążyła już spieprzyć sprawę? Nie była tego pewna. Zaczerpnęła powietrza i podjęła:

— Pacjentka miała ciśnienie dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt i tętno sto. Nie oddychała samodzielnie, podłączono ją do respiratora. Dwadzieścia pięć oddechów na minutę.

— Dlaczego wybrano taką częstotliwość?

— Żeby zapewnić hiperwentylację płuc.

— W jakim celu?

— Aby obniżyć poziom dwutlenku węgla we krwi. To zmniejsza obrzęk mózgu.

— Proszę mówić dalej.

— Badanie głowy, jak wspomniałam, wykazało rozległe wgniecenia czaszki po lewej stronie, w okolicach kości ciemieniowej i skroniowej. Silne obrzmienia i rany twarzy utrudniały diagnozowanie złamań. Źrenice były w pozycji centralnej i nie reagowały na bodźce. Nos i gardło...

— Odruchy oczno-mózgowe?

— Nie badałam ich.

— Nie?

— Nie, panie doktorze. Nie chciałam poruszać szyi. Oba wiałam się uszkodzenia kręgosłupa.

Wettig lekko kiwnął głową, akceptując jej odpowiedź.

Opisała następnie stan narządów pacjentki. Zdrowe płuca i serce, żołądek również w porządku. Doktor Wettig nie przerywał jej. Gdy skończyła omawiać wyniki badań neurologicznych, czuła się znacznie pewniej — niemal triumfowała. A dlaczego nie? Przecież dobrze wiedziała, co robi.

— Co pani podejrzewała przed obejrzeniem zdjęć rentge nowskich?
— spytał doktor Wettig.

— Zważywszy na pozycję źrenic i brak ich reakcji na bodźce — powiedziała Abby — przypuszczałam, że doszło do ucisku mózgu. Najprawdopodobniej z powodu silnego krwiaka wewnątrzczaszkowego lub nadciśnieniowego. — Przejrzała na chwilę, po czym dodała ze spokojną pewnością siebie:

— Tomografia to potwierdziła. Duży podoponowy krwiak po lewej stronie. Konieczny był zabieg neurochirurgiczny. Dokończono operacyjnego usunięcia skrzepu.

— Zatem pani wstępne przypuszczenia okazały się słuszne?

Kiwnęła głową.

— Zobaczmy, jak mają się sprawy dzisiaj — mruknął doktor Wettig, podchodząc do łóżka pacjentki i świecąc jej miniaturową latarką w oczy. — Źrenice nie reagują — stwierdził. Mocno przycisnął kciuk do mostka pacjentki. — Nie ma reakcji na ból. Ani ze strony mięśni prostujących, ani żadnych innych.

Stażyści przysunęli się bliżej, ale Abby pozostała w nogach łóżka, wpatrując się w obandażowaną głowę kobiety. Gdy Wettig kontynuował badanie, opukując jej ścięgna gumowym młoteczką, zginając łokcie i kolana, Abby przyglądała się ogolonej głowie pacjentki. Pamiętała, że kobieta miała gęste ciemne włosy, pokryte zakrzepłą krwią i odłamkami szkła. Szkło powbijało się również w jej ubraniu. Abby pomagała rozcinać jej jedwabną, niebiesko-białą bluzkę z metką Donny Karan. Ten szczegół najbardziej utkwiał jej w pamięci. Nie krew, złamane kości czy poraniona twarz, tylko ta metka. Donna Karan. Marka, którą sama chętnie kupowała. Ta kobieta też kiedyś stała w jakimś sklepie, oglądając bluzki, słysząc skrzypienie przesuwanych po przęcie wieszaków...

Doktor Wettig wyprostował się i spojrzał na pielęgniarkę z oddziału intensywnej terapii.

— Kiedy usunięto krwiak? — zapytał.

— Wróciła z sali pooperacyjnej około czwartej nad ranem.

— Sześć godzin temu?

— Tak, mniej więcej.

Wettig zwrócił się do Abby.

— Więc dlaczego nic się nie zmieniło?

Abby ocknęła się z zamyślenia i zobaczyła, że wszyscy jej się przyglądają. Spojrzała na pacjentkę. Widziała, jak jej klatka piersiowa na przemian unosi się i opada, poruszana aparaturą.

— Mógł wystąpić obrzęk pooperacyjny — odparła, patrząc na monitor. — Ciśnienie wewnątrzczaszkowe jest nieco podwyższone. Dwadzieścia milimetrów.

— Sądzi pani, że jest dość wysokie, by powodować brak reakcji źrenic?

— Nie, ale...

— Badała ją pani zaraz po operacji?

— Nie, panie doktorze. Przewieziono ją na oddział neurochirurgii. Rozmawiałam po operacji z ich stażystą i po wiedział mi...

— Nie pytam o jego opinię, ale o pani, doktor DiMatteo.

Stwierdziła pani krwotok podoponowy. Został zlikwidowany.

Więc dlaczego sześć godzin po operacji źrenice pacjentki nadal są w centralnej pozycji, a jej mięśnie nie reagują na bodźce?

Abby zawahała się. Generał uważnie się jej przyglądał. Wszyscy inni także. Upokarzającą ciszę zakłócał tylko szum respiratora.

Doktor Wettig powiódł wzrokiem po otaczających go stażystach.

— Czy ktoś pomoże doktor DiMatteo odpowiedzieć na to pytanie?

Abby wyprostowała się.

— Sama mogę na nie odpowiedzieć — oświadczyła.

Doktor Wettig odwrócił się do niej, unosząc brew.

— Wobec tego słucham.

— Brak reakcji źrenic i prostowników kończyn to oznaki dysfunkcji śródmózgowia. Ubiegłej nocy zakładałam, że powodem tego jest ucisk krwiaka podoponowego. Ale skoro stan pacjentki się nie poprawił, oznacza to chyba, że się pomyliłam.

— Chyba?

Westchnęła.

— Pomyliłam się.

— Jaka jest teraz pani diagnoza?

— Krwawienie śródmózgowe, spowodowane wypadkiem albo uszkodzeniami pozostałymi po krwaku. Tomografia mogła nie wykazać tych zmian.

Doktor Wettig przyglądał się jej przez chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem zwrócił się do pozostałych stażystów.

— Krwawienie śródmózgowe to rozsądne założenie. Przy łącznej liczbie trzech punktów... i pół — dodał, patrząc na Abby — w skali Glasgow, prognozy są zerowe. Pacjentka nie oddycha samodzielnie, nie porusza się, jej mózg nie reaguje na bodźce. W tej chwili pozostaje nam tylko sztuczne utrzymywanie jej przy życiu. I rozważenie możliwości pobrania organów do przeszczepu.

Skinął lekko głową i przeszedł do następnego pacjenta. Jeden ze stażystów ścisnął Abby za ramię.

Hej, DiMatteo! — szepnął. — Gratuluję! Dzięki — odparła ze znużeniem Abby.

Doktor Vivian Chao, ordynator oddziału chirurgicznego, była legendą wśród lekarzy w Bayside Hospitał. Dwa dni po rozpoczęciu przez Vivian stażu, pracująca razem z nią koleżanka przeżyła załamanie nerwowe i została przewieziona na psychiatrię, więc Vivian sama musiała się wszystkim zająć. Była jedynym ortopedą, dyżurującym w szpitalu przez całą dobę. Przeniosła swoje rzeczy do dyżurki i szybko straciła dwa i pół kilograma, żywiąc się w kafejce. Przez dwadzieścia dziewięć dni nie opuszczała szpitala. Gdy trzydziestego dnia wyszła na parking, zamierzając wreszcie wrócić do domu, stwierdziła, że nie ma tam jej samochodu. Odholowano go tydzień wcześniej, uznając, że został porzucony.

Po czterech dniach jej kolejnej praktyki, na chirurgii naczyniowej, koleżankę, z którą odbywała staż, potrącił miejski autobus i trafiła do szpitala z pękniętą miednicą. Znowu ktoś musiał się wszystkim zająć.

Vivian Chao z powrotem przeniosła się do szpitalnej dyżurki.

W ten sposób uzyskała w społeczności lekarskiej honorowy status mężczyzny, który potwierdzono oficjalnie, wręczając jej, podczas uroczystości przyznawania dorocznych nagród, dwie stalowe kulki w eleganckim pudełeczku.

Ody Abby po raz pierwszy usłyszała o Vivian Chao, trudno jej było uwierzyć, że ta niepozorna, drobna Chinka, która podczas operacji musiała korzystać z podnóżka, cieszy się taką reputacją. Podczas obchodów rzadko się odzywała, ale jej opinie i diagnozy zawsze były trafne.

Tego popołudnia na oddziale intensywnej terapii podeszła do potwornie zmęczonej Abby, która nawet nie zauważyła, że stoi obok niej, dopóki Chinka się nie odezwała.

— Podobno przyjęła pani pacjentkę z urazem głowy, z grupą krwi AB plus?

Abby podniosła wzrok znad karty, na której robiła notatki.

— Tak. Ubiegłej nocy.

— Czy ona nadal żyje?

Abby spojrzała w stronę izolatki, w której stało łóżko numer jedenaście.

— Zależy, co pani przez to rozumie.

— Serce i płuca są w dobrym stanie?

— Wciąż funkcjonują.

— Ile ta pacjentka ma lat?

— Trzydzieści cztery. Dlaczego pani pyta?

— Mam pod opieką pacjenta z niewydolnością krążenia.

Grupa krwi AB plus. Czeka na nowe serce — wyjaśniła Vivian i podeszła do stojaka z kartami pacjentów. — Który numer łóżka?

— Jedenaście.

Chinka wyjęła dokumentację choroby i zaczęła ją przeglądać. Gdy to robiła, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

— Ta kobieta nie jest już moją pacjentką — powiedziała Abby. — Przeniosłam ją na neurochirurgię. Usunęli jej krwiniak podoponowy.

Vivian dalej czytała kartę.

— Upłynęło dopiero dziesięć godzin od operacji — zauważyła Abby. — Chyba trochę za wcześnie mówić o pobieraniu organów.

— Jak widzę, nie ma na razie zmian neurologicznych.

— Nie. Ale istnieje szansa...

— Przy trzech punktach skali Glasgow? Nie sądzę. — Vivian wsunęła kartę z powrotem do przegródki i podeszła do łóżka numer jedenaście.

Abby podążyła za nią.

Stanąwszy w drzwiach izolatki, przyglądała się, jak Vivian szybko i zręcznie bada pacjentkę. W ten sam sposób działała na sali operacyjnej, nie tracąc czasu ani energii na żaden zbędny ruch. W ciągu pierwszego roku swojej pracy Abby często obserwowała Chinę podczas zabiegów i podziwiała jej drobne, zwinne dłonie i delikatne palce, bezbłędnie wiążące węzły chirurgiczne. Czuła się przy niej okropnie niezdarna i ćwiczyła całymi godzinami, ucząc się wiązać węzły na uchwytach szuflad. W końcu opanowała to całkiem nieźle, ale wiedziała, że nigdy nie dorówna Vivian Chao.

Jednak teraz, gdy obserwowała ją podczas badania Karen Terrio, sprawność tych dłoni przyprawiała ją o dreszcz.

— Brak reakcji na bodźce bólowe — stwierdziła Vivian.

— Jeszcze za wcześnie.

— Możliwe. A może nie. — Vivian wyjęła z kieszeni gumowy młoteczek i zaczęła uderzać nim w ścięgna leżącej na łóżku kobiety. — Chyba dobrze się składa...

— Jak pani może tak mówić?

— Mój pacjent ma krew grupy AB plus i od roku czeka na przeszczep serca. Myślę, że serce tej kobiety będzie idealnie pasowało.

Abby spojrzała na Karen Terrio i ponownie przypomniała sobie jej niebiesko-białą bluzkę. Zastanawiała się, o czym myślała ta młoda kobieta, wkładając ją po raz ostatni. Prawdopodobnie o zwykłych, codziennych sprawach. Z pewnością nie o śmierci. Nie o szpitalnym łóżku, kropłownicy i aparaturze pompującej powietrze do jej płuc.

— Chciałabym wykonać próbę krzyżową. Upewnić się, czy są zgodne — oznajmiła Vivian. — Moglibyśmy też zacząć robić testy zgodności tkankowej. EEG już zrobiono, prawda?

— Ona nie jest pod moją opieką — powtórzyła Abby. — Zresztą uważam, że to przedwczesne działania. Nikt nie roz mawiał o tym jeszcze z jej mężem.

— Ktoś będzie musiał.

— Ma dzieci. Potrzebują czasu, żeby się z tym oswoić.

— Narządy nie mogą czekać zbyt długo.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że trzeba to zrobić.

Ale, jak powiedziałam, minęło dopiero dziesięć godzin od operacji.

Vivian podeszła do umywalki i umyła ręce.

— Nie spodziewa się pani cudu, prawda?

W drzwiach izolatki pojawiła się pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii.

— Przyszedł jej mąż z dziećmi. Chcą ją zobaczyć. Długo jeszcze tu panie będziecie?

— Ja już skończyłam — odparła Vivian, rzuciła do kosza zgnieciony papierowy ręcznik i wyszła.

— Mogę ich wpuścić? — spytała pielęgniarka.

Abby spojrzała na Karen Terrio i z bolesną wyrazistością uświadomiła sobie, co zobaczy dziecko, patrząc na to łóżko.

— Proszę zaczekać — powiedziała. — Jeszcze chwilę.

Podeszła do łóżka i szybko wygładziła pościel. Zamoczywszy w umywalce papierowy ręcznik, starła kobiecie z policzka zaschniętą ślinę. Położyła worek na mocz z boku łóżka, gdzie nie był tak widoczny. Potem, cofnąwszy się o krok, spojrzała raz jeszcze na pacjentkę i pomyślała, że bez względu na to, co by uczyniła, nie ulży tym dzieciom w cierpieniu. Westchnęła i kiwnęła głową.

— Teraz mogą wejść.

O wpół do piątej po południu z trudem koncentrowała się na pisaniu i ledwo widziała na oczy. Pracowała już trzydzieści trzy i pół

godziny. Skończyła popołudniowy obchód. Wreszcie mogła wrócić do domu.

Ale gdy zamknęła ostatnią kartę, znów pomyślała o kobiecie z łóżka numer jedenaście. Weszła do izolatki. Stała w nogach łóżka, wpatrując się w Karen Terrio i zastanawiając się, co jeszcze można by zrobić.

Nie słyszała kroków za swoimi plecami.

Dopiero gdy jakiś głos powiedział: „Cześć, ślicznotko!”, odwróciła się i zobaczyła ciemne włosy i niebieskie oczy doktora Marka Hodella, który się do niej szeroko uśmiechał. Był to uśmiech przeznaczony specjalnie dla Abby, uśmiech, którego bardzo jej tego dnia brakowało. Zwykle oboje jedli razem szybki lunch albo przynajmniej mijali się na korytarzu, ale dzisiaj w ogóle się nie spotkali i teraz bardzo się ucieszyła na jego widok. Mark pochylił się, by ją pocałować, a potem cofnął się i spojrzał na jej rozczochrane włosy i wymięty kitel.

— Musiałaś mieć ciężką noc — mruknął współczująco. — Ile spałaś?

— Nie wiem. Może pół godziny.

— Chodzą plotki, że rano wygrałaś bitwę z generałem.

Wzruszyła ramionami.

— Powiedzmy, że nie wytarł mną podłogi.

— To z pewnością można uznać za sukces.

Uśmiechnęła się. A potem znowu spojrzała na łóżko numer jedenaście i jej uśmiech przygasł. Karen Terrio niemal zupełnie ginęła wśród tej całej aparatury. Respirator, pompy infuzyjne, dreny, monitory EKG, ciśnienia krwi i ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Wszystkie funkcje organizmu były poddane kontroli. Po co badać ręką puls albo kłaść dłoń na piersi pacjenta? Po w ogóle są lekarze, skoro całą pracę może za nich wykonać aparatura?

— Przyjęłam ją zeszłej nocy — powiedziała. — Mężatka, trzydzieści cztery lata. Ma dwie córki. Bliźniaczki. Były tutaj przed chwilą. To dziwne, ale nie chciały jej dotknąć. Stały i patrzyły. Tylko na nią patrzyły. Myślałam: musicie ją dotknąć, bo to być może wasza ostatnia szansa. Ostatnia na zawsze. Nie zrobiły tego jednak. I pewnie kiedyś

będą żałowały... — Po kręciła głową i pospiesznie przetarła dłonią oczy.
— Podobno facet, który się z nią zderzył, był pijany i jechał pod prąd.

Wiesz, co mnie najbardziej wkurza, Mark? To, że on będzie żył. Siedzi teraz na górze na ortopedii i skamle z powodu kilku połamanych kości. — Znów głęboko wciągnęła powietrze i ciężko westchnęła, jakby w ten sposób chciała wyrzucić z siebie całą złość. — Chryste, przecież ja mam ratować ludziom życie, a tymczasem chciałabym, żeby z tego faceta została tylko mokra plama na autostradzie. — Odwróciła się od łóżka. — Chyba już pora iść do domu.

Mark przesunął dłonią po jej plecach. Był to zarazem gest pocieszenia i dominacji.

— Chodź — powiedział. — Odprowadzę cię.

Wyszli z oddziału do windy. Gdy drzwi kabiny się zasunęły, przytuliła się do niego. Otoczył ją ramionami. Tak dobrze знаła ten ciepły uścisk. Poczuli się bezpiecznie.

Rok wcześniej Mark Hodell bynajmniej nie działał na nią uspokajająco. Abby była praktykantką, a on specjalistą w dziedzinie chirurgii klatki piersiowej, głównym chirurgiem w zespole wykonującym przeszczepy serca. Spotkali się na sali operacyjnej. Leżący na stole pacjent, dziesięcioletni chłopiec, został przywieziony do szpitala ze strzałą w klatce piersiowej. Efekt sprzeczki między braćmi i niewłaściwego doboru prezentów urodzinowych. Gdy Abby weszła na salę, Mark już tam był, przebrany do operacji. Był to pierwszy tydzień jej praktyki. Czuli zdenerwowanie i lęk na samą myśl, że ma asystować znakomitemu doktorowi Hodellowi. Podeszła do stołu operacyjnego i nieśmiało spojrzała na stojącego po drugiej stronie mężczyznę. Zobaczyła nad maską szerokie, inteligentne czoło i parę pięknych błękitnych oczu. Bardzo szczerych i przenikliwych.

Wykonali razem operację. Chłopiec przeżył.

Miesiąc później Mark zaprosił Abby na randkę, ale mu odmówiła. Nie dlatego, że nie chciała się z nim umawiać. Po prostu sądziła, że nie powinna.

Po miesiącu zaprosił ją ponownie. Tym razem się zgodziła.

Pięć i pół miesiąca później przeprowadziła się do mieszkania Marka w Cambridge. Na początku nie było łatwo. Musiała nauczyć się żyć z czterdziestojednoletnim kawalerem, który nigdy przedtem nie dzielił życia — ani domu — z żadną kobietą. Jednak teraz, czując, jak Mark ją obejmuje, nie wyobrażała sobie, by mogła mieszkać z jakimkolwiek innym mężczyzną, kochać kogoś innego.

— Biedactwo — mruknął, muskając ciepłym oddechem jej włosy. — Życie jest brutalne, prawda?

— Chyba nie nadają się do tego. Co ja tu robię, do cholery?

— To, o czym zawsze marzyłaś. Tak mi mówiłaś.

— Nie pamiętam już nawet, jak wyglądało to marzenie.

Tracę je z oczu.

— Chyba chodziło o ratowanie ludziom życia?

— Właśnie. A tymczasem żałuję, że pijany kierowca samo chodu nie zginął — mruknęła i pokręciła głową, czując odrazę do samej siebie.

— Abby, przeżywasz teraz najtrudniejsze chwile. Pozostały ci jeszcze tylko dwa dni na urazówce. Musisz wytrzymać.

— Jasne. A potem trafię na chirurgię klatki piersiowej i...

— To już pestka. Urazówka zawsze była najgorsza. Prze trzymaj to jak wszyscy.

Przylgnęła do niego mocniej.

— Czy gdybym przeniosła się na psychiatrię, straciłbyś dla mnie cały szacunek?

— Absolutnie. Bez wątpienia.

— Ależ z ciebie drań.

Śmiejąc się, pocałował ją w czubek głowy.

— Wielu ludzi tak myśli, ale tylko tobie wolno to głośno mówić.

Zjechali windą na parter i wyszli ze szpitala. Był już koniec września, jednak Boston od sześciu dni dręczyła fala upałów. Gdy szli przez parking, Abby czuła, jak opuszczają ją resztki sił. Kiedy dotarli do jej samochodu, nie była już niemal w stanie poruszać nogami. Oto, do czego nas doprowadza to wszystko, przez co musimy przejść, żeby zostać chirurgami, pomyślała. Praca od świtu do nocy, psychiczne i

emocjonalne wypalenie, wielogodzinny wysiłek. Ale wiedziała, że ten proces jest konieczny. Mark go przetrwał, więc i ona da radę.

Jeszcze raz uścisnął ją i pocałował.

— Na pewno czujesz się na siłach prowadzić samochód? — spytał.

— Włączę automatycznego pilota.

— Będę w domu za godzinę. Mam przywieźć pizzę?

Ziewając, wsunęła się za kierownicę.

— Dla mnie nie.

— Nie chcesz jeść kolacji?

Uruchomiła silnik.

— Marzę tylko o łóżku — odparła z westchnieniem.

Rozdział trzeci

Myśl o śmierci przyszła do Niny Voss nocą i była jak delikatny szept albo muśnięcie skrzydeł wróżki po policzku. Nie czuła przerażenia. Otoczona troskliwą opieką trzech pracujących na zmianę prywatnych pielęgniarek i odwiedzana codziennie przez doktora Morriseya, który aplikował jej coraz większe dawki furosemidu, wciąż zachowywała pogodę ducha. Zresztą, dlaczego miałoby być inaczej? Los okazał się dla niej łaskawy. Zaznała miłości i przeżyła wiele pięknych chwil. Miała czterdzieści sześć lat i widziała wschód słońca nad świątyniami w Karnaku, zwiedziła ruiny Delf, wędrowała po górach Nepalu. Przekonała się, jaki spokój umysłu daje człowiekowi zaakceptowanie swojego miejsca w boskim porządku Wszechświata. Żałowała tylko dwóch rzeczy.

Tego, że nigdy nie urodziła dziecka.

I że zostawi Victora samego.

Mąż czuwał przez całą noc przy jej łóżku i trzymał ją za rękę, gdy całymi godzinami zanosila się kaszlem, gdy zmieniano jej butle z tlenem i gdy odwiedzał ją doktor Morrisey. Nawet podczas snu czuła obecność Victora. Czasem przed świtem, półprzytomna, słyszała, jak mówi: „Ona jest taka młoda. Tak bardzo młoda. Czy nie da się czegoś jeszcze zrobić?”.

To był cały Victor. Nie chciał uwierzyć w to, co nieuniknione.

Ale ona wierzyła.

Otworzywszy oczy, zobaczyła, że noc w końcu minęła i przez okno sypialni wpadają promienie słońca. Za oknem rozciągał się widok na jej ukochaną cieśninę Rhode Island. Zanim zachorowała, zanim choroba mięśnia sercowego pozbawiła ją sił, o świcie była już zwykle na nogach. Wychodziła z sypialni na balkon i oglądała wschód słońca. Nawet gdy cieśninę przesłaniała jeszcze mgła, gdy powierzchnia wody wydawała się jedynie drżącą srebrną taflą, czuła, jak obraca się Ziemia, jak otwiera się przed nią nowy dzień. Podobnie jak dzisiaj.

Przeżyłam tyle pięknych świtów, pomyślała. Dziękuję ci, Boże, za każdy z nich.

— Dzień dobry, kochanie — szepnął Victor.

Nina skupiła wzrok na twarzy męża, który uśmiechał się do niej z góry. Dla niektórych Victor Voss był uosobieniem władzy. Inni widzieli w nim przede wszystkim bezwzględność. Ale Nina widziała w jego twarzy tylko miłość. I zmęczenie.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ucałował jej dłoń.

— Musisz się przespać, Victorze — powiedziała.

— Nie jestem zmęczony.

— Przecież widzę, że jesteś.

— Wcale nie. — Ponownie ucałował jej dłoń. Czuła na chodnej skórze ciepło jego warg. Patrzyli na siebie przez chwilę.

Tlen syczał cicho w rurkach wsuniętych w jej nozdrza. Przez otwarte okno słychać było szum uderzających o skały fal oceanu.

Przymknęła oczy.

— Pamiętasz ten dzień... — zaczęła, ale zaraz musiała przerwać, by zaczerpnąć tchu.

— Jaki dzień? — spytał łagodnie.

— Kiedy... złamałam nogę... — dodała z uśmiechem.

Poznali się w Gstaad. Wyznał jej później, że gdy zobaczył, jak szusuje po stromym zboczach, zjechał za nią na dół, potem znów tak jak ona wrócił na górę wyciągiem i zjechał jeszcze raz. To było dwadzieścia pięć lat temu.

Od tamtej pory byli już zawsze razem.

— Wiedziałam... — wyszeptała. — Już wtedy, w tym szpi talu, gdy siedziałeś przy moim łóżku, wiedziałam...

— Co wiedziałaś, kochanie?

— Że jesteś moim przeznaczeniem — odparła.

Otworzyła oczy i znów się do niego uśmiechnęła. Dostrzegła łzę na jego policzku. Och, przecież Victor nigdy nie płakał! Nie zdarzyło mu się to ani razu w ciągu dwudziestu pięciu lat ich wspólnego życia. Zawsze sądziła, że jest silny i dzielny. Teraz, patrząc na jego twarz, uświadomiła sobie, jak bardzo się myliła.

— Victorze, nie wolno ci się bać — powiedziała, ściskając jego dłoń. Niemal ze złością otarł twarz.

— Nie pozwolę, żeby to się stało. Nie mogę cię stracić.

— Przecież mnie nie stracisz.

— Nie. To mi nie wystarczy! Chcę, żebyś została tu, na ziemi. Przy mnie.

— Victorze... — z trudem wciągnęła powietrze — czas, który jest nam dany... to tylko niewielki fragment... naszej egzystencji...

Wyczuła jego zniecierpliwienie i rozdrażnienie. Wstał z krzesła, podszedł do okna i przez chwilę wpatrywał się w cieśninę. Skóra Niny, pozbawiona ciepła jego ręki, znów stała się zimna.

— Zajmę się tym, kochanie — oświadczył.

— Są w życiu rzeczy... na które nie mamy wpływu.

— Podjąłem już odpowiednie kroki.

— Posłuchaj, Victorze...

Odwrócił się i spojrzał na nią. Jego rysujące się na tle okna ramiona przesłaniały światło poranka.

— Wszystko będzie załatwione, kochanie — powiedział. — O nic się nie martw.

Był to jeden z tych pięknych ciepłych wieczorów z zachodzącym słońcem, zapachami lata, dzwoniącymi w kieliszkach kostkami lodu i przechadzającymi się po alejkach wyperfumowanymi damami w jedwabiach. Stojąc w otoczonym murem ogrodzie doktora Billa Archera, Abby miała wrażenie, że nawet w powietrzu jest coś magicznego.

Klematisy i róże pięły się po łukowatej pergoli, a na wielkim trawniku pyszniły się dywany kwiatów. Ten ogród był dumą i radością Marilee Archer, która oprowadzała po nim żony innych lekarzy, donośnym kontraltem wykrzykując botaniczne nazwy ciekawszych okazów.

Archer, stojący na patio z kieliszkiem w ręce, zaśmiał się i stwierdził:

— Marilee zna łacinę lepiej niż ja.

— Ja uczyłem się jej przez trzy lata — powiedział Mark. — Ale pamiętam tylko to, co dotyczy medycyny.

Zebrałi się wszyscy przy ceglany grillu: Bili Archer, Mark, Wettig i dwoje młodszych chirurgów. Abby była jedyną kobietą w tym gronie. To było coś, do czego nigdy nie potrafiła przywyknąć. Czasem na chwilę o tym zapominała, jednak potem, rozglądając się po sali, czuła skrępowanie, gdy uświadamiała sobie, że otaczają ją sami mężczyźni.

Tego wieczoru na przyjęciu u Archera były oczywiście także żony lekarzy, ale te kobiety żyły w swoim świecie, mającym niewiele wspólnego ze światem ich mężów. Do Abby dobiegały strzępy prowadzonych przez nie rozmów. Dyskutowały o różach damasceńskich, wycieczkach do Paryża i innych tego typu sprawach. To wszystko także ją interesowało. Miała wrażenie, że stoi okrakiem między światem mężczyzn i kobiet, nie należąc do żadnego z nich, ale do obu czując pociąg.

To Mark wprowadził ją w krąg mężczyzn. On i Bili Archer, również specjalizujący się w chirurgii klatki piersiowej, bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili. Bili, szef zespołu wykonującego przeszczepy serca, był jednym z lekarzy, którzy przed siedmiu laty ściągnęli Marka do Bayside. Doskonale się rozumieli. Obaj byli twardzi, wysportowani i bardzo ambitni. Na sali operacyjnej tworzyli zgrany zespół, ale poza szpitalem rywalizowali ze sobą po przyjacielsku zarówno na trasach narciarskich w Vermoncie, jak i na wodach zatoki Massachusetts. Obaj mieli zacumowane na przystani Marblehead Marina żaglówki klasy J-35. W tym sezonie Czerwone Oko Archera wygrywało w regatach sześć do pięciu z Cichym Portem Marka, ale Mark zamierzał doprowadzić do remisu w najbliższy weekend.

Co mężczyźni tak pociągają w łodziach? — zastanawiała się Abby, słuchając ich rozmów o sprzęcie i najnowszych technologiach. W tym gronie główne role grali faceci o siwych włosach: Archer ze swoją szpakowatą czupryną, wyraźnie już posiwiwały Colin Wettig i Mark, który w wieku czterdziestu jeden lat zaczynał siwieć na skroniach.

Gdy zaczęli dyskutować o metodach konserwacji kadłuba i skandalicznych cenach spinakerów, Abby przestała się nimi interesować i zauważyła dwoje spóźnionych gości: doktora Aarona Leviego i jego żonę Elaine. Aaron, kardiolog z zespołu transplantologów, był chorobliwie nieśmiały. Zdążył już ukryć się z drinkiem w głębi ogrodu i stał tam przygarbiony i milczący, a Elaine rozglądała się wokół, szukając towarzystwa.

Abby skorzystała z okazji, wymknęła się Markowi i podeszła do nich.

— Pani Levi? Jak miło znów panią widzieć!

Elaine odwzajemniła jej uśmiech.

— Jesteś... Abby, prawda?

— Tak, Abby DiMatteo. Chyba spotkałyśmy się na pikniku stażystów.

— Zgadza się. Jest was tylu, że trudno wszystkich zapamiętać. Ale ciebie sobie przypominam.

Abby zaśmiała się.

— Na chirurgii są tylko trzy stażystki, więc trudno nas nie zauważyć.

— Dawniej w ogóle nie było tam kobiet. Gdzie teraz jesteś?

— Jutro zaczynam staż na chirurgii klatki piersiowej.

— Więc będziesz pracowała z Aaronem.

— Jeśli będę miała szczęście trafić na jakiś przeszczep.

— Na pewno trafisz. Mają ostatnio mnóstwo pracy. Dostają nawet zlecenia ze szpitala... — Elaine pochyliła się do Abby.

— Parę lat temu odmówili mu stypendium, a teraz przysyłają do niego pacjentów.

— Bayside w niczym nie ustępuje szpitalowi w Massachusetts — stwierdziła Abby. — Zna pani Vivian Chao, prawda?

— Oczywiście.

— Ukończyła z wyróżnieniem studia medyczne w Hazar dzie, ale kiedy musiała odbyć staż, wybrała Bayside.

Elaine zwróciła się do męża.

— Słyszałeś, Aaronie?

Niechętnie podniósł wzrok znad swojej szklanki.

— Co miałem słyszeć?

— Vivian Chao wolała Bayside od Massachusetts General.

Aaronie, to naprawdę najlepszy szpital. Czemu chcesz wyjeżdżać?

— Wyjeżdżać? — powtórzyła Abby i pytająco spojrzała na Aarona, ale kardiolog w milczeniu wpatrywał się w żonę.

Z drugiej strony ogrodu dochodziły śmiechy i odgłosy rozmów, lecz w kącie, w którym stali, zapanowała cisza. Po chwili Aaron odchrząknął i powiedział:

— Pomyślałem sobie, że może dobrze byłoby przenieść się na prowincję. Wszyscy o tym myślą, ale nikt nie potrafi się zdecydować.

— Ja na pewno nie — odparła Elaine.

— Dorastałam w małym miasteczku — powiedziała Abby. — W Belfaście, w stanie Maine. Nie mogłam się doczekać, kiedy stamtąd ucieknę.

— Doskonale to rozumiem — odparła Elaine. — Wszyscy ciągną do cywilizacji.

— Nie było tam aż tak źle.

— Ale nie zamierzasz wracać, prawda?

Abby zawahała się.

— Moi rodzice nie żyją, a obie siostry przeprowadziły się do innego stanu. Nie mam po co tam wracać. Za to mam bardzo wiele powodów, by zostać tutaj.

— To tylko fantazje — mruknął Aaron, pociągając solidny łyk ze szklanki. — Nie myślałem o tym poważnie.

Zapadła niezręczna cisza. Nagle Abby usłyszała, że wołają Mark. Odwróciwszy się, ujrzała, że macha do niej.

— Przepraszam — powiedziała i ruszyła przez trawnik w jego stronę.

— Archer chce nam pokazać swoje sanktuarium — powie dział Mark, kiedy do niego podeszła.

— Jakie sanktuarium?

— Chodź ze mną, to zobaczysz.

Wziął ją za rękę i poprowadził przez taras do domu. Weszli po schodach na górę. Abby tylko raz była wcześniej na piętrze domu Archera.

Tego wieczoru po raz pierwszy została zaproszona do pokoju na końcu korytarza.

Gospodarz czekał już na nich w środku. Na skórzanych fotelach siedzieli doktorzy Frank Zwick i Raj Mohandas, lecz Abby prawie ich nie dostrzegła, bo pokój okazał się tak niezwykły, że skupił całą jej uwagę.

Znajdowała się w muzeum dawnych narzędzi lekarskich. Wystawione w gablotach przedmioty były równie fascynujące jak przerażające. Skalpele i baseny do upuszczania krwi, słoje na pijawki, kleszcze ginekologiczne ze szczypcami, które mogłyby zmiażdżyć czaszkę niemowlęcia. Nad kominkiem wisiał olejny obraz, przedstawiający walkę Śmierci z Lekarzem o życie młodej kobiety. W pokoju rozbrzmiewał Koncert Brandenburski.

Archer ściszył nagranie, tak że muzyka stała się ledwo słyszalna.

— Czy Aaron nie przyjdzie? — spytał.

— Wie, że tu jesteście. Pewnie już idzie — odparł Mark.

— W porządku. — Archer uśmiechnął się do Abby. — Co pani sądzi o mojej małej kolekcji?

Przyjrzała się zawartości jednej z gablot.

— Jest fascynująca... Ale nawet nie potrafię powiedzieć, do czego niektóre z tych rzeczy służyły.

Archer wskazał dziwny przyrząd, składający się z kół zębatach i bloków.

— To bardzo ciekawy instrument. Miał generować słaby prąd elektryczny, stosowany do leczenia różnych części ciała.

Podobno pomagał na wiele dolegliwości, poczynając od prob lemów kobiecych, a na cukrzycy kończąc. Zabawne, w jakie bzdury każe nam wierzyć medycyna, prawda?

Abby przystanęła przed obrazem olejnym i spojrzała na postać Śmierci w czarnej szacie. Lekarz jako bohater i zwycięzca, pomyślała. I oczywiście ratuje kobietę. Piękną kobietę.

W tym momencie drzwi się otworzyły.

— Jesteś! — zawołał Mark. — Zastanawialiśmy się, czy nie zapomniałeś o naszym spotkaniu.

Aaron wszedł do pokoju, w milczeniu skinął głową i usiadł w fotelu.

— Mogę jeszcze pani nalać, Abby? — spytał gospodarz, wskazując jej pusty kieliszek.

— Już mi wystarczy.

— Może jednak skusi się pani na odrobinę brandy? Mark prowadzi, prawda?

Abby uśmiechnęła się.

— No dobrze, poproszę.

Archer napełnił jej kieliszek. W pokoju zaległa cisza, jakby wszyscy czekali na dopełnienie tej formalności. Abby uświadomiła sobie nagle, że jest jedyną stażystką wśród nich. Bili Archer wydawał takie przyjęcia co parę miesięcy, aby powitać nowy personel na oddziale chirurgii klatki piersiowej i chirurgii urazowej i po ogrodzie kręciło się jeszcze sześcioro innych stażystów, ale w jego prywatnych apartamentach zebrał się tylko zespół transplantologów.

A także ona — nie wiadomo dlaczego i po co.

Siedziała na kanapie obok Marka, sącząc drinka. Patrzyła na tych pięciu znakomitych lekarzy z podziwem i wiedziała, jak wielkim przywilejem jest możliwość asystowania Archerowi i Mohandasowi przy operacjach. Choć dzięki swojemu związkowi z Markiem znalazła się w

ich towarzyskim kręgu, nigdy nie zapomniała, kim są ci ludzie ani w jakim stopniu zależy od nich jej kariera.

Gospodarz usiadł naprzeciwko niej.

— Słyszałem wiele dobrego na pani temat, Abby. Od gene rała. Zanim stąd dziś wyszedł, wyrażał się o pani z dużym uznaniem.

— Doktor Wettig? — zdziwiła się Abby. — Prawdę mówiąc, nigdy nie wiem, co sądzi o mojej pracy.

— Cóż, taki już jest. Lubi trzymać wszystkich w niepewności, ale szanuję jego zdanie — dodał Archer. — A według niego jest pani jedną z najlepszych stażystek na drugim roku.

Pracowałem z panią, więc wiem, że ma rację.

Abby poruszyła się niespokojnie. Markują! jej dłoń i uściśnął lekko. Archer dostrzegł ten gest i uśmiechnął się.

— Mark też najwyraźniej uważa, że jest pani niezwykła — powiedział. — To jeden z powodów, dla których się tu dziś spotykamy. Może nasza rozmowa będzie trochę przedwczesna, ale wolimy robić plany z dużym wyprzedzeniem. Nigdy nie zaszkodzi wcześniej zbadać teren.

— Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza — odparła Abby.

Archer sięgnął po karafkę i dolał sobie brandy.

— Nasz zespół transplantologów interesuje się tylko tym, co najlepsze. Najlepszymi referencjami i wynikami. Zawsze staramy się pomagać uzdolnionym stażystom. Och, mamy oczywiście także i swoje własne, egoistyczne powody. Przygo towujemy kadrę dla naszego zespołu. — Zamilkł na chwilę. — Zastanawialiśmy się, czy nie chciałaby pani zajmować się przeszczepami.

Abby rzuciła zdumione spojrzenie Markowi, który lekko kiwnął głową.

— Nie musi pani od razu podejmować decyzji — dodał Archer — ale proszę o tym pomyśleć. Mamy kilka lat, żeby się lepiej poznać. Być może w tym czasie zrezygnuje pani ze specjalizacji albo się okaże, że transplantologia wcale pani nie interesuje.

— Wprost przeciwnie. — Abby pochyliła się do przodu. — Chyba jestem po prostu... zaskoczona. To wielki zaszczyt.

Mamy tylu zdolnych stażystów i lekarzy. Na przykład Vivian Chao.

— Owszem, Vivian rzeczywiście jest dobra.

— Myślę, że w przyszłym roku będzie ubiegać się o sty pendium.

— Doktor Chao jest bez wątpienia wybitnym chirurgiem — przyznał Mohandas. — Kilku stażystów też ma świetnie opa nowaną technikę. Ale zna pani powiedzenie, że nawet małpę można nauczyć operować? Problem polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy to robić.

— Raj chce powiedzieć, że szukamy kogoś, kto potrafi stawiać właściwe diagnozy — wyjaśnił Archer. — I potrafi pracować w zespole. Naszym zdaniem i z jednym, i z drugim dobrze sobie pani radzi. Nie jest pani konfliktowa. Na to kładziemy szczególny nacisk, Abby. Praca w grupie. Podczas operacji wiele rzeczy może się nie udać. Zawodzi sprzęt.

Wyślizguje się skalpel. W drodze do szpitala ginie serce.

Musimy umieć wybrnąć z każdej opresji. I robimy to.

— Pomagamy też sobie wzajemnie — dodał Frank Zwick. — W sali operacyjnej i poza nią.

— Właśnie — potwierdził Archer i spojrzał na Aarona. — Zgodzisz się z tym, prawda?

Aaron odchrząknął.

— Tak, oczywiście. To jedna z korzyści wynikających z przynależności do zespołu.

— Jedna z wielu korzyści — podkreślił Mohandas.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W tle rozbrzmiewały ciche tony Koncertu Brandenburskiego.

— Lubię ten fragment — stwierdził gospodarz i zrobił głośniej.

Gdy z kolumn popłynęły dźwięki skrzypiec, Abby ponownie spojrzała na obraz przedstawiający walkę Śmierci i Lekarza o życie pacjenta.

— Wspomniał pan o innych korzyściach — zauważyła.

— Cóż... ja na przykład miałem wiele długów, kiedy kończyłem staż na chirurgii — powiedział Mohandas. — Bayside pomógł mi je spłacić w ramach pakietu rekrutacyjnego.

— Możemy o tym porozmawiać, Abby — rzekł Archer. — W dzisiejszych czasach młodzi chirurdzy kończą staż w wieku trzydziestu lat. Na ogół są już żonaci i mają dzieci. I sto tysięcy dolarów długu za studia, a jeszcze nawet nie mają domu! Spłata zadłużenia zajmuje im dziesięć lat. Dobiegają już wtedy czterdziestki i martwią się o wykształcenie swoich dzieci. — Pokręcił głową. — Nie wiem, po co ktokolwiek idzie dziś na medycynę.

Na pewno nie dla pieniędzy.

— Rzeczywiście ciężko związać koniec z końcem — przyznała Abby.

— A przecież wcale nie musi tak być. Mark wspomniał nam, że w czasie nauki korzystała pani z pomocy finansowej.

— Ze stypendiów i kredytów. Głównie z kredytów.

— Och... To brzmi boleśnie.

Abby pokiwała głową.

— Właśnie zaczynam to odczuwać.

— Brała pani też kredyty na studia?

— Tak. Moja rodzina miała problemy finansowe — odparła Abby.

— Mówi to pani tak, jakby się tego wstydziła.

— Mieliśmy pecha... Mój młodszy brat musiał spędzić kilka miesięcy w szpitalu, a nie byliśmy ubezpieczeni. Ale w mias teczku, w którym dorastałam, wielu ludzi nie miało ubezpieczenia.

— To tylko potwierdza, jak bardzo było pani ciężko. Wszyscy to znamy. Raj jest imigrantem i aż do ukończenia dziesięciu lat nie mówił po angielsku. Ja jako pierwszy w mojej rodzinie dostałem się na studia. Proszę mi wierzyć, w tym pokoju nie ma żadnych pieprzonych bostońskich braminów. Nie mieliśmy bogatych tatusiów ani funduszy powierniczych. Wiemy, co to znaczy walczyć z przeciwnościami losu, bo sami też to robiliśmy. I szukamy do naszego zespołu ludzi, którzy również to wiedzą.

Rozbrzmiały ostatnie tony muzyki, ucichły końcowe akordy trąbek i smyczków. Archer wyłączył stereo i spojrzął na Abby.

— Tak czy inaczej, niech pani przemyśli tę sprawę — po wiedział. — W tej chwili nie składamy pani żadnych wiążących propozycji. Potraktujmy to jako... hm... — Archer uśmiechnął się szeroko i popatrzył na Marka — ...pierwszą randkę.

— Rozumiem — odparła Abby.

— Powinna pani wiedzieć jeszcze o czymś... Jest pani jedyną stażystką, do której się zwróciliśmy. Tylko panią bierzemy poważnie pod uwagę. Byłoby rozsądnie, gdyby nie mówiła pani o tym swoim kolegom. Nie chcemy wzbudzać niczyjej zawiści.

— Oczywiście.

— No dobrze. — Archer rozejrzał się po pokoju. — Chyba wszyscy jesteśmy co do tego zgodni. Prawda, panowie?

Zebrani w pokoju lekarze pokiwali głowami.

— To się nazywa prawdziwy zespół — stwierdził Archer i, uśmiechając się, ponownie sięgnął po karafkę z brandy.

— I co o tym sądzisz? — spytał Mark, gdy wracali samo chodem do domu.

Abby odrzuciła głowę do tyłu.

— Czuję się jak naćpana! Boże, co za noc!

— Cieszysz się, prawda?

— Żartujesz chyba! Jestem przerażona.

— Czym?

— Że nawalę i wszystko spieprzę.

Mark zaśmiał się i ścisnął ją za kolano.

— Hej, przecież pracowaliśmy również z innymi stażystami.

Wiemy, że werbujemy najlepszych.

— Czy miał pan jakiś wpływ na decyzję Archera, doktorze Hodell?

— Och, wtrąciłem swoje trzy grosze. Pozostali nie mieli żadnych zastrzeżeń.

— Oczywiście.

— Naprawdę. Wierz mi, Abby, jesteś naszą główną kan dydatką. I sadzę, że otrzymasz fantastyczną ofertę.

Oparła się wygodnie, z uśmiechem myśląc o swojej przyszłości. Do tej pory miała jedynie mgliste pojęcie, gdzie będzie pracowała za trzy i pół roku. Najprawdopodobniej czekała ją ciężka harówka w publicznej służbie zdrowia, bo prywatne praktyki wymierały. Nie widziała dla siebie perspektyw, zwłaszcza w Bostonie. A właśnie w tym mieście chciała zostać.

Tam, gdzie był Mark.

— Bardzo mi na tym zależy — odparła. — Mam tylko nadzieję, że was nie zawiodę.

— Na pewno nie. Wiemy, czego chcemy. Tworzymy zgraną ekipę.

Milczała przez chwilę, po czym spytała:

— Nawet Aaron Levi?

— Aaron? Dlaczego o to pytasz?

— Nie wiem. Rozmawiałam dziś wieczorem z jego żoną Elaine. Chyba uważa, że nie jest zbyt zadowolony. Wiedziałeś, że myślał o odejściu?

Mark spojrział na nią zaskoczony.

— Co takiego?

— Wspomniał o przeprowadzce na prowincję.

Zaśmiał się.

— Nie ma szans. Elaine jest dziewczyną z Bostonu.

— To nie ona o tym myślała, tylko on.

Przez chwilę Mark w milczeniu prowadził samochód.

— Musiałaś się przesłyszeć — stwierdził w końcu.

Wzruszyła ramionami.

— Możliwe.

— Światło proszę — powiedziała Abby.

Pielęgniarka nastawiła umieszczoną w górze lampę, tak by oświetlała klatkę piersiową pacjentki. Pole operacyjne zostało zaznaczone na skórze czarnym markerem: dwa niewielkie znaki X, połączone linią biegnącą wzdłuż szczytu piątego żebra. Mary Allen,

osiemdziesięcioczworoletnia wdowa, została przed tygodniem przyjęta do Bayside z powodu ubytku wagi i silnych bólów głowy. W wyniku rutynowego prześwietlenia stwierdzono liczne guzki w obu płucach. Przez sześć dni dokładnie ją badano, zrobiono bronchoskopię i biopsję cienkoigłową, ale diagnoza wciąż była niepewna.

Dziś mieli się wszystkiego dowiedzieć.

Doktor Wettig wziął do ręki skalpel i stanął z uniesionym ostrzem nad polem operacyjnym. Abby czekała, aż zacznie ciąć. Jednak zamiast to zrobić, spojrzał na Abby znad maski swoimi zimnymi jak stal niebieskimi oczami.

– Przy ilu otwartych biopsjach pani asystowała, doktor DiMatteo?
– spytał.

– Chyba pięciu.

– Zna pani historię choroby tej pacjentki? Widziała pani zdjęcia jej klatki piersiowej?

– Tak, panie doktorze.

Wettig podał jej skalpel.

– Wobec tego proszę operować, pani doktor.

Abby z zaskoczeniem popatrzyła na lśniący skalpel w jego ręce. Generał rzadko go komuś oddawał, nawet stażystom ze starszych lat.

Wzięła skalpel i poczuła, że dobrze leży w jej dłoni. Napiawszy skórę pacjentki, nacięła ją po linii zaznaczonej wzdłuż żebra. Staruszka była chuda, wyniszczona chorobą. Miała niewiele podskórnej tkanki tłuszczowej. Następne nieco głębsze cięcie rozdzieliło mięśnie międzyżebrowe.

Po chwili Abby była już w jamie opłucnowej.

Wsunęła w nacięcie palec i poczuła powierzchnię płuca. Była miękka, gąbczasta.

– Wszystko w porządku? — spytała anestezjologa.

– Oczywiście.

– No to otwieramy — oświadczyła Abby.

Rozsunęła żebra, poszerzając dostęp. Respirator przepompował kolejną porcję powietrza i z nacięcia wyłonił się niewielki fragment

tkanki płucnej, wydęty jak balonik. Abby zacisnęła go i ponownie spojrzała na anestezjologa.

— W porządku?

— Jak najbardziej.

Abby skupiła uwagę na odsłoniętym kawałku tkanki płucnej. Wystarczył jej rzut oka, by zlokalizować jeden z guzków. Przesunęła po nim palcem.

— Dość twardy — oznajmiła. — Niedobrze.

— Nic dziwnego — stwierdził Wettig. — Na zdjęciu rentgenowskim wyglądało to jak reklama chemioterapii. Spraw dzamy właśnie, jaki to typ komórek.

— Bóle głowy? Przerzuty w mózgu?

Wettig przytaknął.

— Osiem miesięcy temu rentgen nic nie wykazywał, ale teraz ta kobieta ma całą hodowlę raka.

— To osiemdziesięcioletnia staruszka — wtrąciła jedna z pielęgniarek. — Przynajmniej długo żyła.

Co to za życie? — pomyślała Abby, wycinając fragment płuca z guzkiem. Wczoraj zobaczyła Mary Allen po raz pierwszy. Pacjentka siedziała cicha i nieruchoma w szpitalnej sali, przy zaciągniętych zasłonach, na pogrążonym w półmroku łóżku. „To przez te bóle głowy — wyjaśniła. — Słońce razi mnie w oczy. Tylko kiedy śpię, ból mija. Czuję tyle różnych rodzajów bólu... Czy nie mogłabym dostać silniejszych tabletek nasennych?”.

Abby skończyła resekcję i zszyła rozciętą krawędź płuca. Wettig nic nie mówił, przyglądał się tylko jej pracy. Ale jego milczenie było wystarczającym komplementem. Abby już dawno się nauczyła, że sam brak krytyki z jego strony to wielki sukces.

W końcu zamknęła klatkę piersiową i umieściwszy na swoim miejscu dren, ściągnęła zakrwawione rękawiczki i wrzuciła je do kubła na odpady.

— Teraz przed nami najtrudniejsze zadanie — mruknęła, gdy pielęgniarki wywiozły pacjentkę z sali operacyjnej. — Trzeba przekazać jej złe wiadomości.

— Ona wie — stwierdził Wettig. — Chorzy na raka zawsze to wiedzą.

Ruszyli za skrzypiącym wózkiem do sali pooperacyjnej. Za parawanami leżało czworo pacjentów. Mary Allen, zawieszona w głąb sali, zaczynała się właśnie wybudzać. Poruszyła nogą i jęknęła. Próbowwała uwolnić przywiązaną rękę.

Abby przyłożyła stetoskop do jej piersi i powiedziała:

— Proszę podać jej dożylnie pięć miligramów morfiny.

Pielęgniarka wstrzyknęła pacjentce bolus siarczanu morfiny.

Pięć miligramów wystarczało, by uśmierzyć ból, i jednocześnie pozwalało kobiecie powoli odzyskiwać przytomność. Mary przestała jęczeć. Wykres na monitorze pokazywał równomierną, regularną pracę serca.

— Jakies zalecenia pooperacyjne, doktorze Wettig? — spytała pielęgniarka.

Przez chwilę panowała cisza. Abby spojrzała na Wettiga. Oznajmił, że pacjentką zajmuje się doktor DiMatteo, i wyszedł z sali.

Pielęgniarki spojrzały na siebie. Wettig zawsze notował swoje zalecenia pooperacyjne. Był to kolejny dowód zaufania do Abby.

Zabrała kartę Mary Allen na swoje biurko i zaczęła pisać. Transfer na piąte piętro, wschodnie skrzydło, chirurgia klatki piersiowej. Biopsja otwarta płuca w celu określenia rodzaju znajdujących się w nim guzków. Stan: stabilny. Zapisała również zalecenia dotyczące diety i leków. Kiedy doszła do punktu, w którym należało określić postępowanie w razie ustania czynności życiowych, wpisała automatycznie: „reanimacja”.

Spojrzała zza biurka na leżącą na wózku pacjentkę. Zastanawiała się, jak to jest być wyniszczoną przez raka osiemdziesięcioletnią staruszką, której dni są policzone, a każdy z nich wypełnia ból. Być może Mary Allen wolałaby szybszą śmierć...

– Doktor DiMatteo? – odezwał się głos z interkomu.

– Słucham?

– Dziesięć minut temu był do pani telefon z czwartego piętra we wschodnim skrzydle. Proszę, żeby pani przyszła.

– Neurochirurgia? Powiedzieli po co?

– Chodzi o pacjentkę o nazwisku Terrio. Chcą, żeby pani pomówiła z jej mężem.

– Karen Terrio nie jest już moją pacjentką.

– Przekazuję tylko wiadomość, pani doktor.

– Dobrze, dziękuję – odparła Abby.

Wstała z westchnieniem i podeszła do wózka Mary Allen, by po raz ostatni sprawdzić wskazania aparatury monitorującej akcję serca. Puls był nieco przyspieszony i pacjentka poruszała się, pojękując. Najwyraźniej nadał odczuwała ból.

Abby spojrzała na pielęgniarkę.

– Jeszcze dwa miligramy morfiny – poleciła.

Punkt świetlny na monitorze EKG poruszał się powoli i równomiernie.

– Ma bardzo silne serce – stwierdził Joe Terrio. – Nie chce się poddać.

Siedział przy łóżku żony, ściskając jej dłoń i wpatrując się w pulsującą na ekranie oscyloskopu zieloną linię. Zainstalowana w sali aparatura, rurki, monitory i pompa ssąca najwyraźniej oszałamiały go i przerażały. Skupiał całą swoją uwagę na monitorze EKG, jakby od zgłębienia sekretów tego tajemniczego urządzenia zależało zrozumienie wszystkich innych spraw. Także tego, jak to się stało, że siedzi przy łóżku ukochanej kobiety, która nagle przestała samodzielnie oddychać.

Była trzecia po południu. Minęły sześćdziesiąt trzy godziny, odkąd pijany kierowca zderzył się z samochodem Karen Terrio. Miała trzydzieści cztery lata, nie była zarażona wirusem HIV, nie chorowała na raka ani na żadną poważną chorobę. Ale jej mózg był martwy i stanowiła już tylko żywy magazyn organów do przeszczepu. Serce, płuca, nerki, trzustka, wątroba, kości, rogówka, skóra. Dzięki jednemu

dawcy można było ocalić życie kilku ludzi albo przynajmniej odmienić je na lepsze.

Abby przysunęła sobie stółek i usiadła naprzeciwko męża Karen. Była wśród lekarzy jedyną osobą, która dłużej z nim rozmawiała, dlatego właśnie ją wezwały teraz pielęgniarki. Musiała go przekonać, by podpisał papiery i pozwolił żonie umrzeć. Siedziała w milczeniu, a między nimi leżała Karen Terrio. Jej klatka piersiowa wznosiła się i opadała w zaprogramowanym rytmie dwudziestu oddechów na minutę.

— Ma pan rację, Joe — powiedziała po chwili Abby. — Ma silne serce. Jeszcze przez jakiś czas mogłoby pracować, ale w końcu organizm zrozumiałby, co się dzieje.

Joe spojrzał na nią. Oczy miał czerwone od łez i niewyspania.

— Co by rozumiał?

— Że mózg jest martwy. Że serce nie ma już po co bić.

— Skąd by o tym wiedział?

— Potrzebujemy mózgu nie tylko po to, by myśleć i czuć, ale także po to, by działanie innych narządów czemuś służyło.

Kiedy zabraknie celu, serce i płuca zaczynają zawodzić. — Abby popatrzyła na respirator. — Już teraz oddycha za nią aparatura.

— Wiem. — Joe potarł twarz dłońmi. — Wiem, wiem, wiem...

Kiwał się na krześle w przód i w tył, wsunawszy palce we włosy, i cicho pojękiwał. Kiedy znów uniósł głowę, jego włosy sterczały w nieładzie, sztywne i mokre od łez. Ponownie spojrzał na monitor.

— Wydaje mi się, że jest jeszcze za wcześnie.

— Cóż... narządy tylko przez pewien czas są w dobrym stanie. Potem stają się bezużyteczne.

Popatrzył na nią z drugiej strony łóżka.

— Przyniosła pani papiery?

— Tak, mam je.

Niemal nie spojrzał na formularze, podpisał się tylko u dołu i oddał je Abby. Pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii i Abby poświadczyły jego podpis. Kopie przekazywano do Banku Narządów

Nowej Anglii i do archiwum koordynatora przeszczepów szpitala Bayside. Potem pobierano narządy.

Jeszcze długo po pogrzebie Karen Terrio fragmenty jej ciała nadal będą żyły. Serce, którego uderzenia czuła kiedyś w swojej piersi, gdy bawiła się jako mała dziewczynka, gdy wychodziła za mąż w wieku dwudziestu lat i gdy rok później rodziła dziecko, będzie nadal biło w klatce piersiowej innego człowieka. Trudno bardziej zbliżyć się do nieśmiertelności.

Nie było to jednak żadnym pocieszeniem dla Josepha Terrio, który wciąż czuwał przy łóżku swojej żony.

Abby zastała Vivian Chao w szatni obok sali operacyjnej. Mała Chinka przebierała się właśnie po czterogodzinnej operacji, ale na jej rzuconym na ławkę chirurgicznym kitlu nie było ani śladu potu.

— Mamy zgodę na pobranie narządów — oznajmiła Abby.

— Papiery są podpisane? — spytała Vivian.

— Tak.

— Dobrze. Zlecę wykonanie próby krzyżowej — odparła Vivian i sięgnęła po czystą bluzę. Była tylko w staniku i majtkach i na jej płaskiej klatce piersiowej widać było wszystkie żebra. Honorowy status mężczyzny to stan umysłu, a nie ciała, pomyślała Abby. — A co z jej funkcjami życiowymi? — zapytała po chwili.

— Są stabilne.

— Musimy utrzymać ciśnienie krwi i zapewnić perfuzję nerek. Nie co dzień trafiają nam się dwie zdrowe nerki z grupy AB plus — oświadczyła Vivian, wkładając zawiązywane na sznurek spodnie i wsuwając do nich bluzę. Każdy jej ruch był precyzyjny i elegancki.

— Będzie pani pobierać narządy do transplantacji? — spytała Abby.

— Tak, jeśli mój pacjent dostanie serce. Pobranie narządu to prosta sprawa. Dopiero wszywanie go jest trudniejsze. — Vivian zamknęła metalową szafkę, zatrzasnąwszy zamek. — Ma pani chwilę? Przedstawię pani Josha.

— Josha?

— To mój pacjent z kliniki. Jest teraz na oddziale intensywnej terapii.

Wyszły z szatni i ruszyły korytarzem w stronę windy. Vivian miała krótkie nogi, ale nadrabiała to szybkim, energicznym krokiem.

— Nie można ocenić, czy przeszczep serca się uda, jeśli nie zobaczy się pacjenta przed operacją i po niej — powiedziała Vivian. — Dlatego chcę pani pokazać go teraz. Może będzie pani lżej.

— Do czego pani zmierza?

— Pani pacjentka ma zdrowe serce i martwy mózg. Mój pacjent ma sprawny mózg, ale jego serce odmawia posłuszeństwa. — Drzwi windy się otworzyły i Vivian weszła do kabiny. — Kiedy ten człowiek otrząśnie się z rozpacz, na pewno ujrzy w tym głębszy sens.

Jechały windą w milczeniu.

Oczywiście, że to ma sens, pomyślała Abby. Ale nie mogła zapomnieć o dwóch małych dziewczynkach, stojących przy łóżku matki i bojących się jej dotknąć...

Vivian poprowadziła ją na oddział intensywnej terapii.

Joshua O'Day leżał na łóżku numer cztery.

— Dużo teraz śpi — szepnęła pielęgniarka, blondynka o słodkiej buzi. Na jej plakietce identyfikacyjnej widniał napis:

HANNAH LOVE.

— Z powodu zmiany leków? — spytała Vivian.

— Chyba raczej z powodu depresji — odparła Hannah i pokręciła głową, ciężko wzdychając. — Opiekuję się nim, odkąd go przyjęto. To wspaniały dzieciak. Ale ostatnio ciągle śpi albo patrzy na swoje trofea. — Wskazała stolik przy łóżku, na którym ułożono kolekcję nagród i wstęg. — Jedną z tych nagród dostał w trzeciej klasie za udział w Pinewood Derby, wyścigu drewnianych modeli samochodów.

Abby doskonale wiedziała, co to jest Pinewood Derby. Jej brat też był skautem, podobnie jak Joshua O'Day.

Podeszła do łóżka. Chłopak wydał jej się o wiele młodszy, niż się spodziewała. Z karty wynikało, że ma siedemnaście lat, ale wyglądał na czternaście. Łóżko otaczał gąszcz plastikowych rurek, cewników i

przewodów, które służyły do monitorowania ciśnienia w prawym przedsionku i tętnicy płucnej. Wiszący nad łóżkiem ekran wskazywał wartość ciśnienia w przedsionku. Było bardzo wysokie. Osłabione serce chłopca nie pompowało krwi wystarczająco szybko, więc gromadziła się w żyłach. Abby wiedziała o tym nawet bez monitora, patrząc na nabrzmiałe żyły na jego szyi.

— Ma pani przed sobą gwiazdę drużyny baseballowej z li ceum w Redding sprzed dwóch lat — oznajmiła Vivian. — Nie znam się na tym, więc nie potrafię ocenić jego wyników, ale ojciec jest z niego bardzo dumny.

— O, tak — potwierdziła Hannah. — Przyszedł tu któregoś dnia z piłką i rękawicą. Musiałam go wyprosić, bo zaczęli ćwiczyć rzuty. — Zaśmiała się. — Ojciec jest tak samo szalony jak syn!

— Kiedy Joshua zachorował? — spytała Abby.

— Od roku nie chodzi do szkoły — odparła Chinka. — Jakies dwa lata temu zaatakował go wirus coxsackie typu B.

Doszło do zastoinowej niewydolności krążenia. Od miesiąca jest na oddziale intensywnej terapii i czeka na nowe serce... — Vivian uśmiechnęła się. — Prawda, Josh?

Chłopiec miał otwarte oczy. Zamrugał kilka razy i popatrzył na nią.

— Hej, doktor Chao.

— Widzę na wystawie jakieś nowe wstęgi — stwierdziła Vivian.

— Och, te... — Josh pokręcił głową. — Nie wiem, skąd mama je wyciąga. Zachowuje na pamiątkę wszystko co się da.

Trzyma nawet moje mlecze zęby w plastikowej torebce. To już naprawdę przesada.

— Josh, przyprowadziłam ci gościa. To doktor DiMatteo, jedna z naszych stażystek.

— Cześć, Josh — powiedziała Abby.

Chłopiec milczał, najwyraźniej potrzebując trochę czasu, by skupić na niej wzrok.

— Czy doktor DiMatteo może cię zbadać? — spytała Vivian.

— Po co?

— Kiedy dostaniesz nowe serce, zaczniesz się zachowywać jak szalony Struś Pędziwiatr z telewizji. Nie będziemy mogli unieruchomić cię na dość długo, żeby zrobić badania.

Josh uśmiechnął się.

— Było ich już tyle...

Abby podeszła do łóżka. Josh podciągnął koszulę i odsłonił klatkę piersiową. Była blada i nieowłosiona, jak u małego chłopca, a nie nastolatka. Abby położyła mu dłoń na sercu i poczuła, że trzepocze między żebrami jak skrzydła ptaka. Przyłożyła do piersi Josha stetoskop i przez chwilę słuchała, cały czas świadoma niespokojnego, nieufnego wzroku chłopca. Widywała już takie spojrzenia u dzieci, które przebywały zbyt długo w szpitalu i nauczyły się, że każda nowa twarz oznacza nowy rodzaj bólu. Gdy się w końcu wyprostowała i wsunęła stetoskop z powrotem do kieszeni, zobaczyła ulgę w jego oczach.

— To wszystko? — spytał.

— Tak. — Abby wygładziła jego szpitalną koszulę. — Więc jaka jest twoja ulubiona drużyna, Josh?

— A jak pani myśli?

— Red Sox.

— Tata nagrał mi ich wszystkie mecze. Zawsze chodziliśmy na nie razem. Kiedy wrócę do domu, obejrzę je sobie. Będą trzy dni baseballu bez przerwy... — Zaczerpnął wzbogaconego tlenem powietrza, spojrzał na sufit i dodał cicho: — Chcę już do domu, doktor Chao.

— Wiem — odparła Vivian.

— Chcę znowu zobaczyć mój pokój. Tęsknię za nim. — Przełknął ślinę, ale nie mógł powstrzymać szlochu. — Chcę zobaczyć mój pokój. Nic więcej. Tylko zobaczyć mój pokój.

Pielęgniarka natychmiast do niego podeszła, objęła go i przytuliła. Zacisnęła dłonie w pięści i ukrył twarz w jej włosach.

— Już dobrze — szepnęła Hannah. — Popłacz sobie, ko chanie. Jestem przy tobie. Nie opuszczę cię, Josh. Będę przy tobie tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował. Wszystko w porządku.

Spojrzała na Abby sponad ramienia chłopca. Miała na twarzy łzy — nie jego, lecz swoje własne.

Abby i Vivian wyszły w milczeniu.

W pokoju pielęgniarek Vivian podpisała dwa egzemplarze zlecenia na wykonanie próby krzyżowej Josha O'Daya i Karen Terrio.

— Jak szybko może być operowany? — spytała Abby.

— Możemy być gotowi do przeszczepu już jutro rano. Im szybciej, tym lepiej. Wczoraj Josh trzy razy miał częstoskurcz komorowy. Przy tak niestabilnym rytmie nie pozostało mu wiele czasu. — Vivian odwróciła się do Abby. — Naprawdę bardzo bym chciała, żeby zobaczył jeszcze mecz Red Soksów.

A pani?

Wyraz jej twarzy był nieodgadniony — jak zawsze. Być może jest sentymentalna, ale nigdy tego nie okazuje, pomyślała Abby.

— Doktor Chao? — odezwała się recepcjonistka.

— Słucham?

— Dzwoniłam właśnie do laboratorium w sprawie próby krzyżowej. Powiedzieli, że testują już krew Karen Terrio.

— Doskonale. Choć raz się nie spóźniają.

— Ale ta próba krzyżowa nie dotyczy Josha O'Daya, pani doktor.

Vivian odwróciła się gwałtownie.

— Co takiego?

— Mówią, że robią ją dla kogoś innego. Dla jakiejś prywatnej pacjentki, która nazywa się Nina Voss.

— Przecież Josh jest w krytycznym stanie! Zajmuje pierwsze miejsce na liście.

— Powiedzieli mi tylko, że serce przeznaczono dla tamtej pacjentki.

Vivian podbiegła do telefonu i zaczęła wystukiwać numer.

— Mówi Vivian Chao — przedstawiła się. — Chcę wiedzieć, kto zlecił próbę krzyżową limfocytów krwi Karen Terrio. — Odczekała chwilę, po czym ze zmarszczonymi brwiami odłożyła słuchawkę.

— I co? Powiedzieli pani? — spytała Abby.

— Tak.

- Kto wydał zlecenie?
- Mark Hodell.

Rozdział czwarty

Abby i Mark zarezerwowali na ten wieczór stół w Casablance, restauracji w pobliżu ich domu w Cambridge. Mieli świętować półrocze swojego związku, ale nie byli w zbyt radosnym nastroju.

— Chciałabym tylko wiedzieć, kim do cholery jest ta Nina Voss — oświadczyła Abby.

— Powiedziałem ci już, że nie mam pojęcia — odparł Mark. — Możemy zejść z tego tematu?

— Chłopiec jest w krytycznym stanie. Dwa razy dziennie trzeba go reanimować. Od roku czeka na dawcę. I teraz, gdy w końcu mamy serce z grupy AB plus, omijasz oficjalną listę?

Dajesz je jakiejś prywatnej pacjentce, która przebywa w domu?

— Nie ja o tym zadecydowałem.

— A kto?

— Aaron Levi. Zadzwoił do mnie dziś po południu. Poinformował, że Nina Voss zostanie jutro przyjęta do szpitala, i poprosił, żebym zlecił testy krwi dawcy.

— Tylko tyle ci powiedział?

— Z grubsza. — Mark sięgnął po butelkę wina i ponownie napełnił sobie kieliszek. — Czy możemy już zmienić temat?

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Nie patrzył na nią, unikał jej wzroku.

— Kim jest ta pacjentka? — spytała. — Ile ma lat?

- Nie chcę o tym rozmawiać.
- Masz ją operować, więc musisz wiedzieć, ile ma lat.
- Czterdzieści sześć.
- Jest z innego stanu?
- Z Bostonu.

— Podobno przylatuje z Rhode Island. Tak powiedziały mi pielęgniarki.

- W lecie mieszka razem z mężem w Newport.
- Kim jest jej mąż?
- To Victor Voss. Tylko tyle o nim wiem.

Milczała przez chwilę.

- Skąd ten Voss ma pieniądze?
- Czy wspominałem coś o pieniądzach?
- Letni dom w Newport? Daj spokój, Mark.

Nadal na nią nie patrzył, nie podnosił wzroku znad kieliszka wina. Kiedy przedtem spoglądała na niego, zawsze widziała szczere spojrzenie i uśmiech na pogodnej twarzy. Ale tego wieczoru na nią nie patrzył.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że tak łatwo jest kupić serce — mruknęła.

— Wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

— Dwoje pacjentów potrzebuje serca: ubogi, nieubezpieczony chłopiec i właścicielka letniego domu w Newport. I kto je dostanie? To chyba dość oczywiste.

Mark znowu sięgnął po butelkę wina i nalał sobie — już po raz trzeci. Jak na człowieka, który szczyił się umiarem, pił jak smok.

— Posłuchaj... całe dni spędzam w szpitalu — powie działo. — Ostatnią rzeczą, na jaką mam teraz ochotę, jest rozmowa o pracy. Zostawmy ten temat.

Zapadła cisza. Sprawa serca Karen Terrio była jak koc, który gasił rozmowę na jakikolwiek temat. Może powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia, pomyślała Abby. Może nadszedł

czas na zmiany. Jesteśmy razem dopiero pół roku, a już zaczyna się milczenie.

— Ten chłopak przypomina mi Pete'a — stwierdziła. — On też był kibicem Red Soksów.

— Kto?

— Mój brat.

Mark nic na to nie odpowiedział. Siedział przygarbiony, wyraźnie zakłopotany. Zawsze czuł się niezręcznie, gdy wspominała o swoim bracie. Śmierć nie była przyjemnym tematem dla lekarzy. Nigdy nie mówimy o niej wprost, pomyślała Abby. Stwierdzamy, że pacjent „odszedł”, „nie udało się go zreanimować” albo był „nieuleczalnie chory”. Unikamy używania słowa „umarł”.

— Miał bzika na punkcie tej drużyny — dodała. — Uzbierał cały komplet kart z jej zawodnikami. Oszczędzał na jedzeniu, żeby je kupować. A potem wydał fortunę na małe plastikowe oprawki, żeby karty się nie zniszczyły. Tekturowa karta kosztowała jednego centa, a oprawka pięć. Ale dla dziesięciolatka pewnie było to logiczne...

Mark pociągnął kolejny łyk wina. Nie próbował podtrzymać rozmowy.

Uroczysta kolacja okazała się niewypałem. Jedli, nie zamieniając ze sobą niemal ani jednego słowa.

Kiedy wrócili do domu, Mark ukrył się za stertą swoich medycznych czasopism. Zawsze w ten sposób reagował na ich sprzeczki — ucieczką, choć ona nie miała nic przeciwko dobrej, zdrowej walce. W jej rodzinie były trzy zadziorne dziewczyny i mały Pete, więc nie brakowało między nimi konfliktów i rywalizacji, ale wszyscy bardzo się kochali. Na pewno poradziłyby sobie z rzeczową dyskusją, lecz nie znosiła milczenia.

Poszła do kuchni i zaczęła szorować zlew. Zachowuję się zupełnie tak samo jak moja matka, pomyślała. Żeby rozładować złość, sprzątam kuchnię. Wytarła kuchenkę, po czym zdjęła palniki i również je wymyła. Gdy Mark szedł na górę do sypialni, cała kuchnia lśniła.

Po chwili dołączyła do niego.

Leżeli obok siebie w ciemności, nie dotykając się. Jego milczenie ją deprimowało i nie bardzo wiedziała, w jaki sposób je przerwać, ale nie mogła już tego dłużej wytrzymać.

— Nie cierpię, kiedy tak się zachowujesz — oświadczyła.

— Proszę, Abby... Jestem zmęczony.

— Ja też. Oboje jesteśmy zmęczeni. Chyba to nic nowego.

Ale nie mogę tak zasypiać. I ty też nie.

— W porządku. Co mam ci powiedzieć?

— Cokolwiek! Chcę po prostu, żebyś ze mną rozmawiał.

— O czym?

— Są sprawy, o których muszę z tobą porozmawiać.

— W porządku. Słucham.

— Może i słuchasz, ale jesteś jak za ścianą. Czuję się jak na spowiedzi. Jakbym mówiła przez kratkę do człowieka, którego nie widzę. — Westchnęła, wpatrując się w mrok. Miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, nie mając się czego chwycić. — Ten chłopak z oddziału intensywnej terapii ma dopiero siedem naście lat — powiedziała po chwili.

Mark milczał.

— Tak bardzo przypomina mi mojego brata... Pete był od niego młodszy, ale bardzo wiele ich łączy... przede wszystkim ta udawana odwaga, która cechuje wszystkich chłopców.

— Nie podjąłem tej decyzji sam — mruknął Mark. — Zdecydował o tym cały zespół transplantologów. Aaron Levi, Bili Archer. Nawet Jeremiah Parr.

— Dyrektor szpitala?

— Parr chce, żeby nasze statystyki dobrze wyglądały.

A wszystko wskazuje na to, że pacjenci z zewnątrz mają większe szansę na przeżycie po przeszczepie.

— Bez przeszczepu Josh O'Day w ogóle nie ma szans.

— Wiem, że to okropne. Ale takie jest życie.

Abby była zdumiona jego obojętnym tonem.

Gdy dotknął jej dłoni, cofnęła rękę.

— Moglibyście zmienić zdanie — powiedziała. — Mógłbyś ich przekonać, żeby...

— Już za późno. Zespół podjął decyzję.

— A kim oni są? Bogami?

Po dłuższej chwili milczenia Mark powiedział cicho:

— Uważaj na to, co mówisz, Abby.

— Nie wolno powiedzieć nic krytycznego na temat świątob liwego zespołu?

— Tamtego wieczoru u Archera wszyscy byliśmy zgodni co do ciebie. Archer powiedział mi później, że jesteś najlepszą od trzech lat kandydatką do otwarcia specjalizacji. A on zawsze bardzo starannie dobiera sobie personel i trudno mieć do niego o to pretensję. Potrzebujemy ludzi, którzy będą z nami współ pracowali, a nie działali przeciwko nam.

— Nawet jeśli się z wami nie zgadzam?

— Na tym polega przynależność do zespołu, Abby. Każdy z nas ma swoje poglądy, ale decyzje podejmujemy wspólnie i trzymamy się ich. — Znów dotknął jej dłoni. Tym razem jej nie cofnęła, jednak nie odwzajemniła uścisku. — Daj spokój, Abby — powiedział cicho. — Niektórzy stażyści byliby gotowi zabić, żeby tylko mieć taką możliwość. A tobie podają ją na talerzu. Przecież tego chcesz, prawda?

— Oczywiście, że tego chcę. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego jak bardzo, dopóki Archer nie wspomniał o takiej możliwości... — Westchnęła ciężko. — Nie cierpię tego, że zawsze pragnę więcej. Najpierw marzyłam o studiach, potem o wydziale medycznym i stażu na chirurgii. A teraz specjalizacja. Gdzie te czasy, kiedy chciałam po prostu być lekarzem...

— To już ci nie wystarcza, prawda?

— Nie. Przykro mi, ale nie.

— Więc nie psuj wszystkiego, Abby. Proszę. Dla dobra nas obojga.

— Mówisz to tak, jakbyś sam miał najwięcej do stracenia.

— Zaproponowałam twoją kandydaturę. Powiedziałem, że nie znajdę nikogo lepszego. Zresztą nadal tak uważam.

Przez chwilę leżeli w milczeniu, niemal się nie dotykając. Potem Mark wyciągnął rękę i zaczął pieścić jej biodro. Były to jedynie delikatne muśnięcia, ale to wystarczyło. Po chwili pozwoliła, by wziął ją w ramiona.

Kilka pagerów zapiszczało jednocześnie, a potem ze szpitalnego radiowęzła dobiegł lakoniczny komunikat:

„Stan krytyczny na oddziale intensywnej terapii”.

Abby dołączyła do biegnących po schodach stażystów. Zanim dotarła na oddział, kłębił się już tam tłum lekarzy i pielęgniarek. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że nie potrzebują nikogo więcej do pomocy. Stażyści zaczęli wycofywać się z sali. Abby także zamierzała wyjść.

Kiedy jednak zobaczyła, że alarm dotyczy łóżka numer cztery, przepchnęła się przez gąszcz otaczających je białych fartuchów. Ciało Joshuy O'Daya leżało całkowicie odsłonięte w świetle wiszących na suficie lamp. Hannah Love energicznie uciskała klatkę piersiową chłopca. Jej jasne włosy opadały przy każdym pochyleniu. Druga pielęgniarka gorączkowo przeszukiwała szuflady wózka ze sprzętem medycznym, wyciągając z nich fiołki z lekami i strzykawki i podając je lekarzom. Abby spojrzała na monitor.

Migotanie komór. Obraz umierającego serca.

— Rurka intubacyjna, siedem i pół milimetra! — krzyknął jeden z lekarzy.

Dopiero wtedy Abby zauważyła, że nad głową Joshuy stoi Vivian Chan. Miała już przygotowany laryngoskop.

Pielęgniarka zerwała plastikową osłonę z rurki i podała ją Chince.

— Więcej tlenu! — poleciła Vivian.

Trzymający maskę tlenową przy twarzy Josha anestezjolog kilkakrotnie ścisnął worek, pompując powietrze do płuc chłopca.

— W porządku — powiedziała Vivian. — Intubujemy.

Anestezjolog odsunął maskę. Chinka w ciągu kilku sekund założyła Joshowi rurkę.

— Lidokaina podana — oznajmiła pielęgniarka.

Lekarz spojrział na monitor.

— Cholera... ciągle migotanie. Jeszcze raz defibrylacja!

Dwieście dzuli. — Pielęgniarka podała mu łopatki defibrylatora.

Przyłożył je do klatki piersiowej chłopca w miejscach zaznaczonych już przewodzącym prąd żelem: jedną przy mostku, drugą obok lewego sutka. — Cofnąć się.

Ciałem Joshuy wstrząsnął impuls elektryczny, powodując w jednej chwili skurcz wszystkich mięśni. Zadrzały gwałtownie i znieruchomiały.

Wszyscy wpatrywali się w monitor.

— Nadal migotanie komór — powiedział ktoś. — Podajcie mu bretylium, dwieście pięćdziesiąt mililitrów.

Hannah wznowiła uciskanie klatki piersiowej. Była czerwona z wysiłku, spocona i przerażona.

— Zastąpię cię — zaproponowała Abby.

Dziewczyna kiwnęła głową i zrobiła jej miejsce.

Abby weszła na podnózek i położyła ręce na piersi Joshuy, przyciskając prawą dłoń do dolnej części mostka. Sprawiał wrażenie tak kruchego i delikatnego, że obawiała się, aby nie pękł po kilku mocniejszych ruchach. Bała się niemal na nim opierać.

Zaczęła rytmicznie uciskać klatkę piersiową chłopca. Było to zadanie, które nie wymagało umysłowego wysiłku. Powtarzalne ruchy: raz-dwa, raz-dwa. Rutynowa procedura przywracania akcji serca. Była pogrążona w chaosie, ale udało jej się od niego odgrodzić, wyłączając świadomość. Nie patrzyła na twarz chłopca ani na Vivian, która mocowała taśmą rurkę intubacyjną. Koncentrowała całą uwagę na klatce piersiowej Josha, na punkcie, w którym jej złączone dłonie dotykały mostka. To mogła być klatka piersiowa kogokolwiek. Na przykład jakiegoś staruszka. Obcego człowieka. Raz-dwa. Skupiała się tylko na tym. Raz-dwa.

— Wszyscy cofnąć się! — krzyknął ktoś w sali.

Abby odsunęła się od łóżka. Kolejna defibrylacja, kolejne groteskowe skurcze mięśni.

Migotanie komór. Serce Joshuy sygnalizowało, że już długo nie wytrzyma.

Abby skrzyżowała dłonie i ponownie przytknęła je do piersi chłopca. Raz-dwa. Wróć, Joshua, mówily do niego jej ręce. Wróć do nas.

— Spróbujmy chlorku wapnia. Sto miligramów — powie dział Aaron Levi.

— Ale on już dostaje digoksynę — odparł lekarz stojący przy łóżku.

— W tej sytuacji nie mamy nic do stracenia.

Pielęgniarka napełniła strzykawkę i podała ją lekarzowi.

— Sto miligramów chlorku wapnia.

Wstrzyknięto bolus do przewodu kroplówki. Było to jak wrzucanie grosika do studni, żeby spełniło się życzenie.

— Dobrze, teraz jeszcze raz defibrylacja — oświadczył Aaron. — Czterydziesiąt dzuli.

— Wszyscy do tyłu!

Abby cofnęła się. Kończyny chłopca drgnęły i znieruchomiały.

— Powtórzyć — polecił Aaron.

Kolejny wstrząs. Świetlny punkt na monitorze skoczył do góry, a gdy wrócił do poziomej linii, rozległ się tylko pojedynczy sygnał, odpowiadający zespołowi QRS na wykresie. Jednak po chwili obraz znowu pokazał migotanie komór.

— Jeszcze raz! — krzyknął Aaron.

Do klatki piersiowej chłopca przyłożono łopatki defibrylatora i jego ciało drgnęło. Wszyscy w napięciu wpatrywali się w monitor.

Na ekranie pojawił się zespół QRS. Potem następny. I jeszcze jeden.

— Mamy akcję serca! — oznajmił Aaron.

— Jest puls! — zawołała pielęgniarka. — Wyczuwam puls!

— Ciśnienie siedemdziesiąt na czterdzieści... dziewięćdziesiąt na czterdzieści...

Przez salę przeszło zbiorowe westchnienie ulgi. Hannah Love stała w nogach łóżka, po jej policzkach ciekły łzy. Witaj z powrotem, Josh, pomyślała Abby. Ona również miała łzy w oczach.

Stopniowo wszyscy lekarze zaczęli opuszczać salę, ale Abby się ociągała. Była zbyt zmęczona, żeby wrócić do siebie. W milczeniu pomagała pielęgniarce zbierać zużyte strzykawki i fiolki, które pozostały po reanimacji. Hannah Love wciąż jeszcze pociągała nosem, delikatnie ścierając żel z piersi Josha.

Ciszę przerwała Vivian.

— Mógłby dostać to serce już teraz — oświadczyła, stając obok kolekcji trofeów Joshuy. Wzięła do ręki wstęgę skautów.

Pinewood Derby, trzecia klasa. — Dziś rano mógł być opero wany. Jeśli go stracimy, będzie to pańska wina — dodała, patrząc na Aarona Leviego, który podpisywał właśnie raport z reanimacji Josha.

— Wolałbym pomówić o tym na osobności, doktor Chao — powiedział spokojnie.

— Nie obchodzi mnie, kto nas słucha! Mamy idealnie pasujące serce. Chciałam dziś rano mieć Josha na stole operacyjnym, ale pan zwlekał z decyzją. — Głęboko wciągnęła powietrze i spojrzała na wstęgę, którą trzymała w ręce. — Nie wiem, co pan wyprawia, do diabła. I wszyscy inni też.

— Dopóki się pani nie uspokoi, nie zamierzam o tym z panią rozmawiać — oświadczył Aaron, po czym odwrócił się i wyszedł.

— A jednak porozmawiamy sobie — wycedziła Vivian, wychodząc za nim z izolatki.

Abby słyszała przez otwarte drzwi, jak na korytarzu zadaje Aaronowi pełne gniewu pytania i domaga się wyjaśnień.

Pochyliwszy się, podniosła zieloną wstęgę z Pinewood Derby, którą Vivian upuściła na podłogę. Nie była to nagroda za zwycięstwo, lecz jedynie honorowe wyróżnienie za długie godziny spędzone przy pracy nad drewnianym modelem samochodu, który trzeba było wyszlifować, pomalować i odpowiednio obciążyć, aby szybciej się poruszał. Taki trud musiał zostać nagrodzony. Mali chłopcy powinni czuć się dowartościowani. Po chwili do izolatki wróciła Vivian. Była blada i milcząca. Stała w nogach łóżka Josha, przyglądając się, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada pod działaniem respiratora.

— Przenoszę go — oznajmiła.

— Co? — zdziwiła się Abby. — Dokąd?

— Do szpitala w Massachusetts. Na oddział transplantologii.

Przygotujcie go do transportu karetką. Ja tymczasem zadzwonię gdzie trzeba.

Pielęgniarki nie ruszyły się z miejsc. Z niedowierzaniem wpatrywały się w Vivian.

— W tym stanie nie można go przewozić — zaprotestowała Hannah.

— Jeśli tu zostanie, stracimy go — stwierdziła Chinka. — Chcecie na to pozwolić?

Hannah spojrzała na wątłą pierś chłopca.

— Nie — odparła. — Bardzo chcę, żeby żył.

— Moim profesorem na studiach w Harvardzie był Iwan Tarasoff — powiedziała Vivian. — Kieruje zespołem transplantologów w Massachusetts. Jeśli nasi lekarze nie prze prowadzą tej operacji, zrobi to Tarasoff.

— Ale przecież Josh potrzebuje dawcy serca — zauważyła Abby.

— Więc musimy je zdobyć — odparła Vivian, patrząc jej prosto w oczy. — Od Karen Terrio.

Abby natychmiast zrozumiała, co musi zrobić. Kiwnęła głową.

— Zaraz porozmawiam z Joem Terrio.

— Musimy to mieć na papierze. Z jego podpisem.

— A kto pobierze serce do przeszczepu? Nie możemy liczyć na zespół z Bayside.

— Tarasoff przyśle nam własnego lekarza, a my mu pomożemy. Dostarczymy mu serce na miejsce. Musimy to zrobić, zanim ktokolwiek spróbuje nas powstrzymać.

— Chwileczkę... — wtrąciła się jedna z pielęgniarek. — Nie może pani wydać polecenia transferu pacjenta do Massachusetts.

— Mogę — odparła Vivian. — Josh O'Day jest pacjentem kliniki, a to oznacza, że podlega ordynatorom oddziałów.

Wezmę na siebie pełną odpowiedzialność. Przygotujcie go jak najszybciej do przewozu karetką.

— Oczywiście, doktor Chao — powiedziała Hannah. — Chętnie sama z nim pojadę.

— Doskonale. — Vivian spojrzała na Abby. — A teraz, DiMatteo, niech pani załatwi nam to serce.

Półtorej godziny później Abby przygotowywała się do zabiegu. Skończyła myć ręce i trzymając zgięte łokcie, weszła tyłem przez drzwi wahadłowe do sali operacyjnej numer trzy.

Dawczyni leżała na stole. Jej blade ciało oświetlały fluorescencyjne lampy. Pielęgniarka zmieniała butlę z kroplówką. Ta pacjentka nie potrzebowała znieczulenia. Karen Terrio nie czuła już bólu.

Vivian, w fartuchu i rękawiczkach, stała z jednej strony stołu, a doktor Lim, specjalista od przeszczepów nerek, z drugiej. Abby pracowała już z nim poprzednio. Był małomównym człowiekiem, ale miał bardzo zręczne palce.

— Wszystko podpisane? — spytała Vivian.

— W trzech egzemplarzach. Papiery są w karcie pacjentki — odparła Abby. Osobiście napisała na maszynie tekst oświadczenia o przekazaniu narządu wskazanemu biorcy. Wynikało z niego, że serce Karen Terrio ma otrzymać Josh O'Day, lat siedemnaście.

To właśnie wiek chłopca ostatecznie przekonał Joego Terrio. Siedział przy łóżku żony, trzymając ją za rękę, i słuchał w milczeniu, gdy Abby opowiadała mu o siedemnastolatku, który uwielbia baseball. Bez słowa podpisał zgodę, a potem pocałował żonę na pożegnanie.

Abby włożyła sterylne fartuch i rękawiczki.

— Kto przeprowadzi zabieg? — spytała.

— Doktor Frobisher z zespołu Tarasoffa. Już z nim pracowałam — odparła Vivian. — Jest w drodze.

— Wiadomo coś o Joshu?

— Dziesięć minut temu dzwonił Tarasoff. Zrobili mu już badania krwi i próbę krzyżową. Mają przygotowaną salę operacyjną i czekają

tylko na nas. — Spojrzała na Karen Terrio. — Chryste, mogłabym sama wyciąć to serce. Gdzie do cholery jest ten Frobisher?

Minęło dziesięć minut, potem piętnaście. Z głośnika interkomu rozległ się głos Tarasoffa. Dzwonił ze szpitala w Massachusetts, pytając, czy pobrano już serce do przeszczepu.

— Jeszcze nie — odparła Vivian. — Lada chwila zaczynamy.

Pięć minut później drzwi sali operacyjnej otworzyły się na oścież i wszedł doktor Frobisher. Jego niedźwiedzie ręce ociekały wodą.

— Rękawiczki rozmiar dziewięć — rzucił.

Atmosfera w sali od razu stała się napięta. Nikt oprócz Vivian nie pracował wcześniej z Frobisherem, a ponury wyraz jego twarzy nie zachęcał do rozmowy. Pielęgniarki w milczeniu pomogły mu założyć fartuch i rękawiczki.

Podszedł do stołu i spojrzał na przygotowane już pole operacyjne.

— Znów pani sprawia kłopoty, doktor Chao? — spytał.

— Jak zwykle — odparła Vivian. Wskazała na pozostałych stojących przy stole lekarzy. — Doktor Lim zajmie się nerkami.

A doktor DiMatteo i ja będziemy asystowały.

— Historia pacjentki.

— Uraz głowy. Śmierć mózgową. Formularze zgody na pobranie organów podpisane. Pacjentka miała trzydzieści cztery lata, była zdrowa. Testy krwi już wykonano.

Frobisher wziął do ręki skalpel i stanął nad klatką piersiową Karen Terrio.

— Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

— Nie. Bank narządów potwierdza, że serce idealnie nadaje się dla biorcy. Może mi pan zaufać.

— Nie znoszę, kiedy ktoś tak mówi — burknął Frobisher. — W porządku, spójrzmy szybko na to serce i sprawdźmy, czy jest w dobrym stanie. Potem pozwolimy, żeby doktor Lim zrobił swoje. — Przytknął ostrze skalpela do klatki piersiowej Karen Terrio i jednym zręcznym ruchem przeciął ją przez środek, odsłaniając mostek. — Piła.

Pielęgniarka podała mu elektryczną piłę. Abby trzymała rozwieracz. Gdy Frobisher przecinał mostek, musiała odwrócić głowę. Świst piły i zapach pyłu z przecinanej kości sprawił, że zrobiło jej się niedobrze. Frobisher najwyraźniej był na to odporny. Pracował szybko i sprawnie. Kiedy otworzył klatkę piersiową, jego skalpel zatrzymał się nad workiem osierdziowym.

Przecięcie mostka wymagało sporej siły. Teraz czekało go zadanie wymagające precyzji i ostrożności. Przeciął błonę.

Rzucił okiem na bijące serce, mruknął coś z zadowoleniem, po czym spojrzał na Vivian i spytał:

— Co pani na to, doktor Chao?

Vivian w niemal nabożnym milczeniu wsunęła ręce w głąb otwartej klatki piersiowej. Zdawała się pieścić odsłonięte serce, delikatnie dotykając palcami jego ścianek i tętnic wieńcowych. Pulsowało rytmicznie w jej dłoniach.

— Jest wspaniale — powiedziała cicho. Z błyskiem w oczach spojrzała na Abby i dodała: — W sam raz dla Josha.

Zabrzączał interkom i rozległ się głos pielęgniarki:

— Dzwoni doktor Tarasoff.

— Proszę mu powiedzieć, że serce wygląda doskonale — oznajmił Frobisher. — Zaczynamy właśnie pobieranie nerek.

— Doktor Tarasoff chce rozmawiać z którymś z lekarzy.

Mówi, że to bardzo pilne.

Vivian spojrzała na Abby.

— Niech pani odbierze.

Abby ściągnęła rękawiczki i podeszła do wiszącego na ścianie telefonu.

— Doktor Tarasoff? Mówi Abby DiMatteo. Jestem stażystką.

Serce wygląda bardzo dobrze. Powinniśmy je dostarczyć za półtorej godziny.

— To za długo — odparł Tarasoff. Abby słyszała odgłosy nerwowej krzątaniny: gwałtowną wymianę zdań, brzęk metalo wych narzędzi. Chirurg wydawał się spięty, rozkojarzony.

Przerwał na chwilę, wydając komuś jakieś polecenie, po czym dodał:
— W ciągu ostatnich dziesięciu minut chłopiec dwukrotnie nie był w stanie krytycznym. Przywróciliśmy akcję serca, ale nie możemy już dłużej czekać. Jeśli za chwilę nie zostanie podłączony do krążenia pozaustrojowego, stracimy go. Zresztą tak czy inaczej może nie przeżyć.
— Znowu przerwał rozmowę, tym razem po to, by kogoś wysłuchać. Gdy ponownie się odezwał, rzekł tylko: — Zaczynamy ciąć. Pospieszcie się, dobrze?

Abby odłożyła słuchawkę i powiedziała do Vivian:

— Podłączają Josha do krążenia. Dwa razy miał kryzys.

Potrzebują tego serca natychmiast.

— Wycięcie nerek zajmie mi godzinę — stwierdził doktor Lim.

— Do diabła z nimi — mruknęła Vivian. — Ważniejsze jest serce.

— Ale...

— Ona ma rację — wtrącił Frobisher. — Dajcie tu sól fizjologiczną!
— krzyknął do pielęgniarki. — Przygotujcie lodówkę. I niech ktoś zadzwoni po karetkę.

— Mam wrócić do stołu operacyjnego? — spytała Abby.

— Nie — odparła Vivian, sięgając po rozwieracz. — Skoń czymy za parę minut. Zawiezie pani serce.

— A co z moimi pacjentami?

— Zastąpię panią. Proszę zostawić swój pager na biurku w sali operacyjnej.

Jedna z pielęgniarek zaczęła napełniać lodem przenośną lodówkę. Druga ustawiała obok stołu operacyjnego wiaderka z zimnym roztworem soli fizjologicznej. Frobisher nie musiał wydawać im żadnych poleceń. Pracowały na kardiologii i dokładnie wiedziały, co mają robić.

Frobisher zaczął już uwalniać serce wstępnymi cięciami. Nadal pulsowało, tłocząc krew do arterii, ale przed wyjęciem należało przerwać jego pracę.

Frobisher wstrzyknął do aorty pięćset centymetrów sześciennych roztworu potasu. Serce zabiło raz, potem drugi i zatrzymało się. Było

teraz zwiotczałe, sparaliżowane dawką potasu. Abby spojrziała na monitor — nie wykazywał pracy serca. Karen Terrio znajdowała się w stanie śmierci klinicznej.

Pielęgniarka wlała zimną sól fizjologiczną do klatki piersiowej, schładzając serce. Potem Frobisher znowu przystąpił do pracy.

Kilka chwil później wyjął serce z klatki piersiowej i delikatnie włożył je do metalowej miski. W zimnym roztworze zawirowały strużki krwi. Pielęgniarka podeszła do chirurga z otwartą foliową torebką. Frobisher opłukał wycięty narząd, po czym włożył go do torebki. Nalano do niej schłodzoną sól fizjologiczną, opakowano serce w jeszcze jeden plastikowy woreczek i umieszczono je w przenośnej lodówce.

— Teraz należy do pani, DiMatteo — oświadczył Frobisher. — Wsiądzie pani do karetki, a ja pojedę za wami swoim samochodem.

Abby wzięła do ręki lodówkę. Kiedy wychodziła z sali operacyjnej, usłyszała za sobą głos Vivian:

— Proszę go nie upuścić.

Rozdział piąty

Życie Josha O'Daya jest w moich rękach, pomyślała, mocno przyciskając do kolan lodówkę. Boston w godzinach południowych zawsze był zakorkowany, ale samochody natychmiast rozjeżdżały się na boki przed pulsującymi światłami ambulansu. Abby nigdy przedtem nie jechała karetką. W innych okolicznościach miałaby ogromną frajdę, widząc, jak bostońscy kierowcy — najbardziej gburowaci na świecie — błyskawicznie ustępują im z drogi. Jednak w tym momencie była zbyt skoncentrowana na tym, co wiezie, zbyt świadoma faktu, że każda mijająca sekunda zmniejsza szansę Josha O'Daya na przeżycie.

— Ma tam pani jakiś żywy narząd, pani doktor? — spytał kierowca karetki. Sądząc z identyfikatora, nazywał się G.

Furillo.

— Serce — odparła Abby. — Bardzo ładne.

— Dla kogo?

— Dla siedemnastoletniego chłopca.

Furillo ominął łukiem rząd stojących w korku aut.

— Woziłem już nerki z lotniska, ale to moje pierwsze serce.

— Moje też — przyznała Abby.

— Ile wytrzymuje? Pięć godzin?

— Mniej więcej.

Furillo spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko.

?

— Spokojnie. Dowiozą panią cztery i pół godziny przed czasem.

— Nie martwią się o serce, tylko o tego dzieciaka. Jest w bardzo kiepskim stanie.

Furillo skoncentrował się na jeździe.

— Już prawie jesteśmy. Jeszcze najwyżej pięć minut.

Z radia odezwał się trzeszczący głos:

— Jednostka dwadzieścia trzy, tu Bayside. Jednostka dwa dziesięć trzy, tu Bayside.

Furillo wziął do ręki mikrofon.

— Tu dwadzieścia trzy, Furillo.

— Dwadzieścia trzy, wracaj do Bayside.

— Nie mogę. Przewożę żywy narząd do szpitala w Massachusetts. Słyszycie? Jestem w drodze do Massachusetts.

— Dwadzieścia trzy, masz polecenie, żeby natychmiast wrócić do Bayside.

— Wezwijcie kogoś innego, dobrze? Mamy w karetce żywy narząd...

— Polecenie dotyczy jednostki dwadzieścia trzy. Natychmiast wracaj.

— Kto je wydał?

— Doktor Aaron Levi. Nie jedź do szpitala w Massachusetts.

Zrozumiałeś?

Furillo spojrzał na Abby.

— O co tu chodzi, do cholery?

Dowiedzieli się, pomyślała Abby. O Boże, dowiedzieli się i próbują nas powstrzymać...

Popatrzyła na lodówkę z sercem Karen Terrio. Pomyślała o długich miesiącach i latach życia, które powinien mieć przed sobą siedemnastoletni chłopiec.

— Niech pan nie zawraca — powiedziała. — Proszę jechać dalej.

— Co?

— Mówię, żeby pan jechał.

— Ale każą mi...

— Jednostka dwadzieścia trzy, tu Bayside — odezwał się znów głos z radia. — Odpowiedz.

— Niech pan mnie zawiezie do szpitala w Massachusetts! — nalegała Abby. — Proszę!

Furillo spojrzał na radio.

— Chryste! — jęknął. — Sam nie wiem...

— Dobrze, wobec tego wysiadam! — oznajmiła Abby. — Pójdę dalej pieszo!

Głos z radia nie dawał za wygraną:

— Jednostka dwadzieścia trzy, tu Bayside. Odpowiedz na tychmiast.

— Pieprz się! — warknął Furillo i nadepnął pedał gazu.

Przy podjeździe dla karettek czekała na nich pielęgniarka w zielonym uniformie. Gdy Abby wysiadła z lodówką w ręce, spytała ją:

— Z Bayside?

— Tak. Przywiozłam wam serce.

— Proszę za mną.

Abby pomachała kierowcy ambulansu na pożegnanie i ruszyła za pielęgniarką. Niemal biegnąc, rozglądała się po korytarzach i zatłoczonych poczekalniach. Kiedy weszły do windy, pielęgniarka uruchomiła ją specjalnym kluczem.

— W jakim stanie jest chłopiec? — spytała Abby.

— Został podłączony do krążenia pozaustrojowego. Nie mogliśmy dłużej czekać.

— Znów miał kryzys?

— Przez cały czas znajduje się w stanie krytycznym. — Pielęgniarka spojrzała na lodówkę. — To serce jest jego ostatnią szansą.

Wyszły z windy i przebiegły szybko przez szereg zamykanych automatycznie drzwi prowadzących na oddział chirurgii.

— To tutaj. Wezmę serce — powiedziała pielęgniarka.

Abby zobaczyła przez okno panoramiczne kilkanaście zamaskowanych twarzy, które odwróciły się, gdy jedna z sióstr odbierała lodówkę. Natychmiast ją otwarto i wyjęto serce z lodu.

— Jeśli przebierze się pani w strój operacyjny, może pani tam wejść — oznajmiła pielęgniarka. — Damska szatnia jest w głębi korytarza.

— Dziękuję — odparła Abby.

Zanim włożyła zielone spodnie, bluzę, czepek i osłony na buty, zespół w sali operacyjnej zdążył już wyciąć chore serce Josha O'Daya. Abby wślizgnęła się w tłum lekarzy, ale zza ich pleców nic nie widziała. Słyszała jednak rozmowę chirurgów. Była swobodna, nawet przyjacielska. Wszystkie sale operacyjne wyglądały tak samo: narzędzia ze stali nierdzewnej, niebieskozielone zasłony, jaskrawe światła. Różniła je tylko atmosfera, która zależała od osobowości głównego chirurga.

Sądząc ze swobodnego tonu rozmowy, z Iwanem Tarasoffem dobrze się pracowało.

Abby precyzyjnie się do wezłowania stołu operacyjnego i stanęła obok anestezjologa. Przez ekran monitora biegła ciągła linia — w klatce piersiowej Josha nie biło już serce, zastępowała je aparatura. Jego powieki były zaklejone taśmą, aby nie wyschła rogówka, a włosy zakrywał papierowy czepek. Wysunął się spod niego pojedynczy czarny kosmyk, zawijając się na czole. Trzymaj się, chłopcze, pomyślała Abby.

Anestezjolog spojrzał na nią.

— Przyjechała pani z Bayside? — zapytał szeptem.

— Jestem kurierem. Jak idzie?

— Najgorsze za nami. Tarasoff jest bardzo szybki. Przyszywa już aortę — odparł anestezjolog.

Siwe brwi i łagodne spojrzenie głównego chirurga sprawiały, że wyglądał jak dobroduszny dziadek. Kiedy prosił o narzędzia, nie podnosił głosu. Nie popisывał się, nie wywyższał, był spokojnym, solidnym fachowcem.

Abby spojrzała ponownie na monitor.

Nadal widniała na nim ciągła linia.

Rodzice Josha O'Daya siedzieli w poczekalni, szlochając i śmiejąc się na przemian. Wszyscy wokół nich się uśmiechali. Była już osiemnasta, ale ich udręka wreszcie się skończyła.

— Wszczepione serce doskonale funkcjonuje — stwierdził doktor Tarasoff. — Zaczęło bić szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Jest silne. Powinno służyć chłopcu przez całe życie.

— Nie spodziewaliśmy się, że Josh tak szybko dostanie nowe serce...
— wyszeptał pan O'Day. — Wiedzieliśmy tylko, że przewieziono go tutaj. Że konieczna była szybka interwencja.

Myśleliśmy, że... — Odwrócił się i objął mocno żonę. Przytulili się do siebie w milczeniu. Nie byli w stanie mówić.

— Jeśli chcecie państwo zobaczyć syna, właśnie zaczyna się budzić — powiedziała łagodnie pielęgniarka.

Tarasoff przyglądał się z uśmiechem, jak państwo O'Day przechodzą do sali pooperacyjnej. Potem odwrócił się i spojrzał na Abby zza okularów w drucianej oprawce.

— Właśnie dlatego to robimy — stwierdził. — Dla takich chwil jak ta.

— Omal się nie spóźniliśmy — zauważyła Abby.

— Rzeczywiście. — Pokręcił głową. — Chyba zaczynam być trochę za stary na takie emocje.

Poszli do pokoju lekarzy, gdzie nalał kawy dla nich obojga. Kiedy zdjął czepek, odsłaniając rozwichrzone siwe włosy, wyglądał jak roztargniony naukowiec. Podał Abby filiżankę.

— Dobrze by było, gdyby następnym razem Vivian zawiadomiła mnie wcześniej — powiedział. — Otrzymuję od niej telefon i zaraz potem pojawia się ten chłopak. Omal sam nie dostałem zawału.

— Vivian wiedziała, co robi, wysyłając Josha do pana.

Tarasoff zaśmiał się.

— Vivian Chao zawsze wie, co robi. Była już taka na studiach.

— Jest wspaniałym lekarzem.

— Odbywa pani staż w Bayside?

Abby kiwnęła głową, popijając gorącą kawę.

— Jestem na drugim roku.

— Świetnie. Brakuje nam w tym zawodzie kobiet. Za dużo jest wśród nas twardzieli, którzy chcą tylko kroić.

— I to mówi chirurg?

Tarasoff spojrział na pozostałych lekarzy, zgromadzonych przy dzbanku z kawą.

— Odrobina błźnierstwa czasem wychodzi na zdrowie — szepnął.

Abby dopiła kawę i spojrzała na zegarek.

— Muszę wracać do Bayside. Chyba nie powinnam była zostawać na tej operacji. Ale cieszę się, że to zrobiłam. — Uśmiechnęła się do niego. — Dziękuję, doktorze Tarasoff, za uratowanie temu chłopcu życia.

Uściskał jej rękę.

— Jestem tylko hydraulikiem, doktor DiMatteo — odparł. — Pani przywiozła najważniejszą część.

i Było po siódmej, gdy taksówka dowiozła Abby do szpitala w Bayside. Już w drzwiach usłyszała, że wywołują przez głośniki jej nazwisko. Podniosła słuchawkę wewnętrznej linii telefonicznej.

— Mówi DiMatteo — odezwała się.

— Pani doktor, wzywamy panią od kilku godzin — powie działka telefonistka.

— Miała mnie zastąpić Vivian Chao. Ma mój pager.

— Pani pager jest u nas, w centrali. Chciał się z panią skontaktować pan Parr.

— Jeremia Parr?

— Jego numer wewnętrzny to pięćset sześćdziesiąt sześć.

Administracja.

— Jest już po siódmej. Zastanę go tam jeszcze?

— Pięć minut temu był u siebie.

Abby odwiesiła słuchawkę, czując nieprzyjemny skurcz w żołądku. Jeremia Parr, dyrektor szpitala, był administratorem, a nie lekarzem. Rozmawiała z nim tylko raz, na rocznym powitalnym przyjęciu dla nowego personelu. Wymienili uściski dłoni i kilka uprzejmości, po czym Parr poszedł witać innych gości. Zrobił na niej wrażenie twardego i bezwzględnego człowieka. Poza tym nosił świetnie skrojone garnitury.

Widywała go oczywiście także później, po tamtym przyjęciu. Uśmiechali się do siebie i pozdrawiali skinieniem głowy, spotykając się w windzie albo mijając na korytarzach, ale wątpiła, by pamiętał jej nazwisko. A teraz poszukiwał jej o siódmej wieczorem.

To nie wróży niczego dobrego, pomyślała.

Podniosła słuchawkę i wykręciła domowy numer Vivian. Zanim porozmawia z Parrem, musi wiedzieć, co się dzieje. Chinka na pewno będzie zorientowana.

Ale telefon Vivian nie odpowiadał.

Abby odwiesiła słuchawkę, jeszcze bardziej zaniepokojona. Trudno, czas ponieść konsekwencje, pomyślała. Podjęłyśmy decyzję i ocaliłyśmy chłopcu życie. Chyba nie mogą mieć do nas o to pretensji. Serce waliło jej jak młotem, gdy jechała windą na drugie piętro.

Skrzydło administracji było oświetlone pojedynczym rzędem zawieszonych na suficie lamp fluorescencyjnych. Abby bezgłośnie szła po wykładzinie. W pokojach biurowych było ciemno, ale na końcu korytarza spod zamkniętych drzwi prześwitywała smuga światła. Ktoś był w sali konferencyjnej.

Abby podeszła do drzwi i zapukała.

Otworzyły się na oścież i w progu stanął Jeremiah Parr. W półmroku nie widziała wyrazu jego twarzy. Za nim, przy stole konferencyjnym, siedziało kilku mężczyzn. Dostrzegła wśród nich Billa Archera, Marka i Mohandasa. Zespół transplantologów.

— Doktor DiMatteo... — powitał ją dyrektor.

— Przepraszam, ale nie miałam pojęcia, że mnie pan szu kał — zaczęła Abby. — Byłam poza szpitalem...

— Wiemy, gdzie pani była — uciął Parr i wyszedł z pokoju.

Tuż za nim wyszedł Mark i obaj stanęli naprzeciwko Abby w mrocznym korytarzu. Zostawili drzwi otwarte, ale Bili Archer wstał z krzesła i zamknął je, by nie zaglądała do środka.

— Proszę do mojego biura — powiedział Parr.

Gdy tylko się tam znaleźli, zatrzasnął drzwi i zapytał:

— Czy zdaje pani sobie sprawę, jakie wyrządziła pani szkody?
Potrafi pani to zrozumieć?

Abby spojrzała na Marka, ale nic nie mogła wyczytać z jego twarzy. To przerażało ją najbardziej: człowiek, którego kochała, ukrywał się za nieprzeniknioną maską.

— Josh O'Day żyje — oznajmiła. — Przeszczep uratował mu życie. Nie uważam tego za błąd.

— Błędem był sposób, w jaki tego dokonano — oświadczył Parr.

— Staliśmy nad jego łóżkiem. Patrzyliśmy, jak umiera.

Chłopiec w tym wieku nie powinien...

— Uspokój się, Abby — wtrącił Mark. — Nie kwestionuje my twoich intencji. Na pewno były dobre.

— Co pan pieprzy, Hodell? — warknął Parr. — One ukradły to cholerne serce! Doskonale wiedziały, co robią, ale nie obchodziło ich, kogo w to wciągają! Pielęgniarki, kierowcę karetki, nawet doktora Lima!

— Abby powinna słuchać poleceń swojego ordynatora.

I właśnie to robiła: słuchała poleceń Vivian Chao.

— Muszą być jakieś reperkusje. Zwolnienie ordynatora nie wystarczy.

Zwolnienie? Vivian? Abby spojrzała na Marka, szukając potwierdzenia swoich obaw.

— Doktor Chao się do wszystkiego przyznała — wyjaśnił Mark. — Powiedziała, że zmusiła ciebie i pielęgniarki do współpracy.

— Nie sądzę, żeby doktor DiMatteo było tak łatwo do czegoś zmusić — stwierdził Parr.

— A co z Limem? — spytał Mark. — On też był w sali operacyjnej. Wyrzuci go pan z pracy?

— Lim nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje — odparł dyrektor. — Miał tylko pobrać nerki. Wiedział jedynie, że w szpitalu w Massachusetts czeka na stole pacjent. I że w karcie jest formularz darowizny ze wskazaniem nazwiska biorcy serca. — Dyrektor odwrócił się do Abby i dodał: — Wypełniony i poświadczony przez panią.

— Joe Terrio podpisał go dobrowolnie — oświadczyła Abby. — Uważał, że serce jego żony powinno zostać wszczęte temu chłopcu.

— A to oznacza, że nikogo nie można oskarżać o kra dzież organu — zauważył Mark. — Wszystko załatwiono legalnie, Parr. Vivian Chao dokładnie wiedziała, za jakie sznurki pociągnąć, i zrobiła to. Doktor DiMatteo uległa manipulacji.

Abby chciała bronić Vivian, ale zauważyła ostrzegawcze spojrzenie Marka: „Nie kop sobie grobu”.

— Przyjeliśmy do szpitala pacjentkę, która czeka na prze serce. A teraz nie mamy dla niej serca. Co ja do cholery powiem jej mężowi? „Przepraszam, panie Voss, ale serce przekazano niewłaściwej osobie?” — Dyrektor z wściekłością popatrzył na Abby. — Jest pani tylko stażystką, doktor DiMatteo. Podjęła pani decyzję, która nie do pani należała. Voss już się o tym dowiedział. Szpital w Bayside drogo za to zapłaci.

— Niech pan nie przesadza, Parr — wtrącił Mark. — Nie jest aż tak źle.

— Sądzi pan, że Victor Voss nie pociągnie nas do odpowiedzialności?

— Na jakiej podstawie? Serce zostało podarowane konkretnej osobie. Ten chłopiec musiał je otrzymać.

— Tylko dlatego, że doktor DiMatteo zmusiła męża ofiary do podpisania zgody! — syknął Parr, gniewnie wskazując Abby palcem.

— Opowiedziałam mu tylko o Joshu O'Dayu — odparła Abby. — Wspomniałam, że ma dopiero siedemnaście lat...

— To wystarczy, żeby panią zwolnić — oznajmił Parr i spojrzał na zegarek. — Jest siódma trzydzieści. Od tej chwili nie odbywa już pani u nas stażu.

Abby wpatrywała się w niego zszokowana. Chciała zaprotestować, ale słowa uwięzły jej w gardle.

— Nie może pan tego zrobić — powiedział Mark.

— Niby dlaczego? — spytał Parr.

— Po pierwsze, takie decyzje podejmuje dyrektor szkolenia.

Znając generała, nie sędzę, żeby pozwolił komuś wchodzić w swoje kompetencje. Po drugie, brakuje nam chirurgów. Jeśli stracimy Abby, lekarze na oddziale chirurgii klatki piersiowej będą musieli dyżurować co drugą noc i w końcu ze zmęczenia zaczną popełniać błędy. Chce pan mieć do czynienia z praw nikami? — Spojrzał na Abby. — Masz jutro nocny dyżur, prawda?

Kiwnęła głową.

— Więc co robimy, Parr? — spytał Mark. — Zna pan jakiegoś stażystę z drugiego roku, który mógłby ją zastąpić?

Dyrektor popatrzył na niego.

— To tylko czasowe rozwiązanie — odparł, po czym odwrócił się do Abby. — Porozmawiamy o tym jutro. A teraz proszę stąd odejść.

Chwiejąc się na nogach, zdołała jakoś wyjść z gabinetu Parra. Była zbyt oszołomiona, by zebrać myśli. Kiedy przeszła połowę korytarza, zatrzymała się. Czuła, że zbiera jej się na płacz. I pewnie by się rozpląkała, gdyby nie pojawił się przy niej Mark.

— Abby... Przez całe popołudnie było tu piekło. Co ty do cholery wyprawiałaś?

— Ratowałam życie temu chłopcu. — Jej głos się załamał i zaczęła szlochać. — Ocaliliśmy go, Mark. Właśnie tak należało postąpić. Wcale nie słuchałam niczyich poleceń, kierowałam się moim własnym instynktem. — Ze złością otarła łzy. — Jeśli Parr chce się na mnie mścić, proszę bardzo. Przedstawię fakty przed komisją etyki. Siedemnastolatek przeciwko żonie jakiegoś bogacza. Być może i tak mnie zwolnią, ale nie poddam się bez walki.

Odwróciła się i ruszyła dalej korytarzem.

— Jest jeszcze inne rozwiązanie! — zawołał, idąc za nią. — Dużo lepsze.

— Jakoś nie przychodzi mi ono do głowy.

— Posłuchaj. — Znów chwycił ją za ramię. — Niech Vivian weźmie wszystko na siebie! I tak jest na straconej pozycji.

— Nie byłam bezwolną wykonawczynią jej poleceń. Uczestniczyłam w tym, bo uważałam, że tak trzeba.

— Abby, nie odmawiaj przyjęcia prezentu, kiedy go do stajesz! Przecież doktor Chao przyznała się do winy. Zrobiła to, żeby chronić ciebie i pielęgniarki. Niech tak zostanie.

— A co będzie z nią?

— Złożyła już wypowiedzenie. Funkcję ordynatora przejmuje Peter Dayne.

— Dokąd pójdzie Vivian?

— To już jej problem, nie naszego szpitala.

— Postąpiła dokładnie tak, jak powinna. Uratowała pacjen towi życie. Za to nikogo się nie zwalnia!

— Pogwałciła naszą podstawową zasadę. Pracujemy ze społowo. Szpital nie może sobie pozwolić, by takie indywidualności jak Vivian Chao działały na własną rękę. Albo ktoś jest z nami, albo przeciw nam.

— Milczał przez chwilę. — A ty?

Chcesz należeć do naszego zespołu?

— Nie wiem. — Pokręciła głową. Poczowała, że z oczu znów zaczynają jej płynąć łzy. — Sama już nie wiem.

— Rozważ swoje możliwości, Abby... albo raczej ich brak.

Vivian skończyła pięcioletni staż. Jest już samodzielnym leka rzem. Może znaleźć pracę gdzie indziej albo otworzyć własny gabinet. Ty zaliczyłaś tylko praktykę. Jeśli cię teraz wyleją, nigdy nie będziesz chirurgiem. Co ze sobą zrobisz? Spędzisz resztę życia, zajmując się pacjentami z ubezpieczalni? Czy tego właśnie chcesz?

— Nie. — Wciągnęła głęboko powietrze i westchnęła. — Nie.

— Więc czego chcesz, do cholery?

— Teraz już dokładnie wiem, czego chcę. — Otarła twarz dłonią i znów odetchnęła głęboko. — Zrozumiałam to dziś po południu, kiedy obserwowałam Tarasoffa w sali operacyjnej.

Widziałam, jak bierze do ręki serce. Było bezwładne, jak kawałek mięsa. Na stole leżał podłączony do sztucznego serca chłopiec. Tarasoff wszył mu serce, które znowu zaczęło bić.

Przywrócił tego dzieciaka do życia... — Zamilkła, przetykając łzy. — Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, czego naprawdę chcę. Pragnę

robić to, co Tarasoff. — Spojrzała na Marka. — Przywracać życie takim pacjentom jak Josh O'Day.

Mark kiwnął głową.

— Więc zrób wszystko, aby tak się stało. Jeszcze nic straco nego, Abby. Możesz odzyskać pracę i możliwość specjalizacji.

— W jaki sposób?

— To ja zaproponowałem twoją kandydaturę do zespołu transplantologów. Nadal uważam, że jesteś najlepsza. Mogę porozmawiać z Archerem i pozostałymi. Jeśli wszyscy cię poprzemy, Parr będzie musiał ustąpić.

— Bardzo w to wątpię.

— Możesz nam pomóc. Przede wszystkim pozwól, żeby Vivian wzięła całą winę na siebie. Była ordynatorem. Podjęła niewłaściwą decyzję.

— Ale przecież to nieprawda!

— Nie miałaś pełnego obrazu sytuacji. Nie widziałaś tej pacjentki.

— Jakiej pacjentki?

— Niny Voss. Przyjęto ją dziś w południe. Może powinnaś ją zobaczyć i przekonać się, że być może popełniłaś błąd.

Abby przełknęła ślinę.

— Gdzie ona jest?

— Na czwartym piętrze. Na oddziale intensywnej terapii.

Nawet z korytarza Abby słyszała dochodzące z oddziału intensywnej terapii głosy, pisk przenośnego aparatu rentgenowskiego i brzęczenie dwóch jednocześnie dzwoniących telefonów. Gdy tylko weszła na salę, zaległa cisza. Nawet telefony zamilkły. Kilka pielęgniarek spojrzało na nią, ale pozostałe demonstracyjnie odwróciły wzrok.

— O, doktor DiMatteo — powitał ją Aaron Levi, który w tym momencie wyszedł z izolatki numer pięć. — Może zechce pani to zobaczyć — syknął z wściekłością.

Pielęgniarki cofnęły się w milczeniu, robiąc jej przejście. Podeszła do szyby i zobaczyła leżącą na łóżku kobietę o posiwiałych jasnych

włosach i bladej jak prześcieradło twarzy. W gardle miała rurkę podłączoną do respiratora. Walczyła z aparaturą, próbując samodzielnie oddychać. Wciąż włączał się alarm, gdy urządzenie dostarczało chorej powietrza w zaprogramowanym rytmie, ignorując jej rozpaczliwe wysiłki. Kobieta miała unieruchomione ręce. Jeden z lekarzy umieszczał właśnie w jej przegubie plastikowy cewnik, wsuwając go głęboko w tętnicę promieniową. W drugim przegubie, również przywiązany do łóżka, tkwiła igła z przewodem kroplówki. Pielęgniarka mówiła coś szeptem do pacjentki, próbując ją uspokoić, ale kobieta, całkowicie przytomna, wpatrywała się w nią z wyrazem przerażenia na twarzy. Miała wzrok tortuowanego zwierzęcia.

– To Nina Voss – powiedział Aaron.

Abby milczała, wstrząśnięta widokiem przerażonych oczu kobiety.

– Przyjęto ją osiem godzin temu. Od chwili przyjazdu jej stan wciąż się pogarszał. O piątej miała kryzys. Częstoskurcz komorowy. Dwadzieścia minut temu sytuacja się powtórzyła.

Dlatego ją zaintubowano. Dziś w nocy miała być operowana.

Wszystko było przygotowane: zespół lekarzy, sala operacyjna, pacjentka. I nagle się dowiadujemy, że dawca trafił na stół operacyjny przed czasem. Że serce, która miała dostać ta kobieta, zostało skradzione. Skradzione, doktor DiMatteo.

Abby wciąż milczała, oszołomiona dramatem, który rozgrywał się w izolatce numer pięć. W tym momencie Nina Voss podniosła wzrok i ich spojrzenia się zetknęły. Oczy kobiety błagały o litość.

– Nie miałyśmy pojęcia – szepnęła Abby. – Nie wiedziałyśmy, że jej stan jest krytyczny...

– Zdaje sobie pani sprawę, co się teraz stanie?

– Ale chłopiec... – Abby odwróciła się do Aarona. – Chłopiec żyje.

– A co będzie z tą kobietą?

Abby nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Żadne słowa nie potrafiłyby usprawiedliwić cierpienia pacjentki za szybą.

Nie zauważyła mężczyzny, który wyszedł z dyżurki pielęgniarek. Dopiero gdy spytał: „Doktor DiMatteo?” — spojrzała na niego. Mógł mieć jakieś sześćdziesiąt lat, był wysoki i dobrze ubrany. Sam jego wygląd budził respekt.

— Tak — odparła cicho.

Gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że wpatrzone w nią oczy mężczyzny zieją dziką nienawiścią. Przestraszona, cofnęła się o krok, gdy podszedł do niej, purpurowy z gniewu.

— A więc to pani — wycedził. — Pani i ta Chinka.

— Panie Voss, proszę... — wtrącił Aaron.

— Myślicie, że możecie traktować mnie jak szmatę? — krzyknął mężczyzna. — I moją żonę? Obie poniesiecie konsekwencje, już ja się o to postaram, do cholery!

Zaciskając pięści, zbliżył się do Abby jeszcze o krok.

— Panie Voss — odezwał się znowu Aaron. — Proszę mi wierzyć, że doktor DiMatteo nie uniknie odpowiedzialności.

— Musi natychmiast zostać zwolniona! Nie chcę jej tu więcej widzieć!

— Panie Voss... — zaczęła Abby. — Strasznie mi przykro.

Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo.

— Zabierzcie ją stąd, do cholery! — wrzasnął Voss.

Aaron stanął między nimi, chwycił Abby za ramię i wy prowadził z izolatki.

— Lepiej będzie, jeśli pani wyjdzie — powiedział.

— Gdybym mogła z nim pomówić... wyjaśnić...

—

— Najlepsze, co pani może teraz zrobić, to opuścić oddział.

Spojrzała na Vossa, który wciąż stał przed izolatką numer pięć, jakby zamierzał bronić żony przed jej atakiem. Nigdy dotąd nie widziała jeszcze w niczyich oczach takiej nienawiści. Żadna rozmowa ani wyjaśnienia nic by nie pomogły. Kiwnęła głową, patrząc na Aarona.

— W porządku — odparła cicho. — Już sobie idę.

I odwróciwszy się, wyszła z oddziału intensywnej terapii.

Trzy godziny później Stewart Sussman zatrzymał się przy krawężniku na Tanner Avenue i przyjrzał się z samochodu posesji pod numerem tysiąc czterysta pięćdziesiąt jeden. Był to skromny dom z ciemnymi okiennicami i krytym gankiem. Działkę otaczał biały drewniany płot. Było zbyt ciemno, by Sussman mógł zobaczyć podwórze, ale domyślał się, że trawnik przed domem jest starannie przystrzyżony, a na grządkach nie ma chwastów. W powietrzu unosił się delikatny zapach róż.

Wysiadł z samochodu, otworzył furtkę i wszedł po schodkach na ganek. W domu ktoś był. Paliły się światła, widział też postać poruszającą się za zasłoną.

Zadzwoił do drzwi.

Otworzyła mu kobieta. Miała zmęczoną twarz i smutne oczy. Była przygarbiona, jakby dźwigała jakieś straszne brzemię.

– Słucham? – zapytała.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Stewart Sussman. Czy mógłbym zamienić parę słów z Josephem Terrio?

– Nie sadzę, żeby chciał teraz z kimkolwiek rozmawiać.

Widzi pan, straciliśmy właśnie... bliską osobę.

– Rozumiem, pani...

– Terrio. Jestem matką Joego.

– Słyszałem o wypadku pani synowej, pani Terrio. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Ale muszę pomówić z pani synem w ważnej sprawie. Chodzi o śmierć Karen.

Kobieta wahała się tylko przez moment. Potem powiedziała:

„przepraszam” i zamknęła drzwi. Sussman słyszał, jak woła: „Joe!”.

Chwilę później drzwi otworzyły się ponownie i pojawił się w nich mężczyzna o podkrążonych oczach.

– Jestem Joe Terrio – przedstawił się.

Sussman wyciągnął do niego rękę.

– Panie Terrio, przysłał mnie tu ktoś, kogo bardzo niepokoją okoliczności śmierci pańskiej żony.

– Okoliczności?

— Była pacjentką szpitala w Bayside, prawda?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— O opiekę medyczną, jaką jej zapewniono, panie Terrio.

O to, czy nie popełniono jakichś błędów, które mogły okazać się tragiczne w skutkach.

— Kim pan jest?

— Pracuję w kancelarii prawniczej Hawkes, Craig i Sus sman. Zajmuję się błędami w sztuce lekarskiej.

— Nie potrzebuję adwokata. Nie chcę, żeby jakiś cholerny naciągacz zawracał mi głowę.

— Panie Terrio...

— Niech się pan stąd wynosi, do cholery. — Chciał zamknąć drzwi, ale Sussman go powstrzymał.

— Mam powody sądzić, że jeden z lekarzy Karen popełnił błąd — powiedział cicho. — Straszny błąd. Możliwe, że pańska żona wcale nie musiała umrzeć. Niejestem tego jeszcze pewien.

Ale jeśli pan się zgodzi, będę mógł zajrzeć do jej karty i ujawnić fakty. Wszystkie fakty.

Joe powoli otworzył drzwi.

— Kto pana przysłał? Powiedział pan, że przychodzi z czyje goś polecenia. Kto to jest?

Sussman spojrzał mu prosto w oczy.

— Przyjaciel — odparł.

Rozdział szósty

Abby nigdy dotąd nie bala się przychodzić do pracy, jednak, przekraczając tego ranka próg szpitala w Bayside, czuła się, jakby wstępowała w ogień. Poprzedniego wieczoru Jeremiah Parr zagroził jej reperkusjami i z pewnością dzisiaj się okaże, co miał na myśli. Ale dopóki Wettig nie zawiesi jej w obowiązkach rezydenta, była zdecydowana wypełniać swoje codzienne powinności. Musiała zrobić obchód i przeprowadzić zaplanowane zabiegi. Tej nocy miała dyżur. Do cholery, zamierzała nadal wykonywać swoją pracę, i to dobrze. Była to winna swoim pacjentom — i Vivian. Zaledwie przed godziną rozmawiały przez telefon i Chinka powiedziała na koniec: „Ktoś musi występować w obronie takich pacjentów jak Josh O'Day. Zostań tam, DiMatteo. W imieniu nas obu”.

Gdy tylko Abby weszła na oddział intensywnej terapii, natychmiast zauważyła, że wszyscy ściszyli głosy. Musieli już wiedzieć o Joshu O'Dayu. Choć nikt się do niej nie odezwał, słyszała ciche szepty pielęgniarek i widziała ich niespokojne spojrzenia. Pode szła do stojaka i wzięła karty pacjentów na obchód, koncentrując na tej czynności całą swoją uwagę. Położyła karty na wózku i wypchnęła go z dyżurki w stronę izolatki pierwszej pacjentki z listy. Poczwała ulgę, gdy nikt już na nią nie patrzył. Zaciągnęła zasłony w izolatce i odwróciła się do pacjentki.

Mary Allen leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i podkurczonymi wychudłymi kończynami. Po biopsji na otwartym płucu dwukrotnie wystąpił u niej chwilowy spadek ciśnienia, musiała więc być pod stałą obserwacją. Jednak z notatek pielęgniarki wynikało, że w ciągu ostatniej doby ciśnienie krwi było stabilne i nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości w pracy serca. Być może pacjentkę będzie można dziś przenieść do normalnej sali na chirurgii.

Abby podeszła do jej łóżka i powiedziała:

— Pani Allen?

Kobieta otworzyła oczy.

— Doktor DiMatteo... — wymamrotała.

— Jak samopoczucie?

— Nie za dobre. Ciągle mnie boli.

— Co?

— Wszystko. Klatka piersiowa. Głowa. A teraz jeszcze plecy.

Abby zajrzała do karty i zobaczyła, że pielęgniarki przez cały czas podawały jej morfinę. Najwyraźniej dawki były za małe. Musi je zwiększyć.

— Damy pani więcej środka przeciwbólowego — obiecała. — Tyle, ile trzeba, żeby nie odczuwała pani żadnych dolegliwości.

— I żebym mogła zasnąć. Nie mogę spać. — Staruszka westchnęła ciężko i zamknęła oczy. — Chcę po prostu zasnąć, pani doktor. I już się nie obudzić...

— Pani Allen? Mary?

— Nie mogłaby pani tego dla mnie zrobić? Jest pani moją lekarką. To przecież takie proste.

— Możemy uśmierzyć ból — powiedziała Abby.

— Ale nie wyleczycie raka, prawda? — zapytała Mary Allen. Znów otworzyła oczy i wpatrywała się w Abby wzrokiem, który błagał o szczerłość.

— Nie — odparła Abby. — Nie możemy pani wyleczyć.

Nowotwór za bardzo się rozprzestrzenił. Możemy jedynie zastosować chemioterapię, by opóźnić jego rozwój. Zyskać na czasie.

— Zyskać na czasie? — Mary zaśmiała się z rezygnacją. — Po co mi czas? Żeby leżeć tu przez kolejny tydzień, kolejny miesiąc? Wolałabym, żeby to się już skończyło.

Abby wzięła ją za rękę, chudą i prawie zupełnie pozbawioną mięśni.

— Uśmierzymy najpierw ból. Kiedy to zrobimy, wszystko będzie inaczej wyglądało.

Staruszka odwróciła się na bok.

— Pewnie chce mi pani osłuchać płuca — mruknęła.

Obie dobrze wiedziały, że to tylko bezsensowny rytuał, jednak Abby nie chciała z tego zrezygnować. Niewiele więcej miała Mary Allen do zaoferowania oprócz dotyku rąk. Kiedy skończyła, pacjentka dalej leżała odwrócona do niej plecami.

— Zabierzemy panią stąd—oznajmiła Abby.—Wróci pani na chirurgię. Tam jest znacznie spokojniej. Nie ma tyle zamieszania.

Zamiast odpowiedzi usłyszała tylko głębokie westchnienie.

Wyszła z izolatki, czując się jeszcze bardziej bezsilna, bardziej bezużyteczna niż kiedykolwiek wcześniej. Tak niewiele mogła zrobić. Złagodzić ból i zdać się na łaskę losu.

Otworzyła kartę Mary i napisała:

„Pacjentka wyraża wolę zakończenia życia. Zwiększyć dawkę siarczanu morfiny dla uśmierzenia bólu i w razie stanu krytycznego nie reanimować”. Potem wypisała polecenie przeniesienia i wręczyła je Cecyli, pielęgniarce Mary Allen.

— Chcę, żeby nie czuła dolegliwości — powiedziała. — Proszę zwiększać dawkę w razie nasilania się bólu. Dajcie jej tyle, żeby mogła spokojnie spać.

— Ile maksymalnie?

Abby milczała przez chwilę, zastanawiając się, jaka dawka uśmierzy ból i pozwoli chorej zasnąć, ale nie doprowadzi do śpiączki.

— Bez ograniczeń — odparła w końcu. — Ona umiera, Cecyli. Chce umrzeć. Jeśli morfina jej to ułatwi, powinna ją dostawać. Nawet gdyby to oznaczało, że koniec nadejdzie nieco szybciej.

Cecyli kiwnęła głową.

Gdy Abby ruszyła w stronę następnej izolatki, usłyszała jej wołanie:

— Doktor DiMatteo!

Odwróciła się.

— Tak?

— Ja... chciałam tylko powiedzieć... Powinna pani wiedzieć, że... — Dziewczyna rozejrzała się nerwowo po oddziale i Abby zobaczyła, że inne pielęgniarki przyglądają im się wyczekująco.

Cecily odchrząknęła i dokończyła: — Chcę, żeby pani wiedzia ła, że naszym zdaniem pani i doktor Chao postąpiliście słusznie, dając serce Joshowi O'Dayowi.

Abby zamrugała oczami, z trudem powstrzymując łzy.

— Dziękuję — wyszeptła. — Bardzo wam dziękuję.

Kiedy odwróciła się, dostrzegła pełne aprobaty spojrzenia innych pielęgniarek.

— Jest pani jedną z najlepszych stażystek, z jakimi praco wałyśmy, doktor D. — oświadczyła Cecily. — To też chciałyś my pani powiedzieć.

Któraś z pielęgniarek zaczęła bić brawo, po chwili dołączyła do niej następna, a potem jeszcze jedna. Abby oniemiała z wrażenia, gdy wszystkie pielęgniarki z oddziału intensywnej terapii zgotowały jej głośną owację na stojąco.

— Ma zostać zwolniona i opuścić szpital! — grzmiał Victor Voss. — Zrobię wszystko, do cholery, żeby tak się stało!

W ciągu swojej ośmioletniej kariery dyrektora szpitala w Bayside Jeremiah Parr miał już do czynienia z różnymi kryzysami. Przeżył dwa strajki pielęgniarek, kilka procesów o wielomilionowe odszkodowania z powodu błędów w sztuce lekarskiej i demonstracje obrońców życia, ale nigdy nie spotkał się z taką furją, jaką widział teraz na twarzy Yictora Yossa.

O dziesiątej rano mężczyzna wkroczył do jego biura w towarzystwie dwóch adwokatów, żądając rozmowy. Teraz zbliżało się już południe i ich grono powiększyło się o dyrektora programu szkolenia, Colina Wettiga, oraz Susan Casado, prawniczkę reprezentującą szpital Bayside. To Parr wpadł na pomysł, żeby ją wezwać. Na razie nie było mowy o

podejmowaniu jakichkolwiek kroków prawnych, ale dyrektor wolał zachować ostrożność. Zwłaszcza, mając do czynienia z kimś tak wpływowym jak ten człowiek.

— Moja żona umiera — oznajmił Voss. — Rozumie pan?

Umiera. Może nie przeżyć nocy. Obarczam za to winą te dwie lekarki.

— Doktor DiMatteo jest dopiero na drugim roku stażu — wyjaśnił Wettig. — To nie ona podjęła decyzję. Zrobiła to doktor Chao, ordynator. Już u nas nie pracuje.

— Domagam się również rezygnacji DiMatteo.

— Nie wystąpiła z takim wnioskiem.

— Więc znajdźcie powód, żeby ją zwolnić.

— Doktorze Wettig — powiedział Parr spokojnym tonem — musi istnieć jakaś podstawa, która pozwoli nam się jej pozbyć.

— Nie ma żadnej — oświadczył Wettig. — Doktor DiMatteo ma znakomite wyniki. Panie Voss, zdaję sobie sprawę z tego, że to dla pana bardzo bolesna sytuacja. Wiem, że zawsze szuka się winnego. Ale kieruje pan swój gniew w niewłaściwą stronę.

Brak narządów to prawdziwy problem. Tysiące ludzi potrzebuje nowego serca, a liczba dawców jest ograniczona. Niech pan rozważy, co się stanie, gdy zwolnimy doktor DiMatteo. Może wytoczyć nam proces, a wtedy zaczną zadawać nam pytania.

Będą chcieli wiedzieć, dlaczego tamten siedemnastoletni chłopiec nie dostał tego serca od razu, choć był pierwszy na liście.

— Chryste... — jęknął Parr.

— Rozumie pan, do czego zmierzam? — spytał Wettig. — To nie wygląda dobrze. Stawia szpital w złym świetle. Nie chcielibyśmy chyba, żeby ta sprawa trafiła do gazet, prawda?

Dyskryminacja ubogich. Bo właśnie w taki sposób to rozegrają...

bez względu na to, jak było naprawdę — dodał generał i powiódł spojrzeniem po twarzach osób siedzących przy stole. Nikt się nie odezwał.

Bardzo wymowne milczenie, pomyślał Parr.

— Nie możemy oczywiście pozwolić, żeby ludzie odnieśli mylne wrażenie — stwierdziła Susan Casado. — Nawet cień podejrzenia, że handlujemy ludzkimi narządami, zszarga nam opinię.

— Mówię tylko, jak to wygląda — odparł Wettig.

— Nic mnie to nie obchodzi — oświadczył Voss. — One ukradły serce przeznaczone dla mojej żony.

— Zostało podarowane biorcy. Pan Terrio miał prawo zdecydować, komu chce je ofiarować.

— Zagwarantowano mi, że dostanie je moja żona.

Wettig spojrział na Parra, marszcząc brwi.

— Czy jest coś, o czym nie wiem?

— Decyzja zapadła, zanim przyjęto panią Voss — wyjaśnił Parr. — To serce idealnie dla niej pasowało.

— Dla tego chłopca także — odparował Wettig.

Voss zerwał się z krzesła.

— Pozwólcie, że coś wam wyjaśnię. Moja żona umiera z winy Abby DiMatteo. Nie znacie mnie zbyt dobrze, ale wiedzcie, że nikomu, kto zadziera ze mną albo moją rodziną, nie ujdzie to...

— Panie Voss — przerwał mu jeden z jego adwokatów. — Może przedyskutujemy tę sprawę...

— Niech mi pan da skończyć, do cholery!

— Proszę, panie Voss... Takie zachowanie nie działa na pańską korzyść.

Voss spojrział na niego, opanował się z wyraźnym wysiłkiem i ponownie usiadł.

— Chcę, żeby doktor DiMatteo została ukarana — po wtórzył, patrząc na dyrektora szpitala.

Parr był już cały zlany potem. Boże, najprościej byłoby zwolnić tę stażystkę. Niestety, generał nie chciał ustąpić. Do diabła z tymi chirurgami i ich ambicjami! Nie znosili, gdy ktoś inny zabierał głos na ich temat. Dlaczego Wettig tak się uparł?

— Panie Voss — odezwała się Susan Casado łagodnym tonem — czy mogę zaproponować, żebyśmy dali sobie trochę czasu na

przemysłenie tej sprawy? Pochopne podejmowanie kroków prawnych rzadko jest najlepszym wyjściem. Być może w ciągu paru dni uda nam się rozwiązać pańskie problemy — dodała, wymownie spoglądając na Wettiga.

Generał równie wymownie ją zignorował.

— Za parę dni moja żona może już nie żyć — stwierdził Voss, po czym wstał i z pogardą spojrział na Parra. — Nie mam się nad czym zastanawiać. Chcę, żeby ukarano doktor DiMatteo.

I to szybko.

— Widzę pocisk — powiedziała Abby.

Mark skierował promień światła w głąb klatki piersiowej. Zobaczyli błysk metalu, który zaraz zniknął za wydymającym się płucem.

— Masz bystre oczy, Abby. Skoro pierwsza go zauważyłaś, zrób z nim porządek.

Abby wzięła z tacy kleszczyki. Płuca znów się rozszerzyły, zasłaniając jej widok.

— Chcę mieć pacjenta na wydechu. Tylko przez chwilę.

— Proszę bardzo — odparł anestezjolog.

Abby włożyła rękę do klatki piersiowej, przesuwając ją wzdłuż wewnętrznej krawędzi żeber. Gdy Mark delikatnie odciągnął prawe płuco, chwyciła kleszczykami kawałek metalu i ostrożnie go wyjęła.

Rozpłaszczony pocisk kalibru dwadzieścia dwa z brzękiem uderzył o dno metalowej misy.

— Nie ma krwawienia. Możemy zaszywać — oświadczyła Abby.

— Facet miał szczęście — stwierdził Mark, przyglądając się wnętrzu klatki piersiowej. — Kula weszła tuż obok mostka, prawdopodobnie odbiła się o żebro i znalazła się w jamie opłucnej. Ranny ma tylko odnę opłucnową.

— Mam nadzieję, że dostał nauczkę — mruknęła Abby.

— Jaką nauczkę?

— Żeby nigdy nie wkurzać żony.

— To ona do niego strzelała?

— Tak. No, wróciliśmy z dalekiej podróży, drogi panie.

Zaczęli zaszywać klatkę piersiową, współpracując ze sobą zgodnie jak dwoje ludzi, którzy się dobrze znają. Dochodziła szesnasta. Abby była w szpitalu od siódmej rano. Bolały ją już łydki od całodziennego stania, a miała jeszcze przed sobą dwadzieścia cztery godziny dyżuru. Czuła jednak przyływ adrenaliny, podniesiona na duchu pomyślnym przebiegiem operacji, i możliwością przeprowadzenia jej razem z Markiem. Tak właśnie wyobrażała sobie ich wspólną przyszłość: będą pracowali ręka w rękę, pełni wiary w swoje umiejętności i ufający sobie nawzajem. Mark był świetnym chirurgiem, zręcznym i precyzyjnym. Od dnia, gdy operowała z nim po raz pierwszy, była pod wrażeniem przyjaznej atmosfery, jaką potrafił stworzyć w sali. Nigdy nie tracił panowania nad sobą i nie krzyczał na pielęgniarki. Pomyślała wtedy, że gdyby sama kiedykolwiek musiała być operowana, chciałaby, aby zrobił to właśnie Mark Hodell.

Stała teraz obok niego, ocierali się o siebie dłońmi w chirurgicznych rękawiczkach i niemal stykali głowami. Kochała tego człowieka i uwielbiała tę pracę. Mogła przynajmniej na chwilę zapomnieć o Victorze Vossie i chmurze, jaka zawisła nad jej karierą. Może kryzys już się skończył. Nie opadł topór, z gabinetu Parra nie dotarła żadna złowieszcza wiadomość. W dodatku Colin Wettig powiedział jej rano na osobności, jak zawsze szorstkim tonem, że uzyskała najwyższe oceny za staż na urazówce.

Będzie dobrze, pomyślała, patrząc, jak wywożą pacjenta na salę pooperacyjną. Wszystko się jakoś ułoży.

— Świetna robota, DiMatteo — pochwalił ją Mark, zdejmując fartuch.

— Założę się, że mówisz to wszystkim stażystkom.

— Ale zaraz powiem ci coś, czego im nigdy nie mówię. — Pochylił się ku niej i szepnął: — Spotkajmy się w dyżurce.

— Doktor DiMatteo?

Abby i Mark odwrócili się gwałtownie i spojrzeli na pielęgniarkę, która właśnie wsunęła głowę przez drzwi.

— Był do pani telefon z sekretariatu pana Parra. Proszę panią do administracji.

— Natychmiast?

— Czekają na panią — oznajmiła pielęgniarka i wyszła.

Abby rzuciła Markowi niespokojne spojrzenie.

— O Boże! Co teraz?

— Nie daj się zdenerwować. Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Mam pójść z tobą?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową.

— Jestem już dużą dziewczynką. Powinam dać sobie radę.

— Jeśli będzie jakiś problem, puść mi sygnał na pager, wtedy natychmiast się zjawię. — Uścisnął jej dłoń. — Obie cuje.

Zdobyła się na słaby uśmiech, a potem wyszła z sali operacyjnej i z posępną miną ruszyła do windy.

Czując, że ogarnia ją taki sam lęk jak poprzedniej nocy, wysiadła na drugim piętrze i poszła po miękkiej wykładzinie do biura Jeremiaha Parra. Sekretarka poinformowała ją, że ma iść do sali konferencyjnej. Abby zapukała do drzwi.

— Proszę — usłyszała głos Parra.

Z drżeniem serca weszła do środka.

Dyrektor wstał z krzesła. W sali byli również Colin Wettig i kobieta, której Abby nie знаła, brunetka po czterdziestce w dobrze skrojonej błękitnej garsonce. Abby nie potrafiła odczytać z ich twarzy, jaki jest cel tego spotkania, ale czuła, że nie będzie ono przyjemne.

— Doktor DiMatteo — zaczął Parr — przedstawiam pani Susan Casado, naszą prawniczkę.

Prawniczka? Niedobrze.

Kobiety podały sobie ręce. Dłoń Casado wydawała się Abby nienaturalnie ciepła. Jej ręce były lodowate.

Zajęła miejsce obok Wettiga. Nastąpiła chwila ciszy, przerywana jedynie szelestem papierów prawniczki i pochrząkiwaniem Wettiga, a potem Parr rzekł:

— Doktor DiMatteo, proszę nam powiedzieć, jak wyglądała pani opieka nad Karen Terrio.

Abby zmarszczyła brwi. Nie tego się spodziewała.

— Dokonałam wstępnej oceny stanu zdrowia pacjentki i przekazałam ją na neurochirurgię — odparła.

— Jak długo była pod pani opieką?

— Jakies dwie godziny.

— Co dokładnie pani zrobiła w ciągu tych dwóch godzin?

— Ustabilizowałam jej funkcje życiowe. Zleciłam niezbędne badania laboratoryjne. To wszystko jest w raporcie.

— Tak, mamy kopię — potwierdziła Susan Casado, dotykając karty leżącej na stole.

— Znajdzie tam pani całą dokumentację — zapewniła ją Abby. — Notatki dotyczące wyników wstępnego badania i moje zalecenia.

— Są tam informacje o wszystkim, co pani zrobiła? — spytała Susan.

— Tak.

— Czy jakiegokolwiek pani działania mogły wpłynąć negatywnie na stan pacjentki?

— Nie.

— Może coś pani pominęła?

— Nie.

— Rozumiem, że pacjentka zmarła.

— Wskutek wypadku samochodowego doznała rozległego urazu głowy. Stwierdzono śmierć mózgową.

— Nastąpiło to już po tym, gdy pani przekazała pacjentkę na neurochirurgię.

Abby popatrzyła na nich zdezorientowana.

— Czy ktoś może mi powiedzieć, o co tu chodzi?

— Przed kilkoma godzinami firma Vanguard Mutual, która jest naszym ubezpieczycielem, otrzymała pisemny pozew, doręczony osobiście i sygnowany przez prawnika z kancelarii adwokackiej Hawkes, Craig i Sussman — powiedział Parr. — Przykro mi to

stwierdzić, doktor DiMatteo, ale zdaje się, że panią i nasz szpital oskarżono o błąd w sztuce lekarskiej.

Abby poczuła, że brak jej powietrza. Oparła się o stół, starając się opanować mdłości. Wiedziała, że czekają na jej odpowiedź, ale zdobyła się tylko na pełne niedowierzania potrząśnięcie głową.

— Widzę, że jest pani zaskoczona — stwierdziła Susan Casado.

— Ja... — Abby przełknęła ślinę. — Owszem.

— To dopiero wstępny pozew — wyjaśniła prawniczka. — Rozumie pani oczywiście, że zanim dojdzie do procesu, trzeba dopełnić wielu formalności. Po pierwsze, sprawę musi rozpatrzeć stanowa komisja, żeby ustalić, czy rzeczywiście popełniono błąd w sztuce. Jeśli komisja tego nie potwierdzi, sprawa może się na tym zakończyć. Ale powód nadal ma prawo żądać procesu.

— Kto wniósł pozew? — zapytała Abby.

— Mąż pacjentki. Joseph Terrio.

— Zaszło jakieś nieporozumienie...

— Niewątpliwie — wtrącił Wettig, który dotąd w ogóle się nie odzywał. — Bardzo dokładnie przejrzałem kartę pacjentki.

Nie ma tu mowy o żadnym błędzie lekarskim. Doktor DiMatteo zrobiła wszystko, co należało.

— Więc dlaczego tylko jej postawiono zarzuty? — spytał Parr.

— Tylko mnie? — Abby spojrzała na prawniczkę. — A le karze z neurochirurgii? Z pogotowia? Nie oskarżono nikogo innego?

— Tylko panią, pani doktor — potwierdziła Susan. — I pani pracodawcę, czyli szpital w Bayside.

Abby pokręciła głową.

— Nie mogę w to uwierzyć...

— Ja też — stwierdził Wettig. — Zwykle wygląda to zupełnie inaczej i wszyscy dobrze o tym wiemy. W takiej sytuacji prawnicy biorą na celownik każdego lekarza, którzy pojawił się w pobliżu pacjenta. Coś tu nie gra.

— To sprawka Victora Vossa — powiedziała cicho Abby.

— Vossa? — Wettig machnął lekceważąco ręką. — On nie ma z tym nic wspólnego.

— Ten człowiek chce mnie zniszczyć. Dlaczego w pozwie wymieniono tylko moje nazwisko? Voss w jakiś sposób dotarł do Joego Terrio i przekonał go, że popełniłam błąd. Gdybym mogła z nim porozmawiać...

— To wykluczone — odparła Susan Casado. — Powód uzyskałby wtedy potwierdzenie, że znalazła się pani w trudnej sytuacji.

— Ależ ja jestem w trudnej sytuacji!

— Na razie jeszcze nie. Jeśli rzeczywiście nie doszło do błędu w sztuce, sprawa wcześniej czy później ucichnie. Gdy komisja wyda korzystny dla pani werdykt, istnieje szansa, że pozew zostanie wycofany.

— A jeśli mimo wszystko Joe Terrio będzie nalegał na proces?

— To nie miałyby sensu. Koszty sądowe byłyby...

— Sama pani widzi, że musi za tym stać Voss. Nie obchodzi go, czy wygra, czy przegra! Może opłacić całą armię prawników, byle tylko mnie zastraszyć. Joe Terrio to pewnie dopiero początek. Victor Voss może dotrzeć do wszystkich pacjentów, którymi się zajmowałam. I przekonać każdego z nich, by mnie oskarżył o błąd w sztuce.

— A ponieważ my jesteśmy pracodawcami doktor DiMatteo, przeciwko szpitalowi również wniosą oskarżenie — stwierdził Parr.

Wyglądał kiepsko. Niemal tak samo kiepsko, jak Abby się czuła.

— Musi być jakieś rozwiązanie — powiedziała Susan. — Trzeba spróbować porozmawiać z Victorem Vossem i załagodzić sytuację.

Wszyscy milczeli, ale Abby, patrząc w twarz Parra, czytała w jego myślach odpowiedź: „Najszybciej wszystko załagodzimy, zwalniając panią z pracy”.

Czekała, aż ten cios na nią spadnie, jednak nic takiego nie nastąpiło. Parr i Susan wymienili tylko spojrzenia, a potem Susan oznajmiła:

— Gra dopiero się zaczęła. Mamy jeszcze pole manewru i kilka miesięcy na zaplanowanie jakiejś strategii. A tym czasem... — spojrzała na Abby — firma Vanguard Mutual przydzieli pani obrońcę. Proponuję,

żeby pani jak najszybciej się z nim spotkała. Może pani również rozważyć wynajęcie prywatnego adwokata.

— Sądzi pani, że go potrzebuję?

— Tak.

Abby przełknęła ślinę.

— Nie wiem, czy będzie mnie na to stać...

— W pani sytuacji, doktor DiMatteo, nie może pani sobie pozwolić na to, żeby go nie wynająć.

Nocny dyżur okazał się dla Abby błogosławieństwem. Cały czas biegała, zajmując się różnymi przypadkami, od odmy opłucnowej na oddziale intensywnej terapii do gorączki pooperacyjnej na chirurgii. Nie miała czasu myśleć o pozwie złożonym przez Joego Terrio i sytuacji, w jakiej się znalazła. Ale gdy tylko telefony na chwilę milkły, zbierało jej się na płacz. Spośród wszystkich pocieszanych przez nią zrozpaczonych mężów, Joe Terrio był ostatnią osobą, po której by się spodziewała, że wniesie przeciwko niej oskarżenie. Gdzie popełniłam błąd? — zastanawiała się. Może powinnam okazać mu wtedy więcej współczucia? Więcej troski?

Do cholery, Joe, czego jeszcze ode mnie oczekiwałeś?

O cokolwiek chodziło, wiedziała, że nie mogła dać z siebie więcej. Zrobiła, co mogła. I za to wszystko dostawała teraz w twarz.

Była zła na adwokatów, na Victora Vossa, nawet na Joego. Bardzo go żałowała, ale czuła się przez niego zdradzona. Przez człowieka, z którym dzieliła ból.

O dziesiątej była wreszcie wolna i mogła zaszyć się w dyżurce. Zbyt przybita, by czytać czasopisma, zbyt rozgoryczona, by z kimkolwiek rozmawiać, nawet z Markiem, leżała, wpatrując się w sufit. Miała odrętwiałe nogi i czuła się, jakby uszło z niej życie. Jak, do cholery, wytrzymam do rana, skoro nie mogę nawet podźwignąć się z łóżka? — pomyślała.

Ale gdy o dziesiątej trzydzięci zadzwonił telefon, zdołała się podnieść. Usiadła i sięgnęła po słuchawkę.

— Doktor DiMatteo.

— Mówię z sali operacyjnej. Doktorzy Archer i Hodell potrzebują tu pani.

— Teraz?

— Natychmiast. Mają nagły przypadek.

— Już idę — odparła i odłożyła słuchawkę.

Westchnąwszy, przeczesała palcami włosy. W innych okolicznościach byłaby już na nogach, gotowa do działania. Jednak tej nocy myśl, że ma stanąć naprzeciw Marka i Archera przy stole operacyjnym, napawała ją niechęcią.

Do diabła, jesteś chirurgiem, DiMatteo, więc zachowuj się jak chirurg!

Poczucie odrazy do samej siebie postawiło ją w końcu na nogi i skłoniło do wyjścia z dyżurki.

Zastała Marka i Archera na górze, w pokoju chirurgów. Stali przy mikrofalówce, rozmawiając ściszymi głosami. Kiedy poderwali głowy na jej widok, pomyślała, że pewnie nie chcieli, by ktoś ich słyszał. Ale uśmiechnęli się do niej.

— Jest pani — powiedział Archer. — Spokój w okopach?

— Na razie — odparła Abby. — Podobno macie nagły przypadek.

— Transplantację — wyjaśnił Mark. — Zespół już się zbiera.

Niestety nie możemy złapać Mohandasa. Zastąpi go stażysta z piątego roku, jednak chętnie skorzystamy również z twojej pomocy. Masz ochotę asystować?

— Przy transplantacji serca? — Gwałtowny przyptyw ad renaliny był dokładnie tym, czego Abby potrzebowała, by otrząsnąć się z depresji. Bez namysłu kiwnęła głową. — Będę zachwycona.

— Widzę tylko jeden drobny problem — dodał Archer. — Pacjentką jest Nina Voss.

Abby spojrzała na niego.

— Tak szybko znaleźli dla niej serce?

— Mieliśmy szczęście. Przywożą je z Burlington. Victor Voss dostałby pewnie zawału, gdyby wiedział, że będzie pani przy tej

operacji. Ale musimy się spieszyć i możemy po sobie potrzebować dodatkowej pary rąk, a wybór pani osoby jest oczywisty.

— Nie zmieniłaś zdania? — spytał Mark.

Abby nawet się nie zawahała.

— Oczywiście, że nie — odparła.

— No to w porządku, mamy asystentkę — powiedział Archer i kiwnął głową. — Do zobaczenia w sali numer trzy. Za dwadzieścia minut.

O dwudziestej trzeciej trzydzieści mieli telefon z oddziału chirurgii klatki piersiowej szpitala Wilcox Memorial w Burlington, w stanie Vermont. Pobrano serce od dawcy i właśnie wieziono je na lotnisko. Przechowywane w temperaturze czterech stopni Celsjusza i unieruchomione roztworem potasu, nadawało się do przeszczepu tylko przez cztery do pięciu godzin. Bez przepływu krwi do tętnic wieńcowych z każdą minutą obumierały kolejne komórki. Im dłużej trwało niedokrwienie, tym mniejsze były szanse, że znowu zaczną pracować w klatce piersiowej Niny Voss.

Lot specjalnego samolotu czarterowego miał trwać maksymalnie półtorej godziny.

O północy zespół transplantologów szpitala w Bayside był już przygotowany do operacji. Oprócz Billa Archera, Marka i anestezjologa Franka Zwicka, w sali czekała niewielka armia personelu pomocniczego: pielęgniarki, perfuzjonistka, kardiolog Aaron Levi i Abby.

Przewieziono Ninę Voss do sali operacyjnej numer trzy.

O pierwszej trzydzieści nadeszła wiadomość z lotniska Logan International: samolot bezpiecznie wylądował.

Był to sygnał dla chirurgów, by przejść do umywalni. Myjąc ręce, Abby widziała przez szybę salę operacyjną, gdzie reszta zespołu kończyła przygotowania. Pielęgniarki wykladały tace z narzędziami i rozrywały opakowania sterylnych chust. Perfuzjonistka regulowała aparat do krążenia pozaustrojowego. Stażysta z piątego roku z

wyszorowanymi rękami czekał na sygnał, by przygotować pole operacyjne.

Na stole w gąszczu przewodów EKG i plastikowych rurek leżała Nina Voss. Wydawała się nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje. Doktor Zwick stał nad jej głową i mruzczał coś do niej cicho, gdy wstrzykiwał bolus pentobarbitalu do przewodu kroplówki. Zamknęła oczy. Zwick założył jej na usta i nos maskę aparatu tlenowego, kilkoma wprawnymi ruchami wpompował jej do płuc tlen, po czym usunął maskę.

Następna czynność musiała być wykonana bardzo szybko. Pacjentka była teraz nieprzytomna, nie mogła oddychać samodzielnie. Odchyliwszy jej głowę do tyłu, Zwick wsunął do gardła zakrzywiony laryngoskop i wprowadził do tchawicy rurkę intubacyjną. Napęczniony powietrzem mankiet miał utrzymywać rurkę w miejscu. Zwick podłączył ją do respiratora i klatka piersiowa pacjentki zaczęła rytmicznie unosić się i opadać. Wszystko to nie zajęło mu więcej niż trzydzieści sekund.

Włączono światła i skierowano je na stół. W ich jaskrawym blasku Nina Voss wyglądała jak zjawa. Pielęgniarka ściągnęła z niej prześcieradło i odsłoniła sterczące spod bladej skóry żebra i drobne piersi. Stażysta zdezynfekował pole operacyjne, pozostawiając na skórze pacjentki szerokie smugi jodyny.

Po chwili drzwi otworzyły się z impetem i do sali operacyjnej weszli Mark, Archer i Abby, trzymając w górze ociekające wodą ręce. Powitały ich sterylne ręczniki, fartuchy i rękawiczki. Zanim wszyscy się odpowiednio ubrali, Nina Voss była już przygotowana do operacji.

Archer podszedł do stołu.

— Mamy już serce? — spytał.

— Jeszcze czekamy — odparła pielęgniarka.

— Z lotniska Logan jedzie się tu tylko dwadzieścia minut.

— Może utknęli w korku.

— O drugiej nad ranem?

— Chryste... —jęknął Mark. — Brakuje tylko tego, żeby mieli wypadek.

Archer zerknął na monitory.

— Coś takiego zdarzyło się kiedyś w Mayo. Sprowadzono im samolotem nerkę aż z Teksasu. Tuż po wyjeździe z lotniska karetka zderzyła się z ciężarówką. Nerka została zmiażdżona.

A była idealnie dobrana...

— Żarty się pana trzymają — burknął Zwick.

— Hej, czy żartowałbym sobie na taki temat?

Stażysta spojrzął na zegar ścienny.

— Minęły trzy godziny od pobrania serca.

— Cóż... możemy tylko czekać — stwierdził Archer.

W tym momencie zadzwonił telefon. Wszyscy odwrócili głowy, gdy pielęgniarka podniosła słuchawkę. Chwilę później oznajmiła:

— Przesyłka dotarła na miejsce. Kurier zaraz tu będzie.

— W porządku — rzucił Archer. — Tniemy.

Abby stała w takim miejscu, że oglądała operację z boku, w dodatku ramię Marka co chwila zasłaniało jej widok. Archer i Mark pracowali sprawnie i zgodnie, przecinając mostek i odsłaniając powięź.

Na ścianie zabrzączał interkom.

— Przyszedł doktor Mapes ze specjalną przesyłką — poinformowała ich recepcjonistka.

— Właśnie zakładamy rurki — oznajmił Mark. — Niech przyłączy się do zabawy.

Abby spojrzała w kierunku drzwi sali operacyjnej. Widziała przez szybę umywalkę, przy której stał jakiś mężczyzna. Obok niego leżała na wózku niewielka przenośna lodówka, podobna do tej, w której sama przewoziła serce Karen Terrio.

— Doktor Mapes zaraz wejdzie, tylko się przebierze — powiedziała recepcjonistka.

Chwilę później chirurg wszedł do sali, ubrany już w zielony uniform. Był niskim człowiekiem o brwiach neandertalczyka i nosie, który sterczał spod maski jak dziób jastrzębia.

— Witamy w Bostonie — powiedział Archer, podnosząc wzrok na przybysza. — Jestem Bili Archer. A to Mark Hodell.

— Leonard Mapes. Pracuję z doktorem Nichollsem w Wilcox.

— Dobrze się leciało, Len?

— Chętnie bym się czegoś napił.

Archer uśmiechnął się szeroko pod maską.

— Więc co nam przywiozłeś w prezencie, Len?

— Ładne serce. Myślę, że będziecie zadowoleni.

— Rzucę na nie okiem, jak tylko skończę zakładać rurki.

Założenie cewnika do tętnicy wstępującej było pierwszym etapem podłączania pacjentki do krążenia pozaustrojowego. Kontrolowany przez perfuzjonistkę aparat w kształcie pudełka miał czasowo przejąć funkcje serca i płuc, zbierając krew z żył, zaopatrując ją w tlen i pompując z powrotem do tętnicy.

Archer, używając jedwabnych nici, założył dwie koncentryczne podwiązki w ścianie aorty wstępującej. Czubkiem skalpela naciął lekko naczynie, a gdy trysnęła z niego jasna krew, zręcznie wsunął w nacięcie rurkę i zaciągnął szwy. Krwawienie wyraźnie osłabło, a potem zupełnie ustało. Drugi koniec rurki został podłączony do płucoserca.

Asystująca Markowi Abby trzymała rozwieracz, a on zaczął cewnikować żyły.

— W porządku — powiedział główny chirurg, odchodząc od stołu.

— Rozpakujmy nasz prezent.

Pielęgniarka otworzyła przenośną lodówkę i wyjęła narząd, opakowany w dwa foliowe worki. Otworzywszy je, delikatnie zsunęła serce do miski ze sterylnym roztworem soli fizjologicznej.

Archer wziął schłodzone serce do ręki.

— Ładnie wycięte — stwierdził. — Dobrze się spisaliście.

— Dzięki — odparł Mapes.

Główny chirurg palcem w rękawiczce przesunął po powierzchni narządu.

— Tętnice miękkie i gładkie.

— Nie jest trochę za małe? — spytała Abby, spoglądając przez stół.
— Ile ważył dawca?

— Czterdzieści cztery kilogramy — odparł doktor Mapes.

Abby zmarszczyła brwi.

— To był dorosły?

— Kilkunastoletni chłopiec.

Abby dostrzegła cień smutku w oczach Archera i przypomniała sobie, że chirurg ma dwóch nastoletnich synów. Ostrożnie włożył serce z powrotem do zimnego roztworu.

— Nie pozwolimy, żeby się zmarnowało — powiedział i znowu skoncentrował się na Ninie Voss.

Mark i Abby kończyli już cewnikowanie żył. Dwie rurki zaopatrzone na końcach w metalowe koszyczki zostały wsunięte przez nakłucia w przedSIONKACH i przymocowane za pomocą podwiązek z nici chirurgicznej. Krew żylna miała być przez nie kierowana do natleniania.

Pracując teraz razem, Archer i Mark zamknęli dolną i górną żyłę główną, odcinając dopływ krwi do serca.

— Zaciskam aortę — oznajmił Mark, zamykając tętnicę wstępującą.

Serce, mając odcięty dopływ krwi przez żyły i jej odpływ przez tętnice, stało się bezużytecznym workiem. Układ krążenia Niny Voss był teraz całkowicie pod kontrolą perfuzjonistki i jej aparatury. Kontrolowano też temperaturę ciała pacjentki. Oziębiając płyny ustrojowe, można było stopniowo schłodzić ciało do dwudziestu pięciu stopni Celsjusza, doprowadzając je do stanu głębokiej hipotermii. Miało to chronić komórki świeżo wszczepionego mięśnia sercowego i zmniejszało zużycie tlenu przez organizm.

Zwick wyłączył respirator i rytmiczny szum miechów ucichł. Ponieważ pacjentkę podłączono do płucoserca, nie trzeba już było pompować powietrza do płuc.

Mogli rozpocząć transplantację.

Archer przeciął aortę i tętnice płucne. Krew trysnęła na klatkę piersiową pacjentki, zaplamiła posadzkę. Pielęgniarka natychmiast rzuciła na podłogę ręcznik, by ją wytrzeć. Archer pracował dalej, nie

zdając sobie sprawy z tego, że na czoło występują mu krople potu. Rozciął przedsonki. Znów trysnęła krew, tym razem ciemniejsza, opryskując mu fartuch. Włożył rękę po łokieć w głąb klatki piersiowej. Chore serce Niny Voss, blade i zwiotczałe, zostało wyjęte i wrzucone do metalowej misy.

Abby rzuciła okiem na ekran monitora i poczuła strach na widok ciągłej linii odczytu EKG. Ale przecież w klatce piersiowej pacjentki nie było już serca, więc nie mogło być wykresu. Zniknęły wszystkie podstawowe oznaki życia. Nie pracowały płuca. Wycięto serce. A jednak Nina Voss nadal żyła.

Mark wyjął serce dawcy z misy i włożył je do klatki piersiowej pacjentki.

— Niektórzy nazywają to robotą hydraulika — powiedział, tak obracając serce, by jego lewa komora znalazła się po właściwej stronie. — Twierdzą, że przypomina to zszywanie wypchanego zwierzęcia, ale jeśli człowiek się przez chwilę zdekongruje, można wszczepić serce na odwrót.

Stażysta roześmiał się.

— To wcale nie jest zabawne — mruknął Mark. — Takie rzeczy się zdarzają.

— Roztwór soli — powiedział Archer i pielęgniarka polała serce zimnym płynem, aby je schłodzić, gdyż powietrze w sali było rozgrzane od lamp.

— Jest też wiele innych zagrożeń — dodał Mark, wbijając igłę w lewy przedsonnek. — Alergiczna reakcja na leki. Powikłania z powodu znieczulenia. Ale zawsze winien jest chirurg.

— Mocno krwawi — stwierdził Archer. — Ssanie, Abby.

Rozległ się syk aparatu do odsysania krwi, po czym zaległa pełna napięcia cisza, gdy chirurdzy zaczęli pracować szybciej. Słychać było jedynie szum pompy do natleniania krwi i trzask zamykających się przy zakładaniu każdego szwu żąbkowanych zacisków. Chociaż Abby co chwila odsysała krew, było jej tak dużo, że zalewała płachty i kapała na

podłogę. Ręczniki u ich stóp były już nią całe przesiąknięte. Lekarze kopnęli je na bok i rzucono na podłogę nowe. Archer odłożył igłę.

— Zespolenie prawego przedsionka gotowe.

— Cewnik perfuzyjny — polecił Mark.

Pielęgniarka podała mu cewnik. Wsunął go do lewego przedsionka i wstrzyknął roztwór soli o temperaturze czterech stopni Celsjusza. Przepływ zimnej cieczy ochłodził komorę i usunął z niej powietrze.

— W porządku — oświadczył Archer, układając serce tak, by móc dokonać zespolenia tętnicy głównej. — Podłączmy te rurki.

Mark spojrział na ścienny zegar.

— No, no. Kończymy przed czasem, panowie.

Zabrzączał interkom i znów odezwała się recepcjonistka:

— Pan Voss chce wiedzieć, jak przebiega operacja jego żony.

— Wszystko dobrze! — zawołał Archer. — Żadnych komplikacji.

— Jak pan sądzi, ile to jeszcze potrwa?

— Około godziny. Proszę mu powiedzieć, żeby cierpliwie czekał.

Interkom się wyłączył. Archer spojrział przez stół na Marka.

— Ten facet działa mi na nerwy — mruknął.

— Voss?

Archer przekłuwał igłą lśniąca ścianę tętnicy.

— Lubi o wszystkim decydować. Ale gdybym miał tyle forsy co on, pewnie też bym się tak zachowywał.

— Skąd on ma pieniądze? — spytał stażysta.

Archer spojrział na niego zaskoczony.

— Nie słyszał pan o Victorze Vossie z VMI International?

Ma udziały we wszystkim, od przemysłu chemicznego po robotykę.

— Litera V w VMI oznacza Vossa?

— Właśnie. — Archer założył ostatni szew. — Tętnica gotowa. Można zdjąć zaciski.

— Wyjmujemy cewnik perfuzyjny — powiedział Mark, po czym zwrócił się do Abby: — Przygotuj przewody stymulatora do założenia.

Archer wziął z tacy nową igłę i zaczął zespalać tętnicę płucną. Właśnie kończył szycie, gdy zauważył, że serce drgnęło.

— Spójrzcie tylko! — powiedział. — Jest zimne jak lód, a już się kurczy. Rwie się do życia.

— Przewody stymulatora podłączone — oznajmił Mark.

— Podajemy izuprel — oznajmił Zwick. — Dwa mikrogramy.

Przyglądali się i czekali, aż izuprel zacznie działać. Jednak serce nie zaczęło pulsować. Leżało nieruchome jak zwiotczały worek.

— No, dalej... — mruknął Archer. — Nie zawieźdź mnie.

— Defibrylator? — spytała pielęgniarka.

— Nie, dajmy mu szansę.

Serce napęczniało do rozmiarów pięści, po czym znów zwiotczało.

— Zwiększamy dawkę izuprelu do trzech mikrogramów — oświadczył Zwick.

Nastąpił jeszcze jeden skurcz i nic więcej.

— Pobudźmy je jeszcze trochę — rzekł Archer.

— Cztery mikrogramy — powiedział Zwick, nastawiając dozownik kroplówki.

Serce napięło się i rozluźniło — wykonało jeden skurcz i zwiotczało.

Zwick patrzył na monitor. Na ekranie pojawił się wreszcie wykres QRS.

— Tętno pięćdziesiąt. Sześćdziesiąt cztery. Siedemdziesiąt...

— Miareczkujmy do stu dziesięciu — zdecydował Mark.

— Właśnie to robię — odparł Zwick, zwiększając dawkę izuprelu.

Archer odwrócił się do pielęgniarki.

— Proszę przekazać przez interkom do sali pooperacyjnej, że zaraz kończymy.

— Tętno sto dziesięć — oznajmił Zwick.

— W porządku — mruknął Mark. — Odłączamy ją od płucoserca. Wyciągamy rurki.

Zwick wyłączył aparaturę. Wszyscy obecni na sali odetchnęli z ulgą.

— Miejmy tylko nadzieję, że przeszczep nie zostanie od rzucony — powiedział Mark.

— Doktorze Mapes, na ile zgodne były wyniki testów? — spytał Archer i odwrócił się.

Jednak za nim nikogo nie było.

Abby była tak skoncentrowana na operacji, że nie zauważyła zniknięcia człowieka, który przywiózł serce dla Niny Voss.

— Wyszedł jakieś dwadzieścia minut temu — wyjaśniła jedna z pielęgniarek.

— Tak po prostu?

— Może musiał zdążyć na samolot?

— Nawet nie miałem okazji uścisnąć mu dłoni — powiedział Archer, po czym z powrotem odwrócił się do leżącej na stole pacjentki. — No dobrze. Zaszywajmy.

—

Rozdział siódmy

Nadia miała już dosyć. Męczyło ją ciągle marudzenie tych dzieciaków, ich niemające końca żądania i niespożyta energia, którą rozładowywali w nieustannych przepychankach. A teraz jeszcze choroba morska. Gregor chorował tak samo jak chłopcy. Podczas sztormowej pogody na Morzu Północnym, gdy kadłub statku uderzał o fale jak młot w kowadło, wszyscy leżeli wycieńczeni na swoich kojach, a odgłosy ich niedyspozycji docierały nawet na wyższe pokłady. W takie dni w mesie było ciemno i pusto, po korytarzach nikt nie chodził i statek przypominał wielki skrzypiący okręt widmo, sterowany przez upiory.

Jaków nigdy dotąd tak dobrze się nie bawił.

W ogóle nie miał mdłości i włóczył się swobodnie po całym statku. Nikt mu w tym nie przeszkadzał, a załogę najwyraźniej cieszyła jego obecność. Odwiedzał mechanika Kubiczewa w maszynowni i przy wtórze zgrzytających tłoków grali w szachy. Czasem Jaków wygrywał. Kiedy był głodny, szedł do kambuza, gdzie kucharz Lubi częstował go herbatą, barszczem i miodownikiem — aromatycznym ciastem z jego ojczystej Ukrainy. Niewiele mówił, ograniczał się do pytań w rodzaju: „Jeszcze?” albo „Wystarczy, co?”, ale jedzenie, które podawał, zastępowało wszelkie słowa. Jaków zwiedził też zakurzoną ładownię, pokój radiooperatora z mnóstwem gałek i przełączników oraz pokład z przykrytymi brezentem łodziami ratunkowymi, w których można było

się ukryć. Jedynym miejscem, do którego nie mógł dotrzeć, była rafa. Nie potrafił znaleźć korytarza, który by tam prowadził.

Najbardziej lubił przebywać na mostku. Kapitan Dibrow i nawigator zawsze witali go przyjaznymi uśmiechami i pozwalali mu siedzieć przy stole z mapą. Palcem wskazującym swojej jedynej ręki wykreślał na niej przebytą drogę: z portu w Rydze, przez Bałtyk, obok Malmo i Kopenhagi, wokół wybrzeży Danii, a potem po Morzu Północnym, z którego wyrastały platformy wiertnicze Montrose, Forties i Piper. Okazało się większe, niż sobie wyobrażał. Wcale nie przypominało błękitnej sadzawki, jak na mapie. Płynęli po nim przez dwa dni. A wkrótce, jak powiedział mu nawigator, mieli znaleźć się na jeszcze większym morzu, na Oceanie Atlantyckim.

— Oni tego nie dożyją — stwierdził Jaków.

— Kto?

— Nadia i chłopcy.

— Oczywiście, że dożyją—odparł nawigator. — Na Morzu Północnym wszyscy chorują. Po jakimś czasie ich żołądki się przyzwyczajają. To sprawa błędnika, czyli ucha wewnętrznego.

— Co ucho ma wspólnego z żołądkiem?

— Rejestruje ruchy. Jeśli są zbyt gwałtowne, dochodzi do zaburzeń.

— Dlaczego?

— Nie bardzo wiem. Ale tak to działa.

— Ja nie choruję. Czy mój błędnik jest jakiś inny?

— Musisz być urodzonym żeglarzem.

Jaków spojrział na kikut swojej lewej ręki i pokręcił głową.

— Nie sądzę.

Nawigator uśmiechnął się.

— Masz bystry umysł, a to o wiele ważniejsze. Tam, dokąd płyniesz, będzie ci bardzo potrzebny.

— Dlaczego?

— W Ameryce mądrzy ludzie się bogacą. Chcesz być bogaty, prawda?

— Sam nie wiem.

Nawigator i kapitan roześmiali się.

— Może jednak ten chłopak wcale nie jest taki mądry — mruknął kapitan.

Jaków popatrzył na nich bez uśmiechu.

— To był tylko żart — powiedział nawigator.

— Wiem.

— Czemu ty się nigdy nie śmiejesz, chłopcze?

— Nie mam na to ochoty.

Kapitan pokręcił głową.

— Cholerny mały szczęściarz płynie do jakiejś bogatej rodziny w Ameryce i nie ma ochoty się śmiać? Co się z nim dzieje?

Jaków wzruszył ramionami, po czym znów utkwił wzrok w mapie.

— I nigdy nie płaczę.

Aleksiej leżał skulony na dolnej koi, przyciskając do piersi Szu-Szu. Obudził się nagle, gdy Jaków usiadł na materacu.

— Kiedy wreszcie wstaniesz? — spytał Jaków.

Chłopiec zamknął oczy.

— Mdli mnie.

— Lubi zrobić na kolację knedle z baraniną. Zjadłem dziewięć.

— Nawet mi o tym nie mów.

— Nie jesteś głodny?

— Oczywiście, że jestem. Ale nie mogę jeść.

Jaków westchnął i rozejrzał się po kajucie. Było tam osiem koi i sześć z nich zajmowali chłopcy, zbyt chorzy, by mieć ochotę na jakąkolwiek zabawę. Odwiedził już sąsiednie kajuty i stwierdził, że pozostali są równie niedysponowani. Czy tak miało być podczas całego rejsu przez Atlantyk?

— To wszystko z powodu błędniaka — powiedział.

— O czym ty mówisz? — jęknął Aleksiej.

— O twoim uchu wewnętrznym. To przez nie masz chory żołądek.

— Moje uszy są w porządku.

— Chorujesz od czterech dni. Musisz wstać i coś zjeść.

— Och, daj mi spokój.

Jaków chwycił Szu-Szu i wyszarpnął go Aleksiejowi z rąk.

— Oddaj mi go! —jęknął chłopiec.

— Sam sobie weź.

— Natychmiast go oddaj!

— Najpierw wstań. No już. — Jaków odskoczył od koi, gdy młodszy kolega bezskutecznie próbował sięgnąć po swojego pluszowego pieska.
— Lepiej się poczujesz, jak wyjdiesz z łóżka.

Aleksiej podniósł się. Przez chwilę siedział skulony na krawędzi materaca, kołysząc głową na boki przy każdym ruchu statku. Nagle przyłożył dłoń do ust, zerwał się na równe nogi, pognął w drugi koniec kajuty i zwymiotował do umywalki. Kiedy wrócił, jęcząc, wczołgał się z powrotem na koję.

Jaków oddał mu Szu-Szu. Aleksiej przytulił pluszowego psa do piersi.

— Mówiłem ci, że jestem chory. Idź sobie.

Jaków opuścił kajutę i wyszedł na korytarz. Zapukał do kabiny Nadii. Nie było odpowiedzi. Przeszedł do kabiny Gregora i także do niej zapukał.

— Kto tam? — warknął głos zza drzwi.

— To ja, Jaków. Ty też jeszcze chorujesz?

— Spieprzaj stąd.

Chłopiec ruszył dalej. Przez jakiś czas włóczył się po statku. Lubi poszedł już spać, a kapitan i nawigator byli zbyt zajęci, żeby z nim rozmawiać. Jak zwykle został sam.

Zszedł na dół, do maszynowni, by odwiedzić Kubiczewa.

Zaczęli grać w szachy. Jaków wykonał pierwszy ruch, przesuwając pionek w stronę króla.

— Był pan kiedyś w Ameryce? — spytał maszynistę, prze krzykując łoskot tłoków.

— Dwa razy — odparł Kubiczew, popychając do przodu pionek stojący przy królowej.

— Podobało się tam panu?

— Trudno powiedzieć. Zawsze każą nam siedzieć w kabinie, jak tylko zawijamy do portu, i nigdy nic nie możemy zobaczyć.

— Dlaczego kapitan nie pozwala wam schodzić na brzeg?

— To nie kapitan, tylko ci ludzie z kabiny na rufie.

— Jacy ludzie? Nigdy ich nie widziałem.

— Nikt ich nie widuje.

— Więc skąd pan wie, że tam są?

— Spytaj Lubiego. Gotuje dla nich. Ktoś zjada posiłki, które posyła na rufę. Robisz jakiś ruch czy nie?

Jaków w skupieniu przesunął do przodu kolejny pionek.

— Czemu po prostu sam pan nie zejdzie ze statku, kiedy dopłyniemy na miejsce? — spytał.

— Po co miałbym to robić?

— Żeby zostać w Ameryce i wzbogacić się.

Kubiczew chrząknął.

— Płacą mi dosyć. Nie mogę narzekać.

— Ile pan dostaje?

— Jesteś zbyt wścibski.

— Dużo?

— Znacznie więcej, niż kiedykolwiek zarabiałem. A muszę tylko pływać tam i z powrotem po tym cholernym Atlantyku.

Jaków wykonał ruch królową.

— Więc to taka dobra praca? Wszyscy mechanicy na statkach tyle zarabiają?

— Głupio zagrałeś, wystawiając królową. Po co to robisz?

— Wypróbuję nowe ruchy. Może powinienem kiedyś zostać mechanikiem okrętowym?

— Lepiej nie.

— Przecież pan dużo zarabia.

— Tylko dlatego, że pracuję w spółce Sigajewa. Oni dobrze płacą.

— Dlaczego?

— Bo trzymam język za zębami.

— Czemu tego wymagają?

— Skąd mam wiedzieć, do cholery? — Kubiczew wyciągnął rękę nad szachownicą. — Mój skoczek bije twoją królową.

Widzisz, mówiłem ci, że to głupi ruch.

— To był eksperyment — wyjaśnił Jaków.

— Cóż, mam nadzieję, że czegoś cię nauczył.

Kilka dni później Jaków spytał nawigatora:

— Co to jest spółka Sigajewa?

Mężczyzna popatrzył na niego zaskoczony.

— Od kogo o niej słyszałeś?

— Od Kubiczewa.

— Nie powinien być nic na ten temat mówić.

— Więc od pana też się niczego nie dowiem — stwierdził Jaków.

— Właśnie.

Chłopiec przez chwilę milczał i przyglądał się, jak nawigator obsługuje swój sprzęt elektroniczny. Na niewielkim ekranie wyświetlały się małe liczby, które mężczyzna zapisywał w księdze, a potem patrzył na mapę.

— Gdzie jesteśmy? — spytał Jaków.

— Tutaj. — Nawigator wskazał niewielki znak X na mapie.

Narysowano go na środku oceanu.

— Skąd pan to wie?

— Odczytuję z ekranu współrzędne. Szerokość i długość geograficzną. Widzisz?

— Trzeba być bardzo mądrym, żeby zostać nawigatorem, prawda?

— Bez przesady. — Mężczyzna przesunął teraz po mapie dwie plastikowe linijki. Były połączone ze sobą małymi zawiasami. Po chwili złożył je razem i odsunął na brzeg mapy.

— Czy robicie coś nielegalnego? — spytał Jaków.

— Słucham?

— Czy dlatego nie wolno wam o tym mówić?

Nawigator westchnął.

— Odpowiadam tylko za to, żeby bezpiecznie przeprowadzić ten statek z Rygi do Bostonu i z powrotem.

– Zawsze przewozicie sieroty?

– Nie. Zwykle mamy ładunek. Skrzynie. Nie pytam, co w nich jest.

Nie zadaję pytań.

– Więc to może być coś nielegalnego.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Ależ z ciebie mały czort!

Znów zaczął notować, wypisując kolumny liczb. Chłopiec przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, po czym spytał:

– Myśli pan, że naprawdę ktoś mnie adoptuje?

– Oczywiście, że tak.

Jaków uniósł do góry kikut ręki.

– Nawet pomimo tego?

Nawigator spojrzał na niego i chłopiec dostrzegł w jego oczach cień współczucia.

– Jestem pewien, że ktoś cię adoptuje.

– Skąd pan to wie?

– Ktoś zapłacił za twoją podróż, prawda? Załatwił ci papiery.

– Nigdy ich nie widziałem. A pan?

– To nie moja sprawa. Mam tylko doprowadzić ten statek do Bostonu. A ty lepiej wracaj do pozostałych chłopców.

No, już!

– Oni wciąż chorują.

– No to pobaw się gdzie indziej.

Jaków niechętnie opuścił mostek i wyszedł na pokład. Nie było tam nikogo. Stał przy relingu i wpatrywał się w wodę, rozpryskując się na dziobie. Pomyślał o rybach pływających gdzieś w dole w tej szarej, mętnej otchłani i nagle poczuł, że nie może oddychać. Nie ruszył się jednak z miejsca. Pozostał przy relingu, trzymając się go kurczowo jedyną ręką i z przerażeniem wbijając wzrok w lodowatą otchłań. Strach był uczuciem, którego od dawna nie doświadczał.

Jednak w tym momencie niemal go sparaliżował.

Rozdział ósmy

Przez dwie kolejne noce miała ten sam sen. Pielęgniarki powiedziały jej, że to z powodu leków, które brała — metyloprednizolonu, cyklosporyny i środków przeciwbólowych. Substancje chemiczne mąciły jej umysł. To zrozumiałe, że po tylu dniach spędzonych w szpitalu męczyły ją koszmary. Jak wszystkich. Nie było się czym martwić. Złe sny w końcu znikną.

Ale tego ranka, leżąc na oddziale intensywnej terapii, Nina Voss wiedziała już, że ten koszmar nigdy się nie skończy. Stał się częścią jej życia. Podobnie jak nowe serce.

Ostrożnie dotknęła ręką bandażu na piersi. Od operacji minęły dwa dni i choć ból powoli ustępował, nadal budził ją w nocy, przypominając o prezencie, który otrzymała. To było zdrowe, silne serce. Wiedziała to już następnego dnia po operacji. Podczas długich miesięcy choroby zdążyła zapomnieć, co to znaczy mieć silne serce. Chodzić, nie chwytając spazmatycznie powietrza. Czuć w mięśniach przepływ cieplej, życiodajnej krwi. Patrzeć na swoje palce i podziwiać ich różowy kolor. Tak długo żyła, w każdej chwili spodziewając się śmierci — pogodzona z nią— że życie stało się jej obce. Ale teraz widziała je w swoich dłoniach. Czuła w opuszkach palców.

I w biciu nowego serca.

Wciąż jednak miała wrażenie, że to serce nie należy do niej. Może tak już musiało być.

Jako dziewczynka często donoszała ubrania po starszej siostrze. Porządne wełniane swetry Caroline, prawie nieużywane wieczorowe sukienki. Choć stawały się jej własnością, zawsze uważała je za rzeczy siostry. Wjej świadomości były to ciągle sukienki i spódnice Caroline.

A czyje ty jesteś? — pomyślała, znowu dotykając delikatnie piersi.

W południe przyszedł do niej Victor.

— Znow miałam ten sen — powiedziała mu. — Ten o chłop cu. Był taki wyraźny! Kiedy się obudziłam, nie mogłam powstrzymać łez.

— To tylko te sterydy, kochanie — uspokajał ją mąż. — Ostrzegali cię przed ich ubocznym działaniem.

— Myślę, że to coś znaczy. Nie rozumiesz? Mam w sobie jego serce. Ciągle żywe. Czuję jego obecność...

— Ta pielęgniarka niepotrzebnie ci powiedziała, że dawcą był chłopiec.

— Spytałam ją.

— Mimo wszystko źle zrobiła. Nikomu to nie pomoże. Ani tobie, ani temu chłopcu.

— Nie — przyznała cicho. — Jemu to już nie pomoże. Ale jeśli miał jakąś rodzinę...

— Z pewnością nie chcą, by im o tym przypominano.

Zastanów się, Nino. Nie bez powodu wszystko załatwiono w tajemnicy.

— Czy to byłoby takie niestosowne, wysłać tej rodzinie list z podziękowaniami? Całkowicie anonimowy. Tylko zwykłe...

— Nie, Nino. Absolutnie nie.

Oparła się o poduszki. Znowu głupio się zachowywała. Victor miał rację. Jak zawsze.

— Cudownie dziś wyglądasz, kochanie — powiedział. — Siadałaś już na krześle?

— Dwa razy — odparła.

Wydało jej się nagle, że w pokoju jest bardzo, bardzo zimno.

Pete siedział na krześle przy łóżku Abby, wpatrując się w nią. Był w niebieskim mundurku skauta, z naszywkami na rękawach i zwisającymi

z kieszeni na piersi plastikowymi paciorkami, otrzymywanymi za różne osiągnięcia. Nie miał czapki. Gdzie ją zgubił? — zastanawiała się Abby. Nagle przypomniała sobie, że czapka zaginęła w dniu wypadku Pete'a, że razem z siostrami szukała jej bezskutecznie przy drodze obok zmiądnzonego roweru.

Dawno jej nie odwiedzał. Ostatni raz przyszedł do niej tej nocy, gdy wyjeżdżała na studia. Kiedy się zjawiał, zawsze było tak samo. Siedział, patrzył na nią i nic nie mówił.

— Gdzie byłeś, Pete? — spytała. — Po co przyszedłeś, skoro się nie odzywasz?

Przyglądał się jej tylko. Miał nieme spojrzenie i nieruchome usta. Kołnierzyk jego niebieskiej koszuli był wykrochmalony i sztywny, taki jak wtedy, gdy ich matka wyprasowała mu go na pogrzeb. Odwrócił głowę i spojrzał w kierunku sąsiedniego pokoju, jakby wsłuchiwał się w muzykę. Zaczął drżeć jak poruszona woda.

— Co mi chciałeś powiedzieć? — spytała.

Woda zaczęła się burzyć i pienić pod wpływem muzyki, a potem wszystko zniknęło. Pozostała tylko ciemność. I dźwięk telefonu. Abby sięgnęła po słuchawkę.

— DiMatteo — odezwała się.

— Dzwonię z oddziału intensywnej terapii. Myślę, że powin na pani tu zejść.

— Co się dzieje?

— Chodzi o panią Voss z łóżka numer piętnaście. Przeszczep serca. Ma gorączkę, trzydzieści osiem i sześć.

— A co z innymi podstawowymi funkcjami?

— Ciśnienie: sto na siedemdziesiąt. Tętno: dziewięćdziesiąt sześć.

— Już schodzę. — Abby odłożyła słuchawkę i zapaliła lampę. Była druga w nocy. Stojące obok łóżka krzesło było puste. Nie siedział na nim Pete. Stękając, pokuśtykała do umywalki i ochlapała sobie twarz zimną wodą. Czowała się, jakby była znieczulona. Obudź się, obudź, mówiła do siebie w myślach. Musisz wiedzieć, do cholery, co robisz. Gorączka pooperacyjna. Trzy dni po przeszczepie. Przede wszystkim

trzeba obejrzyć ranę. Zbadać płuca i żołądek. Zlecić rentgen klatki piersiowej i kazać zrobić posiew.

I zachować zimną krew.

Nie mogła sobie pozwolić na żadne błędy. Nie teraz i z pewnością nie w przypadku tej pacjentki.

Od trzech dni przychodziła co rano do szpitala, nie wiedząc, czy nadal ma pracę. Każdego popołudnia o siedemnastej oddychała z ulgą, że przetrwała kolejną dobę. Z każdym mijającym dniem kryzys wydawał się mniej poważny, a groźby Parra bardziej odległe. Wiedziała, że Wettig jest po jej stronie, Mark również. Z ich pomocą być może — ale tylko być może — zachowa pracę. Nie chciała dawać Parrowi żadnego powodu, by mógł zakwestionować jej zawodowe umiejętności, więc wszystko robiła ze szczególną dokładnością, wielokrotnie sprawdzała wyniki badań laboratoryjnych oraz diagnozy. I starała się z daleka omijać salę, w której leżała Nina Voss. Kolejne burzliwe spotkanie z Victorem Vossem było ostatnią rzeczą, której potrzebowała.

Teraz jednak Nina Voss miała gorączkę, a Abby pełniła dyżur. Nie mogła się uchylać od wykonywania obowiązków.

Założyła tenisówki i wyszła z dyżurki.

Późną nocą szpital wyglądał nieco surrealistycznie. Korytarze są puste, światła zbyt jaskrawe i zmęczonym oczom wydaje się, że białe ściany tworzą kręte ruchome tunele. Szła teraz jednym z nich, czując odrętwienie w całym ciele i nie mogąc zebrać myśli. Tylko jej serce zareagowało już w pełni na sytuację kryzysową — waliło jak młotem.

Skręciła za róg, na oddział intensywnej terapii.

Światła w nocy przygaszono. W dyżurce pielęgniarek na szesnastu ekranach pulsowały w półmroku elektroniczne wykresy pracy serc szesnaściorga pacjentów. Abby wystarczył jeden rzut oka na monitor numer piętnaście, by przekonać się, że pani Voss ma przyspieszone tętno. Sto uderzeń na minutę.

Zadzwonił telefon. Pielęgniarka podniosła słuchawkę i powiedziała:

— To doktor Levi. Chce rozmawiać z dyżurnym lekarzem.

— Odbiorę — odparła Abby, sięgając po słuchawkę. — Halo, doktorze Levi? Mówi Abby DiMatteo.

Zaległa cisza.

— Ma pani nocny dyżur? — spytał z wyraźnym niepokojem w głosie. Natychmiast zrozumiała powód jego obaw. Była ostatnią osobą, której chciałby oddawać pod opiekę Ninę Voss.

Ale tej nocy nie miał wyjścia. Była lekarzem dyżurnym.

— Zamierzałam właśnie zbadać panią Voss — oświadczy ła. — Ma gorączkę.

— Tak, zawiadomiono mnie o tym.

Starając się, by ich rozmowa miała czysto profesjonalny charakter, powiedziała spokojnie:

— Zrobię, co należy. Zbadam ją, zlecę badania krwi i moczu, posiew i zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej. Jak tylko będą wyniki, zadzwonię do pana.

— W porządku — odparł. — Będę czekał na telefon.

Abby włożyła fartuch i weszła do izolatki Niny Voss. Pozostawiono tam włączoną pojedynczą lampę, która słabo świeciła nad łóżkiem. W jej nikłym blasku włosy chorej srebrzyły się na poduszce. Miała przymknięte powieki i dłonie złożone na piersi, jakby leżała na katafalku. Księżniczka w trumnie, pomyślała Abby.

Podeszła do brzegu łóżka i powiedziała cicho:

— Pani Voss?

Nina otworzyła oczy i powoli skoncentrowała wzrok na Abby.

— Słucham?

— Jestem doktor DiMatteo — przedstawiła się Abby. — Odbywam staż na chirurgii. — Zobaczyła w oczach kobiety błysk zrozumienia. Zna moje nazwisko, pomyślała. Wie, kim jestem. Hieną cmentarną. Złodziejem narządów.

Nina Voss nic nie mówiła, patrzyła tylko na nią.

— Ma pani gorączkę — wyjaśniła Abby. — Musimy się dowiedzieć, dlaczego. Jak się pani czuje, pani Voss?

— Jestem... zmęczona. To wszystko — wyszeptała kobie ta. — Tylko zmęczona.

— Muszę obejrzyć pani ranę — powiedziała Abby.

Włączyła światła i ostrożnie zsunęła bandaż z klatki piersiowej pacjentki. Rana wyglądała czysto, nie było żadnego zaczerwienienia ani opuchlizny. Abby wyjęła stetoskop i kontynuowała badanie. Płuca pracowały normalnie. Obmacała żołądek. Zajrzała chorej do uszu, nosa i gardła. Nie znalazła nic niepokojącego, nic, co mogłoby powodować gorączkę. Nina przez cały czas milczała, obserwując każdy jej ruch.

W końcu Abby wyprostowała się i stwierdziła:

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Ale gorączka musi mieć jakąś przyczynę. Zrobimy zdjęcie klatki piersiowej i pobierzemy trzy próbki krwi na posiew. — Uśmiechnęła się przepraszająco. — Obawiam się, że dziś pani dużo nie pośpi.

Nina pokręciła głową.

— I tak niewiele śpiam. Ciągłe męczą mnie te sny...

— Koszmary?

Kobieta wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła.

— Śni mi się ten chłopiec.

— Jaki chłopiec, pani Voss?

— Ten. — Przytknęła lekko dłoń do piersi. — Powiedzieli mi, że to serce chłopca. Nie wiem nawet, jak miał na imię. Ani jak umarł. Wiem tylko, że to był chłopiec. — Spojrzała na Abby. — Nie myślę się, prawda?

Abby kiwnęła głową.

— Tak słyszałam na sali operacyjnej.

— Była pani przy operacji?

— Asystowałam doktorowi Hodellowi.

Na ustach Niny pojawił się nikły uśmiech.

— Dziwne, że znalazła się tam pani po tym, jak... — Przerwała w pół zdania.

Przez chwilę obie milczały: Abby z poczucia winy, a Nina Voss... z jakiego właściwie powodu? Dlatego że doszło do ich spotkania, choć nie

powinno? Abby przygasiła światła. W izolatce znów zapanował grobowy półmrok.

— Ma pani na myśli to, co zdarzyło się kilka dni temu? — zapytała Abby. — Tamto pierwsze serce... — Odwróciła wzrok, nie mogąc patrzeć tej kobiecie w oczy. — W szpitalu był bardzo chory chłopiec. Siedemnastolatek. Chłopcy w tym wieku marzą o samochodach albo dziewczynach. Ale on chciał tylko wrócić do domu, Nic więcej. — Westchnęła ciężko. — Nie mogłam obojętnie czekać na jego śmierć. Nie znałam pani, pani Voss. To nie pani leżała tam na łóżku, tylko on. Musiałam dokonać wyboru. — Zamrugnęła oczami, czując łzy na rzęsach.

— Przeżył?

— Tak. Przeżył.

Nina kiwnęła głową i ponownie dotknęła ręką piersi. Sprawiała wrażenie, jakby rozmawiała ze swoim sercem. Jakby go słuchała, przekazywała mu jakieś informacje.

— Ten chłopiec również żyje — stwierdziła. — Wyraźnie czuję w sobie jego serce. Każde uderzenie. Niektórzy ludzie wierzą, że w sercu zamieszkuje dusza. Może uważają tak jego rodzice. O nich też często myślę. Musi im być bardzo ciężko.

Nigdy nie miałam syna. Nie miałam dziecka. — Zacisnęła leżącą na piersi dłoń w pięść. — Nie sądzi pani, że rodzice chłopca odczuliby ulgę, wiedząc, że jego serce wciąż żyje?

Gdyby był moim synem, chciałabym to wiedzieć. Bardzo bym chciała — dodała Nina i rozplakała się.

Abby wzięła ją za rękę, a ona mocno ścisnęła jej dłoń, rozgorączkowana i spragniona kontaktu. W jej oczach jaśniał dziwny ogień. Gdybym znała cię wcześniej, pomyślała Abby, gdybym widziała, jak umierasz na jednym łóżku, a Josh O'Day na drugim, kogo bym wybrała?

Nie mam pojęcia.

Po zielonym ekranie przesuwał się ruchomy punkt. Serce anonimowego chłopca, uderzając sto razy na minutę, pompowało krew do żył leżącej na łóżku kobiety.

Trzymając dłoń Niny Voss, Abby czuła powolne i równomierne pulsowanie.

Nie było to tętno pacjentki, lecz jej własne.

Minęło dwadzieścia minut, zanim przywieziono przenośny aparat rentgenowski i wykonano zdjęcie, a potem kolejny kwadrans, nim Abby dostała wywołaną kliszę. Obejrzała ją na podświetlanym ekranie, by sprawdzić, czy pacjentka nie ma zapalenia płuc. Nic na to nie wskazywało.

Była trzecia nad ranem. Zadzwoiła do domu Aarona Leviego.

Telefon odebrała jego żona. Miała zaspany głos.

— Halo?

— Elaine, mówi Abby DiMatteo. Przepraszam, że niepokoję panią o tej porze. Mogę rozmawiać z Aaronem?

— Pojechał do szpitala.

— Dawno?

— Hm... Zaraz po drugim wezwaniu. Nie ma go tam?

— Nie widziałam go — odparła Abby.

W słuchawce zaległa cisza.

— Wyszedł z domu godzinę temu — powiedziała Elaine. — Powinien być już na miejscu.

— Wyślę mu sygnał. Niech pani się nie martwi, Elaine — powiedziała Abby, odłożyła słuchawkę, po czym wykrciła numer pagera Aarona i czekała, aż zadzwoni telefon.

Do trzeciej piętnaście nie było odpowiedzi.

— Doktor D., właśnie pobrałam ostatnią próbkę krwi — poinformowała ją Sheila, pielęgniarka Niny Voss. — Zleca pani coś jeszcze?

Co przeoczyłam? — zastanawiała się Abby. Pochyliła się nad biurkiem, masując skronie i starając się zachować jasność umysłu.

Zebrać myśli. Gorączka pooperacyjna. Gdzie mogło być źródło infekcji? Co pominęła?

— A może to ten przeszczepiony narząd? — podsunęła pielęgniarka.

Abby uniosła wzrok.

— Serce?

— Sama nie wiem... Ale to chyba mało prawdopodobne.

— Co masz na myśli, Sheilo?

Pielęgniarka zawahała się.

— Tutaj nigdy się to nie zdarzyło. Ale zanim zatrudniono mnie w Bayside, pracowałam przy transplantacji nerek w Mayo.

Kiedyś po przeszczepie biorca nerki dostał gorączki pooperacyjnej. Poznaliśmy źródło infekcji dopiero wtedy, gdy umarł.

Okazało się, że to grzybica. Odszukano kartę dawcy i stwierdzono, że miał pozytywne wyniki posiewów krwi, ale przyszły dopiero tydzień po pobraniu nerki do przeszczepu. Dla biorcy było już wtedy za późno.

Abby zastanawiała się nad tym przez chwilę. Spojrzała na rząd monitorów i tańczący po ekranie punkt świetlny, który pokazywał pracę serca pacjentki z łóżka numer piętnaście.

— Gdzie są przechowywane informacje na temat dawców? — spytała.

— Pewnie w biurze koordynatorki na parterze. Klucz ma przełożona pielęgniarek.

— Możesz ją poprosić o wydanie mi tych akt?

Ponownie otworzyła kartę Niny Voss. Spojrzała na arkusz dawcy z Banku Narządów Nowej Anglii — formularz, który dostarczono razem z sercem z Vermont. Była tam odnotowana grupa krwi AB zero, wyniki testów na HIV, WR oraz długa lista badań laboratoryjnych dotyczących różnych infekcji wirusowych. Nazwiska dawcy nie podano.

Kwadrans później zadzwonił telefon. Była to przełożona pielęgniarek.

— Nie mogę znaleźć akt dawcy — oznajmiła.

— Nie ma ich pod nazwiskiem Niny Voss?

— Akta są segregowane według numerów przydzielanych biorcom. Ale pod numerem pani Voss niczego nie znalazłam.

— Może włożono je w niewłaściwe miejsce?

— Przejrzałam również wszystkie karty dotyczące prze szczepów nerek i wątroby. I dwukrotnie sprawdzałam numer biorcy. Jest pani pewna, że nie macie tych akt u siebie na oddziale?

— Poproszę, żeby poszukali. Dziękuję — odparła Abby, po czym odłożyła słuchawkę.

Westchnęła ciężko. Szukanie zaginionej dokumentacji. Była to ostatnia rzecz, jaką miała ochotę się zajmować w środku nocy. Spojrzała na półkę, na której trzymano teczki z dokumentami dotyczącymi poprzednich hospitalizacji pacjentów przebywających w tej chwili na oddziale. Jeśli brakujące akta były gdzieś między nimi, mogła ich szukać godzinę.

Ale przecież może zadzwonić bezpośrednio do szpitala, w którym pobrano narząd. Sprawdź w swoich rejestrach i podadzą jej informacje o stanie zdrowia dawcy i wynikach testów laboratoryjnych.

Znalazła numer telefonu Wilcox Memoriał, zadzwoniła tam i poprosiła o rozmowę z przełożoną pielęgniarek.

Chwilę później odezwał się kobiecy głos:

— Gail DeLeon, słucham?

— Doktor DiMatteo — przedstawiła się Abby. — Dzwonię ze szpitala Bayside w Bostonie. Mamy tu pacjenta po prze szczepie z gorączką pooperacyjną. Wiemy, że serce pochodziło od was. Potrzebuję informacji na temat stanu zdrowia dawcy.

Czy może mi pani podać jego nazwisko?

— Narząd pobrano tutaj?

— Tak. Trzy dni temu. Dawcą był chłopiec. Nastolatek.

— Sprawdzę to i zatelefonuję do pani.

Dziesięć minut później oddzwoniła i zapytała:

— Jest pani pewna, że chodzi o nasz szpital, pani doktor?

Abby spojrzała na kartę Niny.

— Mam tu napisane, że serce dostarczono ze szpitala Wilcox Memoriał, z Burlington w stanie Vermont.

— No tak, to my. Ale w rejestrze nie ma na ten temat żadnej informacji.

— Może pani sprawdzić listę operacji? To było... — Abby spojrzała na formularz. — Dwudziestego czwartego września.

Serce musiano pobrać koło południa.

— Proszę poczekać.

Abby słyszała w słuchawce szelest przewracanych kartek i pochrząkiwanie pielęgniarki. Po chwili kobieta odezwała się ponownie:

— Halo?

— Tak, jestem — odparła Abby.

— Sprawdziłam listę operacji z dwudziestego trzeciego, dwudziestego czwartego i dwudziestego piątego września.

Mieliśmy dwa wyrostki, jeden pęcherzyk żółciowy i dwie cesarki. Ale nie pobrano żadnego narządu do przeszczepu.

— To niemożliwe. Dostaliśmy przecież serce.

— Nie od nas.

Abby przejrzała zapiski pielęgniarek z sali operacyjnej i zauważyła adnotację: 01:05 Przyjechał doktor Leonard Mapes z Wilcox Memoriał.

— Jednym z lekarzy, którzy pobierali narząd, był doktor Leonard Mapes — powiedziała do słuchawki. — To on nam go dostarczył.

— Nie ma u nas nikogo o takim nazwisku.

— Specjalizuje się w chirurgii klatki piersiowej.

— Nie pracuje tu żaden doktor Mapes. O ile mi wiadomo, nie ma takiej osoby w całym Burlington. Nie mam pojęcia, skąd pochodzą pani informacje, ale najwyraźniej są błędne.

Może powinna pani sprawdzić je ponownie.

— Ale...

— Proszę spróbować w innym szpitalu.

Abby powoli odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę siedziała, wpatrując się w telefon. Myślała o Victorze Vossie i jego pieniądzach, o wszystkim, co można za nie kupić.

Zastanawiała się, jakie to dziwne, że tak szybko znalazło się nowe serce dla Niny Voss. Serce nadające się do przeszczepu.

Znowu sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Rozdział dziewiąty

— Na pewno przesadzasz — stwierdził Mark, przeglądając kartą Niny Voss. — Musi być jakieś logiczne wyjaśnienie.

— Chciałabym je poznać — mruknęła Abby.

— Serce pobrano we właściwy sposób. Dostarczono je jak należy, starannie zapakowane. I z odpowiednimi papierami.

— Które teraz najwyraźniej zniknęły.

— O dziewiątej zjawi się koordynatorka do spraw prze szczepów. Spytamy ją o te papiery. Na pewno są gdzieś tutaj.

— Jest jeszcze jedna sprawa, Mark. Dzwoniłam do szpitala, z którego przysłano serce. Nie pracuje tam żaden Leonard Mapes. Podobno nie ma takiego człowieka w całym Burling ton. — Zawiesiła głos, po czym spytała cicho: — Czy naprawdę wiemy, skąd pochodzi to serce?

Mark nic na to nie odpowiedział. Wydawał się zbyt oszołomiony, zbyt zmęczony, by zebrać myśli. Była czwarta piętnaście. Po telefonie Abby zwłókł się z łóżka i przyjechał do Bayside. Gorączka pooperacyjna wymagała natychmiastowej interwencji i, choć ufał diagnozie Abby, chciał osobiście obejrzeć pacjentkę. Teraz siedział w ciemnej dyżurce, czytając akta Niny Voss. Miał przed sobą rząd monitorów, a w jego okularach odbijały się trzy jaskrawozielone wykresy. Pielęgniarki poruszały się w półmroku jak duchy, rozmawiając ze sobą szeptem.

W końcu z westchnieniem zamknął teczkę, zdjął okulary i przetarł oczy.

— Skąd, do cholery, wzięła się ta gorączka? To mnie naprawdę niepokoi.

— Może infekcja przeniosła się z organizmu dawcy?

— Mało prawdopodobne. Nigdy nie widziałem, żeby tak się stało przy przeszczepie serca.

— Ale przecież nic nie wiemy o dawcy. Ani o jego stanie zdrowia. Nie wiemy nawet, z którego szpitala przysłano nam to serce.

— Abby, za bardzo się tym przejmujesz. Wiem, że Archer rozmawiał przez telefon z chirurgiem, który wycinał serce.

Wiem też, że były odpowiednie papiery. Przysłali je w brązowej kopercie.

— Pamiętam, ja też ją widziałam.

— Więc widzieliśmy ją oboje.

— Ale gdzie jest teraz?

— Hej, to ja wtedy operowałem, prawda? Miałem ręce po łokcie we krwi. Nie mogłem pilnować jakiejś cholernej koperty.

— Dlaczego właściwie tożsamość dawcy jest otoczona taką tajemnicą? Nie mamy akt. Nie znamy jego nazwiska.

— To standardowa procedura. Akta dawców zawsze są tajne i trzyma się je osobno, nie z kartą biorcy. W przeciwnym razie rodziny obydwu stron skontaktowałyby się ze sobą. Krewni dawcy oczekiwaliby dozgonnej wdzięczności, a biorca i jego bliscy czuliby się urażeni albo mieli poczucie winy. Powoduje to tylko emocjonalny zamęt. — Mark pokręcił głową. — Tracimy czas. Za parę godzin wszystko się wyjaśni. Lepiej skoncentrujmy się na gorączce.

— W porządku. Ale jeśli są w tej sprawie jakiegokolwiek wątpliwości, Bank Narządów Nowej Anglii na pewno zechce je z tobą wyjaśnić.

— Skąd się o tym dowiedzieli?

— Dzwoniłam do nich. Mają całodobową gorącą linię.

Powiedziałam im, że ty albo Archer skontaktujecie się z nimi.

— Może to załatwić Archer. Powinien tu zaraz być.

— On też tu przyjedzie?

— Martwi go ta gorączka, a nie możemy zlokalizować Aarona. Wysłałaś mu jeszcze raz sygnał?

— Trzy razy. Nie odpowiedział. Elaine mówi, że wyjechał z domu.

— Wiem, że dotarł do szpitala, bo widziałem jego wóz na parkingu. Może zatrzymali go na oddziale. — Mark przekartkował akta Niny Voss do miejsca, gdzie były notatki na temat zaleceń lekarskich. — Zajmę się tym zamiast niego.

Abby spojrzała w głąb izolatki Niny Voss. Pacjentka miała zamknięte oczy, a jej klatka piersiowa wznosiła się i opadała równomiernie.

— Podam antybiotyki o szerokim spektrum — oznajmił Mark.

— Jaką infekcję będziesz leczył?

— Nie wiem. To tylko czasowa osłona, dopóki nie przyjdą wyniki posiewów. Pacjentka ma osłabioną odporność, więc nie możemy ryzykować zakażenia — odparł.

Wstał z krzesła i podszedł do szyby izolatki. Stał tam przez chwilę, przyglądając się Ninie Voss. Jej widok chyba go uspokoił. Abby stanęła przy nim. Byli bardzo blisko siebie, niemal się dotykali, a jednak dzieliła ich przepaść. Pacjentka spokojnie spała.

— Może to reakcja na leki... — mruknęła w zamyśleniu Abby. — Tyle ich teraz dostaje. Któryś z nich mógł wywołać gorączkę.

— Jest taka możliwość. Ale w przypadku sterydów i cyklosporyny to mało prawdopodobne.

— Nie znalazłam żadnego źródła infekcji. Nigdzie.

— Ma osłabioną odporność. Jeśli coś przeoczymy, umrze — stwierdził Mark i odwrócił się, by wziąć kartę. — Zaczynam podawać jej koktajl.

O szóstej rano do żył Niny Voss zaczęły skapywać pierwsze krople azaktamu. Poproszono o konsultację specjalistę od chorób zakaźnych, i o siódmej piętnaście zjawił się doktor Moore. Zgodził się z decyzją Marka. Gorączka u pacjentki z osłabioną odpornością była zbyt niebezpieczna, by pozostawić ją bez leczenia.

O ósmej podano drugi antybiotyk, piperacylinę.

Abby robiła już wtedy poranny obchód na oddziale intensywnej terapii, mając na wózku karty sześciorga pacjentów. Była po ciężkim dyżurze. Przed telefonem z oddziału intensywnej terapii o drugiej w nocy spała tylko godzinę, a potem już ani chwili. Pokrzepiona dwiema filiżankami kawy i perspektywą rychłego końca pracy pchała przed sobą wózek wzdłuż rzędu izolatek. Do południa zostały już tylko cztery godziny. Mijając łóżko numer piętnaście, zajrzała przez szybę do izolatki.

Nina Voss nie spała. Kiedy zobaczyła Abby, z wysiłkiem pomachała jej ręką.

Abby zostawiła karty przy drzwiach, włożyła fartuch i weszła do izolatki.

— Dzień dobry, pani doktor — przywitała ją pacjentka. — Obawiam się, że miała pani przeze mnie bezsenność.

Abby uśmiechnęła się.

— Nic nie szkodzi. Wypałam się w zeszłym tygodniu. Jak pani się czuje?

— Jak pępek świata. — Nina spojrzała na wiszącą nad jej łóżkiem butelkę z kroplówką. — Czy to mi pomoże?

— Mamy taką nadzieję. Dostaje pani mieszankę piperacyliny i azaktamu. To antybiotyki o szerokim spektrum działania. Jeśli ma pan jakąś infekcję, powinny ją zlikwidować.

— A jeśli to nie infekcja?

— Wtedy gorączka nie ustąpi, ale spróbujemy czegoś innego.

— Więc tak naprawdę nie wiecie, co ją powoduje.

Abby milczała przez chwilę.

— Nie — przyznała w końcu. — Nie wiemy. Działamy na wycucie.

Nina kiwnęła głową i zaśmiała się cicho.

— Przypuszczałam, że powie mi pani prawdę. Doktor Archer tego nie zrobił. Był tu dziś rano i powtarzał tylko, że bym się nie martwiła. Że wszystko jest pod kontrolą. Nie przyznał się, że nie wie, co się dzieje.

— Pewnie nie chciał pani martwić — odparła Abby.

— Prawda mnie nie przeraża, proszę mi wierzyć. Lekarze zbyt rzadko mówią prawdę — stwierdziła Nina. — Obie to wiemy, prawda?

Abby odwróciła wzrok w kierunku monitorów. Zobaczyła, że wszystkie wskazania mieszczą się w granicach normy. Tętno. Ciśnienie krwi. Ciśnienie w prawym przedsionku. Koncentracja na tych liczbach była obronnym nawykiem. Aparatura nie zadawała trudnych pytań, nie oczekiwała boleśnie szczyrych odpowiedzi.

Nagle usłyszała, że Nina mówi cicho:

— Victor...

Odwróciła się i spojrzała w stronę drzwi. Do izolatki wchodził właśnie Victor Voss.

— Niech pani się wynosi z pokoju mojej żony! — syknął ze złością.

— Sprawdziałam tylko, czy dobrze się czuje.

Podszedł do niej i chwycił ją za fartuch.

— Powiedziałem: wynocha!

Abby wyrwała mu się, ale izolatka była tak ciasna, że nie miała gdzie się cofnąć.

Victor Voss złapał ją za ramię.

— Victorze, przestań... — jęknęła Nina.

Abby krzyknęła z bólu, gdy mężczyzna wypchnął ją na korytarz. Zrobił to z taką siłą, że uderzyła plecami o wózek i upadła na podłogę. Wózek ruszył z miejsca i grzmotnął o kontuar. Leżące na nim karty posypały się na posadzkę. Abby, oszołomiona upadkiem, wpatrywała się w Victora Vossa, który stał nad nią, ciężko dysząc z wściekłości.

— Niech pani nie zbliża się więcej do mojej żony — ostrzegł. — Słyszysz pani? Czy pani mnie słyszy, pani doktor? — Odwrócił się do zaszokowanego personelu oddziału intensywnej terapii. — Chcę, żeby ta kobieta trzymała się od mojej żony z daleka. Napiszcie to na drzwiach. Natychmiast. — Z pogardą spojrzał na Abby, po czym wszedł do izolatki żony i zaciągnął zasłony na szybie.

Dwie pielęgniarki podbiegły do Abby, by pomóc jej wstać z podłogi.

— Nic mi nie jest — zaprotestowała, odganiając je ruchem ręki. — Wszystko w porządku.

— On oszalał — szepnęła jedna z nich. — Musimy zgłosić to ochronie.

— Nie — powstrzymała ją Abby. — Nie pogarszajmy sprawy.

— Ale to był napad! Może pani wnieść skargę.

— Chcę o tym zapomnieć, jasne? — powiedziała stanowczym tonem Abby.

Podeszła do wózka. Dokumenty rozsypały się po podłodze i wszędzie leżały porozrzucone luźne kartki i wyniki badań laboratoryjnych. Zebrała wszystkie papiery i wrzuciła je z powrotem na wózek. Z trudem powstrzymywała łzy. Nie mogę się rozpłakać, pomyślała. Nie tutaj. Nie będę płakała. Podniosła wzrok i zobaczyła, że wszyscy jej się przyglądają.

Zostawiła wózek tam, gdzie stał, i wyszła z oddziału intensywnej terapii.

Mark zastał ją trzy godziny później w kafejce. Siedziała przy stoliku w rogu, skulona nad filiżanką herbaty i babeczką z jagodami. Babeczkę ugryzła tylko raz, a torebka z herbatą moczyła się już tak długo, że woda nabrała koloru kawy.

Wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej.

— To Voss wszczął awanturę, Abby, nie ty.

— A ja na oczach wszystkich wylądowałam na tyłku.

— Pchnął cię. Możesz to wykorzystać. W ten sposób zabezpieczysz się przed kolejnymi idiotycznymi pozwami.

— Mam go oskarżyć o napaść?

— Coś w tym rodzaju.

Pokręciła głową.

— Nie chcę myśleć o Victorze Vossie. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

— Miałaś świadków. Widzieli, jak cię popchnął.

— Mark, zapomnijmy o całej sprawie.

Wzięła do ręki babeczkę, odgryzła bez entuzjazmu jeden kęs i odłożyła ją z powrotem. Wpatrywała się w nią, zastanawiając się rozpaczliwie, jak zmienić temat rozmowy.

W końcu zapytała:

— Czy Aaron zgodził się na podawanie Ninie Voss antybiotyków?

— Nie widziałem go przez cały dzień.

Abby zmarszczyła brwi.

— Sądziłam, że jest tutaj.

— Wysłałem mu sygnały, ale nie odpowiedział.

— Dzwoniłeś na jego domowy numer?

— Rozmawiałem z gosposią. Elaine wyjechała na weekend odwiedzić ich dziecko w Dartmouth. — Mark wzruszył ramionami. — Jest sobota. Aaron nie ma dziś obchodu. Pewnie postanowił od nas wszystkich odpocząć.

— Odpocząć... — Abby westchnęła i potarła policzek. — Boże, ja też tylko o tym marzę. Plaża, palmy i piña colada.

— Brzmi doskonale. — Sięgnął przez stół i ujął jej rękę. — Mogę do ciebie dołączyć?

— Przecież nie lubisz pifia colady.

— Ałe uwielbiam plażę i palmy. I ciebie — dodał, ściskając jej dłoń.

Tego właśnie potrzebowała. Jego dotyku, który dawał oparcie i budził zaufanie.

Pochylił się nad stolikiem i pocałował ją.

— Widzisz? Znowu robimy z siebie widowisko — szepnął. — Lepiej wracaj do domu, zanim wszyscy zaczną się nam przyglądać.

Abby spojrzała na zegarek. Była sobota, godzina dwunasta. Wreszcie zaczął się weekend.

Mark wyszedł z nią do holu. Gdy przechodzili przez drzwi, oświadczył:

— Zapomniałem ci powiedzieć, że Archer dzwonił do Wilcox Memorial i rozmawiał z jakimś Timem Nichollsem.

Okazuje się, że to on asystował przy pobieraniu serca do przeszczepu. Potwierdził, że dawcą był ich pacjent. I że operował go doktor Mapes.

— Więc dlaczego nie ma go na liście lekarzy szpitala Wilcox?

— Ponieważ przyleciał prywatnym odrzutowcem z Houston.

Nic o tym nie wiedzieliśmy. Najwyraźniej pan Voss nie ufał chirurgom z Nowej Anglii, więc sprowadził innego specjalistę.

— Aż z Teksasu?

— Ma tyle pieniędzy, że mógłby ściągnąć cały zespół chirurgów z Baylor University.

— A więc serce pochodziło z Wilcox Memoriał.

— Nicholls twierdzi, że tam był i asystował przy operacji.

Pielęgniarka, z którą rozmawiałaś zeszłej nocy, musiała szukać w niewłaściwym rejestrze. Jeśli chcesz, żebym zadzwonił i jeszcze raz to sprawdził...

— Nie, zapomnij o tym. Teraz wydaje mi się to grupie. Nie wiem, co sobie wyobrażałam.

Westchnąwszy, spojrzała na swój samochód, stojący jak zwykle na końcu parkingu. Stażyści nazywali przydzielane im miejsca parkingowe Syberią. Ale niewolnicy powinni się cieszyć, że w ogóle mają gdzie parkować.

— Do zobaczenia w domu — dodała po chwili. — Jeśli nie będę jeszcze spała.

Odchylił do tyłu jej głowę i pocałował ją. Ich zmęczone ciała przyłgnęły do siebie.

— Jedź ostrożnie — szepnął. — Kocham cię.

Ruszyła przez parking, odurzona zmęczeniem i tymi dwoma słowami, które wciąż dźwięczały jej w uszach.

„Kocham cię”.

Przystanąła i obejrzała się, by pomachać Markowi, ale zniknął już w drzwiach szpitala.

— Ja też cię kocham — powiedziała z uśmiechem.

Odwróciła się do samochodu, jednocześnie wyjmując kluczyki z torebki, i zauważyła, że przycisk zamka jest wysunięty. Jezu, co za kretynka ze mnie! — pomyślała. Zostawiła otwarty samochód na całą noc.

Kiedy otworzyła drzwiczki, poczuła okropny odór. Cofnęła się, zakrywając dłonią usta i nos i patrząc z odrazą na to, co leżało na fotelu kierowcy.

Dźwignia zmiany biegów była owinięta zwojami rozkładających się jelit, jeden ich koniec zwisał groteskową serpentyną z kierownicy. Siedzenie pasażera pokrywała jakaś krwawa miazga, a po stronie kierowcy leżał oparty o poduszkę fotela pojedynczy zakrwawiony narząd.

Serce.

Dom, którego Sussmann szukał, znajdował się w Dorchester, podupadłej dzielnicy w południowo-wschodnim Bostonie. Zaparkowawszy samochód po drugiej stronie ulicy, spojrzał na pudełkowaty budynek i zachwaszczony trawnik. Na podjeździe chłopak w wieku około dwunastu lat odbijał piłkę do koszykówki, rzucając ją co jakiś czas w kierunku zawieszanej nad garażem obręczy i za każdym razem chybiając. Nie zasługiwał na stypendium sportowe. A sądząc po stojącym w garażu zardzewiałym aucie i ogólnym zaniedbaniu domu, pieniądze z pewnością by mu się przydały.

Mężczyzna wysiadł z samochodu i przeszedł przez ulicę. Gdy stanął na podjeździe, chłopiec znieruchomiał. Przyciskając piłkę do piersi, przyglądał się nieznanemu z wyraźną podejrzliwością.

— Szukam posiadłości państwa Flynt.

— To tutaj — odparł chłopiec.

— Czy rodzice są w domu?

— Jest tata. Czemu pan pyta?

— Zawiadom go, że ma gościa.

— Kim pan jest?

Nieznanomy podał mu wizytówkę. Chłopiec spojrzał na nią bez szczególnego zainteresowania.

— Weź ją i pokaż swojemu ojcu.

— Teraz?

— Jeśli nie jest zajęty.

— Tak. Jasne — odparł chłopiec.

Wszedł do domu. Drzwi z siatką przeciw owadom zatrzęsnęły się za nim.

Po chwili na progu pojawił się ponury otyły mężczyzna.

— Pan do mnie?

— Panie Flynt, nazywam się Stewart Sussman. Pracuję w firmie adwokackiej Hawkes, Craig i Sussman.

— Tak?

— O ile wiem, sześć miesięcy temu był pan pacjentem Centrum Medycznego Bayside.

— Miałem wypadek. Z winy innego faceta.

— Usunięto panu śledzionę. Zgadza się?

— Skąd pan to wszystko wie?

— Przychodzę w pańskim interesie, panie Flynt. Miał pan poważną operację, prawda?

— Mówili, że mogłem umrzeć, więc chyba była poważna.

— Czy zajmowała się panem stażystka Abigail DiMatteo?

— Tak. Zaglądała do mnie codziennie. Miła dziewczyna.

— Czy ona lub którykolwiek z lekarzy zawiadomił pana o konsekwencjach usunięcia śledziony?

— Powiedzieli, że mogę mieć paskudne infekcje, jeśli nie będę uważał.

— Infekcje grożące śmiercią. Uprzedzili pana o tym?

— Hm... Możliwe.

— Czy wspomnieli o przypadkowym draśnięciu podczas operacji?

— Co?

— O tym, że jednemu z chirurgów ześlizgnął się skalpel i przeciął śledzionę, powodując silne krwawienie.

— Nie. — Flynt pochylił się w jego stronę, wyraźnie zaniepokojony.

— Czy coś takiego przydarzyło się właśnie mnie?

— Chcielibyśmy to sprawdzić. Potrzebujemy jednak pańskiej zgody, by zajrzeć do akt.

— Po co?

— Powinno panu zależeć na tym, żeby się dowiedzieć, czy w rzeczywistości nie stracił pan śledziona z powodu błędu chirurga. Jeśli tak było, poniósł pan szkodę i należy się panu rekompensata.

Flynt nic na to nie odpowiedział. Spojrzał na chłopca, który przysłuchiwał się rozmowie, prawdopodobnie nic z niej nie rozumiejąc. Potem popatrzył na pióro, które podawał mu Sussman.

— Mówiąc o rekompensacie — dodał prawnik — mam na myśli pieniądze.

Flynt wziął pióro i złożył podpis na formularzu podsunętym przez niespodziewanego gościa.

Wróciwszy do samochodu, Sussman wsunął podpisany dokument do teczki i ponownie sięgnął po swoją listę. Widniały na niej jeszcze cztery nazwiska. Musiał zdobyć cztery kolejne podpisy. Nie powinien mieć z tym problemu. Chciwość i pragnienie zemsty to potężna motywacja.

Wykreślił z listy nazwisko Flynt, Harold i uruchomił silnik.

Rozdział dziesiąty

— To było świńskie serce. Pewnie zostawili je w moim samochodzie poprzedniej nocy i leżało tam przez cały dzień w upale. Do tej pory nie mogę pozbyć się smrodu.

— Ten facet panią prześladowa — powiedziała Vivian Chao. — Moim zdaniem powinna się pani na nim odegrać.

Abby i Vivian przecisnęły się przez frontowe drzwi i ruszyły holem do wind. Było niedzielne południe i publiczną windę szpitala Massachusetts General wypełniał tłum odwiedzających z balonikami, na których widniały życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Gdy jej drzwi się zasunęły, w kabinie rozszedł się intensywny zapach goździków.

— Nie mamy żadnego dowodu — mruknęła Abby. — Nie wiadomo, czy to na pewno on.

— A któż by inny? Spreparowany pozew. Publiczne napasowanie. Doktor DiMatteo, najwyższy czas wnieść przeciw niemu oskarżenie. O napasć i groźby.

— Problem polega na tym, że doskonale rozumiem, dlaczego ten człowiek tak postępuje. Jest zdenerwowany. Jego żona nie wraca do zdrowia po operacji.

— Czyżby miała pani poczucie winy?

Abby westchnęła.

— Czuję wyrzuty sumienia za każdym razem, gdy prze chodzę obok jej łóżka.

Wyszły z windy na czwartym piętrze i skierowały się na kardiologię.

— Voss ma dość pieniędzy, żeby przez długi czas uprzykrzać pani życie — stwierdziła Chinka. — Już skierowano przeciw pani pozew. A prawdopodobnie będzie ich więcej.

— Jestem tego pewna. W archiwum powiedzieli mi, że firma Hawkes, Craig i Sussman poprosiła o karty sześciu kolejnych pacjentów. To kancelaria prawnicza, która reprezen tuje Joego Terrio.

Vivian zatrzymała się i spojrzała na nią.

— Chryste... spędzi pani w sądzie resztę życia.

— Chyba że się zwolnię. Tak jak pani.

Chinka ruszyła dalej energicznym krokiem. Mała nieustraszona azjatycka amazonka.

— A dlaczego pani nie chce się odegrać? — spytała ją Abby.

— Próbuję. Ale nasz przeciwnik to Victor Voss. Kiedy moja prawniczka usłyszała jego nazwisko, zbladła jak ściana. Wy glądało to dość niesamowicie, bo jest Murzynką.

— Co pani doradziła?

— Dać sobie spokój. I cieszyć się, że mam już specjalizację.

Mogę sobie znaleźć inną pracę albo otworzyć własną praktykę.

— Voss aż tak bardzo ją przeraża?

— Nie przyznała się do tego, ale z całą pewnością. Przeraża wielu ludzi. Nie mam zresztą jak się bronić. Byłam ordynatorem, więc moja głowa spadła pierwsza. Ukradłyśmy serce, DiMatteo.

Trudno temu zaprzeczyć. Gdyby nie chodziło o Victora Vossa, mogłoby się nam upiec. Ale ponieważ chodzi właśnie o niego, muszę za wszystko zapłacić. — Spojrzała na Abby. — Jednak nie aż tyle, ile to może kosztować panią.

— Przynajmniej nadal pracuję.

— Jak długo jeszcze? Jest pani dopiero na drugim roku stażu. Trzeba walczyć, Abby. Nie może pani pozwolić, żeby ten człowiek zrujnował

pani życie. Jest pani zbyt dobrym lekarzem, by zrezygnować z pracy w tym zawodzie.

Abby pokręciła głową.

— Zastanawiam się czasem, czy warto się tak poświęcać.

— Czy warto? — Vivian zatrzymała się przed salą czterysta siedemnaście. — Zaraz sama pani sobie odpowie na to pyta nie. — Zapukała do drzwi i weszła do środka.

Chłopiec siedział na łóżku, wciskając guziki pilota od telewizora. Gdyby nie miał na głowie baseballowej czapki drużyny Red Soksów, Abby nie poznałaby, że to Josh O'Day, tak bardzo, dzięki zdrowej różowej cerze, zmienił się jego wygląd. Kiedy ujrzał Vivian, uśmiechnął się szeroko.

— Hej, doktor Chao! — zawołał. — Nie mogłem się już pani doczekać!

— Przychodziłam tu dwa razy, ale ty ciągle śpisz — odparła Vivian i z udawaną dezaprobatą pokręciła głową. — Typowy leniwy nastolatek.

Oboje się roześmiali, po czym Josh nieśmiało wyciągnął ramiona.

Vivian przez chwilę stała nieruchomo, jakby nie wiedziała, jak zareagować, a potem podeszła do chłopca. Ich uścisk był krótki i niezdarny. Vivian niemal z ulgą wyzwoliła się z jego objęć.

— Jak się czujesz? — spytała.

— Naprawdę dobrze. Hej, widziała pani? — Wskazał ekran telewizora. — Tata przywiózł mi te wszystkie taśmy z meczami, o których mówiłem. Ale nie wiedzieliśmy, jak podłączyć magnetowid. Potrafi pani?

— Pewnie wysadziłabym w powietrze telewizor.

— I jest pani lekarką?

— No dobrze, cwaniaku. Następnym razem, kiedy będziesz miał mieć operację, wezwij kogoś, kto naprawia telewizory. — Skinęła głową w kierunku Abby. — Pamiętasz doktor DiMatteo, prawda?

Josh spojrzał niepewnie na Abby.

— Chyba tak. To znaczy... — Wzruszył ramionami. — Wie pani, nie pamiętam wielu rzeczy, które zdarzyły się w zeszłym tygodniu. Jakbym zrobił się nagle tępy.

— Nie ma się czym martwić — zapewniła go Vivian. — Kiedy serce przestaje bić, do mózgu dociera za mało krwi i niektóre rzeczy się zapomina. — Dotknęła jego ramienia.

Zwykle nie pozwalała sobie na takie gesty, ale tym razem nie unikała kontaktu. — Dobrze, że przynajmniej mnie pamiętasz — dodała ze śmiechem. — Choć może próbowałeś za pomnieć.

Josh spuścił wzrok i odparł cicho:

— Nie chciałbym nigdy o pani zapomnieć, doktor Chao.

Oboje byli wyraźnie zakłopotani. Vivian wciąż trzymała rękę na ramieniu chłopca, a on patrzył w dół, kryjąc twarz pod daszkiem czapki.

Abby poczuła, że musi się odwrócić i skupić wzrok na czym innym. Spojrzała na trofea Josha. Na nocnej szafce nadal leżały ułożone równo wstęgi i odznaki, nie był to już jednak ołtarzyk umierającego chłopca, ale demonstracja radości życia. Zmartwychwstania.

Rozległo się pukanie do drzwi i odezwał się jakiś kobiecy głos:

— Joshie?

— Cześć, mamó! — zawołał Josh.

Drzwi otworzyły się na oścież i do sali wpadł tłum krewnych chłopca: jego rodzice, rodzeństwo, ciotki i wujowie. Towarzyszył im cały las napęcznionych helem baloników i zapach frytek z McDonalda. Otoczyli łóżko, obsypując Josha uściskami, pocałunkami i okrzykami w rodzaju: „Spójrzcie na niego!”, „Jak świetnie wygląda!”. „Czyż nie wygląda wspaniale?”. Josh znosił to wszystko z pełnym zażenowania uśmiechem. Chyba nawet nie zauważył, że Vivian odsunęła się od jego łóżka, by zrobić miejsce hałaśliwej armii O'Dayów.

— Josh, kochanie, sprowadziliśmy z Newburry wujka Harry'ego. Zna się na magnetowidach. Może ci podłączyć wideo.

Prawda, Harry?

— Jasne. Instaluję sprzęt wszystkim sąsiadom.

— Przyniosłeś odpowiednie kable, Harry? Jesteś pewien, że masz wszystkie?

— Myślisz, że zapomniiałbym kabli?

— Zobacz, Josh. Mamy dla ciebie trzy duże porcje frytek.

Możesz je jeść, prawda? Doktor Tarasoff ci nie zabronił?

— Mamo, zapomnieliśmy wziąć aparat! Chciałem sfotografować bliźnię Josha.

— Nie powinieneś tego robić.

— Nauczyciel powiedział, że byłoby odjazdowo.

— Twój nauczyciel jest chyba za stary, żeby używać takich słów. Żadnych zdjęć bliźni. To naruszenie prywatności.

— Hej, Josh, dasz radę zjeść sam te wszystkie frytki?

— I jak, Harry, uda ci się podłączyć wideo?

— Hm, nie wiem. To dość stary telewizor...

Vivian zdołała się w końcu przepchnąć do Abby. W tym momencie rozległo się kolejne pukanie do drzwi i do sali z radosnymi okrzykami wcisnęła się następna grupa krewnych. Abby zauważyła spojrzenie Josha, który z bezradnym uśmiechem pomachał im ręką.

Wyszły z sali i stanęły na korytarzu, słuchając głosów dobiegających zza drzwi.

— I co, Abby? — zapytała Vivian. — To właśnie odpowiedź na pytanie, czy było warto.

W dyżurce pielęgniarek zapytały o doktora Iwana Tarasoffa. Oddziałowa powiedziała im, żeby zajrzały do pokoju chirurgów. I rzeczywiście tam był. Pił kawę i zapisywał coś w kartach pacjentów. W opadających na nos okularach i tweedowej marynarce bardziej przypominał ekscentrycznego angielskiego dżentelmena niż znanego kardiologa.

— Widziałyśmy właśnie Josha — powiedziała Vivian.

Tarasoff podniósł wzrok znad poplamionych kawą notatek.

— I co pani powie, doktor Chao?

— Myślę, że doskonale się pan spisał. Chłopak wygląda fantastycznie.

— Ma lekką amnezję po stanie krytycznym, ale błyskawicznie wraca do zdrowia. Jak wszystkie dzieciaki. Za tydzień stąd wyjdzie. Chyba że pielęgniarki wyrzucą go wcześniej. — Tarasoff zamknął kartę i spojrzał na Vivian. — Mam z panią do pomówienia, pani doktor.

— Ze mną?

— Wie pani, o co chodzi. O sprawę tej pacjentki z Bayside.

Przysyłając nam chłopca, nie powiedziała mi pani wszystkiego.

Dowiedziałem się potem, że serce przydzielono wcześniej komuś innemu.

— To nieprawda. Zostało ofiarowane wskazanemu biorcy.

— Przy użyciu nieco podstępnych metod. — Tarasoff zmar szczył brwi, patrząc znad okularów na Abby. — Wasz dyrektor, pan Parr, opowiedział mi o wszystkim. Podobnie jak prawnik pana Vossa.

Vivian i Abby spojrzały na siebie.

— Jego prawnik? — zdziwiła się Vivian.

— Właśnie. — Tarasoff przeniósł wzrok z powrotem na Vivian. — Chciała pani, żebym stanął przed sądem?

— Staralam się uratować tego chłopca.

— Zataiła pani przede mną informacje.

— Ale dzięki temu Josh żyje.

— Powiem to tylko raz: niech pani nigdy więcej tego nie robi.

Vivian zamierzała coś odpowiedzieć, ale jedynie spuściła oczy i lekko skłoniła głowę. Był to akt skruchy Azjatki.

Tarasoff nie dał się na to nabrać. Przez chwilę przyglądał jej się z lekką irytacją, a potem nieoczekiwanie roześmiał się i oświadczył:

— Powinienem był wyrzucić panią z Harvardu.

— Gotowe. Ster na zawietrzną! — krzyknął Mark.

Dziób Cichego Portu odwrócił się pod wiatr. Łopotwały żagle, szoty smagały pokład. Raj Mohandas pospieszył do wyciągarki na prawej burcie i zaczął podnosić kliwer. Żagiel wydał się z łoskotem i Cichy Port przechylił się na sterburtę. Z kabiny na dole dobiegł głośny brzęk puszek z napojami.

— Stań pod wiatr, Abby! — zawołał Mark. — Przy relingu!

Abby przebrnęła przez pochyłony pokład na lewą burtę, gdzie uchwyciła się liny ratunkowej i po raz kolejny przyrzekła sobie, że nigdy więcej! Co mężczyźni tak pociągali w jachtach? I dlaczego na morzu zawsze musieli krzyczeć?

Wydzierali się wszyscy czterej: Mark, Mohandas, jego osiemnastoletni syn Hank i Pete Jaegly, stażysta z trzeciego roku. Wrzeszczeli na siebie z powodu żagli, które powinny być bardziej napięte, zbyt wolno postawionego spinakera i zmarnowanych podmuchów wiatru. Wściekali się, że jacht Archera, Czerwone Oko, ich dogania. Darli się też na Abby, która podczas tych regat pełniła rolę ruchomego balastu. Kiedy wydawali komendy, biegała przez pokład od relingu do relingu i co jakiś czas wymiotowała. Mężczyźni tego nie robili – albo byli odporniejsi na bujanie, albo zbyt zajęci bieganiem po pokładzie w swoich kosztownych żeglarskich butach i pokrzykiwaniem do siebie.

– Zmiana halsu!

– Gotowe!

Mohandas i Jaegly kontynuowali swój szalony taniec po pokładzie.

– Ster na zawietrzną!

Cichy Port skręcił pod wiatr i przechylił się na lewą burtę. Abby chwiejnym krokiem przeszła na drugą stronę. Znowu załopotwały żagle i zatrzeszczały liny. Mohandas kręcił korbą wyciągarki, napinając mięśnie opalonego ramienia.

– Idzie na nas! – krzyknął Hank.

Płynące za nimi Czerwone Oko znowu zbliżyło się do nich o pół długości łodzi. Słyszeli, jak Archer krzyczy do swojej załogi: „Ruszać się! Ruszać!”.

Cichy Port okrążył boję i zaczął płynąć z wiatrem. Jaegly walczył ze spinakerem, a Hank ściągał kliwer.

Abby znowu zwymiotowała za burtę.

– Cholera, siedzi nam na ogonie! – wrzasnął Mark. – Podnieście wreszcie ten pieprzony spinaker!

Kiedy Jaegly i Hank wciągnęli spinaker, wiatr z łoskotem wypełnił go powietrzem i Cichy Port gwałtownie przyspieszył.

— Świetnie, dziecino! — triumfował Mark. — Płyniemy!

— Niech pan patrzy! — zawołał nagle Jaegly, wskazując za rufę. — Co się dzieje, do cholery?

Abby zdołała podnieść głowę i spojrzeć w tył, na Czerwone Oko. Jacht Archera już ich nie ścigał. Zawrócił w pobliżu boi i wracał do portu.

— Włączyli silnik — stwierdził Mark.

— Myśli pan, że przyznają się do porażki?

— Archer? Nie ma mowy.

— Więc dlaczego zawracają?

— Chyba powinniśmy się tego dowiedzieć. Ściągnijcie spinaker — zakomenderował Mark i uruchomił silnik. — Pły niemy za nimi.

Dzięki Bogu, pomyślała Abby.

Gdy wpływali do portu, nie odczuwała już mdłości. Czerwone Oko było przycumowane do mola, a jego załoga krzątała się przy żaglach i linach.

— Hej tam! — zawołał Mark, gdy przepływali obok. — Co się dzieje?

Archer pomachał telefonem komórkowym.

— Dostałem wiadomość od Marilee! Prosiła, żebyśmy wra cali. To coś poważnego. Czeka na nas w klubie jachtowym.

— W porządku. Spotkamy się w barze — odparł Mark i spojrzał na swoją załogę. — Zacumujmy. Odsapniemy i wy płyniemy z powrotem.

— Będziecie musieli się obejść bez balastu — oznajmiła Abby. — Schodzę z pokładu.

Mark popatrzył na nią zaskoczony.

— Tak szybko?

— Nie widziałeś, jak wisiałam na relingu? Nie podziwiałam krajobrazu.

— Moja biedna Abby! Wynagrodzę ci to, dobrze? Obiecuję.

Szampan, kwiaty. I restauracja, którą sama wybierzesz.

— Pozwól mi po prostu zejść z tego przeklętego jachtu.

Śmiejąc się, skierował łódź do przystani.

— Tak jest, kapitanie.

Gdy Cichy Port podpłynął do nabrzeża, Mohandas i Hank zeszli na molo i postawili jacht na cumach dziobowej i rufowej. Abby natychmiast opuściła pokład. Miała wrażenie, że nawet molo kołysze jej się pod nogami.

— Na razie zostawcie łódź otaklowaną — powiedział Mark. — Najpierw się dowiedzmy, o co chodzi.

— Pewnie Archer już zaczął imprezę — mruknął Mohandas.

O Boże, znowu będą rozmawiać o regatach, pomyślała z rezygnacją Abby, idąc wzdłuż mola z Markiem, obejmującym ją zaborczo ramieniem. Wszędzie było pełno opalonych mężczyzn w koszulkach polo, trzymających w rękach szklanki ginu z tonikiem i śmiejących się głośno.

Weszli do klubu, ze słońca w cień. Abby natychmiast zauważyła, że panuje tam ponura cisza. Zobaczyła, że Marilee stoi przy barze z drinkiem w ręce, a Archer siedzi sam przy stoliku, mając przed sobą tylko papierową podkładkę pod szklankę. Załoga Czerwonego Oka zgromadziła się przy barze. Wszyscy milczeli, słychać było tylko stukanie kostek lodu w szklance Marilee, gdy podnosiła ją do ust, pociągała łyk i odstawiała z powrotem na kontuar.

— Czy coś się stało? — spytał Mark.

Marilee zamrugła, jakby dopiero teraz go spostrzegła. Potem ponownie popatrzyła na kontuar, na swoją szklankę.

— Znaleźli Aarona — odparła.

Zgrzyt piły do cięcia kości zawsze przyprawiał go o torsje. Zapach również. Tym razem był szczególnie paskudny.

Detektyw z wydziału zabójstw, Bernard Katzka, spojrzawszy przez stół w prosektorium i zobaczywszy, że Lundquist również poczuł ten odór. Jego przystojny jak gwiazdor filmowy młodszy kolega odwrócił głowę, zakrywając nos i usta dłonią w rękawiczce i z trudem opanowując mdłości. Nie uodpornił się jeszcze na widok sekcji zwłok. Zresztą,

większości policjantów nigdy się to nie udawało. Asystowanie przy krojeniu martwych ciał również nie było ulubionym zajęciem Katzki, jednak z upływem lat nauczył się koncentrować nie na ofierze jako istocie ludzkiej, lecz na samym organicznym aspekcie śmierci. Widział ciała zwęglone przez ogień lub zeszkrobane z asfaltu po upadku z wysokości dwudziestu pięter, zwłoki ludzi zastrzelonych lub zasztyletowanych, trupy pogryzione przez szczury. Z wyjątkiem ciał martwych dzieci, których widok zawsze wytrącał go z równowagi, wszystkie inne ciała w prosektorium były do siebie podobne. Jak okazy zoologiczne, które się kroi, bada i kataloguje. Człowiek miałby koszmary, gdyby traktował je w jakikolwiek inny sposób.

Bernard Katzka miał czterdzieści cztery lata i był wdowcem. Trzy lata temu patrzył, jak jego żona umiera na raka. Przeżył już swój największy koszmar.

Wpatrywał się obojętnie w leżące na stole zwłoki. Był to pięćdziesięcioletni biały mężczyzna, żonaty, z dwojgiem dorosłych dzieci, z zawodu kardiolog. Jego tożsamość potwierdziło badanie odcisków palców i świadectwo wdowy. Musiało to być dla niej ogromnie stresujące przeżycie. Widok zwłok bliskiej osoby zawsze jest przykry. A te w dodatku przez dwa dni wisiały w ciepłym pomieszczeniu bez wentylacji, więc wyglądały okropnie.

Podobno, kiedy wdowa je zobaczyła, upadła zemdlna na podłogę w kostnicy.

Nic dziwnego, pomyślał Katzka, patrząc na ciało Aarona Leviego. Jego twarz była trupio blada, bo dopływ krwi został odcięty przez skórzany pasek zawiązany na szyi. Wysunięty język szerniał, a śluzówka wyschła z powodu wystawienia przez dwa dni na działanie powietrza. W wąskich szparkach między tylko częściowo zamkniętymi powiekami widać było przerażająco czerwone białka, co oznaczało, że popękały naczynia twarde. Poniżej szyi, na której pasek zostawił charakterystyczny odcisk, na korpuse i w dolnych partiach kończyn powstały podskórne wylewy oraz punktowe krwiaki, zwane plamkami Tardieu. Były to typowe objawy śmierci z powodu uduszenia. Oprócz

śladów paska wokół szyi denat miał także duży okrągły siniak na lewym ramieniu.

Doktor Rowbotham i jego asystent, obaj w fartuchach, rękawiczkach i ochronnych okularach, wykonali nacięcie klatki piersiowej i brzucha w kształcie litery Y. Dwa ukośne cięcia zaczynały się na wysokości obojczyków i łączyły u dołu mostka, a pojedyncze, pionowe, prowadziło od żołądka do kości łonowej. Rowbotham był lekarzem sądowym od trzydziestu dwóch lat i niewiele rzeczy mogło go zdziwić lub zaintrygować. Krojąc zwłoki, wydawał się raczej nieco znudzony. Monotonnym głosem nagrywał na taśmie swoje uwagi, włączając i wyłączając dyktafon stopą. Po chwili uniósł trójkątną tarczę żeber i mostka, odsłaniając jamę opłucnową.

– Zobacz, Ślimak – powiedział do Katzki.

Przezvisko to nie miało nic wspólnego z wyglądem detektywa, za to wiele mówiło o nim samym, o jego niewzruszonym spokoju. Koledzy policjanci żartowali, że jeśli Bernard Katzka zostanie postrzelony w poniedziałek, być może w piątek zareaguje. Ale też tylko wtedy, gdy będzie mocno wkurzony.

Detektyw pochylił się, by zajrzeć w głąb klatki piersiowej denata, zachowując równie obojętny wyraz twarzy jak Rowbotham.

– Nie widzę tu nic niezwykłego.

– Właśnie. Może opłucna jest trochę przekrwiona. Praw dopodobnie z powodu niedoboru tlenu popękały naczynia włosowate. Ale to normalne przy uduszeniu.

– Więc chyba nic tu po nas, co? – mruknął Lundquist, który chciał jak najszybciej wyjść z prosektorium i zająć się innymi sprawami. Był jak wszyscy młodzi policjanci spragniony akcji. Jakiegokolwiek akcji. Nie miał zamiaru tracić czasu na faceta, który się powiesił.

Jednak Katzka nie ruszył się z miejsca.

– Naprawdę musimy to dalej oglądać? – spytał Lundquist.

– Sekcja dopiero się zaczęła.

– To samobójstwo.

– Coś tu nie gra.

— Przecież to klasyczny przypadek.

— Facet w środku nocy wstaje z ciepłego łóżka, ubiera się i jedzie do szpitala, żeby powiesić się na jego najwyższym piętrze? Zastanów się nad tym.

Lundąuist spojrział na zwłoki i znowu odwrócił głowę.

Tymczasem Rowbotham i jego asystent przecięli tchawicę i duże naczynia krwionośne oraz usunęli serce i płuca. Lekarz rzucił je na wiszącą nad stołem wagę. Stalowa szala zaskrzypiała pod ciężarem narządów i podskoczyła kilka razy.

— Masz ostatnią okazję, żeby przyjrzeć się tym zwłokom — oświadczył Rowbotham, przecinając skalpelem śle dzionę. — Kiedy skończymy, wszystko trafi prosto do krematorium. Na życzenie rodziny.

— Z jakiegoś szczególnego powodu? — spytał Lundąuist.

— To żydzi. Chodzi o szybki pochówek. Narządy wewnątrz rżne muszą wrócić do ciała — odparł Rowbotham, rzucił na wagę śledzionę i przyglądał się, jak wskazówka drga, a potem nieruchomieje.

Lundąuist zdarł z siebie lekarski fartuch, odsłaniając muskularne ramiona. Były efektem wielu godzin spędzonych w siłowni. Młody policjant miał niespożytą energię i właśnie to okazywał. Zawsze uważał, że zasługuje na coś lepszego. Katzka pomyślał, że jeszcze musi nad nim popracować. Niełatwo jest porozumieć się z pewnym siebie młodzikiem, w dodatku cholernie przystojnym i mającym bujną czuprynę.

Rowbotham zaczął wyciągać wnętrzności. Odciął jelita i wydobyl z jamy brzusznej całe ich zwoje. Wątroba, trzustka i żołądek tworzyły jednolitą masę. Na koniec wyciął nerki i pęcherzyk żółciowy, po czym rzucił je na skrzypiącą wagę.

Ciężar każdego narządu był skrupulatnie rejestrowany na taśmie dyktafonu. W brzuchu denata pozostała ziejąca jama.

Lekarz obszedł zwłoki i stanął przy głowie. Zrobił nacięcie za uchem, ściągając jeden płat skóry na twarz, a drugi na kark, aby odsłonić podstawę czaszki. Wziął do ręki elektryczną piłę. Skrzywił się,

gdy w powietrzu zaczął wirować pył z przecinanej kości. Wszyscy zamilkli. Piła hałasowała, a widok tego zabiegu przyprawiał o mdłości. Rozcinanie klatki piersiowej i brzucha, choć także nieprzyjemne, było w jakimś sensie bezosobowe. Ale ściąganie skóry z głowy i otwieranie czaszki oznaczało dezintegrację najbardziej ludzkiej, stanowiącej istotę człowieczeństwa części ciała.

Lundquist pozieleniał na twarzy, opadł na krzesło przy umywalce i zakrył oczy. Wielu policjantów korzystało z tego krzesła.

Rowbotham odłożył piłę i zdjął sklepienie czaszki. Przeciął nerwy wzrokowe, naczynia krwionośne i rdzeń kręgowy, po czym ostrożnie uniósł drżącą bryłę mózgu.

— Żadnych zmian — oznajmił, wkładając go do formaliny. — Przejdziemy teraz do sedna sprawy. Do szyi.

Wszystko, co do tej pory robił, było jedynie etapem przygotowawczym. Usunięcie wnętrzości i mózgu pozwoliło odsączyć z czaszki i klatki piersiowej płyny, dzięki czemu nie przeszkadzały przy rozcinaniu szyi.

Zaciśnięty na tchawicy pasek zdjęto już na początku sekcji. Rowbotham badał teraz bruzdę, która pozostała na skórze.

— Klasyczna odwrócona litera V — stwierdził. — Zobacz, Ślimak, widać równoległe linie, odpowiadające krawędziom paska. A tu, z tyłu... widzisz?

— To chyba odcisk kłamry.

— Właśnie. Jak dotąd żadnych niespodzianek — mruknął Rowbotham, wziął skalpel i zaczął rozcinać szyję.

Lundquist otrząsnął się już z szoku i wrócił do stołu, nie miał jednak zbyt pewnej miny. Mdłości to bardzo demokratyczna przypadłość, pomyślał Katzka. Powala nawet muskularnych młodzików z bujnymi czuprynami.

Lekarz przeciął już skórę z przodu szyi, po czym głębszym cięciem odsłonił perłowobiałe górne rogi chrząstki tarczowatej.

— Nie ma żadnych złamań. Są ślady krwawienia w mięśniach krtani, ale chrząstka tarczowata i kość gnykowa wydają się nienaruszone.

— Co to oznacza?

— Nic. Powieszenie nie musi powodować poważnych wewnętrznych urazów szyi. Śmierć następuje wskutek przerwania dopływu krwi do mózgu. Wystarczy zacisnąć tętnice szyjne. To stosunkowo bezbolesna metoda samobójstwa.

— Wydajesz się być przekonany, że to samobójstwo.

— Albo wypadek. Asfiksja masturbacyjna. Ale mówiłeś przecież, że nic na to nie wskazywało.

— Miał zapięty rozporek — odparł Lundquist. — Nie wyglądało na to, żeby walił konia.

— Wobec tego to samobójstwo. Raczej sienie zdarza, żeby ktoś kogoś wieszał, jeśli chce go zabić. Natomiast gdyby tego człowieka najpierw uduszono, pasek pozostawiłby inne ślady.

A facet, któremu zakładają pętlę na szyję, z pewnością stawiałby opór i doznałby różnych obrażeń.

— Ma siniaka na ramieniu.

Rowbotham wzruszył ramionami.

— Mógł się uderzyć.

— A jeśli został odurzony i pozbawiony przytomności, zanim go powieszono?

— Zrobimy testy toksykologiczne.

Lundquist odszedł od stołu.

— Jest już czwarta. Idziesz, Slimak?

— Chciałbym zobaczyć do końca sekcję szyi.

— Skoro cię to kręci... Ale moim zdaniem powinniśmy uznać, że to samobójstwo, i dać sobie spokój.

— Zgodziłbym się, gdyby nie te światła.

— Jakie światła? — zdziwił się Rowbotham. W jego oczach, skrytych za okularami ochronnymi, wreszcie błysnęło zainteresowanie.

— Chodzi mu o to, że w pokoju nie paliły się światła — powiedział Lundquist.

— Zwłoki doktora Leviego znaleziono w szpitalu, w pustej, nieużywanej sali — wyjaśnił Katzka. — Robotnik, który je znalazł, jest niemal pewien, że światła były zgaszone.

— Mów dalej — zachęcił go Rowbotham.

— Cóż, czas zgonu, który podałeś, zgadza się z naszymi przypuszczeniami, że doktor Levi zmarł w sobotę nad ranem.

Na długo przed wschodem słońca. A to oznacza, że albo powiesił się po ciemku, albo ktoś inny wyłączył potem światła.

— Albo ten robotnik nie pamięta, co widział — dodał Lundquist. — Kiedy go znalazł, z wrażenia porzygał się w toalecie. Myślisz, że pamiętałby, czy żarówki się świeciły?

W dzień pewnie nie było tego za bardzo widać.

— Ten szczegół nie daje mi spokoju.

Lundquist zaśmiał się.

— Ja nie zamierzam zawracać sobie tym głowy — oświadczył, wrzucając fartuch do kosza z brudną bielizną.

Była prawie szósta wieczorem, gdy Katzka wjechał swoim volvo na parking szpitala Bayside. Wysiadł z samochodu, wszedł do holu i windą dotarł na trzynaste piętro. Wyżej nie można było dojechać bez specjalnego klucza. Aby dostać się na najwyższe piętro, musiał wysiąść z windy i skorzystać ze schodów przeciwpożarowych.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwrócił uwagę po wyjściu z klatki schodowej, była cisza i wrażenie pustki. Od miesiący prowadzono tam remont. Tego dnia nie było robotników, ale wszędzie leżał ich sprzęt. Pachniało trocinami i świeżą farbą. I czymś jeszcze. Pamiętał ten zapach z prosektorium. Był to odór śmierci, rozkładu. Minąwszy drabiny i piłę tarczową, Katzka skręcił za róg.

W połowie długości następnego korytarza zobaczył zagradzającą wstęp do jednego z pokoi żółtą policyjną taśmę. Przeszedł pod nią i otworzył zamknięte na klamkę drzwi.

W tym pokoju remont już zakończono. Były w nim nowe tapety, robione na zamówienie meble i sięgające od podłogi do sufitu okno z widokiem na miasto. Szpitalny apartament dla pacjenta z grubym portfelem. Kiedy Katzka wszedł do łazienki i pstryknął przełącznikiem na ścianie, zobaczył jeszcze więcej luksusu. Marmurowe kafle, mosiężna armatura, lustro z punktowymi światłami, sedes przypominający tron. Wyłączył światło i opuścił łazienkę.

Podszedł do szafy.

To właśnie w niej znaleziono powieszony zwłoki doktora Aarona Leviego. Jeden koniec skórzanego paska był przywiązany do kołka w szafie, a drugi zapętłony wokół szyi ofiary. Najwyraźniej Levi po prostu podkurczył nogi i wtedy pasek zacisnął mu się na gardle, odcinając dopływ krwi do mózgu. Gdyby w ostatniej chwili się rozmyślił, wystarczyłoby, żeby wyprostował się i rozluźnił pętlę. Nie zrobił tego jednak — wisiał na pasku przez pięć do dziesięciu sekund, aż stracił przytomność.

Trzydzieści sześć godzin później, w niedzielne popołudnie, do pokoju wszedł jeden z robotników, aby skończyć fugowanie wanny. Nie spodziewał się, że znajdzie tu trupa.

Katzka stanął przy oknie, przyglądając się panoramie Bostonu. Doktorze Levi, pomyślał, co mogło pana tak załamać?

Zamożny żonaty kardiolog, piękny dom, samochód i dwójka dzieci na studiach. Katzka poczuł przypływ irracjonalnego gniewu. Co taki człowiek mógł wiedzieć o rozpacz i braku nadziei? Jaki mógł mieć powód, żeby odebrać sobie życie? To zwykłe tchórzostwo. Katzka odwrócił się od okna, pełen urazy do człowieka, który wybrał taką śmierć. Dlaczego to zrobił? Czemu wieształ się w tym opuszczonym pokoju, gdzie przez wiele dni mógł go nikt nie odnaleźć?

Istniały przecież inne sposoby popełnienia samobójstwa. Levi był lekarzem. Miał dostęp do narkotyków, barbituranów i mnóstwa różnych leków. Katzka dokładnie wiedział, ile luminalu trzeba zażyć, żeby rozstać się z życiem. Kiedyś odliczył sobie odpowiednią dla swojej wagi porcją tabletek, położył je na stole w jadalni i rozmyślał o wolności,

jaką mogły mu przynieść. Koniec smutku i rozpacz. Byłoby to proste, choć nieodwracalne rozwiązanie. Jednak zawsze coś mu stawało na przeszkodzie. Najpierw miał zbyt wiele spraw do załatwienia. Pogrzeb Annie, uregulowanie rachunków za jej pobyt w szpitalu. Potem proces, na którym musiał zeznawać jako świadek, podwójne zabójstwo w Roxbury, spłata ostatnich ośmiu rat za samochód, potrójne zabójstwo w Brookline i kolejny proces wymagający jego obecności.

Był po prostu zbyt zajęty, żeby się zabić.

Od pogrzebu Annie minęły trzy lata i dawno pozbył się tamtego luminalu. Nie myślał już o samobójstwie. Ale czasem przypominał sobie o tabletkach leżących kiedyś na stole w jadalni i zastanawiał się, dlaczego chciał to zrobić. Dlaczego tak niewiele brakowało, by się poddał. Nie czuł sympatii dla tamtego Ślimaka sprzed trzech lat. Ani dla nikogo, kto sięgał po buteleczkę z tabletkami lub po coś innego, próbując przed czymś uciec.

A jaki pan miał powód, doktorze Levi?

Patrzył na panoramę Bostonu, zastanawiając się, jak wyglądała ostatnia godzina życia Aarona Leviego. Wyobrażał sobie, jak wstaje z łóżka o trzeciej nad ranem, jedzie do szpitala, wjeżdża windą na trzynaste piętro i wspina się po schodach na czternaste. Potem wchodzi do tego pokoju, zawiązuje pasek na kołku szafy i wkłada głowę w pętlę.

Nagle zmarszczył brwi. Podeszedł do ściany i pstryknął przełącznikiem. Zapaliły się światła. Działały jak należy. Więc kto je wyłączył? Aaron Levi? Robotnik, który znalazł ciało?

A może ktoś inny?

Musisz szukać dalej, pomyślał.

Rozdział jedenasty

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała Elaine. — Po prostu nie mogę w to uwierzyć. — Nie płakała, nie uroniła ani jednej łzy w ciągu całego pogrzebu, co zaszokowało jej teściową Judith, która szlochała głośno i bez skrępowania, gdy nad grobem odmawiano kadysz. Ból Judith był równie widoczny jak ceremonialne rozdarcie bluzki, symbol pękniętego z roz paczy serca. Elaine nie rozdarła bluzki, nie lała łez. Teraz siedziała w fotelu w salonie, z talerzem kanapek na kolanach, i powtarzała w kółko: — Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

— Nie zasłoniłaś luster — przypomniała jej Judith. — Powinnaś przykryć wszystkie lustra w domu.

— Możesz sama to zrobić — odparła Elaine.

Judith wyszła z pokoju, by poszukać prześcieradeł. Po chwili zebrani w salonie goście usłyszeli, jak otwiera i zamyka szafy na piętrze.

— To pewnie jakiś żydowski zwyczaj — szepnęła Marilee Archer do Abby, podając jej tacę z tartinkami.

Abby wzięła kanapkę z oliwkami i przekazała tacę dalej. Goście przekazywali ją sobie z rąk do rąk. Nikt nie miał apetytu, ale z grzeczności sięgano po przekąski i popijano wodę sodową. Abby również nie miała ochoty na jedzenie ani na rozmowy. W pokoju było co najmniej dwadzieścia kilka osób, siedzących na kanapach i w fotelach lub stojących w niedużych grupkach, lecz prawie wszyscy milczeli.

Na piętrze ktoś spuścił wodę w toalecie. Oczywiście Judith. Elaine skrzywiła się z zażenowaniem, a na twarzach kilkorga gości pojawiły się lekkie uśmiechy. Za kanapą, na której siedziała Abby, zaczęto mówić o pogodzie w Bostonie i o tym, jak późno tego roku nadeszła jesień. Był już październik, a liście dopiero teraz zmieniały kolory. Niezręczne milczenie zostało w końcu przerwane. Prowadzono ciche rozmowy na temat ogrodów, padały pytania typu: „Jak podoba się pani w Dartmouth?” i „Czyż nie jest ciepło jak na październik?”. Elaine nie brała udziału w tych rozmowach, ale czuła wyraźną ulgę, że w pokoju nie panuje już martwa cisza.

Taca okrążyła pokój i pusta wróciła do Abby.

— Przyniosę więcej kanapek — powiedziała do Marilee i podniosła się z kanapy.

W kuchni na marmurowym blacie stało mnóstwo półmisek z jedzeniem. Nikt z gości nie wyjdzie stąd głodny. Zdejmując folię z tacy pełnej kanapek z wędzonym łososiem, Abby wyjrzała przez kuchenne okno i zobaczyła, że Archer, Raj Mohandas i Frank Zwick stoją na zewnątrz na kamiennym tarasie i o czymś dyskutują. Mężczyźni nie mają cierpliwości do rozpaczających wdów i przeczekiwania niezręcznej ciszy, pomyślała. Zostawiają to swoim żonom. Zabrali nawet ze sobą butelkę szkockiej, która stała na stoliku pod parasolem. Po chwili sięgnął po nią Zwick i dolał sobie whisky do szklanki. Gdy zakręcił butelkę, zauważył Abby i powiedział coś do Archera i Mohandasa, którzy również na nią popatrzyli. Skinęli jej głowami i pomachali, a potem wszyscy trzej zeszli z tarasu i zniknęli w ogrodzie.

— Tyle jedzenia. Nie wiem, co z nim zrobię — mruknęła Elaine, która nie wiadomo kiedy weszła do kuchni i wpatrywała się w tace z kanapkami, kręcąc głową. — Złożyłam zamówienie na czterdzieści osób, ale to przecież nie wesele, na którym wszyscy dużo jedzą. — Spojrzała na jedną z tac i wzięła rzodkiewkę, rozciętą w rozetę. — Ślicznie to wygląda, prawda? Tyle pracy, a wystarcza na jeden kęs. — Odłożyła rzodkiewkę na tacę i stała nad nią w milczeniu.

— Bardzo pani współczuję — powiedziała Abby. — Nie wiem, co powiedzieć, żeby panią jakoś pocieszyć.

— Chciałabym to jakoś zrozumieć. Nic mi nie powiedział.

Nigdy nie mówił, że... — Elaine przełknęła ślinę i pokręciła głową. Zniosła półmisek z jedzeniem do lodówki, wsunęła go na półkę i zamknęła drzwiczki. Odwróciwszy się, spojrzała na Abby. — Rozmawiała pani z nim tamtej nocy. Czy wspomniał o czymś, co...

— Rozmawialiśmy na temat jednej z naszych pacjentek.

Aaron chciał sprawdzić, czy zajmuję się nią jak należy.

— Nie mówiliście o niczym więcej?

— Tylko o niej. To była zwyczajna rozmowa. Elaine, nigdy bym się nie spodziewała, że... — Abby urwała.

Elaine przeniosła wzrok na inny półmisek, przybrany porozcinanym i zwiniętym w spirale szczypiorkiem.

— Może słyszała pani na temat Aarona coś, czego... nie chciałaby mi pani mówić?

— Co pani ma na myśli?

— Jakieś plotki o tym, że zadawał się z innymi kobietami?

— Nigdy — odparła Abby i po chwili powtórzyła z naciskiem: — Nigdy.

Elaine pokiwała głową, ale te zapewnienia chyba niewiele ją pocieszyły.

— Nie przypuszczam, by mogło chodzić o inną kobietę — stwierdziła. Wzięła kolejną tacę, zniosła ją do lodówki i zamknęła drzwiczki, powiedziała: — Moja teściowa uważa, że to ja zawiniłam. Że zrobiłam coś niewłaściwego. Być może wielu ludzi tak myśli.

— Nikt nie jest winien samobójstwa drugiej osoby.

— Zrobił to bez żadnego ostrzeżenia. Och, wiem, że nie był zadowolony z pracy. Ciągłe powtarzał, że wyjedzie z Bostonu albo zrezygnuje z wykonywania zawodu lekarza.

— Co go tak frustrowało?

— Nie chciał o tym mówić. Gdy miał własną praktykę w Natick, często rozmawialiśmy o jego pracy. Potem zaproponowano mu pracę w

Bayside... była to bardzo atrakcyjna propozycja. Ale kiedy się tu przeprowadziliśmy, przestałam go poznawać. Wracał do domu i siedział jak zombie przed tym przeklętym komputerem. Przez cały wieczór bawił się grami.

Budziłam się czasem w nocy i słyszałam, jak coś do siebie mamrocze, pochłonięty jakąś grą. — Pokręciła głową i spojrzała na kolejny półmisek z nietkniętym jedzeniem. — Była pani jedną z ostatnich osób, które z nim rozmawiały. Może pani sobie przypomina coś dziwnego?

Abby wyjrzała przez okno w kuchni, próbując odtworzyć w pamięci swoją ostatnią wymianę zdań z Aaronem. Nie różniła się niczym od innych nocnych rozmów telefonicznych. Wszystkie zlewały się w chór monotonnych głosów, z których każdy czegoś się od niej domagał.

Zobaczyła, że trzech mężczyźni wracają z przechadzki po ogrodzie. Przeszli przez taras do kuchennych drzwi. Zwick niósł opróżnioną już do połowy butelkę szkockiej. Kiedy wszedł do domu, pozdrowił ją skinieniem głowy, podobnie jak pozostali.

— Ładny ogród — powiedział Archer. — Powinna się pani przejść, Abby.

— Chętnie — odparła. — Elaine, może wyszłaby pani ze mną i pokazała mi... — zaczęła i urwała w pół zdania.

Przy lodówce nikogo nie było. Abby rozejrzała się po kuchni, ale zobaczyła tylko stojące na blacie półmiski z jedzeniem i otwarte pudełko, z którego zwisała przezroczysta plastikowa folia, powiewając w przeciagu.

Elaine zniknęła.

Przy łóżku Mary Allen modliła się jakaś kobieta. Siedziała tam już od jakiegoś czasu z pochyloną głową i złożonymi rękami, głośno prosząc Chrystusa, by chorą obdarzył łaską. By ją uzdrowił, umocnił, oczyścił jej grzeszne ciało i duszę, aby mogła przyjąć słowo Boże.

— Przepraszam — powiedziała Abby. — Przykro mi, że przeszkadzam, ale muszę zbadać panią Allen.

Kobieta dalej się modliła. Być może jej nie usłyszała. Abby zamierzała powtórzyć swoją prośbę, ale nieznajoma powiedziała w końcu „amen” i uniosła głowę. Miała pozbawione uśmiechu oczy i matowe ciemne włosy z pierwszymi pasemkami siwizny. Spojrzała na Abby z irytacją.

— Jestem doktor DiMatteo — przedstawiła się Abby. — Opiekuję się panią Allen.

— Ja też — odparła kobieta, wstając z krzesła. Nie próbowała przywitać się z Abby, stała z założonymi rękami, przyciskając do piersi Biblię. — Jestem Brenda Hainey. Siostrzenica Mary.

— Nie wiedziałam, że pani Allen ma siostrzenicę. Cieszę się, że mogła ją pani odwiedzić.

— Dopiero dwa dni temu dowiedziałam się o jej chorobie.

Nikt nie raczył mnie zawiadomić — oświadczyła kobieta takim tonem, jakby to przeoczenie było winą Abby.

— Wydawało nam się, że Mary Allen nie ma żadnych bliskich krewnych.

— Nie wiem dlaczego. Ale już tu jestem. — Brenda spojrzała na swoją ciotkę. — I wszystko będzie dobrze.

Czy ta kobieta nie wie, że ona umiera? — pomyślała Abby. Podeszła do łóżka i powiedziała cicho:

— Pani Allen?

Mary otworzyła oczy.

— Nie śpię, doktor D. Odpoczywam.

— Jak się pani dziś czuje?

— Ciągle mam mdłości.

— To może być uboczne działanie morfiny. Damy coś pani na uspokojenie żołądka.

— Dostaje morfinę? — wtrąciła się Brenda.

— Na uśmierzanie bólu.

— Nie ma na to innych sposobów?

Abby odwróciła się do niej.

— Pani Hainey, zechce pani wyjść z sali? Muszę zbadać pani ciotkę.

— Jestem panną — oświadczyła Brenda. — Iz pewnością ciocia Mary wolałaby, żebym została.

— Mimo wszystko bardzo proszę, żeby pani wyszła.

Kobieta mocniej przycisnęła do piersi Biblię i spojrzała na swoją ciotkę, najwyraźniej spodziewając się jej poparcia, ale starszka w milczeniu patrzyła przed siebie.

— Będę na korytarzu, ciociu Mary.

— Dobry Boże — szepnęła chora, gdy za Brendą zamknęły się drzwi. — To chyba kara za grzechy.

— Ma pani na myśli swoją siostrzenicę?

Zmęczone spojrzenie Mary przeniosło się na Abby.

— Czy pani zdaniem moja dusza potrzebuje zbawiania?

— Myślę, że to wyłącznie pani sprawa. Nikogo więcej. — Abby wyjęła stetoskop. — Mogę osłuchać pani płuca?

Mary posłusznie usiadła i uniosła szpitalną koszulę.

Ostukując jej plecy, Abby stwierdziła, że odkąd ją ostatnio badała, w klatce piersiowej nagromadziło się znacznie więcej płynu.

Wyprostowała się.

— Jak się pani oddycha?

— Dobrze.

— Być może wkrótce będziemy musieli włożyć pani do klatki piersiowej jeszcze jedną rurkę.

— Po co?

— Żeby ułatwić oddychanie. I poprawić samopoczucie.

— Czy to jedyny powód?

— Dobre samopoczucie jest bardzo ważne, pani Allen.

Mary z powrotem opadła na poduszki.

— Dam pani znać, kiedy mi go będzie brakowało — wy szeptała.

Gdy Abby wyszła z sali, tuż za progiem zobaczyła Brendę Hainey.

— Pani ciocia chciałaby trochę pospać — oznajmiła. — Może przyjdzie pani kiedy indziej.

— Muszę porozmawiać z panią o pewnej sprawie, pani doktor.

— Słucham.

– Pytałam pielęgniarkę o morfinę, którą podajecie Mary.

Czy to naprawdę jest konieczne?

– Myślę, że pani ciocia tak by uważała.

– Odurzają. Ciągłe tylko śpi.

– Próbujeśmy uśmierzyć ból. Rak zaatakował już cały organizm. Kości, mózg. To najgorszy rodzaj bólu, jaki można sobie wyobrazić. Jedyne, co możemy dla niej zrobić, to pomóc jej odejść tak, by jak najmniej cierpiała.

– Co pani ma na myśli?

– Ona umiera. Nie możemy tego zmienić.

– Użyła pani słów: „pomóc jej odejść”. Czy właśnie po to stosujecie morfinę?

– Ona teraz jej bardzo potrzebuje. I sama o nią prosi.

– Miałam już do czynienia z podobnymi sytuacjami, pani doktor. I wiem z całą pewnością, że lekarz nie ma prawa pomagać pacjentowi w popełnianiu samobójstwa.

Abby poczuła, że czerwienieje z gniewu. Starając się nad sobą zapanować, powiedziała najspokojniej, jak potrafiła:

– Źle mnie pani zrozumiała. Próbujeśmy jedynie zapewnić pani cioci dobre samopoczucie.

– Są na to inne sposoby.

– Na przykład?

– Wezwać na pomoc wyższe siły.

– Ma pani na myśli modlitwy?

– Chociażby. Mnie zawsze pomagały w trudnych chwilach.

– Może pani oczywiście modlić się za cocię. Ale o ile pamiętam, Biblia nie zakazuje podawania chorym morfiny.

Brenda zmieniła się na twarzy, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się pager.

– Przepraszam — powiedziała chłodno Abby i odeszła na bok, nie kończąc rozmowy.

Pomyślała, że dobrze się złożyło, bo właśnie zamierzała rzucić jakąś sarkastyczną uwagę w rodzaju: „Skoro tak bardzo wierzy pani w moc

modlitwy, może poprosi pani swojego Boga o uleczenie cioci?". Z pewnością rozsierzdziłoby to Brendę. Teraz, gdy Joe Terrio wniósł przeciw niej pozew, a Victor Voss robił wszystko, by zwolniono ją z pracy, ostatnie, czego potrzebowała, to kolejna skarga.

Podniosła słuchawkę telefonu w dyżurce pielęgniarek i wykręciła numer, który wyświetlił się na jej pagerze.

– Informacja — odezwał się kobiecy głos.

– Mówi doktor DiMatteo. Wzywała mnie pani?

– Tak, pani doktor. Jest u mnie pan Bernard Katzka.

Chciałby, żeby pani spotkała się z nim w holu.

– Nie znam nikogo o tym nazwisku. Poza tym jestem teraz dość zajęta — odparła Abby. — Może go pani spytać, o co chodzi?

Usłyszała szmer rozmowy, a gdy telefonistka odezwała się ponownie, jej głos brzmiał dziwnie powściągliwie.

– Doktor DiMatteo?

– Tak?

– Pan Katzka jest z policji.

Mężczyzna czekający w holu wydał jej się znajomy. Miał czterdzieści parę lat, był średniego wzrostu i średniej budowy ciała, a jego twarz, ani ładna, ani brzydka, należała do tych, które nie zapadają w pamięć. Ciemne włosy zaczynały mu się już przerzedzać na czubku głowy, czego nie starał się ukryć, jak robi to wielu mężczyzn. Gdy Abby do niego podeszła, odniosła wrażenie, że też ją rozpoznał.

– Doktor DiMatteo, jestem detektyw Bernard Katzka z wydziału zabójstw — przedstawił się.

Zmroziły ją te słowa. O co chodziło? Wymienili uściski dłoni. Dopiero napotkawszy jego wzrok Abby przypomniała sobie, że spotkali się na cmentarzu, na pogrzebie Aarona Leviego. Katzka stał nieco z boku, jednak podczas ceremonii ich spojrzenia się skrzyżowały. Nie rozumiejąc hebrajskich modlitw, przyglądała się innym żałobnikom i w pewnym momencie uświadomiła sobie, że jeszcze ktoś obserwuje zgromadzonych. Patrzyli na siebie tylko przez sekundę, po czym Katzka odwrócił wzrok. Wówczas nie zdążyła mu się dobrze przyjrzeć,

ale spoglądając na niego teraz, zauważyła jego spokojne szare oczy. Gdyby nie emanująca z nich inteligencja, Bernard Katzka niczym nie zwracałby na siebie uwagi.

— Jest pan zaprzyjaźniony z rodziną Levich? — spytała.

— Nie.

— Widziałam pana na cmentarzu. A może się mylę?

— Byłem tam.

Milczała, czekając na wyjaśnienie, ale Katzka powiedział tylko:

— Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

— A mogłabym wiedzieć o czym?

— O śmierci doktora Leviego.

Spojrzała na drzwi wyjściowe. Świeciło słońce, a ona przez cały dzień nie była na powietrzu.

— Jest tu niewielki dziedziniec z kilkoma ławkami — od parła. — Może tam?

Było przyjemnie ciepłe październikowe popołudnie. Pośrodku dziedzińca, na okrągłej grządce kwitły rdzawe, pomarańczowe i żółte chryzantemy. Spomiędzy kwiatów spokojnym strumyczkiem tryskała fontanna. Usiedli na jednej z drewnianych ławek. Dwie zajmujące sąsiednią ławkę pielęgniarki wstały i poszły z powrotem do budynku, zostawiając Abby i detektywa samych. Przez chwilę oboje milczeli. Cisza wprawiała Abby w zakłopotanie, ale jej towarzyszowi najwyraźniej nie przeszkadzała. Wydawał się przyzwyczajony do takich sytuacji.

— Pani nazwisko podała mi Elaine Levi — odezwał się w końcu. — Sugerowała, że powinienem z panią pomówić.

— Dlaczego?

— Rozmawiała pani z doktorem Levim w sobotę nad ranem.

Zgadza się?

— Tak. Przez telefon.

— Pamięta pani, o której godzinie?

— Chyba około drugiej. Byłam wtedy w szpitalu.

— To on dzwonił?

– Tak. Zadzwoił na oddział intensywnej terapii i chciał rozmawiać z lekarzem dyżurnym. Trafił akurat na mnie.

– Po co telefonował?

– Pytał o naszą pacjentkę. Miała gorączkę pooperacyjną i chciał uzgodnić plan działania. Zastanawialiśmy się, jakie badania laboratoryjne powinniśmy zlecić i jakie zdjęcia rent genowskie wykonać. Czy zechce mi pan wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

– Próbuję ustalić chronologię wydarzeń. A więc doktor Levi zadzwonił na oddział o drugiej w nocy i pani odebrała telefon.

– Tak.

– Czy później rozmawiała z nim pani ponownie?

– Nie.

– Próbowwała pani do niego dzwonić?

– Owszem, ale wyjechał już z domu. Rozmawiałam z jego żoną.

– O której to było?

– Nie wiem dokładnie. O trzeciej, trzeciej piętnaście. Nie patrzyłam na zegar.

– Potem już pani do niego nie dzwoniła?

– Nie. Wysyłałam mu kilkakrotnie sygnał na pager, ale nie odpowiadał. Wiedziałam, że jest gdzieś w budynku, bo na parkingu stał jego samochód.

– O której pani go widziała?

– To nie ja go widziałam, ale mój narzeczony, doktor Hodell, który wjechał na parking około czwartej rano. Dlaczego tę sprawę prowadzi wydział zabójstw?

Katzka zignorował jej pytanie.

– Elaine Levi powiedziała mi, że ktoś dzwonił o drugiej piętnaście. Jej mąż odebrał telefon. Kilka minut później ubrał się i wyszedł z domu. Wiadomo pani coś o tym telefonie?

– Nie. To mogła być któraś z pielęgniarek. Czy Elaine tego nie wie?

– Jej mąż zabrał aparat do łazienki. Nie słyszała rozmowy.

— To nie byłam ja. Rozmawiałam z Aaronem tylko raz — odparła Abby.—Naprawdę chciałabym wiedzieć, po co zadaje mi pan te wszystkie pytania. To na pewno nie jest rutynowa procedura.

— Nie. Ma pani rację.

Zabrzączał pager Abby. Rozpoznała numer na wyświetlaczu — dzwoniło z biura. Nie było to pilne wezwanie, ale zaczynała mieć już dość tej rozmowy. Podniosła się z ławki.

— Muszę wracać do pracy. Czekają na mnie pacjenci. Nie mam czasu odpowiadać na pańskie dziwne i niejasne pytania.

— Moje pytania są dość konkretne. Próbuję ustalić, kto do kogo dzwonił tamtego ranka i o której godzinie. A także o czym rozmawiano.

— Po co panu te informacje?

— Może to mieć związek ze śmiercią doktora Leviego.

— Sugeruje pan, że ktoś namówił go, by się powiesił?

— Chciałbym po prostu wiedzieć, kto z nim rozmawiał.

— Nie wystarczą panu dane z komputera centrali telefonicznej? Nie mają rejestrów połączeń?

— Jak już mówiłem, kwadrans po drugiej dzwoniło do doktora Leviego ze szpitala Bayside.

— Mogła to być pielęgniarka.

— Albo ktokolwiek inny, kto wtedy był w budynku.

— Podejrzewa pan, że ktoś z Bayside zadzwonił do Aarona i powiedział mu coś tak strasznego, że postanowił się zabić?

— Bierzemy pod uwagę nie tylko samobójstwo.

Popatrzyła na niego. Powiedział to tak spokojnie, że nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała. Powoli z powrotem usiadła na ławce. Przez chwilę oboje milczeli.

Przez dziedziniec przeszła pielęgniarka z pacjentką na wózku inwalidzkim. Zatrzymały się na moment przy grządce, podziwiając chryzantemy, po czym ruszyły dalej. Ciszę zakłócał tylko plusk fontanny.

— Uważa pan, że to mogło być zabójstwo? — spytała Abby.

Nie odpowiedział od razu. Siedział w milczeniu, nie zdradzając niczego swoją postawą, ułożeniem rąk, wyrazem twarzy.

- Czy Aaron się powiesił? — spytała znowu.
- Sekcja wykazała, że śmierć nastąpiła w wyniku udu szenia.
- To wskazuje na samobójstwo.
- Nie można tego wykluczyć.
- Więc czemu ma pan wątpliwości?

Wahał się przez chwilę. Po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach niepewność i zauważyła, jak starannie dobiera słowa. Był typem człowieka, który nie wykonuje żadnego ruchu bez rozważenia ewentualnych konsekwencji. Typem człowieka, który starannie planuje wszystkie działania.

— Dwa dni przed śmiercią doktor Levi przywiózł do domu nowy komputer — powiedział.

— To wszystko? I dlatego zadaje mi pan te pytania?

— Wykorzystał go do kilku celów... Po pierwsze, zarezerwował lot dla dwóch osób do Santa Lucia na Karaibach tuż przed Bożym Narodzeniem. Wysłał też e-mail do swojego syna w Dartmouth, omawiając z nim jego przyjazd do domu na Święto Dziękczynienia. Proszę pomyśleć, pani doktor. Najwyraźniej planował wspólne spędzenie urlopu z żoną i zamierzał spotkać się z synem. Ale dwa dni później o drugiej piętnaście w nocy zwleka się z łóżka, jedzie do szpitala, wsiada do windy, potem idzie wyżej schodami na opuszczone piętro, przywiązuje pasek do kołka w szafie, zaciska sobie pętlę na szyi i po prostu podkurcza nogi. Nie od razu traci przytomność. Pozostaje mu jeszcze pięć, może dziesięć sekund na to, by się rozmyślić. Ma żonę i dzieci. Zamierzał spędzić wakacje na plaży w Santa Lucia, ale zamiast tego nagle postanawia umrzeć. Samotnie, w ciemnościach. — Katzka popatrzył na Abby. — Niech pani się nad tym zastanowi.

Przełknęła ślinę.

- Nie jestem pewna, czy chcę.
- Ja to zrobiłem.

Spojrzała w jego spokojne szare oczy, zastanawiając się, o jakich jeszcze koszmarach musiał rozmyślać. Czemu wybrał sobie pracę, która wymaga przywoływania takich strasznych wizji?

– Wiemy, że samochód doktora Leviego znaleziono na szpitalnym parkingu, w miejscu, gdzie zwykle go zostawiał.

Nie wiemy jednak, po co tu przyjechał ani dlaczego w ogóle wyszedł z domu. Nie licząc osoby, która dzwoniła do niego o drugiej piętnaście, pani rozmawiała z nim jako ostatnia. Czy mówił, że wybiera się do szpitala?

– Martwił się o naszą pacjentkę. Mógł dojść do wniosku, że lepiej będzie, jeśli przyjedzie i osobiście się nią zajmie.

– Wyręczając panią?

– Jestem stażystką, panie Katzka, a nie lekarzem specjalistą.

Aaron był internistą w zespole transplantologów.

– Sądziłem, że był kardiologiem.

– Ale także internistą. Kiedy pojawiał się jakiś problem ogólnej natury, jak na przykład gorączka, pielęgniarki zwykle zawiadamiły o tym jego. A on w razie potrzeby wzywał konsultantów.

– Czy w trakcie tej rozmowy telefonicznej wspomniał, że wybiera się do szpitala?

– Nie. Omawialiśmy tylko plan działania. Powiedziałam mu, co zamierzam zrobić. Chciałam zbadać pacjentkę i zlecić testy krwi oraz zdjęcia rentgenowskie. Zaakceptował to.

– Tylko tyle?

– To była cała nasza rozmowa.

– Może powiedział coś, co wydało się pani dziwne?

Ponownie się nad tym zastanowiła i przypomniała sobie niezręczne milczenie na początku ich rozmowy. A także zaniepokojenie w jego głosie, gdy ją usłyszał.

– Doktor DiMatteo?

Popatrzyła na Katzkę i zauważyła, że na jego twarzy pojawił się wyraz czujności.

– Czy coś pani sobie przypomina? – spytał.

— Nie był chyba zbyt zadowolony, że to właśnie ja jestem na dyżurze.

— Dlaczego?

— Ze względu na pacjentkę, o którą chodziło. Między jej mężem i mną doszło do konfliktu. Dość poważnego. — Od wróciła wzrok, bo zrobiło jej się niedobrze na myśl o Victorze Vossie. — Aaron na pewno wolałby, żebym trzymała się z daleka od pani Voss.

Milczenie Katzki sprawiło, że znów na niego spojrzała.

— To żona Victora Vossa? — spytał po chwili.

— Tak. Zna go pan?

Detektyw usiadł wygodniej i powoli wypuścił powietrze z płuc.

— Wiem, że założył firmę VMI International. Jaka operację miała pani Voss?

— Przeszczep serca. Teraz czuje się o wiele lepiej. Po kilku dniach stosowania antybiotyków gorączka ustąpiła.

Katzka popatrzył na fontannę, w której oświetlone słońcem strużki wody lśniły jak złote łańcuchy. Nagle wstał z ławki.

— Dziękuję za poświęcenie mi czasu, doktor DiMatteo — powiedział. — Może jeszcze do pani zadzwonię.

Chciała odpowiedzieć „Proszę bardzo”, ale detektyw już się odwrócił i oddalał się szybkim krokiem. Jego nagły pośpiech zdziwił ją i zaniepokoił.

Znów zabrzączał jej pager. Ponownie dzwoniło z biura. Wyłączyła go. Kiedy podniosła wzrok, Katzki już nie było widać. Znikający policjant, pomyślała. Zastanawiając się wciąż nad jego pytaniami, wróciła do holu i podniosła słuchawkę telefonu.

Odpowiedziała jej sekretarka.

— Biuro szpitala.

— Mówi Abby DiMatteo. Wzywała mnie pani?

— Tak. Są dwie sprawy. Miała pani zamiejskowy telefon od Helen Lewis z Banku Narządów Nowej Anglii. Chciała wiedzieć, czy dostała pani odpowiedź na swoje pytanie dotyczące przeszczepu. Nie odpowiadała pani na sygnał, więc odłożyła słuchawkę.

— Jeśli zadzwoni ponownie, proszę jej przekazać, że mam już odpowiedź. A druga sprawa?

— Przyszedł do pani list. Polecony. Potwierdziłam odbiór.

Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

— Polecony?

— Dostarczono go kilka minut temu.

— Kto go nadał?

Usłyszała szelest przekładanych papierów.

— Firma Hawkes, Craig i Sussman. Kancelaria prawna.

Abby poczuła skurcz żołądka.

— Zaraz tam będę — powiedziała, odkładając słuchawkę.

Znów ten pozew od Terrio. Tryby organów sprawiedliwości zetrą ją na proch. Jadąc windą na piętro, na którym mieściła się administracja, czuła, że poca jej się ręce. Doktor DiMatteo, znana ze swojego opanowania na sali operacyjnej, stała się kłębkim nerwów.

Sekretarka rozmawiała przez telefon. Kiedy ją zobaczyła, wskazała przegródki z korespondencją.

W jej skrytce leżała tylko jedna koperta. W jej lewym górnym narożniku widniał nadruk Hawkes, Craig i Sussman. Rozdarła ją.

Początkowo nie rozumiała, co czyta. Potem spojrzała na nazwisko powoda i dotarło do niej w końcu, o co chodzi. List wcale nie dotyczył Karen Terrio, lecz innego pacjenta, niejakiego Michaela Freemana. Był alkoholikiem, który wykrwawił się na śmierć w szpitalnej sali. Przyczyną gwałtownego krwotoku było pęknięcie żyłaka przełyku. A teraz żona Michaela Freemana wytaczała jej proces i wynajęła w tym celu firmę Hawkes, Craig i Sussman. Była jedyną oskarżoną. W pozwie wymieniono tylko jej nazwisko.

— Doktor DiMatteo... dobrze się pani czuje?

Uświadomiła sobie nagle, że opiera się o skrytki na korespondencję i że podłoga chwieje się jej pod nogami. Sekretarka patrzyła na nią, marszcząc brwi.

— Nic mi... nie jest — odparła. — Wszystko w porządku.

Gdy wyszła z biura, pobiegła wprost do dyżurki, zamknęła się w środku i usiadła na łóżku. Potem rozłożyła list i przeczytała go ponownie. I jeszcze raz.

Dwa pozwy w ciągu dwóch tygodni. Vivian miała rację. Pewnie spędzi w sądzie resztę życia.

Wiedziała, że powinna zadzwonić do adwokata, ale w tym momencie nie potrafiła się na to zdobyć. Siedziała więc na łóżku, wpatrując się w list, który miała na kolanach. Myślała o wszystkich latach swojej ciężkiej pracy, o tym, ile wysiłku wymagało osiągnięcie obecnego etapu kariery. Myślała o przesłęczanych nad książkami nocach, gdy wszystkie jej koleżanki z akademika chodziły na randki. O weekendach, podczas których pracowała na dwie zmiany jako szpitalna laborantka, pobierając setki próbek krwi, aby zarobić na czesne. O stu dwudziestu tysiącach dolarów długu za studia, które miała jeszcze do spłacenia. O kanapkach z masłem orzechowym, które zastępowały jej obiad. O filmach, koncertach i sztukach, na których nie była.

Myślała też o swoim młodszym bracie, z którego powodu się na to wszystko zdecydowała. Bracie, którego tak bardzo chciała ocalić, lecz nie potrafiła. Myślała przede wszystkim o nim.

Victor Voss wygrywał. Obiecał, że ją zniszczy, i konsekwentnie do tego zmierzał.

Musi zacząć walczyć. Najwyższy czas. Nie wiedziała tylko, w jaki sposób się do tego zabrać. Nie była dość sprytna. List palił jej dłonie jak kwas. Zastanawiała się, jak powstrzymać Vossa, ale nie mogła mu postawić żadnych zarzutów z wyjątkiem tego, że wypchnął ją na korytarz. Mogła go oskarżyć o napaść i pobicie. Ale to by nie wystarczyło.

Walcz, powiedziała sobie. Musisz coś wymyślić.

Znowu odezwał się sygnał pagera. Dzwoniono z chirurgii. Nie miała nastroju na żadne rozmowy przez telefon, jednak podniosła słuchawkę i wystukała numer.

— DiMatteo — powiedziała.

— Pani doktor, mamy problem z siostrzenicą Mary Allen.

— O co chodzi?

— Próbujemy podać pacjentce popołudniową dawkę morfiny, ale Brenda Hainey nam nie pozwala. Może zechce pani...

— Już idę — odparła Abby i rzuciła słuchawkę.

Cholerna Brenda, pomyślała, wpychając list od adwokata do kieszeni. Zbiegła po schodach dwa piętra w dół. Gdy dotarła na oddział, ciężko dyszała — nie z wysiłku, lecz z wściekłości. Wpadła jak burza wprost do sali Mary Allen.

Dwie pielęgniarki spierały się z Brenda. Jej ciotka nie spała, ale wydawała się zbyt słaba i zboląta, by się odzywać.

— Ona jest już wystarczająco odurzona — mówiła Brenda. — Spójrzcie na nią. Nie może nawet ze mną rozmawiać.

— Być może nie chce — oświadczyła Abby.

Pielęgniarki odwróciły się do niej z wyraźną ulgą na twarzach.

Wreszcie zjawił się ktoś, kto mógł zaprowadzić porządek.

— Proszę opuścić salę, panno Hainey — powiedziała Abby.

— Morfina nie jest konieczna.

— Ja o tym zadecyduję. A teraz proszę wyjść.

— Nie pozostało jej wiele czasu. Powinna być w pełni przytomna.

— Po co?

— Żeby pogodzić się z Bogiem. Jeśli umrze, zanim to uczyni...

Abby wyciągnęła rękę do pielęgniarki.

— Proszę o morfinę. Sama zaaplikuję ją pacjentce.

Pielęgniarka natychmiast podała strzykawkę. Abby podeszła do przewodu kroplówki i ściągnając osłonę z igły, zauważyła pełne wdzięczności spojrzenie Mary Allen.

— Jeśli pani to zrobi, zadzwonię do adwokata — ostrzegła Brenda.

— Proszę bardzo — odparła Abby.

Wsunęła igłę do portu kroplówki, ale kiedy wciskała tłok strzykawki, Brenda pochyliła się szybko i wyciągnęła wenflon z ramienia ciotki. Z miejsca, w którym był założony, popłynęła krew. Ściekające na linoleum jasnoczerwone krople rozwścieczyły Abby.

Pielęgniarka przyłożyła do ramienia chorej gazę. Abby odwróciła się do Brendy i wycedziła:

– Niech się pani stąd natychmiast wynosi.

– Nie miałam wyboru, pani doktor.

– Proszę wyjść!

Siostrzenica Mary Allen zrobiła krok do tyłu, ale nie opuściła izolatki.

– Czy mam wezwać ochronę, żeby panią wyrzucili? — krzyknęła Abby, podchodząc do Brendy, która zaczęła wycofywać się na korytarz.

– Zabraniam pani zbliżać się do pacjentki!

Niech jej pani nie dręczy tymi biblijnymi bzdurami!

– Jestem jej krewną!

– Gównu mnie obchodzi, kim pani jest!

Kobieta odwróciła się bez słowa i wyszła.

– Doktor DiMatteo, czy mogę z panią pomówić?

Obejrzawszy się, Abby zobaczyła przełożoną pielęgniarek, Georginę Speer.

– To było wysoce niestosowne, pani doktor. Nie traktujemy w ten sposób odwiedzających.

– Właśnie wyrwała pacjentce z ramienia wenflon!

– Są inne metody postępowania. Można wezwać ochronę.

Albo poprosić kogoś o pomoc. Ale zdecydowanie nie tolerujemy w naszym szpitalu takiego słownictwa, rozumie pani?

Abby głęboko wciągnęła powietrze.

– Rozumiem — odparła i po chwili dodała szeptem: — Przepraszam.

Ponownie podłączywszy Mary Allen do kroplówki, zaszyła się w dyżurce i opadła na łóżko. Co się ze mną dzieje, do cholery? — zastanawiała się. Nigdy dotąd nie straciła panowania nad sobą, nigdy nawet nie podniosła głosu, rozmawiając z pacjentami lub ich krewnymi. Chyba dostaję obłądu, pomyślała. Załamuję się pod wpływem stresu. Może nie nadaję się do tego zawodu.

Znów zabręczczał jej pager. Boże, czy już nigdy nie zazna spokoju? Wiele by dała za to, by przez dzień albo tydzień nikt jej nie szukał, nie dręczył telefonami. Wzywała ją telefonistka z centrali. Abby podniosła słuchawkę i wykręciła zero.

— Rozmowa zamiejscowa, pani doktor — oznajmiła telefonistka. — Łączę.

Abby usłyszała kilka kliknięć, po czym kobiecy głos zapytał:

— Doktor Abby DiMatteo?

— Tak, to ja.

— Mówi Helen Lewis z Banku Narządów Nowej Anglii.

W ubiegłą sobotę pytała pani o dawcę serca, które otrzymaliście.

Spodziewaliśmy się, że ktoś z Bayside oddzwoni w tej sprawie, lecz nikt się do nas nie odezwał. Dlatego pomyślałam, że powinnam się z panią skontaktować.

— Przepraszam. Powinnam była zadzwonić, ale mieliśmy tu urwanie głowy. Okazuje się, że zaszło nieporozumienie.

— Cóż, to ułatwia sprawę, ponieważ i tak nie udało mi się znaleźć tej informacji. Jeśli ma pani jeszcze jakieś pytania, proszę o...

— Chwileczkę — przerwała jej Abby. — Co pani powie działa?

— Że nie udało mi się znaleźć tej informacji.

— Dlaczego?

— Danych, o które pani prosiła, nie ma w naszym systemie.

Abby przez dobrych dziesięć sekund milczała, a potem spytała powoli:

— Jest pani tego całkowicie pewna?

— Sprawdziłam w naszym komputerze. Pod datą, którą pani podała, nie mamy informacji o pobraniu gdziekolwiek w Yermont serca do przeszczepu.

Rozdział dwunasty

— Proszę spojrzeć — powiedział Colin Wettig, otwierając Rejestr lekarzy specjalistów. — Timothy Nicholls. Licencjat na uniwersytecie w Vermont. Doktorat w Tufts. Staż w szpitalu Massachusetts General. Specjalizacja: chirurgia klatki piersio wej. Związany ze szpitalem Wilcox Memoriał w Burlington, w stanie Vermont. — Położył książkę na stole konferencyjnym, aby każdy mógł do niej zajrzeć. — Tak więc rzeczywiście istnieje chirurg o nazwisku Tim Nicholls, który pracuje w Burlington. Nasz kolega go sobie nie wymyślił.

— Kiedy rozmawiałem z nim w sobotę, twierdził, że brał udział w pobieraniu serca do przeszczepu — oświadczył Archer. — Mówił, że miało to miejsce w Wilcox Memoriał.

Niestety nie zdołałem znaleźć żadnego z lekarzy, którzy byli z nim wtedy na sali operacyjnej. A teraz jego także nie mogę zlokalizować. W szpitalu powiedziano mi, że wziął długoterminowy urlop. Nie wiem, co się dzieje, Jeremiaś, ale wolałbym, żebyśmy nie mieli z rym nic wspólnego. To jakaś cuchnąca sprawa.

Dyrektor poruszył się niespokojnie w fotelu i zerknął na Susan Casado, prawniczkę Bayside. Nie spojrzał na Abby, która siedziała przy drugim końcu stołu, obok koordynatorki do spraw przeszczepów, Donny Toth. Może nie chciał na nią patrzeć. W końcu to ona była przyczyną całego zamieszania. To właśnie z jej inicjatywy zwołano zebranie.

— Co się tu właściwie dzieje? — spytał.

— Myślę, że to właśnie Victor Voss sprawił, że dawca nie został zarejestrowany — oświadczył Archer. — Chciał, żeby serce przekazano bezpośrednio jego żonie.

— Mógł to zrobić?

— Prawdopodobnie tak, jeśli dysponował odpowiednią sumą pieniędzy.

— Z pewnością ma ich dosyć — mruknęła Susan. — Widziałam właśnie najnowszą listę w „Kiplinger's Magazine”.

Wśród pięćdziesięciu najbogatszych ludzi w Ameryce awan sował właśnie na czternastą pozycję.

— Proszę mi lepiej wyjaśnić, jak wygląda procedura przy dzielenia biorcy organu do przeszczepu — zażądał Parr. — Zupełnie nie rozumiem, jak to się mogło stać.

Archer popatrzył na koordynatorkę.

— Zwykle zajmuje się tym Donna. Może ona nam to wyjaśni?

Donna Toth kiwnęła głową.

— System jest dość przejrzysty — powiedziała. — Mamy regionalną i krajową listę pacjentów oczekujących na prze szczepy. Listę krajową tworzy Centralna Sieć Dystrybucji Narządów, w skrócie CSDN. Listą regionalną dysponuje Bank Narządów Nowej Anglii. W obu przypadkach kryterium klasyfikacji pacjentów jest stan ich zdrowia, a nie majątek, rasa czy pozycja społeczna. Liczy się tylko stopień zagrożenia życia. — Otworzyła teczkę i wyjęła z niej kartkę papieru, którą podała Parrowi. — Oto jak wygląda aktualna lista regionalna. Przefaksowano mi ją z biura Banku Narządów Nowej Anglii w Brookline. Jak widać, mamy tu informacje o stanie zdrowia każdego pacjenta i o tym, jaki narząd jest mu potrzebny, oraz adres najbliższego ośrodka transplantacyjnego i numer telefonu kontaktowego. Zwykle jest to telefon koordynatora do spraw przeszczepów.

— Co oznaczają pozostałe zapisy przy nazwiskach?

— To informacja kliniczna. Minimalny i maksymalny wzrost i waga dawcy. A także adnotacja, czy pacjent miał wcześniej wykonywany

przeszczep, ponieważ w takim przypadku dob ranie narządu mogą utrudnić wytworzone w jego organizmie przeciwciała.

— Powiedziała pani, że pozycja pacjenta na liście zależy od stanu jego zdrowia?

— Zgadza się. Na początku jest nazwisko osoby najbardziej zagrożonej.

— Na którym miejscu była pani Voss?

— Gdy wykonano przeszczep, znajdowała się na trzeciej pozycji na liście pacjentów z grupą krwi AB.

— Co się stało z dwiema pierwszymi osobami?

— Sprawdziłam to w Banku Narządów Nowej Anglii. Kilka dni później oba nazwiska sklasyfikowano jako nieaktywne i skreślono z listy.

— Czy to znaczy, że ci pacjenci zmarli? — spytała cicho Susan Casado.

Donna kiwnęła głową.

— Nie otrzymali na czas organów do przeszczepu.

— Jezu! — jęknął Parr. — Więc pani Voss otrzymała serce, które powinien dostać ktoś inny.

— Chyba właśnie tak się stało. Nie wiemy, jak to załatwiono.

— W jaki sposób powiadomiono nas o dawcy? — spytała Susan.

— Telefonicznie — odparła Donna. — To rutynowa proce dura. Zajmuje się tym koordynator do spraw przeszczepów w szpitalu, z którego pochodzi narząd. Sprawdza, kto jest na pierwszym miejscu aktualnej listy oczekujących Banku Narządów Nowej Anglii, i dzwoni na numer kontaktowy.

— Więc koordynator z Wilcox Memoriał dzwonił do pani?

— Tak. Rozmawiałam też z nim już wcześniej, na temat innych dawców. Nie było żadnych powodów do podejrzeń.

Archer pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia, jak Voss to zrobił. Wszystko wydawało się całkowicie legalne. Najwyraźniej ktoś w Wilcox wziął łapówkę. Domyślałam się, że zrobił to ich koordynator. Tak więc żona Vossa

dostaje serce, a szpital Bayside zostaje wciągnięty w handel narządami. I nie mamy nawet akt dawcy, żeby sprawdzić, jak do tego doszło.

— Wciąż nie wiecie, gdzie są te dokumenty? — spytał dyrektor.

— Nie zdołałam ich znaleźć — odparła Donna. — W moim biurze ich nie ma.

To na pewno sprawka Victora Vossa, pomyślała Abby. Postarał się, żeby te papiery zniknęły.

— Najgorsza jest sprawa nerek — wtrącił Wettig.

Parr spojrział na niego, marszcząc brwi.

— Słucham?

— Żona Vossa nie potrzebowała nerek, trzustki ani wątroby — oświadczył Wettig. — Więc co się z nimi stało, skoro nie trafiły do banku narządów?

— Musiano je wyrzucić — mruknął Archer.

— Właśnie. Mogły ocalić życie trzem lub nawet czterem osobom, a wylądowały na śmietniku.

Wszyscy pokręcili głowami, wyraźnie poruszeni.

— Co z tym zrobimy? — spytała Abby.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić — przyznał w końcu Parr, spoglądając na prawniczkę. — Czy wyjaśnienie tej sprawy należy do nas?

— Myślę, że to nasz moralny obowiązek — odparła Susan. — Ale jeśli to zgłosimy, musimy liczyć się z konsekwencjami. Po pierwsze, nie ukryjemy tego przed prasą. Sprawa handlu narządami, zwłaszcza gdy jest w nią uwikłany Victor Voss, to łakomy kęs dla dziennikarzy. Po drugie, naruszymy zasadę poufności informacji. Niektórzy pacjenci mogą mieć nam to za złe.

Wettig prychnął pogardliwie.

— Cholerni bogacze!

— To ludzie, dzięki którym ten szpital funkcjonuje — stwierdził Parr.

— Właśnie — dodała Susan. — Jeśli usłyszą, że szpital Bayside wszczął dochodzenie przeciw komuś takiemu jak Victor Voss, zaczną się zastanawiać, czy ich akta pozostaną poufne.

Możemy stracić wszystkich prywatnych pacjentów zakwalifikowanych do przeszczepów. A co będzie, jeśli sprawa przybierze zły obrót i ludzie zaczną podejrzewać, że braliśmy udział w tym procederze? Stracimy wiarygodność jako ośrodek transplantacyjny. Nasza reputacja ucierpi także wtedy, jeśli się okaże, że to Voss postarał się o to, żeby dawca nie został zarejestrowany.

Abby spojrzała na Archera, który wydawał się wstrząśnięty taką perspektywą. Mogło to mieć katastrofalne skutki dla ich programu. I dla całego zespołu.

— Jak wiele informacji na ten temat wyciekło na zewnątrz? — spytał Parr, odwracając się w końcu do Abby. — Co powiedziała pani Bankowi Narządów, doktor DiMatteo?

— Kiedy rozmawiałam z Helen Lewis, nie wiedziałam, co się dzieje. Podobnie jak ona. Próbowaliśmy po prostu ustalić, dlaczego danych dawcy nie wprowadzono do systemu, ale nie udało nam się tego wyjaśnić. Natychmiast po naszej rozmowie powiedziałam o tym Archerowi i doktorowi Wettigowi.

— I Hodellowi, prawda?

— Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Przez cały dzień ope rowała.

Parr odetchnął z ulgą.

— W porządku. Więc sprawa nie wyszła poza tę salę. A pani Lewis wie jedynie, że nie ma pani pojęcia, co się stało.

— Zgadza się.

Susan Casado również wyglądała, jakby jej ulżyło.

— Mamy jeszcze szansę zapanować na sytuacją. Myślę, że doktor Archer powinien zadzwonić do Banku Narządów i za pewnić panią Lewis, że wyjaśniliśmy nieporozumienie. Jest nadzieja, że nie będzie drażnić tej sprawy. A my przeprowadzimy dyskretne dochodzenie. Musimy ponownie spróbować skontaktować się z doktorem Nichollsem. Może on coś nam powie.

— Nikt nie wie, kiedy Nicholls wraca z urlopu — powiedział Archer.

— A ten drugi chirurg? — spytała Susan. — Ten facet z Teksasu?

— Mapes? Jeszcze nie próbowałem do niego dzwonić.

— Ktoś powinien to zrobić.

— Nie zgadzam się — wtrącił Parr. — Moim zdaniem nie powinniśmy kontaktować się w tej sprawie z nikim więcej.

— Dlaczego, Jeremiaś?

— Im mniej będziemy wiedzieć, tym lepiej dla nas. Powin niemy trzymać się od tego z daleka. Trzeba powiedzieć Helen Lewis, że serce było przeznaczone dla wskazanego biorcy i dlatego nie zostało zarejestrowane w Banku Narządów.

— Innymi słowy, mamy schować głowy w piasek — mruknął Wettig.

— Po prostu róbmy swoje — odparł Parr i rozejrzał się po twarzach siedzących przy stole osób, najwyraźniej uznając ich milczenie za wyraz akceptacji. — Nie muszę wam chyba mówić, że sprawa nie może wyjść poza tę salę.

Abby pokręciła głową.

— Problem polega na tym, że zło nie zniknie — stwierdzi ła. — Nawet gdy zasłonimy oczy i uszy, nadal będzie istniało.

— Szpital Bayside nic tu nie zawinił — oświadczył Parr. — Nie powinniśmy cierpieć z tego powodu i narażać się na niesprawiedliwe dochodzenie.

— A nasze zasady etyczne? To się może zdarzyć ponownie.

— Wątpię, by pani Voss potrzebowała wkrótce nowego serca. To odosobniony przypadek, doktor DiMatteo. Zroz paczony mąż złamał obowiązujące zasady, by ocalić żonę.

Sprawa zakończona. Musimy tylko stworzyć odpowiedni system zabezpieczeń, żeby taka sytuacja się nie powtórzyła. — Parr spojrzał na Archera. — Damy radę to zrobić?

Archer kiwnął głową.

— Nie mamy innego wyjścia, do cholery.

— A co będzie z Victorem Vossem? — spytała Abby.

Cisza, która zaległa na sali, wystarczyła jej za odpowiedź.

Nie poniesie żadnych konsekwencji. Tacy ludzie jak on zawsze unikali kary. Mógł ignorować przepisy, kupić serce, chirurga, nawet cały szpital. Mógł także wynająć armię prawników, by obrócić w proch marzenia zwykłej stażystki.

— On chce mnie zniszczyć — stwierdziła. — Myślałam, że da mi spokój po operacji żony, ale tak się nie stało. Wrzucił do mojego samochodu rozkładające się świńskie wnętrzności.

Zaaranżował dwa pozwy przeciwko mnie, a jestem pewna, że wkrótce będzie ich więcej. Trudno mi udawać, że niczego nie widzę i nie słyszę, kiedy ten człowiek ucieka się do takich metod.

— Może pani udowodnić, że to właśnie on za tym wszystkim stoi? — spytała Susan.

— A któż by inny?

— Doktor DiMatteo, chodzi o reputację naszego szpitala — powiedział Parr. — Musimy zewrzeć szeregi. Pani także należy do zespołu. To również pani szpital.

— A jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw? Jeśli trafi na pierwszą stronę „Globe”? Wtedy szpital zostanie oskarżony o tuszowanie afery i wybuchnie skandal.

— Właśnie dlatego musimy zachować te informacje dla siebie — odparł Parr.

— Mimo to wszystko może się wydać. — Abby uniosła podbródek. — I prawdopodobnie do tego dojdzie.

Parr i Susan wymienili nerwowe spojrzenia.

— Będziemy musieli podjąć ryzyko — oświadczyła Susan.

Abby zdjęła fartuch operacyjny, wrzuciła go do pojemnika z brudną bielizną i przecisnęła się przez podwójne drzwi. Dochodziła północ. Pacjent z raną kłutą był już na sali pooperacyjnej, lekarz notował zalecenia dotyczące jego kuracji, a na ostrym dyżurze nic się nie działo. W okopach panował spokój.

Nie była wcale pewna, czy jej to odpowiada. Miała zbyt dużo czasu na rozmyślanie o popołudniowym zebraniu.

Nie mogę nic zrobić, ponieważ należę do zespołu i muszę dbać o interesy szpitala, pomyślała. Ale dobrze, że nadal uważano ją za członka ekipy, bo to oznaczało, że ma szansę pozostać w Bayside i skończyć staż. Był to jednak pakt z diabłem. Trzymając język za zębami, może będzie mogła dalej realizować swoje marzenia.

Jeśli pozwoli jej na to Victor Voss.

I sumienie.

Kilkakrotnie w ciągu tego wieczoru miała ochotę podnieść słuchawkę i zadzwonić do Helen Lewis. Wystarczyłby jeden telefon. Gdyby Bank Narządów Nowej Anglii dowiedział się o zaistniałej sytuacji, Victor Voss miałby kłopoty. Wracając do dyżurki, nadal się zastanawiała, co powinna zrobić. Otworzyła kluczem drzwi i weszła do pokoju.

Jeszcze zanim włączyła światło, poczuła zapach kwiatów. Lili i róż. Zapaliwszy lampę, ujrzała wielki bukiet stojący w wazonie na biurku.

Szelest prześcieradła sprawił, że popatrzyła na łóżko.

— Mark?

Poderwał gwałtownie głowę. Przez chwilę nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Kiedy zobaczył Abby, uśmiechnął się do niej.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

— Boże, zupełnie zapomniałam!

— Ja nie — odparł.

Podeszła do łóżka i usiadła przy Marku. Kiedy pochyliła się, by go pocałować, poczuła znajomy zapach betadyny i zmęczenia.

— Auć... Powinieneś się ogolić.

— Ale najpierw poproszę o jeszcze jednego buziaka.

Uśmiechnęła się i spełniła jego prośbę.

— Jak długo tu jesteś?

— Która godzina?

— Dwunasta.

— Od dwóch godzin.

— Czekasz na mnie od dziesiątej?

— Prawdę mówiąc, nie miałem takiego zamiaru, ale po prostu zasnąłem.

Przesunął się, by zrobić jej miejsce na wąskim materacu. Kiedy zdjęła buty i położyła się obok niego, poczuła ciepło jego ciała. Pomyślała, że chyba powinna mu opowiedzieć o popołudniowym zebraniu i o drugim pozwie, ale nie miała ochoty. Pragnęła tylko, by wziął ją w objęcia i przytulił do siebie.

— Przepraszam, że nie przyniosłem tortu...

— Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam o własnych urodzinach. A może wolałam nie pamiętać? To już dwudzieste ósme.

Śmiejąc się, otoczył ją ramieniem.

— Niedołączna staruszka.

— Dzisiaj naprawdę czuję się staro.

— W takim razie ja powinienem czuć się jak antyk. — Pocałował ją delikatnie w ucho. — I nie będę już młodszy.

Chyba więc najwyższa pora.

— Na co?

— Aby wreszcie zrobić coś, co powinienem zrobić dawno temu.

— To znaczy?

Dotknął dłonią jej twarzy.

— Poprosić cię, żebyś za mnie wyszła.

Popatrzyła na niego oniemiała z wrażenia, ale tak szczęśliwa, że musiał ujrzeć odpowiedź w jej oczach. Jego bliskość przepelniała ją ogromną radością. Czowała na policzku ciepło jego dłoni. Widziała jego twarz, zmęczoną i już niemłodą, ale tym bardziej jej drogą.

— Kilka dni temu uświadomiłem sobie, że tego właśnie pragnę — powiedział. — Byłaś wtedy na nocnym dyżurze, a ja jadłem w domu kolację z kartonowego pudełka. Kiedy się I kładłem, zobaczyłem na toalecie twoje rzeczy. Szczotkę do włosów, szkatułkę z biżuterią, stanik, którego nigdy nie odkładasz na miejsce. — Zaśmiał się cicho, a ona mu zawtórowała. — W każdym razie w tym momencie zdałem sobie

sprawę, że nie chcę mieszkać w domu, w którym nie byłoby twoich rzeczy. Chyba już bym nie potrafił.

— Och, Mark...

— Najgorsze, że prawie zawsze jesteś w pracy. A kiedy wracasz, często mnie nie ma w domu. Machamy do siebie na korytarzach albo, przy odrobinie szczęścia, możemy przez chwilę potrzymać się za ręce w windzie. Ale po powrocie do mieszkania zawsze chciałbym widzieć na toaletce twoje TŁ&CTTJ.

Będę wtedy wiedział, że tam byłaś albo będziesz. To mi wystarczy.

Zobaczyła przez łzy, że się do niej uśmiecha. I poczuła, jak wali mu serce.

— Więc co pani o tym sądzi, doktor D.? — zapytał szep tem. — Czy w naszych napiętych harmonogramach znajdziemy czas na ślub?

Szlochając i śmiejąc się jednocześnie, odpowiedziała mu:

— Tak. Tak, tak, tak!

Objęła go ramionami za szyję i przywarła wargami do jego ust. Śmiali się i całowali przy wtórze potwornego skrzypienia sprężyn. Łóżko było dla nich o wiele za małe. Nie daliby rady na nim razem spać.

Ale wystarczyło, żeby się mogli kochać.

Mary Allen była kiedyś piękną dziewczyną. Czasem, patrząc na swoje dłonie i widząc na nich bruzdy i brązowe plamy, zastanawiała się zaskoczona, czyje to ręce. Z pewnością należą do jakiejś obcej starej kobiety, myślała. Nie do mnie, urodziwej Mary Hatcher. Potem nagle znowu odzyskiwała przytomność umysłu, rozglądała się po szpitalnej sali i uświadamiała sobie, że coś jej się zwidywało. Nie były to senne majaki, lecz odurzenie, które ogarniało jej umysł nawet wtedy, gdy nie spała. Tak właśnie działała morfina. Była wdzięczna lekarzom, że ją dostaje. Eliminowała ból i otwierała w jej umyśle sekretną furtkę, przez którą napływały wizje i wspomnienia z całego dobiegającego już kresu życia. Czytała kiedyś, że życie to krąg i jego koniec jest zarazem powrotem do źródeł, ale w jej przypadku przypominało raczej gobelin utkany z różnego rodzaju nici, często porwanych i splątanych.

Ale był to bardzo kolorowy gobelin.

Zamknęła oczy i sekretna furtka znowu się otworzyła. Mary ujrzała ścieżkę prowadzącą nad morze i krzaki słodko pachnących róż na plaży. Jej stopy były pograżone w ciepłym piasku. Od strony zatoki nadciągały fale. Czuła rozkoszny dotyk rąk, nacierających jej ciało olejkami.

Rąk Geoffreya.

Po chwili furtka otworzyła się jeszcze szerzej i pojawił się on sam, jak żywy. Nie taki jak wtedy na plaży, lecz taki, jakim go ujrzała po raz pierwszy – w mundurze, z potarganymi ciemnymi włosami. Odwrócił wtedy do niej głowę, uśmiechając się lekko, i oboje na siebie spojrzeli. To było na ulicy w Bostonie. Niosła torbę z zakupami i wyglądała jak młoda żona, która spieszy do domu, by ugotować mężowi obiad. Miała na sobie wyjątkowo brzydką brązową sukienkę. Trwała wojna i trzeba było zadowalać się tym, co było w sklepach. Nie związała włosów, więc były okropnie potargane. Była przekonana, że wygląda okropnie. Ale ten młody człowiek w mundurze uśmiechał się do niej i patrzył na nią zachwyconym wzrokiem, gdy mijała go na chodniku.

Następnego dnia znów się spotkali i spojrzeli na siebie – już nie jak nieznajomi.

Geoffrey. Kolejna zerwana nić. Nie przetarła się i nie pękłajak to było w przypadku jej męża, ale została przedwcześnie wydarta z gobelinu, pozostawiając widoczny ślad na całej długości tkaniny.

Usłyszała, że otwierają się drzwi. Prawdziwe drzwi. Ktoś cicho podszedł do jej łóżka.

Odurzona morfiną, z wysiłkiem otworzyła oczy. Zobaczyła, że w pokoju jest ciemno, w pobliżu widać było tylko niewielkie światełko. Próbowwała skupić na nim wzrok. Przez chwilę tańczyło w powietrzu jak świetlik, a potem znieruchomiało na pościeli. Wyteńczywszy wzrok, dostrzegła cień, który pojawił się nagle przy jej łóżku. Wydawał się bezkształtny i nierealny. Zastanawiała się, czy to też urojenie wywołane przez morfinę. Może przez furtkę przeszło jakieś niedobre wspomnienie, by ją dręczyć. Usłyszała szelest ściąganego prześcieradła i poczuła, że za ramię chwyta ją zimna dłoń w gumowej rękawiczce.

Ogarnęło ją przerażenie. To nie był sen. To się działo naprawdę. Ta zimna ręka chciała ją gdzieś zabrać, dokąś zaprowadzić.

Zaczęła się szarpać i zdołała uwolnić się z uścisku.

Jakiś głos powiedział cicho:

— Spokojnie, Mary. Wszystko w porządku. Pora, żebyś zasnęła.

Znieruchomiała.

— Kim jesteś?

— Opiekuję się tobą tej nocy.

— Czy już czas na lekarstwo?

— Tak. Już czas.

Zobaczyła na swoim ramieniu światło kieszonkowej latarki. Widziała, jak dłoń w rękawiczce wyjmuje strzykawkę i ściąga z igły plastikową osłonę. W wąskiej smudze światła załśniła stal.

Mary znów poczuła niepokój.

— Chcę zobaczyć się z pielęgniarką — powiedziała. — Proszę ją wezwać.

— Nie ma potrzeby.

Igła została wsunięta do portu kroplówki i tłok strzykawki zaczął się powoli przesuwac. Mary poczuła w żyłę ciepło, które po chwili objęło całe ramię. Zauważyła, że strzykawka jest pełna i podawanie środka przeciwbólowego trwa znacznie dłużej niż zwykle. Niedobrze, pomyślała, gdy cała dawka leku znalazła się już w jej żyłę. Coś było nie tak.

— Proszę wezwać pielęgniarkę — powtórzyła. Kiedy udało jej się podnieść głowę, zawołała cicho: — Siostró! Błagam! Muszę...

Dłoń w rękawiczce zakryła jej usta i z taką siłą przycisnęła głowę do poduszki, że Mary omal nie pękł kręgosłup. Wyciągnęła rękę, próbując się bronić, ale dłoń zbyt mocno ją trzymała, tłumiąc jej krzyki. Mary szarpała się i czuła, że wrywa przewody kroplówki, że z rozłączonych rurek zaczyna wyciekać płyn, jednak nie udało jej się oswobodzić. Fala ciepła dotarła już do klatki piersiowej i sunęła szybko w kierunku mózgu. Mary próbowała poruszyć nogami, ale nie mogła.

Nagle stwierdziła, że jest jej to obojętne.

Dłoń zsunęła się z jej twarzy.

Mary biegła przed siebie. Znow była małą dziewczynką z ciemnymi długimi włosami, opadającymi na ramiona. Pod bosymi stopami czuła ciepły piasek, a powietrze pachniało różami i morzem.

Furtka otwierała się przed nią na oścież.

Dzwonek telefonu gwałtownie wyrwał Abby ze snu. Kiedy jako tako oprzytomniała, stwierdziła, że leży w objęciach Marka. Mimo małych rozmiarów łóżka zdołali jakoś razem zasnąć. Ostrożnie uwolniła się z jego uścisku i sięgnęła po słuchawkę.

— DiMatteo.

— Doktor D., mówi Charlotte z czwartego piętra, z za chodniego skrzydła. Właśnie zmarła pani Allen. Wszyscy lekarze są teraz zajęci, więc prosilibyśmy, żeby pani zeszła tu i stwierdziła zgon.

— Dobrze. Zaraz u was będę — odparła Abby i odłożyła słuchawkę.

Leżała jeszcze przez chwilę, aby się dobudzić. Pani Allen nie żyje. Stało się to szybciej, niż oczekiwała. Czuła ulgę, że cierpienia staruszki wreszcie się skończyły, i wyrzuty sumienia, że tak do tego podchodzi. Śmierć pacjenta o trzeciej nad ranem wydaje się bardziej utrapieniem, przeszkodą w odpoczynku niż powodem do smutku.

Usiadła na krawędzi łóżka i włożyła buty. Mark chrapał cicho, telefon go nie obudził. Pochyliła się nad nim z uśmiechem i pocałowała go.

— Kocham cię — szepnęła mu do ucha i wyszła z pokoju.

Charlotte czekała na nią w dyżurce pielęgniarek na czwartym piętrze w zachodnim skrzydle. Poszły razem do pokoju Mary na końcu korytarza.

— Stwierdziłyśmy, że nie żyje, podczas obchodu o drugiej w nocy. Wcześniej byłam u niej o północy i wtedy spała, więc to musiało się stać później. Przynajmniej umarła spokojnie.

— Zawiadomiła pani rodzinę?

— Dzwoniłam do jej siostrzenicy. Powiedziałam, że nie musi przyjeżdżać, ale nie dała się przekonać. Jest już w drodze.

Musiałymy trochę posprzątać przed jej wizytą.

— Posprzątać?

— Z żyły Mary wysunął się przewód kroplówki, więc na podłodze była kałuża soli fizjologicznej i krew — wyjaśniła Charlotte, po czym otworzyła drzwi do pokoju pacjentki i obie weszły do środka.

Mary Allen wyglądała w świetle nocnej lampki, jakby spokojnie spała. Jej ręce były wyciągnięte wzdłuż boków, pościel podciągnięta na piersi. Było jednak oczywiste, że nie śpi. Miała częściowo otwarte powieki, a pod brodę podłożono zwinięty ręcznik, aby zapobiec opadaniu szczęki. Krewni przychodzący pożegnać się ze zmarłym nie chcą oglądać otwartych ust bliskiej osoby.

Abby przytknęła palce do tętnicy szyjnej. Nie było pulsu. Podniosła koszulę pacjentki i przyłożyła jej do piersi stetoskop. Słuchała przez dziesięć sekund. Brak oddechu i akcji serca. Poświeciła Mary Allen kieszonkową latarką w oczy. Źrenice nieruchome. Stwierdzenie zgonu było jedynie formalnością. Pielęgniarki zgłosiły śmierć pacjentki, a jej rola polegała tylko na tym, by potwierdzić ich słowa i sporządzić notatkę w karcie.

Była to jedna z umiejętności, które zdobywa się dopiero w trakcie wykonywania zawodu. Świeżo upieczeni lekarze, gdy po raz pierwszy przychodziło im stwierdzić zgon pacjenta, często nie mieli pojęcia, co należy robić. Niektórzy wygłaszali zaimprovizowane przemówienia albo prosili o Biblię, wzbogacając w ten sposób zbiór anegdot o głupich lekarzach, opowiadanych przez pielęgniarki.

Śmierć w szpitalu nie jest okazją do przemówień, należy jedynie sporządzić krótką notatkę i poświadczyć ją swoim podpisem. Abby wzięła do ręki kartę Mary Allen i napisała: „Brak samodzielnego oddychania i pulsu. Badanie osłuchowe nie wykazuje akcji serca. Źrenice nieruchome, w pozycji środkowej. Pacjentka została uznana za zmarłąo godzinie trzeciej zero pięć”. Kiedy skończyła, zamknęła kartę i odwróciła się do drzwi.

W progu stała siostrzenica Mary Allen.

— Przykro mi, panno Hainey — powiedziała Abby. — Pani ciocia umarła we śnie.

- Kiedy to się stało?
- Po pomocy. Z pewnością nie cierpiała.
- Czy ktoś był wtedy przy niej?
- Na oddziale dyżurowały pielęgniarki.
- Ale tu, w sali, nie było nikogo?

Abby zawahała się, po chwili uznała jednak, że najlepiej powiedzieć prawdę.

– Nie, była sama. Ale jestem pewna, że spała. Odeszła spokojnie. — Odsunęła się od łóżka. — Jeśli pani chce, może pani z nią chwilę zostać. Poproszę pielęgniarki, żeby pani nie przeszkadzały — dodała i ruszyła do drzwi.

- Dlaczego nic nie zrobiono, by ją ratować?

Abby odwróciła się do niej.

- Nie mogliśmy już niczego zrobić.
- Można było przecież reanimować. Tak się właśnie robi, prawda?
- Owszem, w pewnych okolicznościach przystępujemy do reanimacji.

- Zrobiliście to?

– Nie.

- Dlaczego? Ponieważ była zbyt stara?

– Wiek nie ma z tym nic wspólnego. Była nieuleczalnie chora.

- Została przyjęta do szpitala dopiero dwa tygodnie temu.

Tak mi powiedziała.

- Jej stan zdrowia był już bardzo zły.

– Myślę, że przez was jeszcze bardziej się pogorszył.

Abby poczuła skurcz żołądka. Była zmęczona, chciała wrócić do łóżka, a ta kobieta ją zatrzymywała, zarzucając jej niekompetencję. Musiała to jednak znieść. Musiała zachować spokój.

- Nie mogliśmy już niczego zrobić — powtórzyła.

– Dlaczego nie zastosowano elektrowstrząsów?

– Była pacjentką, która nie podlegała reanimacji. W stanie krytycznym mieliśmy nie stosować defibrylacji ani nie podłączać jej do respiratora. Pani ciocia tak sobie życzyła, więc uszanowaliśmy jej wolę.

Pani też powinna, panno Hailey — odparła Abby i wyszła, zanim Brenda zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. I zanim ona sama powiedziałaaby coś, czego by później żałowała.

Mark nadal spał w dyżurce. Wsunęła się do łóżka, położyła na boku, odwrócona do niego plecami, i przełożyła sobie jego rękę przez talię. Próbowwała ponownie znaleźć schronienie w bezpiecznej, ciepłej przystani snu, ale wciąż miała przed oczami twarz Mary Allen, wsunięty pod jej podbródek ręcznik i opadające powieki. Ciało w początkowym stadium rozkładu. Uświadomiła sobie, że prawie nic nie wiedziała o życiu tej kobiety. Była jej lekarką, a potrafiła powiedzieć tylko, jak umarła. Na łóżku, podczas snu.

Nie, chyba to nie do końca prawda... Pielęgniarki mówiły, że jakiś czas przed śmiercią Mary Allen wyciągnęła sobie z żyły przewód kroplówki. Co ją do tego skłoniło? Czy była czymś zdenerwowana?

Był to kolejny szczegół z życia Mary Allen, którego nigdy miała nie poznać.

Mark westchnął i przytulił się do niej. Wzięła jego rękę i przyłożyła sobie do piersi. Do serca. Na przekór smutkom uśmiechnęła się do siebie. To był początek ich nowego życia, jej i Marka. Życie Mary Allen się skończyło, a ich dopiero się zaczynało. Śmierć staruszki była smutnym wydarzeniem, lecz szpital to miejsce, w którym ludzie często umierali.

Albo zaczęli nowe życie.

Dochodziła dziesiąta rano, gdy Brenda Hainey wysiadła z taksówki przed swoim domem w Chelsea. Nic nie jadła i nie spała, odkąd odebrała telefon ze szpitala, ale nie czuła zmęczenia ani głodu. Była w niezwykle radosnym nastroju.

Modliła się przy łóżku cioci Mary do piątej nad ranem, dopóki pielęgniarki nie zabrały ciała do kostnicy. Po wyjściu ze szpitala zamierzała wrócić prosto do domu, ale jadąc taksówką przez cały czas miała wrażenie, że nie dopełniła jakiegoś obowiązku. Musiało to mieć coś wspólnego z duszą ciotki i jej dalszą wędrówką. Jeśli w ogóle

dokąd powędrowała. Mogła gdzieś utknąć, jak winda między piętrami. Brenda nie była pewna, czy wędruje w górę, czy w dół, i to ją dręczyło.

Ciocia Mary nie postępowała właściwie. Nie przyłączyła się do modlitwy, nie prosiła Boga o wybaczenie, nie spojrzała nawet na Biblię, którą Brenda zostawiła przy jej łóżku. Była zbyt obojętna na sprawy, które dotyczyły wiary. W takiej sytuacji nie można sobie na to pozwalać.

Brenda spotkała się już wcześniej z podobną lekkomyślną obojętnością wobec zbliżającej się śmierci u swoich znajomych i innych krewnych. Była jedyną osobą, która troszczyła się o zbawienie ich dusz — o to, czy ich winda zmierza we właściwym kierunku. Angażowała się w to tak bardzo, że jeśli ktokolwiek w rodzinie był poważnie chory, natychmiast jechała do niego i towarzyszyła mu do końca. Traktowała to jak swój obowiązek i niektórzy w rodzinie uważali ją z tego powodu za świętą. Ale ona była zbyt skromna, by uznać, że zasługuje na takie miano. Wypełniała po prostu wolę Boga, jak powinien to robić każdy Jego wierny sługa.

Jednak w przypadku cioci Mary jej misja się nie powiodła. Śmierć nadeszła zbyt szybko, zanim ciocia przyjęła Boga do serca. Dlatego właśnie, gdy taksówka odjeżdżała kwadrans przed szóstą rano sprzed szpitala Bayside, Brenda miała poczucie niespełnionego obowiązku. Ciocia Mary umarła bez pojednania z Bogiem. Gdyby przeżyła jeszcze jeden dzień, być może nie zabrakłoby czasu.

Taksówka przejeżdżała obok kościoła episkopałnego. Brenda nie była protestantką, nie należała do tego kościoła, ale mimo wszystko był to kościół.

— Proszę się zatrzymać — poleciła kierowcy. — Chcę tu wysiąść.

I tak o szóstej rano trafiła do kościoła pod wezwaniem Świętego Andrzeja. Z pochyloną głową siedziała w ławce przez dwie i pół godziny, bezgłośnie poruszając wargami. Modliła się za ciocię Mary. Modliła się o to, by jej grzechy, jakiegokolwiek były, zostały odpuszczone. O to, by jej dusza nie utknęła między piętrami i żeby winda, którą podróżowała, zmierzała w górę, nie w dół. Kiedy w końcu uniosła głowę, było już wpół do dziewiątej. Kościół nadal był pusty. Poranne

światło wpadało przez witraże błękitno-złotymi smugami. Spojrzawszy na ołtarz, Brenda ujrzała na nim kształt głowy Chrystusa. Wiedziała, że to tylko cień padający z witraża, ale w tym momencie dostrzegła w nim znak. Dowód, że Bóg wysłuchał jej modlitw.

Ciocia Mary została zbawiona.

Brenda wstała z ławki. Mdlilo ją z głodu, ale czuła wielką radość. Dzięki jej wysiłkom kolejna dusza odnalazła światło. Jakie to szczęście, że Pan ją wysłuchał!

Gdy wychodziła z kościoła Świętego Andrzeja, było jej cudownie lekko. Od razu złapała taksówkę, która stała na rogu, jakby na nią czekała. Był to kolejny znak.

Jechała do domu, pełna poczucia triumfu.

Wchodząc po schodach na frontowy ganek, marzyła o spokojnym śniadaniu i długiej, zasłużonej drzemce. Nawet słudzy Boga potrzebowali odpoczynku. Otworzyła drzwi.

Na podłodze leżała korespondencja, wrzucona tego ranka przez szczelinę w drzwiach. Rachunki, kościelne biuletyny, prośby o wsparcie. Tylu ludzi na świecie było w potrzebie! Brenda zebrała całą pocztę i przeglądała ją, idąc do kuchni. Na samym spodzie pliku znalazła kopertę, na której napisane było tylko jej nazwisko. Bez adresu nadawcy.

Otworzyła kopertę i rozłożyła znajdującą się wewnątrz kartkę papieru. Była na niej tylko jedna linijka tekstu, napisanego na maszynie:

Pani ciotka nie zmarła śmiercią naturalną.

I podpis: Przyjaciół.

Sterna przesyłek wyslizgnęła jej się z ręki, rachunki i biuletyny rozsypały się po podłodze kuchni. Opadła na krzesło. Nie czuła już głodu, a jej dobry nastrój zniknął.

Usłyszała krakanie za oknem. Wyrzawszy na zewnątrz, zobaczyła wronę siedzącą na gałęzi pobliskiego drzewa, wpatrującą się w nią żółtym okiem.

To był kolejny znak.

Rozdział trzynasty

Frank Zwick uniósł wzrok znad pacjenta leżącego na stole operacyjnym i powiedział:

— Rozumiem, że powinienem pani pogratulować?

Abby weszła właśnie do sali operacyjnej z rękami ociekającymi wodą po obowiązkowym szorowaniu ich przez dziesięć minut i zobaczyła, że Zwick i dwie pielęgniarki uśmiechają się do niej.

— Nie przypuszczałam, że doktor Hodell da się kiedykolwiek złapać na haczyk — powiedziała jedna z pielęgniarek, podając Abby ręcznik. — To dowód, że stan kawalerski jest uleczalną chorobą. Kiedy poprosił panią o rękę, doktor D.?

Abby włożyła sterylny fartuch i rękawiczki.

— Dwa dni temu.

— Trzymała to pani w sekrecie przez całe dwa dni?

Abby zaśmiała się.

— Wolałam się upewnić, czy nagle nie zmieni zdania.

Ale nie zmienił, pomyślała. Wprost przeciwnie, byli teraz bardziej pewni swoich uczuć niż kiedykolwiek przedtem. Uśmiechając się, podeszła do stołu. Pacjent, już znieczulony, leżał z odsłoniętą klatką piersiową i żółtobrazowymi plamami betadyny na skórze. Miała to być rutynowa operacja, wycięcie guzka z płuc. Abby wykonywała czynności przygotowawcze z wprawą świadczącą o tym, że nie jest to dla niej nic nowego. Rozłożyła sterylne chusty i niebieskie płachty, mocując zaciski.

— Więc kiedy będzie ten wielki dzień? — spytał Zwick.

— Jeszcze się nad tym zastanawiamy.

Na razie głównie dyskutowali o tym, jak huczne ma być wesele, kogo zaprosić, czy zrobić imprezę w pomieszczeniu, czy na dworze? Tylko jedno już postanowili. Miesiąc miodowy spędzą na plaży. Gdziekolwiek, byle rosy na niej palmy.

Czuła, jak uśmiecha się na samą myśl o ciepłym piasku i błękitnej wodzie. I o Marku.

— Założę się, że Hodell chciałby wziąć ślub na jachcie — stwierdził Zwick.

— Nie ma mowy.

— No, no. To brzmi bardzo stanowczo.

Abby skończyła przygotowywać pacjenta i podniosła głowę, gdy Mark przecisnął się przez drzwi po umyciu rąk. Włożył fartuch i rękawiczki i stanął przy stole naprzeciwko niej.

Uśmiechnęli się do siebie, po czym Abby wzięła do ręki skalpel.

W tym momencie zabrzmiał brzęczyk interkomu i z głośnika rozległo się pytanie:

— Czy jest tam doktor DiMatteo?

— Owszem — odparła pielęgniarka.

— Mogłaby wyjść z sali?

— Właśnie zaczyna się operacja. Czy to nie może zaczekać?

W głośniku przez chwilę panowała cisza.

— Pan Parr chce ją pilnie widzieć.

— Proszę mu wyjaśnić, że operujemy — powiedział Mark.

— Wie o tym, ale doktor DiMatteo jest tu potrzebna — powtórzył głos z interkomu. — Natychmiast.

Mark spojrzał na Abby.

— Idź. Poproszę, żeby asystował mi któryś z lekarzy.

Odeszła od stołu i nerwowo zdjęła fartuch. Coś się zdarzyło.

Parr nie wyciągałby jej z sali operacyjnej, gdyby nie chodziło o jakąś kryzysową sytuację.

Czuła, jak wali jej serce, gdy zmierzała do recepcji. Stał tam Jeremiah Parr, a obok niego dwaj szpitalni ochroniarze i przełożona pielęgniarek. Nikt z nich się nie uśmiechał.

— Proszę pójść z nami, doktor DiMatteo — powiedział Parr.

Abby spojrzała na ochroniarzy, którzy stanęli po jej obu stronach. Przełożona pielęgniarek cofnęła się o krok.

— O co chodzi? — spytała Abby. — Dokąd idziemy?

— Do pani szafki.

— Nie rozumiem...

— To tylko rutynowa kontrola, pani doktor.

Nie ma w tym nic rutynowego, pomyślała Abby. Eskortowana przez dwóch ochroniarzy, nie miała wyjścia, więc podążyła za Parrem do damskiej szatni. Przełożona pielęgniarek weszła tam pierwsza, aby upewnić się, czy pomieszczenie jest puste, po czym gestem ręki poprosiła wszystkich do środka.

— Ma pani szafkę numer siedemdziesiąt dwa? — spytał Parr.

— Tak.

— Zechce ją pani otworzyć?

Abby podeszła do szyfrowego zamka. Zaczęła kręcić tarczą, ale przerwała i zwróciła się do Parra:

— Chciałabym się najpierw dowiedzieć, o co chodzi.

— Musimy coś sprawdzić.

— Chyba wyrosłam już z wieku, kiedy w szkole kont rolowano moją szafkę. Czego szukacie?

— Niech ją pani otworzy.

Abby spojrzała na ochroniarzy, a potem na przełożoną pielęgniarek. Przyglądałij się z coraz większą podejrzliwością. Nie wygram z nimi, pomyślała. Jeśli odmówię otwarcia szafki, uznają, że coś ukrywam. Najlepiej nie odmawiać współpracy.

Przekręciła szyfrowy zamek i otworzyła szafkę.

Parr podszedł bliżej, ochroniarze również. Stali tuż obok niego, gdy Abby pokazywała mu zawartość szafki.

W środku było jej ubranie, stetoskop, torebka, kosmetyczka w kwiatki, tak potrzebna podczas nocnych dyżurów, i długi biały fartuch, który zakładała na obchód. Chcieli współpracy, więc będą ją mieli, do cholery. Rozpięła kosmetyczkę i otworzyła ją, by zobaczyli, co jest w środku. Same kobiece środki higieny: szczoteczka do zębów, tampony i midol. Jeden z ochroniarzy zrobił się czerwony na twarzy. Ma za swoje, pomyślała Abby. Zapięła kosmetyczkę i otworzyła torebkę. Tam też nie było żadnych niespodzianek. Portfel, książeczka czekowa, kluczyki od samochodu, jeszcze kilka tamponów. Ochroniarze wydawali się zażenowani i nieco zbici z tropu.

Abby zaczynała dobrze się bawić.

Odłożyła torebkę z powrotem do szafki i zdjęła z haczyka biały fartuch. Ledwo to zrobiła, zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Był cięższy, niż powinien. Sięgnąwszy do kieszeni, poczuła pod palcami jakiś gładki, cylindryczny przedmiot. Szklana fiolka. Wyjęła ją i spojrzała na etykietę.

Siarczan morfiny. Fiolka była niemal pusta.

— Proszę mi to dać, doktor DiMatteo — powiedział Parr.

Popatrzyła na niego, powoli kręcąc głową.

— Nie wiem, skąd to się tu wzięło.

— Proszę mi dać tę fiolkę — powtórzył.

Oszołomiona Abby wręczyła mu ją.

— Nie wiem, w jaki sposób znalazła się w mojej kieszeni — oświadczyła. — Nigdy przedtem jej nie widziałam.

Parr przekazał fiolkę przełożonej pielęgniarce, po czym zwrócił się do ochroniarzy:

— Zaprowadźcie doktor DiMatteo do mojego biura.

— To jakaś paranoja! — zawołał Mark. — Ktoś ją wrabia i wszyscy dobrze o tym wiemy.

— Skąd taki wniosek? — zapytał Parr.

— Jest systematycznie nękana! Najpierw te pozwy, potem rozkładające się świńskie wnętrzności w jej samochodzie, a teraz ta fiolka.

— To zupełnie inna sprawa, doktorze Hodel. Tym razem chodzi o śmierć pacjentki. — Parr spojrział na Abby. — Doktor DiMatteo, może powie pani prawdę i ułatwi nam wszystkim życie?

Chciał, żeby przyznała się do winy... Popatrzyła na twarze siedzących przy stole osób: Parra, Susan Casado i przełożonej pielęgniarek. Nie spojrziała tylko na Marka. Bała się, że zobaczy w jego oczach cień wątpliwości.

— Powiedziała już, że nic na ten temat nie wiem — oznajmiła. — Nie wiem, w jaki sposób morfina znalazła się w mojej szafce. Nie wiem, jak zmarła Mary Allen.

— Stwierdziła pani jej zgon — powiedział Parr. — Dwa dni temu.

— Pielęgniarki zastały ją już martwą.

— Tamtej nocy pełniła pani dyżur.

— Tak.

— Spędziła pani w szpitalu całą noc.

— Oczywiście. Przecież miałam dyżur.

— Więc była pani tutaj, gdy pani Allen zmarła z powodu przedawkowania morfiny. A dziś znajdujemy to w pani szafce. — Dyrektor położył fiolkę na lśniącym mahoniowym stole. — To substancja podlegająca ścisłej kontroli. Jej nielegalne posiadanie to poważny zarzut.

Abby pokręciła głową.

— Powiedział pan przed chwilą, że pani Allen zmarła z powodu przedawkowania morfiny. Skąd pan to wie?

— Pośmiertne badania wykazały jej niezwykle wysokie stężenie we krwi.

— Otrzymywała lecznicze dawki, zwiększane w miarę nasilania się bólu.

— Mam tutaj raport, otrzymałem go dziś rano. Cztery dziesiąte miligrama na litr. Już dwie dziesiąte uważa się za zabójcze.

— Mogę zobaczyć ten raport? — spytał Mark.

— Bardzo proszę.

Mark rzucił okiem na wynik laboratoryjnego testu.

— Po co ktoś miałby zlecać pośmiertne badanie poziomu morfiny we krwi u pacjentki nieuleczalnie chorej na raka?

— Cóż, zlecono je. Niech to panu wystarczy.

— Muszę wiedzieć coś więcej, do cholery.

Parr spojrzął na Susan Casado, która powiedziała:

— Były powody do podejrzeń, że Mary Allen nie zmarła naturalną śmiercią.

— Jakie powody?

— To nie ma...

— Jakie powody?

Susan westchnęła.

— Jedna z krewnych pani Allen poprosiła nas o zbadanie tej sprawy. Otrzymała anonimowy list z informacją, że w jej śmierci było coś podejrzanego. Powiadomiliśmy o tym doktora Wettiga, a on zarządził sekcję zwłok.

Mark wręczył Abby karteczkę z laboratorium. Spojrzała na nią, natychmiast rozpoznając nieczytelne gryzmoły przy słowach „zlecający badanie lekarz”. Był to rzeczywiście podpis generała. Poprzedniego dnia o jedenastej rano zlecił wykonanie testu na poziom morfiny we krwi Mary Allen. Osiem godzin po jej śmierci.

— Nie miałam z tym nic wspólnego — powiedziała. — Nie wiem, jak to się mogło stać, że otrzymała taką dużą dawkę morfiny. Może pomyłono się w laboratorium. Albo to był błąd pielęgniarek...

— Mogę ręczyć za mój personel — oświadczyła przełożona pielęgniarek. — Ścisłe przestrzegamy przepisów dotyczących podawania narkotyków. Wszyscy państwo dobrze o tym wiecie.

Pielęgniarki nie popełniły błędu.

— Wynika z tego, że pacjentce celowo podano zbyt dużą dawkę leku — mruknął Mark.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— Tak — potwierdził w końcu Parr.

— To bzdura! Byłem tamtej nocy razem z Abby w dyżurce!

— Przez całą noc? — zdziwiła się Susan.

— Owszem. Miała urodziny i... — Mark odchrząknął i spoj rzał na Abby. Spaliśmy ze sobą, pomyśleli oboje. Na głos powiedział jednak tylko: — Świętowaliśmy.

— Byliście cały czas razem? — spytał Parr.

Mark zawahał się. Wcale tego nie wie, pomyślała Abby. Spał, gdy odbierała telefon, i nawet się nie poruszył, kiedy wyszła o trzeciej, by stwierdzić zgon pani Allen, nie obudził się też, gdy o czwartej ponownie wychodziła podłączyć kroplówkę. Chciał dla niej skłamać, nic by to jednak nie dało, ponieważ tak naprawdę nie miał pojęcia, co robiła tej nocy. A Parr wiedział to od pielęgniarek, a także z jej notatek i zleceń, na których widniała godzina ich sporządzenia.

— Mark był ze mną w dyżurce, ale spał przez całą noc — oświadczyła i spojrzała na niego. Musimy trzymać się prawdy, dodała w myślach. Tylko to mnie uratuje.

— A pani, doktor DiMatteo? — spytał Parr. — Nigdzie pani nie wychodziła?

— Kilka razy wzywano mnie na oddział. Ale to już pan wie, prawda?

Dyrektor kiwnął głową.

— Myślicie, że wszystko wiecie? — wybuchnął Mark. — Więc wyjaśnijcie mi, po co doktor DiMatteo miałyby to robić?

Z jakiego powodu uśmiercałyby swoją pacjentkę?

— Nie jest tajemnicą, że popiera eutanazję — stwierdziła Susan Casado.

Abby wbiła w nią zdumiony wzrok.

— Co takiego?

— Rozmawialiśmy z pielęgniarkami. Słyszały, jak doktor DiMatteo powiedziała kiedyś, że... — Susan przerzuciła kartki swojego notatnika i przeczytała: — „Jeśli morfina przynosi ulgę, pacjentka powinna ją dostawać. Nawet gdyby to oznaczało, że koniec nadejdzie nieco szybciej”. — Spojrzała na Abby. — To pani słowa, prawda?

— To nie miało nic wspólnego z eutanazją! Mówiłam o uśmie rzaniu bólu! O zapewnieniu pacjentce dobrego samopoczucia.

— A więc powiedziała to pani czy nie?

— Być może. Nie pamiętam.

— Miał też miejsce incydent z siostrzenicą pani Allen, Brendą Hainey. Jego świadkami było kilka pielęgniarek oraz obecna tutaj pani Speer — oświadczyła Susan, po czym wskazała głową przełożoną pielęgniarek i znów zajrzała do swojego notatnika. — Doszło do sprzeczki. Brenda Hainey uważała, że jej ciotka dostaje zbyt dużo morfiny. Doktor DiMatteo nie zgadzała się z nią i była wobec niej niegrzeczna.

Abby nie mogła temu zaprzeczyć. Rzeczywiście pokłóciła się wtedy z Brendą i nie potrafiła powściągnąć języka. Czuła się, jakby zalewały ją jakieś gigantyczne fale, które pozbawiały ją powietrza i uniemożliwiały poruszanie się.

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł doktor Wettig, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę nic nie mówił, stał tylko przy końcu stołu, wpatrując się w Abby. Czekala, aż zwali się na nią kolejna fala.

— Doktor DiMatteo twierdzi, że nic nie wie o tej sprawie — poinformował go Parr.

— Wcale mnie to nie dziwi — odparł Wettig. — Bo rzeczywiście nic pani nie wie, prawda?

Abby napotkała jego spojrzenie. Nigdy nie było jej łatwo patrzeć w te beznamienne niebieskie oczy. Dostrzegala w nich zbyt wiele władzy, która miała decydować o jej przyszłości. Ale teraz nie unikała jego wzroku, chciała, żeby zobaczył, że nie ma nic do ukrycia.

— Nie zabiłam mojej pacjentki — oświadczyła. — Przy sięgam.

— Przypuszczałem, że pani to powie — mruknął Wettig, po czym sięgnął do kieszeni swojego fartucha, wyjął z niej szyfrowy zamek i z łoskotem położył go na stole.

— Co to? — zdziwił się Parr.

— Zamek z szafki doktor DiMatteo. W ciągu ostatnich trzydziestu minut stałem się niemal ekspertem od zamków szyfrowych. Wezwałem ślusarza, który powiedział, że taki zamek na sprężynie z łatwością

można otworzyć. Wystarczy mocno szarpnąć. Poza rym z tyłu ma zapisany kod, który każdy zawodowy ślusarz może wykorzystać do odtworzenia szyfru.

Parr spojrzął na zamek i lekceważąco wzruszył ramionami.

— To niczego nie dowodzi. Mamy do czynienia ze śmiercią pacjentki. I tym. — Wskazał na fiolkę z morfiną.

— Co się z wami dzieje? — zirytował się Mark. — Nie widzicie, z czym mamy do czynienia? Anonimowy list. Morfina podrzucona do szafki Abby. Ktoś próbuje ją zrobić.

— W jakim celu? — spytała Susan.

— Żeby ją skompromitować. Doprowadzić do jej zwolnienia z pracy.

Parr prychnął pogardliwie.

— Sugeruje pan, że ktoś zamordował pacjentkę, żeby zrujnować karierę doktor DiMatteo?

Mark chciał potwierdzić, ale się rozmyślił. Była to absurdalna teoria i wszyscy dobrze o tym wiedzieli.

— Musi pan przyznać, doktorze Hodell, że podejrzewanie spisku zakrawa na przesadę.

— Wcale nie, zważywszy na to, co już mi się przydarzyło — wtrąciła Abby. — Zobaczcie, co wyprawia Victor Voss. To psychicznie niezrównoważony człowiek. Napadł na mnie na oddziale intensywnej terapii. Tylko ktoś chory mógł wpaść na pomysł, żeby wrzucić mi do samochodu rozkładające się zwierzęce wnętrzności. I jeszcze te pozwy. Są już dwa. A to dopiero początek.

Zapadła cisza. Susan spojrzała na Parra.

— Czy ona jeszcze nie wie?

— Najwyraźniej nie.

— O czym? — spytała Abby.

— Tuż po lunchu otrzymaliśmy telefon z firmy Hawkes, Craig i Sussman — odparła Susan. — Oba pozwy przeciwko pani zostały wycofane.

Abby odchyliła się na oparciu krzesła.

— Nic nie rozumiem... — mruknęła. — Co ten człowiek kombinuje?

— Jeśli Victor Voss panią nękał, najwyraźniej już z tego zrezygnował. Z tą sprawą nie ma nic wspólnego.

— Więc co ze śmiercią pani Allen? — spytał Mark.

Susan wskazała na fiolkę.

— Cóż... spójrzmy na dowody.

— Nie ma świadków i nic nie łączy tej fiolki ze śmiercią tej pacjentki.

— A jednak myślę, że wszyscy wyciągamy podobne wnioski.

Znowu zapadła nieznośna cisza. Abby zauważyła, że nikt na nią nie patrzy, nawet Mark.

W końcu milczenie przerwał Wettig.

— Co wobec tego pan proponuje, dyrektorze? Chce pan zawiadomić policję? Ściągnąć nam na głowę media?

Parr zawahał się.

— To byłoby przedwczesne...

— Musi pan sprecyzować zarzuty albo je wycofać. Każda inna opcja będzie niesprawiedliwa wobec doktor DiMatteo.

— Lepiej trzymajmy policję z daleka od tego — mruknął Mark.

— Jeśli uważacie, że doszło do zabójstwa, musicie zawiadomić policję — oświadczył Wettig. — Wezwijcie też kilku reporterów i poinformujcie o wszystkim specjalistów od public relations. Nie powinniście niczego ukrywać, to najlepsze rozwiązanie. — Spojrzał Parrowi w oczy. — Oczywiście jeżeli rzeczywiście sądzicie, że popełniono morderstwo.

To było wyraźne wyzwanie.

Parr milczał przez chwilę, a potem zwrócił się do Susan:

— Nie możemy być tego całkowicie pewni.

— Lepiej upewnijcie się, że to zabójstwo, zanim wezwiecie policję — powiedział Wettig.

— Nadal badamy tę sprawę — odparła Susan. — Musimy jeszcze porozmawiać z kilkoma pielęgniarkami z oddziału.

Sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy.

— Zróbcie to — poradził im Wettig.

Znów zapanowało milczenie. Nikt nie patrzył na Abby. Jakby nagle zniknęła z sali. Niewidzialna kobieta, której nikt nie chciał dostrzec.

Wszyscy wydawali się zaskoczeni, gdy w końcu się odezwała. Z trudem rozpoznała własny głos. Brzmiał obco, ale był spokojny i opanowany.

— Chciałabym zająć się moimi pacjentami, jeśli można — powiedziała.

Wettig kiwnął głową.

— Niech pani idzie.

— Chwileczkę — wtrącił Parr. — Doktor DiMatteo nie może wrócić do swoich obowiązków.

— Niczego mi nie udowodniliście — oznajmiła Abby, wstając z krzesła. — Generał ma rację. Postawcie mi zarzuty albo je wycofajcie.

— Weszła pani nielegalnie w posiadanie substancji pod legającej ścisłej kontroli — oświadczyła Susan. — Nie wiemy, skąd pani wzięła tę morfinę, pani doktor, ale fakt, że znajdowała się w pani szafce, poważnie panią obciąża. — Spojrzała na Parra. — Nie mamy wyboru. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność. Jeśli któremuś z pacjentów doktor DiMatteo coś się stanie i wyjdzie na jaw, że wiedzieliśmy o tej sprawie z morfiną, będzie po nas. — Zwróciła się do Wettiga: — Ucierpi też na tym pański program, generale.

Słowa Susan odniosły zamierzony skutek. Wszyscy obawiali się odpowiedzialności. Wettig, jak każdy lekarz, również panicznie bał się prawników i pozwów, więc tym razem nie wdawał się w dyskusje.

— Co to oznacza? — spytała Abby. — Czy jestem zwolniona?

Parr wstał, dając w ten sposób sygnał, że zebranie dobiegło końca i podjęli już decyzję.

— Doktor DiMatteo, na razie jest pani zawieszona w czyn nościach. Nie wolno pani wchodzić na żaden z oddziałów ani zbliżać się do pacjentów. Rozumie pani?

Rozumiała doskonale.

Rozdział czternasty

Jaków od lat nie śnił o swojej matce i od wielu miesięcy o niej nie myślał, był więc zaskoczony, gdy podczas trzynastej doby rejsu obudził się nagle, mając jeszcze przed oczami swój sen sprzed chwili. Widział ją w nim jak żywą, tak wyraźnie, że niemal czuł jej zapach. Widział jej uśmiech, kosmyk jasnych włosów na policzku i zielone oczy, które zdawały się przenikać go na wskroś, jakby to on był zjawą. Rozpoznał ją od razu i wiedział na pewno, że jest jego matką. Przez lata próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała, ale nigdy mu się to nie udawało. Nie miał żadnych jej zdjęć ani pamiątek po niej.

Widocznie musiał jednak zachować w pamięci jej twarz—jak nasionko w ciemnej, ale żyznej glebie. I zeszłej nocy to nasionko w końcu wykiełkowało.

Zobaczył ją wreszcie. Była bardzo piękna.

Tego popołudnia tafla morza była gładka jak szkło, a niebo pociemniało, przybierając tę samą szarą barwę co woda. Stojąc na pokładzie i spoglądając na morze przez reling, Jaków nie potrafił powiedzieć, gdzie jest horyzont. Dryfowali po powierzchni gigantycznego akwarium. Słyszał, jak kucharz mówił, że zanoszą się na złą pogodę, że następnego dnia znowu nie będą mogli prawie nic jeść. Na razie morze było spokojne, lecz w ciężkim powietrzu wisiała burza.

Jakowowi udało się wyciągnąć Aleksiej a z jego koi i zabrał go ze sobą na włóczęgę po statku. Najpierw poszli do Piekła, czyli do

maszynowni. Chodzili po niej przez jakiś czas w ciemnościach, dopóki Aleksiej nie zaczął marudzić, że zapach ropy przyprawia go o mdłości. Miał żołądek jak małe dziecko — ciągle wymiotował. Jaków zabrał go na mostek, jednak kapitan był zbyt zajęty, by z nimi rozmawiać. Nawigator również. Jaków nie mógł nawet się pochwalić przed Aleksiejem, że cieszy się ich specjalnymi względami.

Potem poszli do kambuza, ale kucharz był rozdrażniony i nie dał im nawet kromki chleba. Musiał przygotować posiłek dla pasażerów z rufy, ludzi, których nikt nigdy nie widział. Skarżył się, że są bardzo wymagający i musi poświęcać dużo czasu na gotowanie dla nich. Wsuwając do kuchennej windy tacę z dwoma kieliszkami i butelką wina, przez cały czas zrzedził. Wcisnąwszy guzik, posłał ją do góry, po czym odwrócił się do piecyka, na którym stała patelnia i garnki. Gdy uniósł jedną z pokrywek, w powietrzu rozszedł się smakowity zapach masła i cebuli. Zamieszał zawartość garnka drewnianą łyżką.

— Cebulę trzeba smażyć bardzo powoli — powiedział. — Wtedy jest słodka jak mleko. Dobry kucharz powinien mieć cierpliwość, a dziś nikt jej nie ma. Wszystko musi być natych miast gotowe. Każą mi wsadzać jedzenie do mikrofalówki!

Równie dobrze można jeść wyprawioną skórę. — Przykrył garnek pokrywką i zdjął pokrywkę z patelni. Przysmażało się na niej sześć małych ptaków, każdy z nich był nie większy niż dziecięca piastka. — Rajskie kąski — mruknął.

— To najmniejsze kurczaki, jakie w życiu widziałem! — zdumiał się Aleksiej.

Kucharz zaśmiał się.

— Przecież to przepiórki, idioto.

— Czemu my nigdy nie jemy takich rzeczy?

— Ponieważ nie zajmujecie kabiny na rufie. — Kucharz ułożył przyrumienione ptaki na półmisku i posypał je posiekaną pietruszką, po czym, cofnąwszy się o krok, z podziwem popat rzył na swoje dzieło. — Na to na pewno nie będą się skarżyć — stwierdził, wsuwając półmisek do windy, która zdążyła już wrócić pusta.

— Jestem głodny — oświadczył Jaków.

— Jak zwykle. Idź, ukrój sobie pajdę chleba. Jest czerstwy, ale możesz go wsadzić do tosterka.

Obaj chłopcy zaczęli grzebać w szufladach, szukając noża. Kucharz miał rację, chleb był suchy i czerstwy. Przytrzymując go kikutem lewej ręki, Jaków odkroił dwie kromki i zaniósł je do tosterka.

— Zobaczcie, co zrobiliście z podłogą! — syknął kucharz. — Wszędzie pełno okruchów. Pozbierajcie je.

— Ty je pozbieraj — powiedział Jaków do Aleksieja.

— To ty nakruszyłeś, nie ja.

— Robię teraz tosty.

— Ale ja nie rozsypałem okruchów.

— Jak chcesz. Wyrzucę twoją kromkę.

— Niech któryś wreszcie sprzątnie te okruchy! — wrzasnął kucharz.

Aleksiej natychmiast padł na kolana i wszystko pozbierał.

Jaków wsunął do tosterka pierwszą kromkę chleba. Z drugiej szczeliny wyskoczyła nagle szara puszysta kulka i spadła na podłogę.

— Mysz! — krzyknął Aleksiej. — Tu jest mysz!

Szara kulka biegła wokół podskakującego chłopca, ścigana przez Jakowa. Kucharz cisnął w nią pokrywką. Przestraszona mysz wdrapała się Aleksiejowi na nogę, ale podniósł taki wrzask, że natychmiast zeskoczyła z powrotem na podłogę i umknęła pod szafkę.

Na kuchence coś się przypalało. Kucharz, klnąc głośno, pobiegł zgasić ogień. Zaczął kłąć jeszcze bardziej, gdy zobaczył w garnku zwęgloną cebulę.

— Mysz w mojej kuchni! I spójrzcie tylko: wszystko zmar nowane! Będę musiał zaczynać od początku. Pieprzona mysz!

— Była w tosterze — powiedział Jaków, który poczuł, że robi mu się niedobrze, gdy wyobraził sobie, jak pełzała w środku i wszystko lizała.

— Pewnie zostawiła w środku pełno gówienek — stwierdził kucharz. — Cholerna mysz.

Jaków zajrzał ostrożnie do toster. Nie było w nim już więcej myszy, ale zobaczył mnóstwo brązowych kulek. Przesunął toster w stronę zlewu, zamierzając je wysypać.

– Hej! Zgłupiałeś?! – wrzasnął kucharz. – Co ty wy prawiasz?!

– Chcę wyczyścić toster.

– W zlewie jest woda, a ty nie wyłączyłeś toster z kontak tu! Jeśli włożysz go do zlewu i wsadzisz do wody rękę, będziesz martwy. Nikt ci tego nie powiedział?

– Wujek Misza nigdy nie miał toster.

– Nie chodzi tylko o tostery, ale o wszystko, co jest podłączone do prądu, co ma przewód elektryczny. Jesteś tak samo głupi jak inne dzieciaki – burknął kucharz i zamachał rękami, wyganiając ich za drzwi. – No już, wynoście się stąd obaj. Mam was dość.

– Ale ja jestem głodny – zaprotestował Jaków.

– Zaczekaj na kolację jak wszyscy. – Kucharz wrzucił do rondla świeży kawałek masła i spojrzawszy na Jakowa, warknął: – Wynocha!

Chłopcy wybiegli z kambuza.

Przez jakiś czas bawili się na pokładzie, jednak szybko zmarzli. Ponownie poszli na mostek, ale i stamtąd ich wyrzucono. W końcu trafili do jedyne miejsce na statku, gdzie ani sami nikomu nie przeszkadzali, ani im nikt nie mógł przeszkodzić. Była to sekretna kryjówka Jakowa, którą zamierzał pokazać Aleksiejowi tylko w nagrodę, pod warunkiem że choć raz uda mu się nie być mazgajem. Znalazł ją w trzecim dniu swoich wędrówek po statku, gdy zauważył zamknięte drzwi w korytarzu maszynowni. Otworzywszy je, stwierdził, że prowadzą do szybu ze schodami.

Była to Kraina Czarów.

Szyb miał wysokość trzech kondygnacji. Okrągłe spiralne schody pięły się w górę, a na poziomie drugiego piętra był blaszany podest, który brzęczał i drżał, gdy się na nim podskakiwało. Niebieskie drzwi, prowadzące stamtąd na rufę, były zawsze zamknięte. Jaków nawet już nie próbował ich otwierać.

Wdrapali się na najwyższą kondygnację. Widok z góry przyprawiał o zawrót głowy, Jakowowi łatwo więc było przestraszyć młodszego kolegę kilkoma hałaśliwymi podskokami.

— Przestań! — krzyknął Aleksiej. — Wszystko się trzęsie!

— Tu jest jak w lunaparku. Nie podoba ci się?

— Nie chcę się tak bawić!

— Zawsze marudzisz — burknął Jaków. Podskakiwałby dalej, wstrząsając podestem, ale Aleksiej był na granicy hysterii.

Jedną ręką trzymał się kurczowo poręczy, a drugą przyciskał do siebie Szu-Szu.

— Chcę zejść z powrotem na dół — jęczał.

— No dobrze.

Zeszli po schodach, które brzęczały przy każdym kroku. Na dole Aleksiej znalazł starą linę i przywiązawszy jeden jej koniec do poręczy najniższego podestu, huśtał się na niej jak Tarzan. Ale wisiał zaledwie trzydzieści centymetrów nad ziemią, więc nie było to zbyt ekscytujące.

Potem Jaków pokazał mu pustą skrzynię z trocinami na dnie, którą znalazł pod schodami. Wczołgali się do niej i leżeli w ciemnościach, nasłuchując łoskotu silników w Piekło. Czuli bliskość morza, wielkiej ciemnej kołyski, która bujała statkiem.

— To moja sekretna kryjówka — oświadczył Jaków. — Przysięgnij, że nikomu o niej nie powiesz.

— A po co miałbym mówić? To wstrętne miejsce. Zimne i wilgotne. Założy się, że są tu myszy. Pewnie leżymy w mysim gównie.

— Nieprawda.

— Skąd wiesz? Przecież nic nie widać.

— Jak ci się nie podoba, możesz sobie iść. No, już — odparł Jaków i poczęstował Aleksieja kopniakiem. Głupi gówniarz.

Nie powinien był go tu przyprowadzać. Trudno oczekiwać, żeby ktoś, kto nie rozstaje się z brudnym pluszowym psem, lubił przygody.

— Idź sobie! Nie potrafisz się bawić.

— Nie wiem, jak wrócić do naszej kabiny.

— Myślisz, że ci pokażę?

— Ty mnie tu przyprowadziłeś, więc teraz musisz iść ze mną.

— Nie mam zamiaru.

— Jak mnie nie odprowadzisz, opowiem wszystkim o tej twojej idiotycznej kryjówce. O tym ohydny miejscu, pełnym mysich gówień

— zagroził Aleksiej i zaczął gramolić się ze skrzyni, kopiąc nogami trociny i sypiąc nimi Jakowowi w twarz. — Chodź ze mną albo...

— Zamknij się! — krzyknął Jaków.

Chwycił Aleksieja za koszulę i wciągnął go z powrotem do skrzyni. Obaj przewrócili się w trociny.

— Przestań, dupku! — zaprotestował Aleksiej.

— Zamknij się i słuchaj.

— Co?

Gdzieś w górze zaskrzypiały drzwi i zamknęły się z metalicznym łoskotem. Podest drżał, a odgłos każdego kroku odbijał się echem od ścian szybu.

Jaków podczołgał się do brzegu skrzyni i wyrztał na zewnątrz. Ktoś pukał do niebieskich drzwi. Po chwili otworzyły się i zauważył jasne włosy kobiety, która za nimi zniknęła.

Cofnął się do wnętrza skrzyni.

— To tylko Nadia.

— Jeszcze tam stoi?

— Nie, weszła przez niebieskie drzwi.

— Co tam jest?

— Nie wiem.

— Taki z ciebie wielki odkrywca?

— Ty za to jesteś głupim gówniarzem — warknął Jaków i znów chciał kopnąć Aleksieja, ale w powietrze poszybowały tylko trociny. — Te drzwi są zawsze zamknięte. Ktoś tam mieszka.

— Skąd wiesz?

— Bo Nadia zapukała i wtedy ją wpuścili.

Aleksiej wsunął się w głąb skrzyni.

— To ludzie od przepiórek — wyszeptał.

Jaków przypomniał sobie tacę z butelką wina i dwoma kieliszkami, smażoną na maśle cebulę i sześć polanych sosem ptaszków. Zaburczało mu w żołądku.

— Posłuchaj tylko, jakie potrafię wydawać odgłosy — powiedział do Aleksieja, wypinając brzuch. Symfonia dźwięków, jakie się po chwili rozległy, była imponująca.

Ale młodszy kolega popatrzył na niego z obrzydzeniem.

— To ohydne — stwierdził.

— Dla ciebie wszystko jest ohydne. Co się z tobą dzieje?

— Nie lubię ohydnych rzeczy.

— Kiedyś je lubiłeś.

— Teraz już nie.

— Wszystko przez Nadię. Zrobiłeś się mięczakiem. Podkochujesz się w niej.

— Nieprawda.

— Owszem.

— Wcale nie! — krzyknął Aleksiej i cisnął Jakowowi w twarz garść trocin.

Zaczęli się mocować, tarzając się po dnie skrzyni, klnąc i kopiąc. Mieli do dyspozycji ograniczoną przestrzeń, więc nie mogli zrobić sobie krzywdy. Szybko przzerwali, bo Aleksiej zgubił gdzieś w trocinach Szu-Szu i zaczął szukać go po omacku. Poza tym obaj byli już zmęczeni walką.

Przez jakiś czas odpoczywali, siedząc obok siebie. Aleksiej przyciskał do piersi Szu-Szu, a Jaków próbował wydobyć ze swojego brzucha nowe, jeszcze bardziej odrażające odgłosy. Wkrótce i to go znudziło. Monotonny łoskot silników i kołysanie statku działały na nich usypiająco — Wcale się w niej nie podkochuję — powiedział po chwili Aleksiej.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Ale inni chłopcy ją lubią. Nie zauważyłeś, jak często o niej rozmawiają? — Aleksiej zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Podobna

mi się jej zapach. Kobiety pachną inaczej niż mężczyźni. Bardziej miękko.

— Zapach nie może być miękki.

— Może. Kiedy go czujesz, wiesz, że kobieta, która tak pachnie, będzie miękka w dotyku. Od razu to wiesz — mruknął chłopiec i pogłaskał Szu-Szu.

Jaków słyszał, jak przesuwa ręką po swoim obszarpanym pluszaku.

— Moja matka tak pachniała — stwierdził Aleksiej.

Jaków przypomniał sobie swój sen, uśmiechniętą kobietę z kosmykiem jasnych włosów na policzku. Tak, ten gówniarz ma rację. W tym śnie jego matka rzeczywiście miękko pachniała.

— Może to głupio brzmi, ale pamiętam właśnie jej zapach — powiedział Aleksiej. — I jeszcze parę innych rzeczy.

Jaków wyciągnął się i dotknął stopami drugiego końca skrzyni. Czyżbym wyrósł? — pomyślał. Chciałbym, żeby tak było. Chciałbym być na tyle duży, żeby przebić się nogami przez tę ścianę.

— A ty nigdy nie myślisz o swojej matce? — spytał Aleksiej.

— Nie.

— Na pewno wcale jej nie pamiętasz.

— Pamiętam, że była piękna. I miała zielone oczy.

— Skąd możesz to wiedzieć? Wujek Misza mówił, że byłeś niemowlęciem, kiedy odeszła.

— Miałem cztery lata. Nie byłem niemowlęciem.

— Ja miałem sześć, kiedy mama mnie zostawiła, a prawie nic nie pamiętam.

— Wiem, że miała zielone oczy.

— I co z tego?

Zamilkli, słysząc metalowy brzęk otwieranych drzwi. Jaków znowu podczołgał się do brzegu skrzyni i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. To była Nadia. Wysunęła się zza niebieskich drzwi, przeszła po podeście i zniknęła za włazem od strony dziobu.

— Ta baba mi się nie podoba — mruknął Jaków.

— A mnie tak. Chciałbym, żeby była moją matką.

- Ona nawet nie lubi dzieci.
- Powiedziała wujkowi Miszy, że poświęciła im całe życie.
- Wierzysz w to?
- Po co by tak mówiła, gdyby to nie było prawdą?

Jaków przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, ale nic nie przychodziło mu na myśl. Zresztą cokolwiek by powiedział, dla Aleksieja byłoby to bez znaczenia. Głupi dzieciak. Wszyscy byli głupi. Nadia zawróciła im w głowach. Każdy z jedenastu chłopców był w niej zakochany. Walczyli o to, by siedzieć obok niej przy kolacji. Wpatrywali się w nią, obserwowali ją i obwąchiwali jak szczeniaki. Wiezorami, w swoich kojach, rozmawiali o niej szeptem. Zastanawiali się, co jej smakuje, co jadła na obiad, ile ma lat i jaką bieliznę nosi pod swoimi szarymi spódnicami. Rozważali, czy Gregor, którym wszyscy gardzili, jest jej kochankiem, i w końcu uznali, że chyba nie. Dzielili się ze sobą wiedzą na temat kobiecej anatomii. Starsi chłopcy wyjaśniali szczegółowo młodszym, do czego służą tampony i gdzie się je wkłada, tworząc w ten sposób w ich wyobraźni wizerunek kobiet jako istot z tajemniczymi, mrocznymi otworami. A to jeszcze bardziej zwiększało ich zafascynowanie Nadią.

Jakowa także fascynowała. Jednak nie budziła w nim uwielbienia, tylko strach.

Ten strach zaczął się od badania krwi.

Kiedy byli już czwarty dzień na morzu i wszyscy chłopcy wymiotowali i jęczeli na swoich kojach, Gregor i Nadia przynieśli tacę z igłami i próbkami. To będzie tylko drobne ukłucie, powiedzieli, niewielka próbka krwi, żeby potwierdzić, że jesteście zdrowi. Nikt was nie zaadoptuje, jeśli nie będzie miał co do tego pewności. Oboje przechodzili od koi do koi, chwiejąc się na nogach z powodu wzburzonego morza i pobrzękując próbkami. Nadia wyglądała, jakby za chwilę miała zwymiotować. Gregor pobierał krew. Pytali każdego chłopca o nazwisko i zakładali mu plastikową bransoletkę, na której wypisany był numer. Potem Gregor owijał jego ramię szeroką gumową opaską i klepał go po skórze, aby żyła zrobiła się dobrze

widoczna. Niektórzy chłopcy płakali i Nadia musiała trzymać ich za rękę, gdy Gregor wbijał igłę.

Tylko Jaków stawiał opór. Nie chciał, by wbijano mu w rękę igłę, i nawet kopnął Gregora. Wtedy Nadia pokazała swoje prawdziwe oblicze. Przycisnęła mu rękę do łóżka, przytrzymując ją z całej siły i wykręcając. Gdy Gregor pobierał Jakowowi krew, wpatrywała się w niego i przemawiała do niego spokojnie, nawet słodko, podczas gdy igła przebijała mu skórę i do próbówki spływała krew. Wszyscy chłopcy w kajucie słyszeli tylko kojący głos Nadii, ale Jaków, patrząc w jej zimne oczy, dostrzegł w nich coś złowieszczonego.

Kiedy pobieranie krwi się skończyło i zostawiono ich samych, przegryzł i zerwał plastikową bransoletkę.

Aleksiej nadal nosił swoją. Z numerem trzysta siedem. Świadectiono zdrowia.

— Myślisz, że ona ma własne dzieci? — spytał.

Jaków wzdrygnął się.

— Mam nadzieję, że nie — odparł, znowu podczołgując się do brzegu skrzyni. Spojrzawszy w górę, zobaczył pusty podest i zakręcone spiralnie schody. Niebieskie drzwi były zamknięte.

Otrzeputując się z trocin, wyszedł z kryjówki i oznajmił:

— Jestem głodny.

Jak przewidział kucharz, po szarym, pochmurnym popołudniu nadciągnęła burza. Nie był to jeszcze sztorm, ale statkiem kołysało tak mocno, że wszyscy pasażerowie, zarówno dzieci, jak i dorośli, woleli siedzieć w kabinach. Aleksiej również zamierzał pozostać na swojej koi. Nic nie skusiłoby go do wyjścia. Na zewnątrz było zimno i mokro, pokład kołysał się gwałtownie i Aleksiej nie miał ochoty włączyć się po ciemnych zakamarkach, które tak fascynowały Jakowa. Wolał skulić się pod naciągniętym na ramiona miękkim kocem i czuć na twarzy podmuch ciepłego powietrza oraz zapach Szu-Szu, który leżał obok niego na poduszce.

Jaków przez cały ranek próbował wyciągnąć go z łóżka i namówić na kolejną wizytę w Krainie Czarów, ale w końcu zrezygnował i

poszedł tam sam. Wracał jeszcze dwa razy, żeby sprawdzić, czy Aleksiej nie zmienił zdania, jednak jego młodszy kolega przespał całe popołudnie i kolację i spał dalej.

Jaków obudził się w nocy, od razu wyczuwając jakąś zmianę. Początkowo nie wiedział, co się dzieje. Może skończyła się burza? Statek już się nie kołysał. Nagle uświadomił sobie, że silniki brzmiały teraz zupełnie inaczej: ich wcześniejszy łoskot przeszedł w monotony pomruk.

Zwłóknął się z koi i potrząsnął Aleksiejem.

— Obudź się — szepnął.

— Idź sobie.

— Posłuchaj... przestaliśmy płynąć.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Idę na górę się rozejrzeć. Chodź ze mną.

— Jestem śpiący.

— Spałeś przez cały dzień i całą noc. Nie chcesz zobaczyć lądu? Musimy już być blisko. Po co statek zatrzymywałby się na środku oceanu? — Jaków przysunął się bliżej do Aleksieja i dodał szeptem: — Może zobaczymy światła. Amerykę. Prze gapisz to, jak ze mną nie pójdziesz.

Aleksiej westchnął, i przekręcił się na bok i popatrzył na niego niepewnie.

Jaków sięgnął po ostatni argument.

— Schowałem ziemniaka z kolacji — oświadczył. — Dam ci go, ale pod warunkiem, że pójdziesz ze mną na górę.

Aleksiej nie jadł obiadu ani kolacji, więc ziemniak był nie lada pokusą.

— No dobrze. — Usiadł na koi i zaczął zapinać klamerki butów. — Gdzie ten ziemniak?

— Najpierw chodźmy na górę.

— Jesteś dupkiem, Jaków.

Przeszli na palcach obok piętrowych koi, na których spała reszta chłopców, i wspięli się po schodach na pokład.

Na zewnątrz wiał lekki wiatr. Spojrzeli przez reling, wypatrując portowych świateł, ale zobaczyli tylko gwiazdy nad czarnym, bezkresnym horyzontem.

— Nic nie widzę — burknął Aleksiej. — Daj mi mojego ziemniaka.

Kiedy go dostał, przykucnął i zaczął łapczywie jeść.

Jaków odwrócił się i popatrzył w stronę mostka. Zobaczył przez szybę zielonkawą poświatę ekranu radaru i sylwetkę mężczyzny pełniącego wachtę. Był to nawigator. Co widział z tego swojego samotnego punktu obserwacyjnego?

Aleksiej połknął ostatni kęs zimnego ziemniaka, podniósł się i oznajmił:

— Wracam do łóżka.

— Możemy poszukać w kambuzie czegoś do jedzenia.

— Nie chcę zobaczyć kolejnej myszy — odparł Aleksiej i po omacku ruszył przez pokład. — Poza tym jest mi zimno.

— Mnie jakoś nie jest.

— Więc tu zostań.

Kiedy dotarli do schodów, usłyszeli serię głuchych uderzeń i nagle pokład zalała fala światła. Chłopcy zamarli, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem.

Jaków chwycił Aleksieja za rękę i pociągnął go pod schody prowadzące na mostek. Przykucnęli tam, wyglądając zza stopni. Usłyszeli głosy i zobaczyli dwóch mężczyzn, idących w kierunku świetlnego kręgu. Obaj mieli na sobie białe kombinezony. Pochylili się i pociągnęli za coś. Rozległ się zgrzyt metalu, gdy odsuwali jakąś klapę, spod której wydobyło się kolejne światło, tym razem niebieskie. Świeciło pośrodku kręgu jak złowroga tęczęwka oka.

— Przekłęci mechanicy — warknął jeden z mężczyzn. — Nigdy tego nie naprawią.

Obaj mężczyźni wyprostowali się i spojrzeli w niebo, w kierunku, z którego dochodził odgłos odległego grzmotu.

Jaków także patrzył w górę. Grzmot coraz bardziej się przybliżał. Nie był to już pomruk, lecz głośny, rytmiczny łoskot. Mężczyźni

wycofali się ze świetlnego kręgu. Dudnienie nad pokładem coraz bardziej się obniżało.

Aleksiej zasłonił rękami uszy i głębiej ukrył się w mroku, ale Jaków bez zmruczenia oka patrzył, jak śmigłowiec ląduje w powodzi światła na pokładzie.

Jeden z ubranych w kombinezony mężczyzn pojawił się ponownie. Podbiegł pochylony do śmigłowca i otworzył drzwiczki. Jaków nie mógł dostrzec, co jest w środku, bo słupek schodów przesłaniał mu widok. Kiedy wysunął się z cienia, zobaczył pilota i jednego z pasażerów. Mężczyznę.

— Hej! — usłyszał nad sobą krzyk. — Hej, chłopcze!

Podniósł głowę i ujrzał nawigatora, który przyglądał mu się z mostka.

— Co ty tam robisz? Chodź szybko na górę, zanim coś ci się stanie! No, już!

Mężczyzna w kombinezonie również zauważył chłopców i szedł w ich kierunku. Nie wyglądał na zadowolonego.

Jaków wbiegł na schody, a przerażony Aleksiej popędził za nim.

— Nie wiecie, że nie wolno być na pokładzie, kiedy ląduje śmigłowiec?! — krzyknął nawigator. Dał Aleksiejowi klapsa w tyłek, wepchnął ich do sterówki i wskazał dwa krzesła. — Siadajcie. Obaj.

— Tylko patrzyliśmy — usprawiedliwiał się Jaków.

— Powinniście być już w łózkach.

— Byłem w łóżku... — jęknął Aleksiej. — To on mnie wyciągnął.

— Wiecie, co rotor śmigłowca może zrobić z waszymi głowami? Wiecie? — Nawigator przeciągnął ręką po chudej szyi Aleksieja. — Właśnie coś takiego. Natychmiast by ci odpadła głowa i krew trysnęłaby na wszystkie strony. Myślicie, że żartuję, prawda? Wierzcie mi, nigdy tam nie schodzę, gdy ta cholerna maszyna ląduje. Trzymam się od niej z daleka. Ale jeśli chcecie, żeby ucięło wam te głupie łby, proszę bardzo.

Aleksiej zaczął płakać.

— Ja chciałem zostać w łóżku!

Warkot nasilił się i wszyscy odwrócili głowy. Patrzyli, jak śmigłowiec wzbija się w niebo, a podmuch powietrza targa kombinezony dwóch stojących na pokładzie mężczyzn. Po chwili maszyna powoli obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i skręciła, znikając w mroku. Przez parę sekund słychać było jeszcze cichnący grzmot, przypominający pomruk oddalającej się burzy.

— Dokąd on leci? — spytał Jaków.

— Myślisz, że mi mówią? — prychnął nawigator. — Za wiadomą mi jest tylko, kiedy ma przylecieć po towar, żebym stanął rufą pod wiatr. To wszystko. — Sięgnął ręką do jednego z przełączników i pstryknął nim.

Reflektory natychmiast zgasły i pokład zniknął w ciemnościach.

Jaków przytknął twarz do szyby. Śmigłowca już nie było słychać. Wokół rozciągała się czarna tafla morza.

Aleksiej wciąż płakał.

— Przestań wreszcie — powiedział nawigator, szturchnąwszy go w ramię. — Chłopak w twoim wieku nie powinien za chowywać się jak baba.

— Po co ten śmigłowiec przylatuje? — spytał Jaków.

— Mówiłem ci. Po towar.

— Ale jaki?

— Nigdy nie pytam o takie rzeczy. Robię tylko, co mi każą.

— Kto?

— Pasażerowie z kabiny na rufie. — Odciągnął Jakowa od okna i pchnął go w kierunku drzwi. — Wracajcie do swojej kabiny. Nie widzicie, że jestem zajęty?

Kiedy Jaków ruszył za Aleksiejem do wyjścia, jego wzrok zatrzymał się na ekranie radaru. Wiele razy się już w niego wpatrywał, zafascynowany hipnotyzującym ruchem linii, obracającej się po okręgu. Teraz znów jej się przyglądał. Po chwili dostrzegł mały biały punkcik na krawędzi ekranu.

— Czy to też statek? — spytał nawigatora. — Tam, na radarze. — Wskazał biały punkt, który stał się jaśniejszy, gdy linia przesunęła się po nim.

— A cóż by innego? Zmykajcie stąd.

Chłopcy zeszli schodami z mostka na pokład. Jaków spojrzał w górę i zobaczył na tle zielonej poświaty za szybą sylwetkę nawigatora, przez cały czas wpatrującego się w morze.

— Wiem już, dokąd leci ten śmigłowiec — oświadczył.

Piotra i Walentina nie było na śniadaniu. Wiadomość o tym, że zniknęli w nocy, zdążyła już dotrzeć do kajuty Jakowa, kiedy więc usiadł rano przy stole i spojrzał na innych chłopców, znał powód ich milczenia. Żaden z nich nie rozumiał, dlaczego Piotr i Walentin pierwsi opuścili statek, dlaczego najszybciej zostali wybrani. Byli przekonani, że Piotra nikt nie weźmie albo trafi do jakiejś dziwnej rodziny, która chce mieć niedorozwinięte dziecko. Walentin, który dołączył do nich w Rydze, był bystry i niebrzydki, ale młodszy chłopcy wiedzieli, że ma pewną ukrytą słabość. Kiedy w nocy gasły światła, bez majtek wchodził im pod koce i szeptał: „Czujesz to? Czujesz, jaki jest ogromny?”. Mówiąc to, chwycił ich za ręce i zmuszał, by go dotykali.

A teraz Walentina i Piotra już nie było. Nadia powiedziała, że znaleźli już nowych rodziców.

Innych chłopców nie wybrano.

Po południu Jaków i Aleksiej wyszli na pokład i wyciągnęli się w miejscu, gdzie nocą wylądował śmigłowiec. Leżeli tam, gapiąc się w intensywnie błękitne niebo. Nie widzieli żadnych chmur ani śmigłowców. Pokład był nagrany od słońca, więc wkrótce poczuli senność, jak para kotów na kaloryferze.

— Pomyślałem sobie — zaczął Jaków, mrużąc oczy od słońca — że jeśli moja matka żyje, nie chcę, żeby mnie adoptowano.

— Ona nie żyje.

— Nie wiadomo.

— Więc czemu po ciebie nie wróciła?

— Może właśnie mnie szuka. A ja jestem na środku oceanu, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Chyba że za pomocą radaru.

Powiem Nadii, żeby zabrała mnie z powrotem. Nie chcę nowej matki.

— A ja chcę — oświadczył Aleksiej. Milczał przez chwilę, po czym dodał: — Myślisz, że coś jest ze mną nie w porządku?

Jaków zaśmiał się.

— Poza tym, że jesteś opóźniony w rozwoju, pewnie nic.

Kiedy Aleksiej nie odpowiadał, Jaków spojrzał na niego i ze zdumieniem zobaczył, że jego młodszy kolega ukrył twarz w dłoniach, a jego ramiona drżą.

— Hej! — zawołał. — Ty płaczesz?

— Nie.

— Przecież widzę.

— Nie płacę.

— Ależ z ciebie dzieciak. Nie mówiłem serio. Wcale nie jesteś opóźniony.

Aleksiej skulił się i nic nie odpowiedział. Nie wydawał żadnego dźwięku, ale Jaków widział, że nie przestał płakać. Nie wiedział, co ma robić ani co powiedzieć. W pierwszej chwili miał ochotę jeszcze bardziej mu przygadać. Głupi szczeniak. Mazgaj. Jednak zmienił zdanie. Nigdy nie widział kolegi w takim stanie i czuł się trochę winny. To był tylko żart. Czemu Aleksiej tak tego nie odebrał?

— Zejdźmy na dół i pohuśtajmy się na linie — zaproponował, szturchając go w żebra.

Aleksiej odtrącił gniewnym ruchem jego rękę i zerwał się na nogi, czerwony na twarzy i zapuchnięty od płaczu.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał Jaków.

— Dlaczego wybrali tego głupiego Piotra zamiast mnie?

— Ja też zostałem — zauważył Jaków.

— Ale mnie niczego nie brakuje! — krzyknął Aleksiej i uciekł z pokładu.

Jaków spojrzał na kikut swojej lewej ręki i mruknął pod nosem:

— Ja też mam wszystko jak trzeba.

— Skoczek bije gońca — oznajmił mechanik Kubiczew.

— Zawsze robi pan tak samo. Nigdy nie próbuje pan nowych ruchów?

— Wolę sprawdzone posunięcia. Dzięki temu zawsze wy grywam. Twój ruch. Nie zastanawiaj się przez cały dzień.

Jaków przekreślił szachownicę i popatrzył na nią z boku. Potem przykląkł i spojrzał na szereg pionków. Wyobraził sobie, że to rycerze w czarnych zbrojach, stojący w szyku i czekający na rozkazy.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — zdziwił się Kubiczew.

— Zauważył pan, że królowa ma brodę?

— Co?

— Ma brodę. Niech pan zobaczy.

Kubiczew chrząknął.

— To tylko kryza pod szyją. Zrobisz wreszcie jakiś ruch?

Jaków postawił królową z powrotem na szachownicy i sięgnął po skoczka. Dwa razy zmieniał jego ustawienie. Wokół dudniły silniki Piekła.

Kubiczew już nie patrzył na szachownicę. Otworzył jakieś czasopismo i przerzucał jego strony, przyglądając się pięknym twarzom. Sto najpiękniejszych kobiet Ameryki. Co jakiś czas mamrotał: „To ma być ładna babka?” albo „Tej nie pozwoliłbym pieprzyć nawet mojemu psu”.

Jaków zbił jego gońca królową.

— Teraz pan — powiedział.

Kubiczew spojrzał na szachownicę.

— Dlaczego ciągle powtarzasz ten sam błąd i za wcześnie wychodzisz królową?

Odłożył otwarte czasopismo i pochylił się, by przesunąć pionek. Jaków zauważył na zdjęciu twarz kobiety. Kosmyk jasnych kędzierzawych włosów opadał jej na policzek. Miała melancholijny uśmiech i oczy, które zdawały się przenikać człowieka na wskroś.

— To moja matka — oświadczył.

— Co?

— To ona. Moja matka! — powtórzył Jaków i sięgnął po czasopismo, potrącając skrzynię, która służyła im za stół.

Szachownica spadła na ziemię i figury rozsypały się na wszystkie strony.

Kubiczew zabrał mu czasopismo.

— Co się z tobą dzieje, do cholery?

— Niech mi pan da to zdjęcie! — krzyknął Jaków i złapał Kubiczewa za rękę, chcąc wyrwać mu czasopismo.

— Zwariowałeś? To nie jest twoja matka!

— To ona! Pamiętam jej twarz! Wyglądała tak jak ta kobieta!

— Przestań mnie szarpać. Odsuń się, słyszysz?

— Niech mi pan to odda!

— Dobrze już, dobrze. Pokażę ci to zdjęcie, żebyś się przekonał, że to wcale nie twoja matka. — Kubiczew rzucił czasopismo na skrzynię. — Widzisz?

Jaków spojrział na fotografię. Była to twarz kobiety z jego snu. Miała tak samo przechyloną głowę, takie same zmarszczki w kącikach ust, nawet takie same smugi światła we włosach.

— To ona — powtórzył. — Znam jej twarz.

— Wszyscy ją znają. — Kubiczew wskazał podpis pod zdjęciem. — To Michelle Pfeiffer. Amerykańska aktorka. Wcale nie ma rosyjskiego nazwiska.

— Ale ja ją poznaję! Przyśniła mi się!

Kubiczew zaśmiał się.

— Jak wszystkim napalonym chłopakom — stwierdził i po patrzył na leżące na podłodze figury. — Spójrz na ten bałagan.

Będziemy mieli szczęście, jeśli znajdziemy wszystkie pionki.

Zrzuciłeś szachownicę, więc je teraz pozbieraj.

Jaków nie zareagował. Wciąż wpatrywał się w zdjęcie kobiety, przypominając sobie, jak się do niego uśmiechała.

Kubiczew, mrucząc coś pod nosem, opadł na podłogę i zaczął wyciągać spod maszyn szachowe figury.

— Pewnie widziałeś gdzieś jej twarz, w telewizji albo jakimś czasopiśmie, a potem o tym zapomniałeś. I dlatego ci się przyśniła, to wszystko. — Postawił na szachownicy dwa gońce i królową i podźwignąwszy się z podłogi, usiadł z powrotem na krześle. Był czerwony na twarzy i ciężko dyszał. Postukał się palcem w głowę. — Mózg człowieka ma wiele tajemnic.

Zamienia przeżycia w sny i nie potrafimy rozróżnić, co jest fantazją, a co rzeczywistością. Czasem mi się śni, że siedzę przy suto zastawionym stole, na którym jest wszystko, co miałbym ochotę zjeść. A potem się budzę i okazuje się, że ciągle jestem na tej pieprzonej łajbie. — Sięgnął po czasopismo i wyrwał stronę ze zdjęciem Michelle Pfeiffer. — Masz. Weź to sobie.

Jaków wziął zdjęcie i wbił w nie wzrok, ale nic nie powiedział.

— Jeśli chcesz udawać, że to twoja matka, proszę bardzo.

Chłopcy w twoim wieku robią gorsze rzeczy. A teraz pozbieraj te figury. Hej, mały! Dokąd pędzisz?

Jaków, ściskając zdjęcie w garści, wybiegł z Piekla.

Kiedy znalazł się na pokładzie stanął przy relingu i zapatrzył się w morze. Zmięta kartka z czasopisma szeleściła na wietrze. Była tak bardzo zgnieciona, że uśmiechnięte wargi kobiety wyglądały jak pomarszczone.

Chłopiec chwycił róg kartki zębami i przedarł ją na pół, ale to mu nie wystarczyło. Dyszał ciężko, z trudem powstrzymując się od płaczu. Jeszcze raz przedarł kartkę zębami, a potem trzeci raz, jak zwierzę rozszarpujące ciało ofiary, i pozwolił, by jej strzępy uleciały z wiatrem.

Kiedy skończył, pozostał mu w ręce tylko skrawek papieru. Był to fragment zdjęcia przedstawiający oko. Tuż pod nim palce Jakowa pozostawiły wgniecenie w kształcie gwiazdki, które przypominało lśniąca łzę.

Wyrzucił także i ten skrawek za burtę i patrzył, jak wpada do morza.

Rozdział piętnasty

Była dobrze po czterdziestce i miała chudą, wysuszoną twarz kobiety, która już dawno przestała dbać o swoją urodę. Według Bernarda Katzki wcale nie musiało jej to pozbawiać atrakcyjności. Magnetyzm kobiet nie zależał od blasku ich skóry i włosów, lecz od tego, co wyrażały ich oczy. Znał wiele fascynujących siedemdziesięciolatek. Wśród nich była też jego niezamężna ciotka Margaret, z którą bardzo się zżył po śmierci Annie. To, że z przyjemnością czekał na cotygodniowe pogawędki ze starszą panią przy kawie, zdumiałoby pewnie jego partnera. Lundquist reprezentował typowy dla mężczyzn pogląd, że kobiety niewarte są nawet spojrzenia, gdy przekroczą wiek menopauzy. Niewątpliwie miało to swoje uzasadnienie biologiczne. Samce nie powinny tracić energii ani spermy na nieplodne samice. Nic dziwnego, że Lundquist odetchnął z ulgą, gdy Katzka zgodził się sam przesłuchać Brendę Hainey. Uważał, że kobiety po menopauzie to specjalność jego starszego kolegi, ponieważ jego zdaniem był to jedyny detektyw w wydziale zabójstw, który miał dość cierpliwości i hartu ducha, by ich wysłuchiwać.

I właśnie to Katzka teraz robił — od kwadransa cierpliwie słuchał dziwacznych oskarżeń Brendy Hainey. Trudno było ją zrozumieć, bo mieszała fikcję z rzeczywistością, opowiadając o znakach z nieba i strzykawkach z morfiną. Ekscentryczność tej kobiety mogłaby go nawet

bawić, gdyby okazała się sympatyczna. Ale jej niebieskim oczom brakowało ciepła, emanowała z nich złość, co nie było pociągające.

— Rozmawiałam na ten temat w szpitalu — oznajmiła. — Poszłam wprost do ich dyrektora, pana Parra. Obiecał zbadać tę sprawę, jednak minęło już pięć dni, a nie miałam od niego żadnych wiadomości. Dzwonię tam codziennie. W jego biurze mówią mi, że wciąż starają się to wyjaśnić. Dziś straciłam cierpliwość i zadzwoniłam do pańskich ludzi. Oni też próbowali mnie zbyć. Chcieli, żebym porozmawiała o tym z jakimś nowicjuszem. Ale ja uważam, że zawsze należy kontaktować się z najwyższą władzą. Robię to każdego ranka, kiedy się modłę. W tym przypadku najwyższą władzą jest pan.

Katzka z trudem stłumił śmiech.

— Widziałam pańskie nazwisko w gazecie — dodała Brenda. — W związku ze sprawą tego zmarłego lekarza z Bayside.

— Ma pani na myśli doktora Leviego?

— Tak. Pomyślałam, że skoro wie pan już, co się dzieje w tym szpitalu, to właśnie z panem powinnam porozmawiać.

Katzka miał ochotę westchnąć ciężko, ale zdołał się pohamować. Wiedział, że Brenda Heiney odebrałaby to jako oznakę znudzenia.

— Mogę zobaczyć ten list? — zapytał.

Kobieta wyjęła z torebki złożoną kartkę papieru i wręczyła mu ją. Napisano na niej na maszynie: Pani ciotka nie zmarła naturalną śmiercią. Przyjacieli.

— To przyszło w kopercie?

Podawała mu ją. Było na niej wydrukowane jej nazwisko. Koperta została zaklejona, a potem rozerwana.

— Wie pani, kto mógł to wysłać? — spytał Katzka.

— Nie mam pojęcia. Może któraś z pielęgniarek. Ktoś, kto chciał się ze mną podzielić swoją wiedzą.

— Mówi pani, że ciocia była nieuleczalnie chora na raka.

Mogła umrzeć z przyczyn naturalnych.

— Więc po co by mi to przysyłano? Ktoś wie coś na ten temat. Ktoś chce, żeby zbadano tę sprawę. I ja także.

— Gdzie jest teraz ciało pani ciotki?

— W zakładzie pogrzebowym Ogród Pokoju. Moim zdaniem szpital przekazał je tam zbyt szybko.

— Na czyje polecenie? To musiał być ktoś z rodziny.

— Ciocia zażyczyła sobie tego przed śmiercią. Tak mi przynajmniej powiedziano w szpitalu.

— Rozmawiała pani z jej lekarzami? Może oni potrafią to wyjaśnić.

— Wolałabym z nimi nie rozmawiać.

— Dlaczego?

— Zważywszy na okoliczności, nie jestem pewna, czy mogę im ufać.

— Rozumiem. — Katzka westchnął, wziął do ręki pióro i otworzył notatnik na czystej stronie. — Proszę podać mi nazwiska wszystkich lekarzy ciotki.

— Opiekował się nią doktor Colin Wettig, ale najwyraźniej wszystkie decyzje podejmowała jego stażystka. Myślę, że to nią powinien się pan zainteresować.

— Jak się nazywa?

— Doktor DiMatteo.

Katzka spojrział na nią zaskoczony.

— Abigail DiMatteo?

Zobaczył na twarzy Brendy konsternację.

— Zna ją pan? — zapytała ostrożnie.

— Rozmawiałem z nią. Ale na zupełnie inny temat.

— Czy to nie wpłynie na pański osąd w tej sprawie?

— Oczywiście, że nie.

— Jest pan pewien?

Jej świdrujące spojrzenie irytowało Katzkę. Zwykle niełatwo było wyprowadzić go z równowagi i zadawał sobie teraz pytanie, dlaczego ta kobieta tak bardzo działa mu na nerwy.

Przechodzący akurat w tym momencie obok biurka Lundquist posłał mu pełen współczucia uśmiešek. Katzka pomyślał, że to właśnie on powinien rozmawiać z tą kobietą. Dobrze by mu to zrobiło. Nauczyłby się powściągliwości, której tak bardzo mu brakowało.

- Zawsze staram się być obiektywny, panno Hainey — powiedział.
- Więc powinien pan dobrze się przyjrzeć doktor DiMatteo.
- Dlaczego właśnie jej?
- Bo to ona chciała śmierci mojej cioci.

Katzka uznał oskarżenia Brendy za mało wiarygodne, pozostawała jednak do wyjaśnienia kwestia, kto wysłał do niej ten list. Nie mógł wykluczyć, że sama go napisała. Ludzie, którzy chcieli zwrócić na siebie uwagę, robili różne dziwne rzeczy. Łatwiej by mu było uwierzyć w to, że Brenda kłamie, niż w jej sugestie, że Mary Allen została zamordowana przez swoich lekarzy. Przez wiele tygodni patrzył, jak jego żona umiera w szpitalu na raka, więc dobrze poznał funkcjonowanie oddziału onkologicznego i panującą na nim atmosferę. Obserwował pełną współczucia i poświęcenia pracę pielęgniarek i lekarzy. Wiedzieli, kiedy walczyć o życie pacjenta, ale wiedzieli również, kiedy walka jest przegrana, kiedy chory za bardzo cierpi, by warto było przedłużać mu życie o kolejny dzień czy tydzień. Były chwile, gdy sam rozpaczliwie pragnął pomóc Annie przejść przez próg śmierci i gdyby lekarze zaproponowali taką opcję, zgodziłby się na to. Nie zrobili tego jednak. Rak zabijał wystarczająco szybko. Który lekarz ryzykowałby swoją zawodową karierę, by przyspieszyć śmierć pacjenta? Zresztą gdyby nawet lekarze Mary Allen podjęli taką decyzję, czy naprawdę można by to uznać za zabójstwo?

Po wizycie Brendy Hainey z niechęcią udał się do szpitala Bayside. Musiał przeprowadzić kilka rozmów. W szpitalnym biurze informacji potwierdzono, że Mary Allen rzeczywiście zmarła w dniu podanym przez Brendę i że przyczyną śmierci był niezróżnicowany nowotwór z przerzutami. Recepcjonistka nie mogła powiedzieć mu niczego więcej. Doktor Wettig przeprowadzał operację i tego popołudnia był niedostępny, więc Katzka skorzystał z telefonu i puścił sygnał na pager Abby DiMatteo.

Po chwili mu odpowiedziała.

— Mówi detektyw Katzka — przedstawił się. — Rozma wialiśmy w zeszłym tygodniu.

- Tak, pamiętam.
- Mam kilka pytań w innej sprawie. Gdzie mogę panią znaleźć?
- Jestem w bibliotece. Czy długo to potrwa?
- Nie sądzę.

Usłyszał jej westchnienie, a potem niechętną odpowiedź:

— Dobrze. Biblioteka jest na drugim piętrze, w skrzydle administracji.

Z doświadczeń Katzki wynikało, że zazwyczaj ludzie — o ile nie byli o coś podejrzani — lubili rozmawiać z policjantami z wydziału zabójstw. Byli ciekawi szczegółów morderstw i metod pracy policji. Zdumiewały go pytania, jakie potrafiły mu zadawać nawet najbardziej dobroduszne staruszki. Wszyscy chcieli słuchać krwawych opowieści. Ale doktor DiMatteo najwyraźniej nie miała ochoty na rozmowę. Dlaczego?

Szpitalna biblioteka była wciśnięta między biuro przetwarzania danych i dział finansowy. Wewnątrz znajdowało się kilka rzędów półek, biurko bibliotekarki i parę ustawionych wzdłuż ściany pulpitów czytelniczych. Doktor DiMatteo stała przy fotokopiarce i kładła na płycie czasopismo medyczne. Miała już kilka plików skopiowanych kartek, które leżały poukładane na sąsiednim stole. Katzka był zdziwiony, że wykonuje taką urzędniczą pracę. Był również zaskoczony tym, że jest dziś w spódnicy i bluzce, a nie w swoim zwykłym szpitalnym stroju. Uważał ją za atrakcyjną kobietę, ale teraz, widząc ją w efektownej spódnicy, z grzywą czarnych włosów opadających luźno na ramiona, uznał, że jest bardzo piękna.

Kiedy go zobaczyła i powitała skinieniem głowy, zauważył, że nie tylko wygląda inaczej niż poprzednio, ale też inaczej się zachowuje. Wydawała się czymś zdenerwowana, może nawet zaniepokojona.

— Już prawie skończyłam — powiedziała. — Muszę sko piować jeszcze tylko jeden artykuł.

- Nie ma pani dziś dyżuru?
- Słucham?
- Myślałem, że chirurdzy zawsze noszą szpitalne uniformy.

Umieściła na płycie fotokopiarki kolejną kartkę i wcisnęła guzik.

— Dzisiaj nie operuję, więc przeglądam literaturę medyczną.

Doktor Wettig potrzebuje tych materiałów na konferencję — odparła, nie odrywając wzroku od kopiarki, jakby musiała koncentrować całą uwagę na pulsującym świetle i szumie maszyny.

Kiedy ostatnie kopie były gotowe, położyła je na pliku skopiowanych wcześniej kartek i usiadła. Katzka wysunął sobie krzesło i zajął miejsce naprzeciwko niej. Abby wzięła do ręki zszywacz, ale po chwili go odłożyła.

Nadal na niego nie patrząc, spytała:

— Wiadomo coś nowego?

— W sprawie doktora Leviego nie.

— Chciałabym sobie cokolwiek przypomnieć, ale nie po trafię — stwierdziła, gwałtownym przyciśnięciem zszywacza spinając razem kilka kartek papieru.

— Nie przychodzę w sprawie doktora Leviego — powiedział Katzka. — Tym razem chodzi o coś innego. O jedną z pani pacjentek.

— O? — Wzięła kolejny plik kartek i wsunęła je w szczelinę zszywacza. — Kogo pan ma na myśli?

— Panią Mary Allen.

Ręka Abby zastygła na chwilę w powietrzu, po czym mocno uderzyła w zszywacz.

— Pamięta ją pani? — spytał Katzka.

— Tak.

— O ile wiem, zmarła w zeszłym tygodniu. Tu, w Bayside.

— Zgadza się.

— Może pani potwierdzić, że przyczyną śmierci był niezróżnicowany nowotwór z przerzutami?

— Owszem.

— I że była nieuleczalnie chora?

— Tak.

— A zatem należało się spodziewać, że umrze?

Abby zawahała się, co wzbudziło jego czujność.

– Można tak powiedzieć – odparła powoli.

Przyglądał jej się teraz uważniej, a ona wydawała się tego świadoma. Przez chwilę nic nie mówił. Wiedział z doświadczenia, że milczenie zwiększa napięcie. Wreszcie zapytał cicho:

– Czy w jej śmierci było coś niezwykłego?

Podniosła na niego wzrok. Uświadomił sobie, że siedziała w niemal całkowitym bezruchu.

– Co pan ma na myśli? – spytała.

– Okoliczności jej zgonu.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego to pana interesuje?

– Krewna pani Allen zgłosiła pewne zastrzeżenia.

– Mówimy o Brendzie Hainey, jej siostrzenicy?

– Właśnie. Ta kobieta uważa, że śmierć ciotki nie miała związku z jej chorobą.

– A pan próbuje wykazać, że popełniono morderstwo?

– Próbuję ustalić, czy są powody do wszczęcia dochodzenia. Są?

Abby nic na to nie odpowiedziała.

– Brenda Hainey otrzymała anonimowy list. Napisano w nim, że Mary Allen nie zmarła z przyczyn naturalnych. Czy ma pani jakiegokolwiek powody do podejrzeń, że to może być prawda?

Mógł się spodziewać rozmaitych odpowiedzi. Mogła się roześmiać i oświadczyć, że to idiotyczne spekulacje. Mogła też powiedzieć, że Brenda Hainey to wariatka. Albo okazać zdziwienie lub nawet gniew, że Katzka tak ją indaguje. Żadna z tych reakcji by go nie zaskoczyła. Jednak zupełnie nie był przygotowany na to, co naprawdę usłyszał.

Abby DiMatteo spojrzała na niego blada jak ściana i oświadczyła:

– Odmawiam odpowiedzi na dalsze pytania, panie Katzka.

Gdy tylko detektyw wyszedł z biblioteki, spanikowana Abby sięgnęła po najbliższy telefon i zadzwoniła na pager Marka. Poczowała ulgę, gdy jej natychmiast odpowiedział.

– Ten policjant znów tu był – wyszeptała. – Mark, oni wiedzą o Mary Allen. Brenda z nimi rozmawiała. Wypytywał mnie, co było przyczyną śmierci.

— Chyba nic mu nie powiedziałaś?

— Nie, ja... — Wciągnęła głęboko powietrze. Jej wes tchnienie brzmiało niemal jak szloch. — Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć, i chyba się zdemaskowałam. Jestem prze rażona i myślę, że on to zauważył.

— Abby, posłuchaj... Nie wspomniałaś mu o morfinie w twojej szafce, prawda?

— Miałam zamiar to zrobić. Chryste, Mark, bardzo chciałam wyrzucić to z siebie. Może powinnam. Gdybym mu wszystko powiedziała...

— Nie rób tego.

— Czy to nie lepsze rozwiązanie? I tak się o tym dowie.

Wcześniej czy później do wszystkiego się dokopie, jestem tego pewna. — Znów westchnęła i poczuła zbierające się pod powiekami łzy. Bała się, że za chwilę się rozplacze, w bibliotece, na oczach wszystkich.

— Nie wiem, jak z tego wybrnąć. Chyba powinnam zgłosić się na policję.

— A jeśli ci nie uwierzą? Jeśli wezmą pod uwagę poszlaki, tę morfinę w twojej szafce, i nie będą niczego więcej sprawdzać?

— Więc co mam robić? Czekać, aż mnie aresztują? Nie mogę już tego znieść. Nie mogę. — Jej głos się załamał i powtórzyła szeptem: — Nie mogę...

— Na razie policja nie ma żadnych dowodów. Ja nic im nie powiem. Wettig i Parr również, jestem tego pewien. Tak samo jak tobie zależy im na tym, żeby ta sprawa nie wyszła na jaw.

Trzymaj się, Abby. Wettig zrobi wszystko, żebyś wróciła do pracy.

Dopiero po dłuższej chwili odzyskała równowagę. Kiedy znów się odezwała, jej głos był cichy, lecz opanowany.

— Mark, a jeśli Mary Allen rzeczywiście została zamordowana? Wtedy należałoby przeprowadzić śledztwo. Sami powinniśmy zgłosić to policji.

— Naprawdę tego chcesz?

– Nie wiem, myślę jednak, że właśnie tak trzeba zrobić. Że to nasz moralny obowiązek.

– i Sama zdecyduj. Ale dobrze się zastanów nad konsekwencjami.

Już się nad nimi zastanawiała. Myślała o rozgłosie, o grożącym jej aresztowaniu. Wiedziała, co powinna zrobić, ale bała się podjąć jakiegokolwiek działania. Jestem tchórzem, powiedziała sobie. Moja pacjentka nie żyje, być może została zamordowana, a ja martwię się tylko o swoją cholerną skórę.

Do sali weszła bibliotekarka, pchając skrzypiący wózek z książkami. Usiadłszy przy biurku, zaczęła stemplować ich okładki od wewnątrz.

– Pomyśl, zanim cokolwiek zrobisz, Abby – powtórzył Mark.

– Porozmawiamy o tym później – odparła. – Muszę już iść.

Odłożyła słuchawkę i wróciwszy do stolika, usiadła na krześle, wpatrując się w stertę skopiowanych artykułów. To była teraz jej praca. Cały ranek spędziła nad plikiem papierów. Była lekarką, którą pozbawiono kontaktu z pacjentami, chirurgiem, któremu zakazano wstępu do sali operacyjnej. Pielęgniarki i lekarze nie wiedzieli, co o tym sądzić. Była pewna, że szpital aż huczy od plotek. Gdy wcześniej szła korytarzem, szukając doktora Wettiga, wszystkie pielęgniarki się za nią oglądały.

Zastanawiała się, co mówią za jej plecami, ale bała się tego dowiadywać.

Odgłos przybijania pieczęci nagle ustał. Abby uświadomiła sobie, że bibliotekarka przerwała pracę i przygląda się jej.

Ona też pewnie się zastanawia, co ma o mnie sądzić, pomyślała.

Zebrała papiery i zaniósła je na biurko bibliotekarki.

– Ile kopii?

– Wszystkie są dla doktora Wettiga. Może je pani zapisać na jego konto.

– Muszę odnotować w rejestrze, ile ich jest. Takie mamy zasady.

Abby zabrała stertę kartek i zaczęła je liczyć. Powinna wiedzieć, że ta kobieta nie ustąpi. Pracowała w Bayside od niepamiętnych czasów i zawsze informowała każdego nowego stażystę, że w bibliotece ona

ustala reguły gry. Abby poczuła złość na nią, na szpital i na cały bałagan, jaki nagle zapanował w jej życiu. W końcu doszła do ostatniego artykułu.

— Dwieście czternaście stron — powiedziała, z powrotem kładąc kopie na biurku bibliotekarki. Kiedy to robiła, rzuciło jej się w oczy nazwisko, widoczne na pierwszej kartce. Aaron Levi, doktor medycyny. Artykuł miał tytuł: Porównanie współ czynników umieralności pacjentów szpitala po przeszczepie serca i biorców pozaszpitalnych. Jego autorami byli Aaron, Raj iv Mohandas i Lawrence Kunstler. Wpatrywała się w na zwisko Aarona, wstrząśnięta nagłym przypomnieniem o jego śmierci.

Bibliotekarka także je zauważyła i pokręciła głową.

— Trudno mi uwierzyć, że doktor Levi nie żyje.

— Mnie również — mruknęła Abby.

— W dodatku obaj pisali ten artykuł...

— Słucham?

— Doktor Kunstler i doktor Levi.

— Niestety nie znam doktora Kunstlera.

— Och, pracował tu przed panią. — Bibliotekarka zamknęła rejestr kopii i wsunęła go z powrotem na półkę. — To się zdarzyło jakieś sześć lat temu.

— Co takiego?

— Doktor Kunstler zrobił to samo co Charles Stuart. Wie pani, ten człowiek, który skoczył do rzeki z Tobin Bridge.

Abby znów spojrzała na artykuł. Na dwa nazwiska u góry strony.

— Popęłnił samobójstwo?

Bibliotekarka kiwnęła głową.

— Tak jak doktor Levi.

Stukot klocków do gry w madżonga, rozsypywanych na stole w jadalni, zagłuszał rozmowę. Vivian zamknęła kuchenne drzwi i wróciła do zlewu, w którym stał cedzak z kiełkami fasoli. Odrywała wyschnięte ogonki i wrzucała kiełki do miski. Abby była zdziwiona, że ktokolwiek ma ochotę zawracać sobie tym głowę. Tylko cholerni Chińczycy,

wyjaśniła jej Vivian. Poświęcali długie godziny na przygotowanie posiłku, który zjadało się w parę minut. Gdyby przed babcią Vivian lub jej przyjaciółkami postawiono talerz kiełków fasoli z wyschniętymi ogonkami, z odrazą zmarszczyłyby nosy. Tak więc poslušna wnuczka – utalentowany chirurg, mający wkrótce otworzyć własną praktykę – koncentrowała się na odpowiedzialnym zadaniu, jakim było obieranie kiełków. Robiła to szybko i sprawnie, jak zresztą wszystko, do czego się zabierała. Przez cały czas słuchała opowieści Abby, a jej zręczne palce ani przez chwilę nie przestawały się poruszać.

– Jezu... – mruzczała pod nosem. – Ale panią załatwił.

Hałas dobiegający z sąsiedniego pokoju na chwilę ucichł, a potem rozpoczęła się nowa partia gry. Co jakiś czas przez gwar rozmów przebijał się odgłos rzucanej na blat kostki.

– Co pani zdaniem powinnam zrobić? – spytała Abby.

– Tak czy inaczej, ten człowiek ma panią w garści.

– Dlatego przyszedłam porozmawiać. Pani też Victor Voss zaszedł za skórę. Wie pani, do czego jest zdolny.

– Tak – westchnęła Vivian. – Wiem aż za dobrze.

– Uważa pani, że powinnam pójść na policję?

– A co o tym sądzi Mark?

– Uważa, że powinnam milczeć.

– Zgadzam się z nim. Jestem z natury nieufna wobec władzy. Musi pani bardziej wierzyć policji niż ja, jeśli chce się pani oddać w ich ręce i liczy na to, że wszystko się dobrze ułoży. – Vivian sięgnęła po ścierkę do naczyń i wytarła ręce, po czym spojrzała na Abby. – Naprawdę pani myśli, że Mary Allen zamordowano?

– Jak inaczej wyjaśnić taki wysoki poziom morfiny w jej krwi?

– Dostawała ją przez cały czas. I pewnie potrzebowała dużych dawek, by nie odczuwać bólu. Może się skumulowały.

– Byłoby to możliwe tylko wtedy, gdyby podano jej drugie tyle. Przypadkowo lub celowo.

– Żeby panią wrobić?

— Nikt nie sprawdza poziomu morfiny u pacjentów nieule czalnie chorych na raka. Ktoś chciał mieć pewność, że jej zabójstwo nie pozostanie niezauważone. Ktoś, kto wiedział, że została zamordowana. Dlatego wysłał list do Brendy Hainey.

— Skąd pani wie, że zrobił to Victor Voss?

— To on chce, żeby zwolniono mnie z pracy.

— Tylko on?

Abby spojrzała na Vivian. Kto jeszcze mógłby tego chcieć?

Dochodzący z jadalni głośny stukot klocków obwieścił koniec kolejnej rozgrywki. Abby zaczęła nerwowo chodzić po kuchni, obok stojącej na blacie kuchenki do gotowania ryżu i piecyka, nad którym unosiły się z garnków aromatyczne, egzotyczne zapachy.

— To szaleństwo. Nie chce mi się wierzyć, żeby ktokolwiek inny mógł to zrobić.

— Jeremiaś Parr też chce ocalić głowę. Voss prawdopodobnie nie siedzi mu na karku. Niech się pani nad tym zastanowi.

W zarządzie szpitala jest pełno bogatych kumpli Vossa. Mogą zwolnić Parra, jeśli im nie ustąpi. To nie przywidzenia, DiMatteo. Ktoś zamierza pani zaszkodzić.

Abby ciężko opadła na krzesło przy kuchennym stole. Hałasy dobiegające z jadalni przyprawiały ją o ból głowy. W tym domu panował nieustanny zgiełk. Wszyscy goście bardzo głośno rozmawiali po kantonku, ich przyjacielskie pogawędki brzmiały jak kłótnie. Jak Vivian wytrzymała wspólne zamieszkiwanie ze swoją babcią? Jej piskliwy głos doprowadzał Abby do szaleństwa.

— Tak czy inaczej, za tym wszystkim stoi Victor Voss — stwierdziła.

— W końcu w jakiś sposób się na mnie zemści.

— W takim razie dlaczego wycofał pozwy? To nie ma sensu. Chce panią zniszczyć i nagle zatrzymuje się w pół drogi.

— Zamiast dostawać pozwy od różnych osób, zostałam oskarżona o morderstwo. Wspaniała alternatywa.

— Ale przecież w tym brak logiki. Voss musiał sporo zapłacić, żeby ci ludzie zgodzili się wnieść te pozwy. Nie wycofałyby się z tego tak

łatwo. Chyba że obawiał się jakichś konsekwencji. Na przykład oskarżeń z pani strony. Miała pani takie plany?

— Owszem, ale prawnik poradził mi, żebym z nich zrezygnowała.

— Więc dlaczego Voss wycofał pozwy?

Abby też nie widziała w tym sensu.

Wracając do domu z Melrose, gdzie mieszkała Vivian, wciąż szukała odpowiedzi na to pytanie. Było późne popołudnie i na drodze numer jeden jak zwykle panował ożywiony ruch. Chociaż mżyło, Abby opuściła szybę, bo w samochodzie nadal było czuć odór zepsutych świńskich wnętrzności. Obawiała się, że ten zapach nigdy nie zniknie i stale będzie jej przypominał Victora Vossa.

Zbliżała się do Tobin Bridge — miejsca, w którym Lawrence Kunstler postanowił odebrać sobie życie. Zwolniła. Kiedy wjeżdżała na most, coś jej kazało spojrzeć w bok, w stronę wody. Pod pochmurnym niebem rzeka wydawała się niemal czarna, a jej powierzchnię marszczyły podmuchy wiatru. Abby pomyślała, że nigdy nie wybrałaby śmierci przez utonięcie. Paniczny strach, rozpaczliwe wymachiwanie kończynami, zaciśnięte gardło, do którego wdziera się zimna woda. Zastanawiała się, czy Kunstler był przytomny, gdy wpadł do rzeki. Myślała też o Aaronie. Dwaj lekarze z tego samego szpitala, dwa samobójstwa. Zapomniała spytać Vivian o Kunstlera. Skoro zginął zaledwie sześć lat temu, mogła o nim słyszeć.

Zapatrzona w wodę, nie zauważyła, że jadący przed nią samochód zwolnił, bo przy wjeździe na płatną autostradę zrobił się korek. Gdy znów spojrzała na drogę, zobaczyła sznur stojących aut.

Wcisnęła hamulec i niemal w tej samej chwili poczuła uderzenie w tylny zderzak. Spojrzawszy we wsteczne lusterko, zobaczyła, że jadąca za nią kobieta przepaszająco macha ręką. Ruch na moście na chwilę zamarł, wysiadła więc z samochodu, aby ocenić szkodę.

Kobieta również wysiadła.

— Nic się nie stało — stwierdziła Abby. — Wszystko w porządku.

— Bardzo przepraszam. Chyba się zagapiłam.

Abby rzuciła okiem na jej wóz i zobaczyła, że jego przedni zderzak także nie ucierpiał.

— Strasznie mi głupio — powiedziała kobieta. — Przy glądałam się furgonetce, która siedzi mi na ogonie, i dlatego w panią wjechałam — dodała, wskazując stojący za jej autem brązowy samochód.

Po chwili samochody znów ruszyły. Abby wróciła za kierownicę i pojechała dalej. Mijając punkt pobierania opłat, jeszcze raz spojrzała na most, z którego Lawrence Kunstler wykonał swój samobójczy skok. Aaron i Kunstler znali się i pracowali razem. Napisali wspólnie artykuł na temat przeszczepów.

Gdy wracała labiryntem ulic do Cambridge, cały czas o tym myślała.

Dwóch lekarzy z tego samego zespołu transplantologów. I obaj popełnili samobójstwo.

Zastanawiała się, czy Kunstler był żonaty. Czy śmierć męża zaskoczyła panią Kunstler tak samo jak Elaine Levi.

Okrążyła Harvard Common. Skręcając w Brattle Street, zerknęła we wsteczne lusterko.

Jechała za nią brązowa furgonetka. Także skręciła w Brattle Street.

Minąwszy skrzyżowanie z Willard Street, ponownie spojrzała w lusterko. Furgonetka nie zniknęła. Czy to ta, którą widziała na moście? Nie przyjrzała jej się wtedy. Zapamiętała tylko kolor. Nie wiedziała, czemu teraz tak ją niepokoi. Może dlatego, że widok mostu i rzeki przypomniiał jej o śmierci Kunstlera. I Aarona.

Skręciła w lewo, w kierunku Mercer.

Furgonetka również.

Abby ponownie skręciła w lewo, na Camden, a potem w prawo, na Auburn. Wciąż spoglądała w lusterko, niemal pewna, że za chwilę zobaczy w nim furgonetkę. Dopiero gdy znowu znalazła się na Brattle Street, a brązowa furgonetka się nie pojawiła, pozwoliła sobie na westchnienie ulgi. Strasznie nerwowa dziewczynka z ciebie, pomyślała.

Pojechała prosto do domu i zatrzymała się na podjeździe. Mark jeszcze nie wrócił. Nie zdziwiło jej to. Mimo pochmurnego nieba razem z Archerem planowali kolejne regaty. Powiedział jej, że zła pogoda to

żadna wymówka i jeśli tylko nie zacznie się sztorm, będą kontynuować zawody.

Weszła do domu. Wewnątrz panował półmrok. Przez szyby wpadało szare, zamglone światło. Kiedy chciała zapalić stojącą na stole lampę, usłyszała niski pomruk silnika samochodu. Wyjrzała przez okno.

Obok jej domu przejeżdżała brązowa furgonetka. Zbliżywszy się do podjazdu, wyraźnie zwolniła, jakby kierowca przyglądał się samochodowi Abby.

Muszę pozamykać drzwi, pomyślała. Wszystkie.

Pobiegła do frontowych drzwi, zasunęła rygiel i założyła łańcuch.

Czy drzwi z tyłu domu były zamknięte?

Przebiegła przez korytarz do kuchni. Nie było tam rygla, tylko zamek na zatrask. Chwyciła krzesło i podstawiła je pod klamkę, blokując drzwi.

Wróciła do salonu i stanąwszy za zasłoną, wyjrzała na zewnątrz.

Furgonetka odjechała.

Przyjrzała się ulicy po obu stronach, wychylając jak najdalej głowę, ale zobaczyła tylko pustą, mokrą od deszczu jezdnię.

Zgasiła światło i odciągnąwszy zasłony, siedziała w ciemnym salonie, wyglądając przez okno i czekając na ponowne pojawienie się furgonetki. Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić na policję. Ale co by im powiedziała? Nikt jej nie groził. Siedziała tak prawie godzinę, wpatrując się w ulicę i mając nadzieję, że Mark w końcu wróci do domu.

Furgonetka nie pojawiała się. Mark również.

Wracaj do domu, błagała go w myślach. Zejdź z tego cholernego jachtu i wróć do domu.

Wyobrażała go sobie, jak pływa po zatoce, jak łopocą żagle, a bom obraca się na wietrze. Wyobrażała sobie morze, mętne i wzburzone pod zachmurzonym niebem. Tak jak rzeka, w której utonął Kunstler.

Podeszła do telefonu i zadzwoniła do Vivian. Kiedy Chinka podniosła słuchawkę, Abby natychmiast usłyszała dobiegający z mieszkania państwa Chao zgiełk. Przekrzykując śmiechy gości i głośną wymianę zdań, Vivian powiedziała:

— Źle panią słyszę. Mogłaby pani powtórzyć?

— W zespole transplantologów był jeszcze jeden lekarz, który sześć lat temu odebrał sobie życie. Znała go pani?

Vivian krzyknęła w odpowiedzi:

— Tak! Ale nie minęło chyba aż tyle czasu. Najwyżej cztery lata.

— Wie pani, dlaczego popełnił samobójstwo?

— To nie było samobójstwo.

— Co?

— Może pani chwilę poczekać? Przejdę do innego aparatu.

Abby miała wrażenie, że czeka w nieskończoność, zanim Chinka znów się odezwała.

— W porządku, babciu! Możesz już odłożyć słuchawkę! — zawołała Vivian.

Prowadzone po kantońsku krzykliwe rozmowy raptownie ucichły.

— Mówi pani, że nie popełnił samobójstwa? — spytała Abby.

— To był wypadek. Piec centralnego ogrzewania miał jakąś wadę i w domu gromadził się tlenek węgla. Zginęła również jego żona i córeczka.

— Chwileczkę... mówię o lekarzu, który nazywał się Lawrence Kunstler.

— Nigdy o nim nie słyszałam. To musiało się zdarzyć, zanim zaczęłam pracować w Bayside.

— Więc kogo ma pani na myśli?

— Anestezjologa. Tego, którego zastąpił Zwick. Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć jego nazwiska... Już wiem:

Hennessy.

— Należał do zespołu transplantologów?

— Tak. Młody człowiek, tuż po stażu. Nie pracował z nami długo. Pamiętam, że chciał przeprowadzić się na Zachód, kiedy to się stało.

— Jest pani pewna, że to był wypadek?

— A cóż by innego?

Abby przez chwilę nie odpowiadała, patrząc przez okno na pustą ulicę.

— DiMatteo, czy coś się stało?

— Ktoś mnie dziś śledził. Jechał za mną furgonetką.

— To niemożliwe.

— Marka nie ma jeszcze w domu. Robi się ciemno i powi nien już wrócić. Ciągle myślę o Aaronie. I Lawrensie Kunstlerze. Skoczył do rzeki z Tobin Bridge. A teraz mówi mi pani o Hennessym. To już trzech, Vivian.

— Dwa samobójstwa i wypadek.

— Sporo, jak na jeden szpital.

— Pewnie to statystyczna zbitka. A może praca w Bayside wywołuje głęboką depresję? — zażartowała Vivian, ale wie działa, że żart jej sienie udał. Po chwili zapytała: — Naprawdę pani sądzi, że ktoś panią śledził?

— Sama pani powiedziała: „To nie przywidzenia. Ktoś zamierza pani zaszkodzić”.

— Miałam na myśli Victora Vossa. Albo Parra. Mają powo dy, żeby panią nękać. Ale żeby jeździć za panią furgonetką?

I co to ma wspólnego z Aaronem i tymi dwoma pozostałymi lekarzami?

— Nie wiem. — Abby usiadła na fotelu i skuliła się. Było jej tak cieplej i bezpieczniej się czuła. — Ale zaczynam się bać.

Ciągle myślę o Aaronie. Mówiłam pani, co twierdzi ten detek tyw: że być może wcale nie popełnił samobójstwa.

— Ma na to jakieś dowody?

— Gdyby miał, z pewnością by mi o nich nie powiedział.

— Mógł wspomnieć o tym Elaine.

Oczywiście. Była żoną Aarona i miała prawo domagać się prawdy.

Odłożywszy słuchawkę, Abby znalazła numer telefonu Elaine Levi, jednak nie od razu zebrała się na odwagę, by do niej zadzwonić. Na dworze zapadł już zmrok, a mżawka zamieniła się w deszcz. Marka nadal nie było w domu. Abby zaciągnęła zasłony i zapaliła wszystkie lampy. Potrzebowała światła i ciepła.

W końcu podniosła słuchawkę i wystukała numer. Po czterech sygnałach odchrząknęła, by nagrać wiadomość, gdy zgłosi się

automatyczna sekretarka, ale nagle usłyszała trzy przenikliwe piski i głos z taśmy: „Nastąpiła zmiana numeru. Proszę wykręcić prawidłowy...”.

Wcisnęła jeszcze raz klawisze.

Po czterech sygnałach znów usłyszała te same przenikliwe piski. „Nastąpiła zmiana numeru...”.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę wpatrywała się w telefon, jakby ją zdradził. Dlaczego Elaine zmieniła numer? Przed kim się ukrywała?

Przed domem zatrzymał się samochód. Abby podbiegła do okna i wyjrzała przez szparę między zasłonami. Na podjeździe stało BMW.

Uniosła oczy do nieba w niemej dziękczynnej modlitwie.

Mark wrócił wreszcie do domu.

Rozdział szesnasty

— Jasne, że znałem ich obu — powiedział Mark, dolewając sobie wina do kieliszka. — Larry'ego Kunstlera lepiej niż Hennessy'ego, który nie pracował z nami zbyt długo. Larry był jednym z facetów, którzy ściągnęli mnie do Bayside zaraz po stażu. Był w porządku. — Odstawił butelkę z winem na stół. — Dał się lubić.

Obok nich przeszedł maitre d\ prowadząc do pobliskiego stolika ekstrawagancko ubraną kobietę, którą powitał hałaśliwy chór okrzyków: „Jesteś, kochanie!” i „Jaka śliczna sukienka!”. Ta piskliwa manifestacja radości wydała się Abby niesmaczna i prostacka. Żałowała, że nie zostali w domu. Ale Mark nalegał, żeby wyszli do restauracji. Tak mało czasu spędzali razem i nie uczcili nawet jeszcze swoich zaręczyn. Zamówił wino, wznosił toast, a teraz kończył opróżniać butelkę — ostatnio robił to coraz częściej. Patrzyła, jak dolewa sobie wina, i pomyślała, że najwyraźniej również źle znosi jej problemy.

— Dlaczego nigdy mi o nich nie mówiłeś? — spytała.

— Nie było okazji.

— Dziwne, że nikt nie poruszył tego tematu. Zwłaszcza po śmierci Aarona. Zespół traci w ciągu sześciu lat trzech kolegów i pomijacie to milczeniem. Jakbyście wszyscy bali się o tym mówić.

— To przykra historia. Staramy się o tym nie rozmawiać, zwłaszcza w obecności Marilee. Znała żonę Hennessy'ego.

Organizowała nawet dla niej przyjęcie z okazji urodzin dziecka.

— Tego, które umarło?

Mark kiwnął głową.

— Wszyscy byliśmy wtedy w szoku. W jednej chwili zginęła cała rodzina. Marilee wpadła w histerię, kiedy o tym usłyszała.

— Czy to na pewno był wypadek?

— Kupili ten dom kilka miesięcy wcześniej. Nie zdążyli wymienić starego pieca centralnego ogrzewania. Tak, to był wypadek.

— Ale śmierć Kunstlera nie była przypadkowa.

Mark westchnął ciężko.

— Nie. Z nim było inaczej.

— Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

— A dlaczego Aaron się zabił? Dlaczego człowiek popełnia samobójstwo? Możemy doszukiwać się różnych powodów, ale prawda jest taka, że nie znamy odpowiedzi na to pytanie.

I nigdy jej nie poznamy. Nigdy tego nie zrozumiemy. Patrzymy na swoje życie i mówimy sobie: „Wszystko się ułoży. Jakoś to będzie”. Larry tak nie potrafił. Nie widział przed sobą przy szłości. Wtedy właśnie ludzie się załamują. Kiedy nie mają już nadziei. — Upił łyk wina, potem następny, ale najwyraźniej nie sprawiało mu to przyjemności. Podobnie jak jedzenie.

Zrezygnowali z deseru i wyszli z restauracji, milczący i przygnębieni.

Mark prowadził samochód w gęstniejącej mgłę i deszczu. Szum wycieraczek zastępował im rozmowę. „Wtedy właśnie ludzie się załamują, powiedział. Kiedy nie mają już nadziei”.

Ja też chyba dochodzę do tego punktu, pomyślała Abby. Nie widzę przed sobą perspektyw. Nie wiem, co się ze mną stanie. I co się stanie z nami.

Mark powiedział cicho:

— Muszę ci coś pokazać, Abby. Chciałbym wiedzieć, co o tym sądzisz. Może uznasz, że zwariowałem. A może ten pomysł ci się spodoba.

— Jaki pomysł?

— To coś, o czym marzyłem. Od bardzo dawna.

Jechali z Bostonu na północ, przez Revere, Lynn i Swampscott. Na przystani Marblehead Marina Mark zaparkował samochód i oznajmił:

— Jest tutaj. Stoi przy końcu mola.

Był to jacht.

Oszołomiona Abby patrzyła na niego, a Mark przechadzał się tam i z powrotem wzdłuż nabrzeża. Był teraz bardziej ożywiony niż podczas całego wieczoru i gestykulował z przejęciem.

— To łódź motorowa z kabiną — powiedział. — Ma prawie piętnaście metrów długości i pełne wyposażenie. Wszystko, czego nam trzeba. Nowiutkie żagle i sprzęt do nawigacji.

Prawie nie była używana. Możemy nią popłynąć, dokąd tylko zechcemy. Na Karaiby, na Pacyfik. To oznacza wolność, Abby! — Podniósł rękę, jakby salutował, i powtórzył: — Całkowitą wolność!

Pokręciła głową.

— Nie rozumiem.

— To rozwiązanie wszystkich naszych problemów! Spieję rzajmy z tego miasta i szpitala. Kupmy tę łódź i wypłynemy nią w morze.

— Dokąd?

— Dokądkolwiek.

— Nie chcę płynąć dokądkolwiek.

— Nic nas tu nie trzyma.

— Mnie tak. Nie mogę tak po prostu spakować się i wyjeść! Zostały mi jeszcze trzy lata stażu, Mark. Muszę go dokończyć, bo nigdy nie będę chirurgiem.

— Wystarczy, że ja nim jestem, Abby. Jestem tym, kim ty chcesz zostać. A przynajmniej ci się wydaje, że chcesz. Uwierz mi, nie warto.

— Włożyłam w to sporo wysiłku. Nie zamierzam teraz rezygnować.

— A co będzie ze mną?

Spojrzała na Marka i uświadomiła sobie, że oczywiście cały czas chodzi o niego. Łódź, wolność... Mężczyznę, który miał się wkrótce ożenić, nagle opanowało pragnienie ucieczki. Być może nawet on sam tego nie rozumiał.

— Chcę kupić tę łódź, Abby — powiedział, podchodząc do niej. Jego oczy lśniły jak w gorączce. — Złożyłem już ofertę.

Właśnie dlatego tak późno wróciłem do domu. Miałem spotkanie z pośrednikiem.

— Złożyłeś ofertę, nic mi nie mówiąc? Nawet nie zadzwoniłeś?

— Wiem, że to szaleństwo, ale...

— Przecież nas na to nie stać! Tkwię po uszy w długach!

Jeszcze przez lata będę spłacała kredyt na studia, a ty chcesz kupić luksusową łódź?

— Możemy założyć hipotekę. To jak kupno drugiego domu.

— Tylko że to nie jest dom.

— Ale też inwestycja.

— Nie inwestowałabym w ten sposób moich pieniędzy.

— Przecież nie wydaję twoich pieniędzy.

Cofnęła się o krok i spojrzała na niego.

— Masz rację — odparła cicho. — To wcale nie moje pieniądze.

— Abby — jęknął. — Chryste, Abby...

Znow zaczął padać deszcz i Abby poczuła, że twarz drętwieje jej z zimna. Wróciła do samochodu. Mark poszedł za nią.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Słyszał tylko bębnienie deszczu o dach.

W końcu powiedział:

— Wycofam tę ofertę.

— Nie chodzi mi o ten jacht.

— Więc o co?

— Sądziłam, że będzie nas łączyło coś więcej. Nie mam na myśli pieniędzy. Nie dbam o nie, ale boli mnie, że w ten sposób do nich podchodzisz. Więc tak to ma wyglądać?

Twoje albo moje? Czy mamy wezwać adwokatów i spisać intercyzę?

— Nic nie rozumiesz — odparł i w jego głosie zadźwięczała dziwna, nieoczekiwana nuta rozpacz. Uruchomił silnik.

Milczeli przez połowę drogi do domu. W końcu Abby powiedziała:

— Może powinniśmy przemyśleć jeszcze sprawę zaręczyn.

Może wcale nie chcesz się żenić, Mark.

— A ty tego chcesz?

Spojrzała przez szybę i westchnęła.

— Nie wiem — odparła. — Teraz już sama nie wiem.

I rzeczywiście nie wiedziała.

Tragiczna śmierć trzyosobowej rodziny Gdy doktor Alan Hennessy i jego rodzina byli pogrążeni we śnie, po schodach prowadzących z piwnicy skradał się niewidzialny morderca. Zabójczy tlenek węgla z działającego wadliwie pieca centralnego ogrzewania spowodował w Nowy Rok śmierć trzydziestoczteroletniego Hennessy'ego, jego trzydziestotrzyletniej żony Gail i ich sześciomiesięcznej córki Lindy. Ich zwłoki odnaleźli późnym popołudniem zaproszeni na obiad znajomi...

Abby przesunęła mikrofilm i na ekranie pojawiły się zdjęcia Hennessy'ego i jego żony. Mężczyzna miał pulchną, poważną twarz, kobietę uchwyciono, gdy się śmiała. Fotografii dziecka nie było. Może dziennikarze „Globe” uważali, że wszystkie sześciomiesięczne niemowlęta wyglądają tak samo, pomyślała.

Odszukała mikrofilm z datą poprzedzającą o trzy i pół roku śmierć rodziny Hennessych. Artykuł, o który jej chodziło, był na pierwszej stronie działu miejskiego.

W porcie wyłowiono zwłoki zaginionego lekarza Człowiek, którego ciało wyłowiono we wtorek w bostońskim porcie, został dziś zidentyfikowany jako doktor Lawrence Kunstler, kardiochirurg. Jego porzucony samochód znaleziono w ubiegłym tygodniu na pasie awaryjnym po południowej stronie mostu Tobin Bridge. Policja przypuszcza, że Kunstler popełnił samobójstwo. Nie zgłosili się jednak żadni świadkowie i śledztwo nadal trwa...

Abby obejrzała fotografię Kunstlera. Stał w oficjalnej pozie, w białym fartuchu i ze stetoskopem, wpatrując się prosto w obiektyw.

A teraz patrzył na nią.

Dlaczego pan to zrobił? Czemu skoczył pan do rzeki? — zastanawiała się. Jednak cały czas nękały ją wątpliwości. Może wcale tak nie było?

Ponieważ zwolniono ją z obowiązków na oddziale, mogła zniknąć na całe popołudnie i nikogo w Bayside to nie obchodziło. Kiedy wyszła z Biblioteki Publicznej w Bostonie i znalazła się na ruchliwym placu Copley Square, czuła jednocześnie pustkę i ulgę, że nie musi wracać do szpitala. Jeśli tylko chciała, całe popołudnie mogło należeć do niej.

Postanowiła pojechać do Elaine.

Od kilku dni próbowała dowiedzieć się jej nowego numeru telefonu, jednak ani Marilee Archer, ani żadna inna spośród żon lekarzy z zespołu transplantologów nie wiedziała nawet, że Elaine go zmieniła.

Wciąż mając przed oczami twarze Kunstlera i Hennessy'ego, jechała na zachód drogą numer dziewięć, w stronę Newton. Perspektywa rozmowy z Elaine specjalnie jej nie pociągała, ale ile razy w ciągu ostatnich dni przypominała sobie o Kunstlerze i Hennessym, natychmiast przychodził jej na myśl Aaron.

Pamiętała, że w dniu jego pogrzebu nikt nawet nie wspomniał o śmierci dwóch pozostałych lekarzy. W każdej innej grupie ludzi byłby to w tych okolicznościach nieunikniony temat rozmowy. Z pewnością ktoś rzuciłby chociaż uwagę w rodzaju:

„To już trzeci” albo: „Dlaczego szpital Bayside jest taki pecho wy?”, czy może nawet: „Nie sądzicie, że te wszystkie przypadki mają jakiś wspólny mianownik?”. Jednak wszyscy milczeli.

Nawet Elaine, która musiała znać Kunstlera i Hennessy'ego.

Nawet Mark.

Skoro to przede mną ukrywał, czego jeszcze mi nie powiedział? — zastanawiała się.

Zatrzymała się na podjeździe przed domem Elaine i przez chwilę siedziała w samochodzie, próbując otrząsnąć się z przygnębienia. Jednak to jej się nie udało. Wszystko mi się sypie, pomyślała. Mogę stracić pracę. A teraz tracę Marka. I co najgorsze, nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

Od tamtej nocy, gdy spytała go o Kunstlera i Hennessy'ego, coś się między nimi popsulo. Nadal mieszkali w tym samym domu i spali w jednym łóżku, ale ich relacje stały się całkowicie mechaniczne. Podobnie jak seks. Leżąc w ciemnościach z zamkniętymi oczami, Abby miała wrażenie, że kocha się z kimś obcym.

Spojrzała na dom Elaine. Może ona coś wie, pomyślała.

Wysiadła z samochodu i podeszła do frontowych drzwi. Spojrzała, że na ganku leżą dwie zwinięte w rulon gazety. Były sprzed tygodnia i zdążyły już pożółknąć. Czemu Elaine ich nie podniosła?

Zadzwoniła do drzwi. Kiedy nikt nie odpowiadał, zapukała, a potem ponownie zadzwoniła. Po chwili zrobiła to jeszcze raz. Słyszała dźwięk dzwonka, rozbrzmiewający echem wewnątrz domu, ale nie usłyszała żadnych kroków ani głosów. Znowu spojrzała na dwie leżące na ganku gazety i zrozumiała, że coś się musiało stać.

Frontowe drzwi były zamknięte na klucz. Zeszła z ganku i ruszyła do ogrodu na tyłach domu. Kamienna ścieżka prowadziła między grządki wypielegnowanych azalii i hortensji. Trawa była świeżo skoszona, żywopłoty przycięte, jednak wyłożone płytkami patio było niepokojąco puste. Przypomniała sobie meble ogrodowe, stół z parasolem i krzesła, które widziała tam w dniu pogrzebu. Wszystkie zniknęły.

Wejście do kuchni było zaryglowane, ale do mieszkania można było dostać się z patio przez przesuwane szklane drzwi, które nie miały zamka. Gdy Abby je pchnęła, otworzyły się. Zawołała: „Elaine?!“ i weszła do środka.

Pokój był pusty. Wyniesiono z niego wszystko: meble, dywany, nawet obrazy. Abby patrzyła zdumiona na nagie ściany i wypłowiła od słońca drewnianą podłogę, na której pozostał ciemny prostokąt po dywanie. Weszła do salonu, słysząc echo własnych kroków. W domu nie pozostało nic, z wyjątkiem kilku reklam, leżących koło drzwi pod szczeliną, przez którą wrzucano listy. Podniosła jedną z nich i zobaczyła, że nie ma na niej nazwiska adresata.

Poszła do kuchni. Nawet lodówka została opróżniona i wmyta środkiem dezynfekującym. Wiszący na ścianie telefon był wyłączony.

Wyszła na zewnątrz i stanęła na podjeździe, całkowicie zdezorientowana. Była w tym domu zaledwie dwa tygodnie temu. Siedziała na kanapie w salonie, jadła tartinki i oglądała rodzinny album państwa Levich. Teraz zastawiała się, czy jej się to wszystko nie przywidziało.

Nadal oszołomiona, wsiadła do samochodu i ruszyła tyłem z podjazdu. Prowadziła jak automat, prawie nie zwracając uwagi na drogę i cały czas myśląc o tajemniczym zniknięciu Elaine. Dokąd mogła pojechać? Taka nieoczekiwana przeprowadzka po śmierci Aarona wydawała się dość dziwnym posunięciem. Pomyślała, że Elaine musiała się czegoś przestraszyć.

Czując nagły niepokój, spojrzała we wsteczne lusterko. Robiła to często od tamtej soboty, gdy zauważyła brązową furgonetkę.

Jechało za nią ciemnozielone volvo. Czy nie było wcześniej zaparkowane przed domem Elaine? Nie miała pewności. Nie zwróciła uwagi.

Volvo zamrugalo światłami.

Abby przyspieszyła.

Volvo również.

Skreśliła w prawo, na główną ulicę. Miała przed sobą cały ciąg stacji benzynowych i sklepów. Świadkowie. Wielu świadków. Ale volvo nadal jechało tuż za nią, błyskając światłami.

Miała już tego dość. Nie chciała być ścigana i zastraszana. Do cholery, skoro ktoś ją prześladowa, stawia mu czoło.

Zjechała na parking centrum handlowego. Volvo skreśliło za nią. Wokół było pełno ludzi, klientów pchających wózki, kierowców parkujących samochody. To odpowiednie miejsce, pomyślała Abby i nadepnęła na hamulec.

Zielone auto zatrzymało się z piskiem opon kilka centymetrów od tylnego zderzaka jej samochodu.

Wygramoliwszy się ze swojego wozu, podbiegła do volvo i zaczęła wściekle stukać w szybę po stronie kierowcy.

— Otwieraj, do cholery! — krzyknęła. — Otwieraj!

Kierowca opuścił szybę i zdjął ciemne okulary. Był to Bernard Katzka.

— Doktor DiMatteo? — powiedział. — Przypuszczałem, że to pani.

— Dlaczego pan mnie śledził?

— Zobaczyłem, jak odjeżdża pani sprzed tamtego domu.

— Nie, wcześniej. Dlaczego przedtem pan za mną jechał?

— Kiedy?

— W sobotę. Tamtą furgonetką.

Detektyw pokręcił głową.

— Nie wiem nic o żadnej furgonetce.

Abby pomyślała, że może on rzeczywiście mówi prawdę.

— No dobrze. Ale niech pan przestanie mnie śledzić.

— Chciałem tylko, żeby pani się zatrzymała. Nie widziała pani, jak mrugałem światłami?

— Nie miałam pojęcia, że to pan.

— Zechce mi pani powiedzieć, co pani robiła w domu doktora Leviego?

— Chciałam zobaczyć się z Elaine. Nie wiedziałam, że się wyprowadziła.

— Mogłaby pani wjechać na parking? Chciałbym z panią porozmawiać. Ale może dalej odmawia pani odpowiedzi na pytania?

— To zależy, o co chce pan pytać.

— Chodzi o doktora Leviego.

— Tylko o nim będziemy rozmawiali? O Aaronie?

Katzka kiwnął głową.

Zastanowiła się nad tym i uznała, że ona także może zadawać pytania. A może nawet z małomównego detektywa Katzki zdoła wydobyć jakieś informacje.

Spojrzała w stronę centrum handlowego.

— Widzę tam kafejkę z pączkami. Może wejdziemy do niej i napijemy się kawy?

Policjanci i pączki. Takie skojarzenie musiał jeszcze bardziej utrwalać widok każdego otyłego gliniarza i każdego radiowozu zaparkowanego przed kafeterią Dunkin Donuts. Jednak Bernard Katzka najwyraźniej nie przepadał za pączkami, bo zamówił tylko filiżankę czarnej kawy, i popijał ją bez szczególnej przyjemności. Robił na Abby wrażenie człowieka, który nie lubił niczego, co było przyjemne, grzeszne lub choćby tylko niepotrzebne.

Od razu przeszedł do rzeczy.

— Po co przyjechała pani do tamtego domu?

— Chciałam zobaczyć się z Elaine, żeby z nią porozmawiać.

— O czym?

— O sprawach osobistych.

— Wydawało mi się, że nie znałyście się zbyt dobrze.

— Tak panu powiedziała?

Zignorował jej pytanie.

— Czy to prawda?

Westchnęła.

— Tak, chyba tak. Poznałyśmy się przez Aarona. Niewiele ze sobą rozmawiałyśmy.

— Więc po co pani do niej przyjechała?

Abby wciągnęła głęboko powietrze i w tym momencie uświadomiła sobie, że prawdopodobnie zdradza w ten sposób swoje zdenerwowanie.

— Ostatnio przydarzały mi się dziwne rzeczy. Chciałam pomówić o tym z Elaine.

— Co na przykład?

— W zeszłą sobotę ktoś za mnąjechał. Brązową furgonetką.

Zauważyłam ją na Tobin Bridge. Gdy wróciłam do domu, zobaczyłam ją znowu.

— Coś jeszcze?

— Czy to nie wystarczy? — Spojrzała mu w oczy. — Byłam przerażona.

Patrzył na nią w milczeniu, jakby próbując stwierdzić, czy rzeczywiście się wtedy bała.

— Co to ma wspólnego z panią Levi?

— Po rozmowie z panem zaczęłam się zastanawiać, czy Aaron naprawdę popełnił samobójstwo. Potem dowiedziałam się, że zmarło jeszcze dwóch innych lekarzy z Bayside.

Katzka zmarszczył brwi.

— Sześć i pół roku temu zginął doktor Lawrence Kunstler, specjalista od chirurgii klatki piersiowej — dodała Abby. — Skoczył do rzeki z Tobin Bridge.

Detektyw nadal milczał, ale niemal niedostrzegalnie pochylił się do przodu, ku Abby.

— Później, trzy lata temu, zmarł anestezjolog — mówiła dalej. — Doktor Hennessy. On, jego żona i dziecko zatruli się tlenkiem węgla. Uznano to za wypadek spowodowany awarią pieca centralnego ogrzewania.

— Tego typu wypadki zdarzają się każdej zimy.

— Ale teraz dochodzi jeszcze do tego śmierć Aarona. To już trzeci lekarz. Wszyscy należeli do zespołu transplantologów. Czy nie sądzi pan, że to dość dziwny zbieg okoliczności?

— Co pani sugeruje? Że ktoś ma tych ludzi na celowniku i po kolei ich eliminuje?

— Wskazuję tylko na pewną dość zastanawiającą zbieżność.

Jest pan policjantem, więc powinien pan to zbadać.

Katzka odchylił się na oparcie krzesła.

— Jak się pani w to wplątała?

— Mój narzeczony należy do tego zespołu. Myślę, że jest zdenerwowany, choć nie rozmawia ze mną o tym. Chyba wszyscy w Bayside są zaniepokojeni i zastanawiają się, kto będzie następnym. Ale nigdy o tym nie mówią. Tak jak ludzie nie mówią o katastrofach lotniczych, kiedy wchodzą do samolotu.

— Więc boi się pani o bezpieczeństwo narzeczonego?

— Tak — przyznała, ale nie była to cała prawda. Bardziej niż o cokolwiek innego chodziło jej o odzyskanie Marka. Nie rozumiała, co między nimi zaszło, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że ich związek się rozpada. A wszystko zaczęło się tamtej nocy, gdy napomknęła o Kunstlerze i Hennessym. Nie powiedziała o tym detektywowi, ponieważ nie potrafiłaby mu wytłumaczyć, na jakiej podstawie doszła do wniosku, że obie te sprawy — wspomnienie o śmierci obu lekarzy i popsucie się ich wzajemnych relacji — jakoś się ze sobą wiążą. Katzka był typem człowieka, który woli mieć do czynienia z faktami.

Najwyraźniej oczekiwał, że powie coś więcej, bo kiedy zamilkła, spytał:

— Czy chce pani coś jeszcze dodać? Na jakikolwiek temat?

Chodzi mu o Mary Allen, pomyślała z przerażeniem. Popatrzyła na niego i nagle poczuła nieodpartą chęć, by mu wszystko powiedzieć. Tu i teraz. Odwróciła jednak wzrok i odpowiedziała pytaniem:

— Dlaczego obserwował pan dom Elaine? Bo to właśnie pan robił, prawda?

— Rozmawiałem z jej najbliższym sąsiadem. Kiedy wy szedłem, zobaczyłem, że pani odjeżdża.

— Przesłuchiwał pan sąsiadów Elaine?

— To rutynowa procedura.

— Czyżby?

Spojrzała mu w oczy, ale nie potrafiła z nich nic odczytać.

— Dlaczego prowadzi pan śledztwo w sprawie samobójstwa?

— Cóż... jeśli wdowa niemal z dnia na dzień pakuje się i wyjeżdża, nie zostawiając żadnego adresu, wygląda to dość zastanawiająco, prawda?

— Nie twierdzi pan chyba, że Elaine ma coś na sumieniu?

— Nie. Myślę, że się boi.

— Czego?

— Może pani to wie, doktor DiMatteo?

Nie potrafiła odwrócić wzroku. Jego spokojne, przenikliwe spojrzenie niemal ją hipnotyzowało. Ku swemu zaskoczeniu

stwierdziła, że ten człowiek ma w sobie coś pociągającego, ale nie potrafiła określić, na czym to polega, ani zrozumieć, czemu jego wzrok tak na nią działa.

— Nie — odparła. — Nie mam pojęcia, przed czym Elaine mogłaby uciekać.

— A może zna pani odpowiedź na inne pytanie...

— Jakie?

— W jaki sposób Araon Levi zgromadził swój majątek?

Pokręciła głową.

— O ile mi wiadomo, nie był szczególnie bogaty. Kardiolog zarabia najwyżej dwieście tysięcy rocznie. Większą część tego przeznaczal na studia dla dzieci.

— Czy odziedziczył jakieś pieniądze?

— Ma pan na myśli spadek? — Wzruszyła ramionami. — Jego ojciec był podobno monterem.

Katzka zamyślił się. Nie patrzył teraz na nią, tylko na swoją filiżankę kawy. Tak nagle przerwał rozmowę, że poczuła się opuszczona.

— O jak duży majątek chodzi? — spytała.

— Trzy miliony dolarów.

Abby popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Po zniknięciu pani Levi postanowiłem przyjrzeć się bliżej ich rodzinnym finansom — powiedział. — Rozmawiałem z ich księgowym. Dowiedziałem się od niego, że wkrótce po śmierci doktora Leviego jego żona odkryła, iż miał konto bankowe na Kajmanach. Konto, o którym nic nie wiedziała. Spytała księgowego, jak dotrzeć do tych pieniędzy. A potem nagle wyjechała z miasta — dodał, rzucając Abby pytające spojrzenie.

— Nie mam pojęcia, skąd Aaron mógł wziąć taką sumę — odparła.

— Jego księgowy również nie potrafi tego wyjaśnić.

Przez chwilę oboje milczeli. Abby podniosła filiżankę do ust i stwierdziła, że kawa zrobiła się już zupełnie zimna.

— Wie pan, gdzie jest teraz Elaine? — spytała cicho.

— Mamy pewne podejrzenia.

— Powie mi pan?

Pokręcił głową.

— Ona chyba nie chce, żeby ją odnaleziono.

Trzy miliony dolarów. Jak Aaron Levi zgromadził taką sumę?

Przez całą drogę do domu zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie rozumiała, w jaki sposób kardiolog mógł zebrać tyle pieniędzy. Zwłaszcza mając dwoje dzieci na prywatnych uczelniach i żonę gustującą w kosztownych antykach. I dlaczego zachował to w tajemnicy? Ludzie trzymali pieniądze na Kajmanach, kiedy chcieli ukryć je przed urzędem skarbowym. Ale Elaine dowiedziała się o istnieniu konta dopiero po śmierci Aarona. Jaki musiała przeżyć szok, przeglądając papiery zmarłego męża i dowiadując się, że ukrywał przed nią taką fortunę!

Trzy miliony dolarów.

Kiedy dojechała na miejsce i zatrzymała się na podjeździe, rozejrzała się odruchowo, czy w okolicy nie widać brązowej furgonetki. Zaczynało to już być jej nawykiem.

Weszła przez frontowe drzwi i znalazła za progiem stertę popołudniowej poczty. Były to w większości czasopisma medyczne — każde w dwóch egzemplarzach, dla dwojga mieszkających razem lekarzy — oraz reklamy. Zebrała to wszystko i zaniósła do kuchni. Na stole zaczęła rozkładać korespondencję na dwie kupki, Marka i jej. Jego życie, jej życie. Nic godnego uwagi.

Była godzina szesnasta. Postanowiła, że tego wieczoru przygotuje dobrą kolację. Poda ją przy świecach i z winem. Czemu nie? Miała teraz dużo wolnego czasu. Skoro nie musiała wypełniać swoich dotychczasowych obowiązków w Bayside, mogła zająć się ratowaniem swojego związku z Markiem romantycznymi kolacjami. Może nie zrobi kariery, ale utrzyma przy sobie partnera.

Cholera, DiMatteo. Chyba zaczynasz się poddawać.

Wzięła swoją połowę przesyłek reklamowych, zaniósła je do kosza na śmieci i wcisnęła nogą pedał, by podnieść wieko. Wrzucając wszystko do środka, zauważyła na dnie kosza dużą brązową kopertę.

Jej wzrok przyciągnęło słowo „jachty” w adresie nadawcy. Wyciągnawszy kopertę, strzepnęła z niej fusy po kawie i skorupki jajek.

W górnym lewym rogu widniał napis:

East Wind Yachts Sprzedaż i serwis Marblehead Marina Był to list do Marka. Nie wysłano go jednak na adres ich domu przy Brewster Street, lecz do skrytki pocztowej.

Spojrzała ponownie na tekst: East Wind Yachts. Sprzedaż i serwis.

Przeszła z kuchni do salonu i podeszła do biurka Marka. Dolna szuflada, w której trzymał swoje dokumenty, była zamknięta, ale Abby wiedziała, gdzie jest klucz. Wiele razy słyszała, jak wrzuca go do kubka z ołówkami. Kiedy znalazła klucz, otworzyła szufladę.

Wewnątrz były wszystkie jego papiery. Ubezpieczenie i hipoteka domu, dokumenty samochodu. Znalazła przegródkę z napisem Jacht. Leżała w niej teczka z papierami Cichego Portu, jego łodzi J-35. Była tam także druga teczka, oznaczona symbolem H-48.

Wyciągnęła ją. Znajdowała się w niej umowa kupna-sprzedaży, zawarta z firmą East Wind Yachts. Symbol H-48 oznaczał typ łodzi. Model Hinckley, czterdzieści osiem stóp długości.

Abby osunęła się na fotel, czując skurcz żołądka. Ukrywałeś to przede mną, pomyślała. Powiedziałeś, że wycofasz ofertę. A potem i tak go kupiłeś. To twoje pieniądze, więc wszystko jasne.

Przeniosła wzrok na koniec strony, gdzie były wyszczególnione warunki transakcji.

Chwilę później wyszła z domu.

— Narządy za pieniądze... Czy to możliwe?

Doktor Iwan Tarasoff przerwał mieszanie kawy ze śmietanką i spojrzał na Vivian.

— Ma pani na to jakieś dowody?

— Jeszcze nie. Pytamy tylko, czy to możliwe. A jeśli tak, w jaki sposób mogłoby się to odbywać?

Doktor Tarasoff usiadł wygodnie na kanapie i, popijając kawę, zastanawiał się nad jej pytaniem. Była za kwadrans piąta, i jeśli nie liczyć pojedynczych lekarzy, którzy przechodzili koło nich do

znajdującej się obok szatni, w pokoju dla chirurgów szpitala Massachusetts General panował spokój. Tarasoff, który zaledwie przed dwudziestoma minutami wyszedł z sali operacyjnej, nadal miał na rękach warstwę talku z rękawiczek, a na szyi maskę chirurgiczną. Patrząc na niego, Abby znowu przypomniła sobie swojego dziadka. Łagodne niebieskie oczy, siwe włosy, spokojny głos. Prawdziwy autorytet posiada ten, kto nigdy nie musi podnosić głosu, pomyślała.

— Zdarzało się oczywiście, że krążyły takie plotki — powiedział po chwili Tarasoff. — Za każdym razem, gdy narząd otrzymuje jakaś znana osobistość, ludzie zastanawiają się, czy nie kryją się za tym pieniądze. Jednak nigdy niczego nie udowodniono. To były tylko podejrzenia.

— Jakie plotki pan słyszał?

— Że można kupić sobie wyższe miejsce na liście oczekujących. Ale sam nigdy nie widziałem, by coś takiego się zdarzyło.

— A ja widziałam — oświadczyła Abby.

Tarasoff spojrział na nią.

— Kiedy?

— Dwa tygodnie temu. Żona Victora Vossa była trzecia na liście oczekujących i dostała serce. Dwie osoby, które były przed nią, zmarły.

— Banki narządów na pewno by do tego nie dopuściły.

Muszą przestrzegać określonych procedur.

— Bank Narządów Nowej Anglii nic o tym nie wiedział.

Nie mają w swojej bazie danych żadnych informacji o dawcy.

Tarasoff pokręcił głową.

— Trudno mi w to uwierzyć. Jeśli serce nie przeszło przez banki narządów, to skąd je wzięto?

— Przypuszczamy, że Voss zapłacił, by nie zarejestrowano go w systemie. Po to, żeby mogło być przeznaczone dla jego żony — odparła Vivian.

— Na wiele godzin przed operacją pani Voss koordynatorka z Bayside odebrała telefon ze szpitala Wilcox Memoriał w Burlington, że mają dawcę — kontynuowała Abby. — Pobrano serce i przesłano je samolotem do Bostonu. Dotarło na salę operacyjną około pierwszej w

nocy. Dostarczył je niejaki doktor Mapes. Przywiózł również papiery dawcy, ale później gdzieś zniknęły. Nikt ich już więcej nie widział. Szukałam tego Mapesa w Rejestrze lekarzy specjalistów i stwierdziłam, że nie ma chirurga o takim nazwisku.

— Więc kto pobrał serce do przeszczepu?

— Przypuszczalnie doktor Tim Nicholls. Jego nazwisko figuruje w rejestrze, więc wiemy, że istnieje. Z jego CV wynika, że przez kilka lat praktykował w Massachusetts General. Pamięta go pan?

— Nicholls... — mruknął Tarasoff i pokręcił głową. — Kiedy to było?

— Dziewiętnaście lat temu.

— Musiałbym sprawdzić w kartotece.

— Naszym zdaniem sprawa wyglądała następująco — pod jęła Vivian — pani Voss potrzebowała serca, a jej mąż miał pieniądze, by za nie zapłacić. W jakiś sposób wieść o tym się rozeszła. Może pocztą pantoflową, może jakimiś podziemnymi kanałami, nie wiem. Tim Nicholls znalazł dawcę, więc przekazał serce bezpośrednio do Bayside, z pominięciem Banku Narządów. Prawdopodobnie wiele osób dostało za to pieniądze. Nie wyłączając personelu Bayside.

Tarasoff milczał przez chwilę.

— To całkiem możliwe — przyznał w końcu. — Macie rację, coś takiego mogło się zdarzyć.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju weszło dwóch lekarzy. Śmiejąc się, podeszli do dzbanka z kawą. Guzdrali się bez końca, ale w końcu wyszli.

Tarasoff sprawiał wrażenie oszołomionego.

— Sam posyłałem pacjentów do Bayside. To jeden z najlepszych ośrodków transplantacyjnych w kraju. Ale po co mieliby działać wbrew przepisom i narażać się na kłopoty?

— Odpowiedź jest oczywista — odparła Vivian. — Dla pieniędzy.

Znow zamilkli, gdy do pokoju wszedł kolejny lekarz w przesiąkniętej potem bluzie. Jęknąwszy ze zmęczenia, opadł na jeden z głębokich foteli i zamknął oczy.

Abby powiedziała cicho:

— Chciałybyśmy, żeby pan sprawdził akta Tima Nichollsa.

Proszę dowiedzieć się o nim wszystkiego co się da. Niech pan sprawdzi, czy rzeczywiście odbywał tu staż, czy też jego CV zostało sfabrykowane.

— Sam do niego zadzwonię i zapytam go o to wprost.

— Proszą tego nie robić. Nie wiemy jeszcze, jaki zasięg ma ta sprawa.

— Doktor DiMatteo, uważam, że należy działać otwarcie.

Jeśli istnieje jakiś nielegalny handel narządami, chcę o tym wiedzieć.

— My także. Ale musimy być bardzo ostrożni, doktorze Tarasoff. — Abby zerknęła niespokojnie na drzemiącego w fotelu lekarza i zniżyła głos. — W ciągu ostatnich sześciu lat zmarło trzech lekarzy z Bayside. Dwaj popełnili samobójstwo, jeden miał wypadek. Wszyscy należeli do naszego zespołu transplantologów.

Widząc wyraz twarzy Tarasoffa, doszła do wniosku, że jej ostrzeżenie przyniosło zamierzony skutek.

— Próbuje mnie pani przestraszyć, prawda? — zapytał.

Kiwnęła głową.

— Powinien się pan bać. Tak jak my wszyscy.

Abby i Vivian wyszły ze szpitala i ruszyły na parking. Każda przyjechała tu swoim samochodem i teraz miały się rozdzielić. Dni stawały się coraz krótsze. Była dopiero piąta, a już zmierzchało. Drżąc z zimna, Abby otuliła się szczelniej peleryną i rozejrzała po parkingu. Nie było na nim żadnej brązowej furgonetki.

— Za mało jeszcze wiemy — stwierdziła Vivian. — Nie możemy doprowadzić do wszczęcia śledztwa. Gdybyśmy próbowały to zrobić, Victor Voss mógłby zatrzeć ślady.

— Myślę, że to się nie zaczęło od Niny Voss. Prawdopodobnie nie w Bayside już wcześniej robiono takie rzeczy. Kiedy Aaron zmarł, miał na koncie trzy miliony dolarów. Musiał od jakiegoś czasu dostawać pieniądze.

— Myśli pani, że chciał się wycofać?

— Wiem, że próbował odejść ze szpitala i wyjechać z Bostonu. Może nie chcieli mu na to pozwolić.

— Tak samo mogło być z Kunstlerem i Hennessym.

Abby westchnęła i znów rozejrzała się po parkingu, szukając wzrokiem brązowej furgonetki.

— Obawiam się, że ma pani rację.

— Potrzebujemy nazwisk innych pacjentów. Albo więcej informacji na temat dawców narządów.

— Wszystkie dokumenty są trzymane pod kluczem w biurze koordynatorki. Musiałabym się tam włamać i wykraść je. Jeśli w ogóle bym cokolwiek znalazła. Mogły zniknąć w taki sam sposób jak akta dawcy w przypadku Niny Voss.

— Wobec tego zajmijmy się biorcami.

— Mamy sprawdzać w rejestrach?

Vivian przytaknęła.

— Znajdźmy nazwiska pacjentów, którzy otrzymali prze szczepy. I sprawdźmy, jakie pozycje zajmowali wtedy na liście oczekujących.

— Będzie nam potrzebna pomoc Banku Narządów Nowej Anglii.

— Owszem, ale najpierw musimy mieć nazwiska i daty.

Abby kiwnęła głową.

— Zajmę się tym.

— Pomogłabym pani, ale mnie już nie wpuszczą do Bayside.

Jestem ich największym koszmarem.

— Ja także.

Vivian uśmiechnęła się szeroko, jakby to był powód do dumy. W swoim zbyt obszernym płaszczu przeciwdeszczowym wyglądała jak mała dziewczynka, ale jej spojrzenie było szczere i bezkompromisowe.

— A teraz niech mi pani opowie o Marku — powiedziała. — Chciałabym wiedzieć, czemu musimy się przed nim kryć.

Abby wypuściła powietrze z płuc.

— Myślę, że on bierze w tym udział — odparła udręczonym głosem.

— Mark?

Abby kiwnęła głową i spojrzała w dżdżyste niebo.

— Chce opuścić Bayside. Mówi, że chciałby stąd uciec. Tak samo jak Aaron przed śmiercią.

— Myśli pani, że brał łapówki?

— Kilka dni temu kupił łódź. Nie była jakąś. To luksusowy jacht motorowy.

— Zawsze miał bzika na punkcie łodzi.

— Ta kosztowała pół miliona dolarów.

Vivian nic na to nie odpowiedziała.

— W dodatku zapłacił za nią gotówką... — wyszeptała Abby.

Rozdział siedemnasty

Szpitalne archiwum mieściło się w piwnicy, w głębi korytarza, za patologią i kostnicą. Było to miejsce dobrze znane wszystkim lekarzom z Bayside. Tam wypełniali karty pacjentów, dyktowali szpitalne wypisy i zostawiali zlecenia na badania laboratoryjne. Wyposażone było w wygodne krzesła i stoły, a z powodu nieregularnych godzin pracy lekarzy zamykano je dopiero o dwudziestej pierwszej.

Abby weszła tam o osiemnastej. Tak jak się spodziewała, o tej porze niemal wszyscy byli na kolacji. Zobaczyła tylko jednego lekarza, który siedział przy biurku nad stertą kart.

Podeszła do recepcjonistki i uśmiechnęła się.

— Zbieram dane statystyczne dla doktora Wettiga — oświadczyła.
— Przeprowadza badania dotyczące śmiertelności wśród pacjentów po przeszczepach serca. Może mi pani ściągnąć z komputera listę nazwisk i numerów ewidencyjnych wszystkich osób, którym przeszczepiono u nas serce w ciągu ostatnich dwóch lat?

— Potrzebujemy na to oficjalnego zlecenia.

— Wszyscy już wyszli. Mogłabym je pani dostarczyć póź niej? Chciałabym przygotować tę listę na jutro rano. Wie pani, jaki jest generał.

Recepcjonistka zaśmiała się. Tak, wiedziała bardzo dobrze, jaki on jest. Usiadła przy biurku z komputerem i weszła w wyszukiwarkę. W

okienku „diagnoza” wpisała „przeszczepy serca” i lata, o które Abby chodziło, po czym wcisnęła „enter”.

Na ekranie zaczęły pojawiać się kolejno nazwiska i numery ewidencyjne pacjentów. Abby przyglądała się temu jak zahipnotyzowana. Recepcjonistka wcisnęła klawisz „drukuj” i po kilku sekundach wręczyła Abby listę.

Było na niej dwadzieścia dziewięć nazwisk. Na ostatnim miejscu figurowała Nina Voss.

— Mogę prosić o karty pierwszych dziesięciu osób? — spytała Abby. — Posiedzę nad tym jeszcze dzisiaj.

Recepcjonistka wyszła do pomieszczenia z kartotekami. Po chwili pojawiła się ponownie, niosąc dwie grube teczki.

— To dopiero dwie osoby. Zaraz przyniosę pani resztę.

Abby zaniósła papiery na biurko. Każda transplantacja serca wymagała obszernej dokumentacji i te dwa przypadki nie były wyjątkiem. Otworzyła pierwszą teczkę i spojrzała na kartę pacjenta.

Nazywał się Gerald Luray i miał pięćdziesiąt cztery lata. Płacił za operację z prywatnego ubezpieczenia. Mieszkał w Worcester, w stanie Massachusetts. Abby nie wiedziała, jakie informacje mogą być ważne, więc notowała wszystko, co znalazła w karcie. Zapisała także datę i godzinę operacji oraz nazwiska przeprowadzających ją lekarzy. Rozpoznała je wszystkie: Aaron Levi, Bili Archer, Frank Zwick, Rajiv Mohandas. A także Mark. Jak się spodziewała, w karcie nie było danych dawcy. Zawsze trzymano je osobno. Jednak wśród zapisków pielęgniarek znalazła adnotację: 08:30. Potwierdzono pobranie narządu. Serce dawcy jest w drodze z Norwalk, w stanie Connecticut. Pacjenta przewieziono do sali operacyjnej...

Abby zanotowała: 08:30, pobranie serca w Norwalk, Connecticut.

Recepcjonistka podjechała wózkiem do biurka, położyła na nim pięć teczek i poszła po następne.

Abby pracowała bez wytchnienia. Nic nie jadła, nie pozwoliła sobie nawet na chwilę przerwy. Zadzwoiła tylko do Marka, by mu powiedzieć, że wróci późno do domu.

Gdy zamykano archiwum, umierała z głodu.

W drodze powrotnej zatrzymała się przy McDonalddie i zamówiła Big Maca, ogromną porcję frytek oraz shake'a waniliowego. Trochę cholesterolu, by pobudzić umysł. Zaczęła jeść, siedząc w kącie i obserwując salę. O tej porze klientami lokalu byli głównie ludzie wracający z kina, nastolatki na randkach i samotni mężczyźni. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Kiedy skończyła, wyszła.

Zanim uruchomiła silnik, rozejrzała się szybko po parkingu. Furgonetki nie było.

Wróciwszy do domu kwadrans po dziesiątej, stwierdziła, że Mark już śpi i światła są zgaszone. Ulżyło jej, że nie będzie musiała odpowiadać na żadne pytania. Rozebrała się po ciemku i weszła do łóżka, ale nie dotykała Marka. Niemal bała się go dotknąć.

Kiedy poruszył się nagle i objął ją, zeszywniała.

— Tęskniłem za tobą — wymamrotał. Odwrócił jej twarz do swojej i pocałował ją namiętnie. Przesunął dłoń do jej talii, musnął biodro i zaczął pieścić udo. Abby czuła się jak manekin, niezdolna do żadnej reakcji. Leżała z zamkniętymi oczami, gdy wziął ją w ramiona i wślizgnął się w nią. W uszach pulsowała jej krew.

Z kim ja się kocham? — zastanawiała się, kiedy ich biodra zaczęły się ze sobą zderzać.

Kiedy było już po wszystkim, wysunął się z niej i szepnął:

— Kocham cię.

Dużo później, gdy już zasnął, Abby odpowiedziała szeptem:

— Ja też cię kocham...

O siódmej czterdzieści rano była z powrotem w archiwum. Przy kilku biurkach siedzieli teraz lekarze porządkujący dokumenty przed porannymi obchodami. Abby poprosiła o dziesięć kolejnych kart. Szybko zrobiła notatki, oddała karty recepcjonistce i wyszła.

Spędziła rano w bibliotece, szukając dalszych artykułów dla doktora Wettiga. Dopiero późnym popołudniem wróciła do archiwum i zabrała się do czytania następnych kart.

Vivian skończyła ostatni kawałek pizzy. Abby nie mogła się nadziwić, gdzie ona to wszystko mieści. Filigranowe ciało Chinki pochłaniało kalorie jak piec do spalania tłuszczu. Odkąd usiadły w restauracji Gianellego, Abby przełknęła tylko kilka kęsów swojej pizzy, a i to wymagało od niej sporego wysiłku.

Vivian wytarła rękę w serwetkę.

- A więc Mark nadal o niczym nie wie?
- Nie powiedziałam mu. Chyba po prostu się boję.
- Jak możecie razem mieszkać i nie rozmawiać ze sobą?
- Rozmawiamy. Tyle że nie na ten temat — odparła Abby.

Dotknęła pliku leżących na stole notatek, z którymi nie rozstawała się przez cały dzień. Musiała bardzo uważać, by Mark ich nie znalazł. Kiedy ubiegłej nocy wróciła do domu z McDonalda, schowała je pod kanapą. Ostatnio ciągle coś przed nim ukrywała i nie wiedziała, jak długo jeszcze to wytrzyma.

- Powinna pani z nim o tym pomówić.
- Jeszcze nie. Dopiero wtedy, gdy dowiem się prawdy.
- Chyba nie boi się go pani?
- Podejrzewam, że wszystkiemu zaprzeczy, a ja nie będę mogła w żaden sposób sprawdzić, czy nie kłamie. — Abby przeczesła palcami włosy. — Boże, mam wrażenie, że cały świat stanął na głowie. Myślałam, że mam pod nogami solidny grunt. Jeśli czegoś pragnęłam, po prostu pracowałam na to ze wszystkich sił. A teraz nie wiem, co robić, jak postąpić. Zawodzi mnie wszystko, na co liczyłam.

— Ma pani na myśli Marka?

Abby potarła dłonią policzek.

- Zwłaszcza jego.
- Wygląda pani okropnie.
- Ostatnio źle sypiam. Myślę o tylu sprawach. Nie tylko o Marku. Również o tej historii z Mary Allen. Pewnie niedługo na progu mojego domu zjawi się detektyw Katzka z kajdankami.

- Podejrzewa panią?
- Jest zbyt bystry, by nic go w tym wszystkim nie zastanowiło.

— Nie pojawił się więcej. Może da pani spokój. Może go pani przecenia.

Abby przypomniała sobie spokojne szare oczy Bernarda Katzki i powiedziała:

— Trudno go rozszyfrować, ale moim zdaniem jest nie tylko bystry, lecz także uparty. Boję się go. I co najdziwniejsze, jednocześnie mnie fascynuje.

Vivian zaśmiała się cicho.

— Interesujące... zwierzyzna zafascynowana myśliwym.

— Czasem mam ochotę zadzwonić do niego i wszystko mu powiedzieć. Wyrzucić to z siebie. — Abby ukryła twarz w dłoniach. — Czuję się taka zmęczona, że chciałabym dokądś uciec i spać przez cały tydzień.

— Może powinna się pani wyprowadzić od Marka. Mam dodatkową sypialnię. A moja babcia właśnie wyjeżdża.

— Sądziłam, że mieszka u pani na stałe.

— Odwiedza po kolei wszystkich wnuków. Teraz na jej przyjęcie szykuje się moja kuzynka z Concord.

Abby pokręciła głową.

— Nie wiem, co począć. Problem polega na tym, że nadal Kocham Marka. Już mu nie ufam, ale go Kocham. I wiem, że to, co robimy, może go zrujnować.

— Może również ocalić mu życie.

Abby z rozpaczą spojrzała na Vivian.

— Ocalę mu życie, ale zniszczę karierę. Nie będzie mi za to wdzięczny.

— Aaron byłby. Kunstler również. Żona Hennessy'ego i jego córeczka prawdopodobnie też.

Abby nic na to nie odpowiedziała.

— Jest pani pewna, że Mark wplątał się w tę sprawę?

— Nie jestem. Właśnie dlatego tak mi ciężko. Bardzo chcę mu wierzyć. A nie mam żadnej możliwości dowiedzieć się, jak jest naprawdę. — Wskazała na swoje notatki. — Przejrzałam akta

dwudziestu pięciu osób. Część z nich miała przeszczep dwa lata temu. Nazwisko Marka figuruje przy wszystkich operacjach.

— Podobnie jak Archera i Aarona. To jeszcze o niczym nie świadczy. Czego poza tym się pani dowiedziała?

— Wszystkie karty są do siebie podobne. Prawie niczym się nie różnią.

— No dobrze, a co wiadomo o dawcach?

— Tu sprawa wygląda bardziej interesująco. — Abby rozejrzała się po restauracji i pochyliła w stronę Vivian. — Nie we wszystkich kartach jest informacja, z jakiego miasta przysłano narząd do transplantacji. Jednak w niektórych zostało to odnotowane i w czterech przypadkach serce pochodziło z Burlington w stanie Vermont.

— Z Wilcox Memorial?

— Nie wiem. W zapiskach pielęgniarek nie było nazwy szpitala. Ale wydaje mi się zastanawiające, że w takim niewielkim mieście jak Burlington znalazło się tylu dawców.

Vivian pokiwała głową.

— Coś tu naprawdę jest nie w porządku — mówiła dalej Abby. — Snuliśmy hipotezy na temat nielegalnego przekazywania narządów. Dawców, których po prostu nie ujęto w rejestrze. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego tak wielu z nich pochodziło z jednego miasta. Chyba że...

— Chyba że dawcy są uśmierceni.

Obie zamilkły.

Burlington to miasto uniwersyteckie, pomyślała Abby. Pełne młodych, zdrowych ludzi. Z młodymi, zdrowymi sercami.

— Może mi pani powiedzieć, kiedy pobrano narządy od tych czterech dawców z Burlington? — spytała Vivian.

— Mam tutaj daty. Po co są pani potrzebne?

— Przejrzę nekrologi z Burlington. Sprawdzę, kto wtedy zmarł. Może w ten sposób zidentyfikujemy tych dawców.

I dowiemy się, dlaczego znaleźli się w stanie śmierci mózgowej.

— Nie wszystkie nekrologi podają przyczynę śmierci.

— Więc może będziemy musiały zdobyć świadectwa zgo nów. A to oznacza, że jedna z nas będzie musiała wybrać się do Burlington... — powiedziała powoli Vivian. Nadal odgrywała nieustraszoną wojowniczkę i próbowała bagatelizować zagrożenie, ale tym razem nie udało jej się ukryć niepokoju.

— Na pewno chce się pani w to angażować? — spytała Abby.

— Jeśli się poddamy, Victor Voss wygra. A tacy ludzie jak Josh O'Day przegrają. — Przerwała, po czym spytała cicho: — Czy pani się nie wycofa?

Abby znowu ukryła twarz w dłoniach.

— Chyba nie mam już wyboru.

Samochód Marka stał na podjeździe.

Abby zaparkowała za nim i wyłączyła silnik. Przez dłuższą chwilę siedziała w aucie, zbierając siły przed rozmową z Markiem.

W końcu wysiadła i weszła do domu.

Mark był w salonie. Oglądał nocne wiadomości. Gdy tylko ją zobaczył, wyłączył telewizor.

— Co u Vivian? — spytał.

— W porządku. Myślę, że stanęła już na nogach. Otwiera praktykę w Wakefield — odparła Abby i powiesiła płaszcz w szafie. — A jak tobie minął dzień?

— Mieliśmy rozciętą aortę. Pacjent stracił szesnaście jedno stek krwi. Skończyłem dopiero o siódmej.

— Przeżył?

— Nie. Straciliśmy go.

— Fatalnie. Przykro mi. — Abby zamknęła drzwi szafy. — Jestem trochę zmęczona. Chyba pójdę na górę i wykąpię się.

— Kochanie...

Zatrzymała się i spojrzała na niego. Dzielili ich jedynie przestrzeń salonu, ale prawdziwa przepaść między nimi wydawała się o wiele większa.

— Co się z tobą dzieje? — spytał Mark. — Co się stało?

— Dobrze wiesz. Boję się o pracę.

— Mówię o nas. Coś jest nie tak z nami.

Abby milczała.

— Prawie cię nie widuję. Spędzasz więcej czasu z Vivian niż tutaj. A kiedy już jesteś w domu, zachowujesz się, jakbyś była gdzie indziej.

— Martwię się, to wszystko — odparła.

Odchylił się do tyłu na oparcie kanapy.

— Muszę wiedzieć, Abby... Spotykasz się z kimś innym?

Popatrzyła na niego zdumiona. Spośród wszystkich pytań, jakie mógł jej zadać, tego najmniej się spodziewała. Miała ochotę się roześmiać. Gdyby to było takie proste. Gdybyśmy mieli tylko takie problemy jak wszystkie pary, pomyślała.

— Możesz mi wierzyć, nie mam nikogo innego — odparła.

— Więc dlaczego przestałaś ze mną rozmawiać?

— Przecież właśnie rozmawiamy.

— To nie jest rozmowa! Chcę odzyskać moją dawną Abby, którą gdzieś po drodze straciłem. — Pokręcił głową. — Wróć do mnie, kochanie...

Podeszła do kanapy i usiadła obok niego, nie dotykała go jednak.

— Porozmawiaj ze mną, Abby. Proszę. — Spojrzał na nią i nagle znów zobaczyła dawnego Marka. Tego samego, który uśmiechał się do niej zza stołu operacyjnego. Tego, którego kochała. — Proszę — powtórzył cicho.

Gdy wziął ją za rękę, nie cofnęła jej. Pozwoliła, by ją objął. Ale nawet w jego ramionach, w których kiedyś czuła się tak bezpiecznie, nie potrafiła się odprężyć. Leżała spięta i niespokojna, opierając głowę na jego piersi.

— Powiedz mi, co się z nami dzieje? — zapytał po chwili.

Zacisnęła powieki, czując łzy napływające do oczu. — Nic — odparła.

Ręce, którymi ją obejmował, nagle znieruchomiały. Wyczuł, że kłamie. Wiedziała to, nawet na niego nie patrząc.

O wpół do ósmej następnego ranka wjechała na parking szpitala Bayside.

Przez chwilę siedziała w samochodzie, wpatrując się w moką nawierzchnię i padający deszcz. Dopiero połowa października, pomyślała, a już czuć w powietrzu zimę. Miała za sobą źle przespaną noc. Nie pamiętała, kiedy ostatnio dobrze spała. Jak długo można wytrzymać bez snu? Kiedy zmęczenie zamienia się w psychozę? Spoglądając we wsteczne lusterko, z trudem rozpoznawała własną twarz. Miała wrażenie, że w ciągu dwóch tygodni postarzała się o dziesięć lat. W tym tempie w listopadzie będzie miała menopauzę.

Nagle w lusterku mignęła brązowa karoseria.

Natychmiast odwróciła głowę i zdążyła dostrzec brązową furgonetkę, znikającą za rzędem zaparkowanych aut. Spodziewała się, że za chwilę znów ją zobaczy, ale już się nie pojawiła.

Wysiadła szybko z samochodu i zaczęła iść w kierunku szpitala. Teczka ciążyła jej jak kotwica. Po prawej rozległ się warkot silnika. Obejrzała się, sądząc, że zobaczy furgonetkę, ale okazało się, że to tylko jakiś ruszający z parkingu pojazd.

Serce waliło jej jak młotem. Uspokoiliła się dopiero po wejściu do budynku. Zeszła schodami do piwnicy i udała się do archiwum. Miała to być jej ostatnia wizyta tutaj. Na liście zostały tylko cztery nazwiska.

Położyła na ladzie kartkę z zamówieniem i powiedziała:

— Czy mogę prosić o te karty?

Recepcjonistka odwróciła się do niej i wydawało się, że na chwilę znieruchomiała. Wcześniej zachowywała się przyjaźnie, jednak dziś nawet się nie uśmiechnęła.

— Potrzebne mi te cztery karty — powtórzyła Abby.

Recepcjonistka spojrzała na zamówienie.

— Przykro mi, doktor DiMatteo, ale nie mogę ich pani wydać.

— Dlaczego?

— Nie ma ich u nas.

— Przecież pani nawet tego nie sprawdziła.

— Nie wolno mi wydawać pani żadnych akt. To polecenie doktora Wettiga. Powiedział, że jeśli się pani zjawi, mam natychmiast odesłać panią do jego biura.

Abby poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

— Powiedział, że nie zezwolił pani na przeglądanie kart — dodała recepcjonistka. W jej głosie brzmiał wyraźny wyrzut.

„Okłamała mnie pani, doktor DiMatteo”.

Abby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miała wrażenie, że w całym archiwum zaległa cisza. Odwróciwszy się, zobaczyła trzech lekarzy, którzy jej się przyglądali.

Wyszła na korytarz.

W pierwszym odruchu chciała uciec ze szpitala, wsiąść do samochodu i jechać przed siebie, aż znajdzie się tysiąc mil od tego miejsca. Zastanawiała się, ile czasu potrzebowałyby, by dotrzeć na Florydę, zobaczyć plażę i palmy. Nigdy tam nie była. Ominęło ją w życiu tyle rzeczy. Mogłaby to teraz nadrobić, gdyby po prostu wyszła z tego cholernego szpitala, wsiadła do auta i powiedziała: „Pieprzę to. Wygraliście. Poddaję się”.

Nie zrobiła tego jednak. Wsiadła do windy i wcisnęła guzik drugiego piętra.

Podczas krótkiej jazdy na piętro administracji uświadomiła sobie kilka rzeczy. Po pierwsze, że jest zbyt uparta albo zbyt głupia, aby uciekać. Po drugie, że plaża właściwie jej nie pociąga. Chciała odzyskać utracone marzenia.

Wysiadłszy z windy, ruszyła pokrytym wykładziną korytarzem do biura Wettiga. Znajdowało się za rogiem, obok gabinetu Jeremiaha Parra. Kiedy mijala sekretarkę Parra, kobieta wyprostowała się gwałtownie i sięgnęła po telefon.

Abby skręciła za róg i weszła do gabinetu Wettiga. Obok biurka sekretarki stało dwóch mężczyzn, których nigdy przedtem nie widziała. Dziewczyna spojrzała na nią z takim samym wyrazem zdumienia na twarzy jak sekretarka Parra i bąknęła:

— O, doktor DiMatteo...

— Muszę zobaczyć się z doktorem Wettigiem — oświadczyła Abby.

Mężczyźni popatrzyli na nią i po chwili oślepił ją błysk światła. Wzdrygnęła się, mrużąc oczy. Był to flesz aparatu fotograficznego.

— Co panowie robią?! — zaprotestowała.

— Pani doktor, może zechce pani skomentować sprawę śmierci Mary Allen? — powiedział jeden z nich.

— Słucham...?

— Była pani pacjentką, prawda?

— Kim pan jest, do cholery?

— Gary Starke, z „Boston Herald”. Czy to prawda, że jest pani zwolenniczką eutanazji? Wiemy, że wypowiedziała się pani na ten temat i twierdziła, że to w pewnych wypadkach najlepsze wyjście.

— Niczego podobnego nie mówiłam.

— Czemu zwolniono panią z obowiązków na oddziale?

Abby cofnęła się.

— Proszę zostawić mnie w spokoju. Nie chcę z panami rozmawiać.

— Doktor DiMatteo...

Abby odwróciła się, zamierzając wybiec z biura, i omal nie wpadła na Jeremiaha Parra, który właśnie wchodził do sekretariatu.

— Macie panowie natychmiast opuścić mój szpital — warknął, po czym zwrócił się do Abby: — Pani doktor, proszę ze mną.

Wyszła z Parrem z biura i szybko przeszli korytarzem do jego gabinetu. Zamknąwszy drzwi, spojrzął na nią.

— Pół godziny temu zadzwonili z „Boston Herald” — powiedział. — Potem z „Globe” i kilku innych gazet. Od tamtej pory nie ma ani chwili spokoju.

— Rozmawiali z Brendą Hainey?

— Nie sądzę. Słyszeli o morfinie i fiolce w pani szafce, ale siostrzenica Mary Allen nie wiedziała o tym.

Abby pokręciła głową.

— Więc skąd mieli te informacje?

— Był jakiś przeciek. — Parr opadł na fotel za biurkiem. — To nas pograży. Oficjalne śledztwo... pełno policji na koryta rzach.

Policja. Oczywiście. Do nich to też musiało już dotrzeć.

W milczeniu wpatrywała się w Parra. Miała zbyt ściśnięte gardło, by cokolwiek powiedzieć. Zastanawiała się, czy to nie on był źródłem przecieku, ale uznała, że raczej nie. Taki skandal jemu też by zaszkodził.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł doktor Wettig.

— Co mam zrobić z tymi dziennikarzami? — spytał.

— Musi pan przygotować oświadczenie, generale. Susan Casado jest już w drodze. Pomoże je panu napisać. Do tego czasu nikomu nic nie mówimy.

Wettig kiwnął głową, po czym popatrzył na Abby.

— Mogę zajrzeć do pani teczki, doktor DiMatteo?

— Po co?

— Doskonale pani wie. Nie miała pani zezwolenia na przeglądanie akt pacjentów. To prywatne i poufne dokumenty.

Proszę oddać mi wszystkie sporządzone notatki.

Abby nic na to nie odpowiedziała.

— Chyba nie chce pani zostać dodatkowo oskarżona o kra dzież...

— Kradzież?

— Wszelkie informacje, które uzyskała pani, przeglądając nielegalnie karty, zostały przez panią skradzione. Proszę oddać mi swoją teczkę. Natychmiast.

Wręczyła mu ją i przyglądała się w milczeniu, jak przerzuca papiery i zabiera jej notatki. Znów została pokonana. Nie była przygotowana na wcześniejszy atak. Powinna była to przewidzieć i ukryć notatki, zanim tu przyszła. Ale za bardzo koncentrowała się na tym, co ma powiedzieć Wettigowi. Po chwili zamknął teczkę i oddał ją Abby.

— Czy to wszystko? — spytał.

Przytaknęła.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

— Byłaby pani dobrym chirurgiem, DiMatteo. Ale chyba pora uznać, że potrzebuje pani pomocy. Powinna pani zgłosić się do psychiatry. Z dniem dzisiejszym skreślam panią z listy stażystów. — Ku

swojemu zaskoczeniu Abby usłyszała w jego głosie nutę szczerego żalu, gdy po chwili dodał cicho: — Bardzo mi przykro.

Rozdział osiemnasty

Detektyw Lundquist był przystojnym blondynem o nordyckim typie urody. Przesłuchiwał Abby od dwóch godzin. Zadawał jej pytania, przechadzając się po ciasnym pokoju. Jeśli robił to, by poczuła się zagrożona, osiągnął swój cel. W małym miasteczku w stanie Maine, gdzie Abby dorastała, policjanci byli facetami, którzy machali do wszystkich z radiowozów, chodzili uśmiechnięci po ulicach i wręczali absolwentom liceów odznaki za wzorową postawę. Nie byli ludźmi, których należało się bać.

Ale tego młodego policjanta Abby bała się już od chwili, gdy wszedł do pokoju przesłuchań i postawił na stole magnetofon. A potem przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy wyjął z kieszeni marynarki kartkę i odczytał z niej, jakie przysługują jej prawa. Zgłosiła się na komisariat dobrowolnie. Chciała rozmawiać z detektywem Katzką. Tymczasem zjawił się Lundquist, który przesłuchiwał ją tak agresywnie, jakby popełniła jakieś ciężkie przestępstwo.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Bernard Katzka. Abby powinna poczuć ulgę, zobaczywszy wreszcie kogoś, kogo znała, ale obojętny wyraz twarzy detektywa wcale nie dodał jej otuchy. Stał po drugiej stronie stołu, przyglądając jej się ze znużeniem.

— O ile wiem, nie dzwoniła pani do adwokata — powiedział. — Chce pani to teraz zrobić?

— Czy jestem aresztowana? — spytała.

— Na razie nie.

— Więc mogę w każdej chwili stąd wyjść?

Detektyw zawahał się i popatrzył na swojego młodszego partnera. Lundquist wzruszył ramionami.

— To tylko wstępne przesłuchanie — mruknął.

Abby znowu spojrzała na Katzkę.

— Czy pańskim zdaniem potrzebuję adwokata?

Detektyw znów się zawahał.

— To wyłącznie pani decyzja, doktor DiMatteo — odparł w końcu.

— Proszę posłuchać... Przyszłam tutaj z własnej woli. Zrobiłam to, ponieważ chciałam z panem porozmawiać. Chciałam opowiedzieć panu, co się wydarzyło. Odpowiedziałam dość rowolnie na wszystkie pytania tego człowieka. Jeśli mnie aresztujecie, wtedy wezwę adwokata. Ale nie dlatego, że popełniłam jakieś przestępstwo. Chcę, żeby to było jasne. — Popatrzyła na Katzkę prosto w oczy. — Myślę więc, że adwokat nie jest mi potrzebny.

Lundquist i Katzka znów wymienili spojrzenia, których znaczenia nie rozumiała. Potem młody policjant odsunął się od stołu i oznajmił:

— Należy do ciebie, Ślimak.

Katzka usiadł naprzeciwko Abby.

— Przypuszczam, że będzie mi pan zadawał te same pytania — stwierdziła.

— Nie byłem na początku przesłuchania, ale myślę, że słyszałem większość tego, co pani mówiła — odparł, wskazując głową lustro na przeciwległej ścianie.

Uświadomiła sobie, że to lustro weneckie. Przez cały czas przysłuchiwał się jej rozmowie z Lundquistem. Zastanawiała się, ilu jeszcze ludzi obserwowało ją przez tę szybę. Poczła się obnażona i poniżona. Przesunęła krzesło, odwracając twarz od lustra, i napotkała spojrzenie Katzki.

— Więc o co pan zamierza mnie spytać?

— Podobno ktoś próbuje panią zrobić. Może nam pani powiedzieć, kto to taki?

— Sądziłam, że Victor Voss. Teraz nie jestem już tego pewna.

— Ma pani jeszcze innych wrogów?

— Wszystko na to wskazuje.

— Czyżby ktoś aż tak bardzo pani nie lubił, by zabijać pani pacjentkę? Żeby panią zrobić?

— Może to nie było zabójstwo. Poziomu morfiny w jej krwi nigdy nie zbadano.

— Owszem, zbadano, nawet dwukrotnie. Przed kilkoma dniami pani Allen została ekshumowana na prośbę Brendy Hainey. Dziś rano lekarz medycyny sądowej przeprowadził test. Wynik jest pozytywny. Abby przyjęła tę informację w milczeniu. Nie było już teraz wątpliwości. Pani Allen zmarła z powodu przedawkowania morfiny.

— Parę dni temu powiedziała mi pani, że jeździ za panią fioletowa furgonetka.

— Brązowa — poprawiła go. — Dzisiaj znów ją widziałam.

— Zapisała pani jej numer rejestracyjny?

— Nie była dość blisko.

— No dobrze... sprawdźmy, czy wszystko rozumiem. Ktoś podaje pani pacjentce zbyt dużą dawkę morfiny. Potem podrzuca fiolkę do szafki. A teraz jeździ za panią po mieście furgonetka.

I pani zdaniem aranżuje to Victor Voss?

— Tak myślałam. Ale może to ktoś inny.

Katzka odchylił się na oparcie krzesła, wpatrując się w nią uważnie. Widać było, że jest bardzo zmęczony.

— Proszę opowiedzieć nam jeszcze raz o przeszczepach.

— Wszystko już powiedziałam.

— Nie jest dla mnie do końca jasne, jaki to ma związek z pani sprawą.

Wciągnęła głęboko powietrze. Wyjaśniała to już Lundąquistowi. Opowiedziała mu całą historię Josha O'Daya i podejrzane okoliczności operacji Niny Voss. Sądząc z braku zainteresowania młodego policjanta, była to tylko strata czasu. Teraz miała wszystko powtarzać, znów marnując czas. Z rezygnacją zamknęła oczy i powiedziała:

– Chciałabym napić się wody.

Lundquist wyszedł z pokoju. Kiedy go nie było, nie zamienili ani słowa. Abby siedziała z zamkniętymi oczami, marząc o tym, żeby to się wreszcie skończyło. Ale to nigdy się nie skończy. Będzie tkwić w tym pokoju przez całą wieczność, wciąż odpowiadając na te same pytania. Może powinna była jednak zadzwonić do adwokata. Może powinna po prostu wyjść. Katzka powiedział, że nie jest aresztowana. Na razie.

Lundquist wrócił z kubkiem wody. Opróżniła go kilkoma łykami i odstawiła na stół.

– Co z tymi przeszczepami serca, pani doktor? – powtórzył Katzka.

Westchnęła ciężko.

– Myślę, że Aaron właśnie w ten sposób zdobył swoje trzy miliony dolarów. Znajdując dawców dla bogatych biorców, którzy nie chcieli czekać w kolejce.

– W kolejce?

Kiwnęła głową.

– Tylko w naszym kraju jest ponad pięć tysięcy osób, które potrzebują przeszczepu serca. Wiele z nich umrze, ponieważ brakuje dawców. Dawcy muszą być młodzi i zdrowi... co oznacza, że są to w większości ofiary wypadków w stanie śmierci mózgowej. Jest więc ich za mało.

– Kto decyduje o tym, który z pacjentów dostaje serce?

– Istnieje skomputeryzowany rejestr ludzi czekających na przeszczep. Naszym regionalnym systemem zarządza Bank Narządów Nowej Anglii. Obowiązują demokratyczne zasady.

O kolejności otrzymania narządu decyduje stan pacjenta, a nie jego majątek. Oznacza to, że jeśli ktoś zajmuje dalekie miejsce na liście, musi długo czekać. Ale bogaty człowiek, który obawia się, że umrze, zanim mu znajdą dawcę, z pewnością będzie miał ochotę ominąć kolejkę.

– Można to zrobić?

– Owszem, jednak wymagałoby to nielegalnych działań.

Trzeba by znaleźć jakiś sposób, żeby potencjalny dawca nie został zarejestrowany, a jego serce trafiło bezpośrednio do tego bogatego pacjenta. Ale jest jeszcze gorsza opcja...

— Jaka?

— Generowanie dawców.

— Ma pani na myśli uśmiercanie ludzi? — wtrącił Lundquist. — W takim razie, gdzie są zwłoki? Albo raporty o zagięciu?

— Wcale nie twierdzę, że tak się dzieje. Mówię tylko, jakie są możliwości — odparła Abby i zamilkła na chwilę. — Myślę, że Aaron Levi brał w tym udział — dodała. — To by wyjaśniało, skąd miał trzy miliony dolarów.

Wyraz twarzy Katzki niemal sienie zmienił. Jego obojętność zaczynała ją drażnić.

— Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego wycofano te pozwy przeciwko mnie — powiedziała. — Prawdopodobnie mieli nadzieję, że przestanę zadawać pytania. Ale nie przestałam.

Zadawałam ich coraz więcej. Teraz muszą mnie skompromitować, ponieważ mogę im zaszkodzić.

— Dlaczego więc po prostu pani nie zabija? — spytał młodszy partner Katzki.

— Nie wiem. Może uważają, że jeszcze niewiele wiem.

Albo boją się, że w tak krótkim czasie po śmierci Aarona wzbudziłoby to podejrzenia.

— Bardzo pomysłowe wytłumaczenie — stwierdził ze śmiechem Lundquist.

Katzka uniósł rękę, dając mu znak, by się zamknął.

— Doktor DiMatteo, będę z panią szczery — powiedział. — Uważam, że to mało prawdopodobny scenariusz.

— Tylko taki przychodzi mi do głowy.

— Mogę zaproponować inny? — spytał Lundquist. — Bardziej sensowny? — Podszedł do stołu, wpatrując się w Abby. — Pani pacjentka, Mary Allen, bardzo cierpiała. Być może prosiła, by pomogła jej pani przenieść się na tamten świat. Może uznała pani, że to

humanitarny gest. Bo rzeczywiście był humanitarny. Każdy lekarz troszczący się o swojego pacjenta rozważyłby taką opcję. Dlatego podała jej pani dodatkową dawkę morfiny. Problem polega na tym, że zobaczyła to jedna z pielęgniarek i wysłała anonimowy list do siostrzenicy Mary Allen. Nagle zaczyna pani mieć kłopoty... tylko dlatego, że chciała pani postąpić humanitarnie. Grozi pani oskarżenie o zabójstwo. Więzienie. Przerazające, prawda? Więc wymyśla pani teorię spiskową, której nie można udowodnić ani podważyć. Czy ten scenariusz nie brzmi bardziej sensownie, pani doktor? Bo dla mnie na pewno.

— Ale tak nie było.

— Więc jak było naprawdę?

— Już panu mówiłam. Powiedziałam wszystko...

— Zabiła pani Mary Allen?

— Nie. — Abby pochyliła się do przodu, zaciskając dłonie w pięści.

— Nie zabiłam mojej pacjentki.

Lundquist popatrzył na swojego starszego kolegę.

— Kiepsko kłamie — stwierdził i wyszedł.

W pokoju zapanowało milczenie.

— Aresztuje mnie pan? — zapytała w końcu Abby.

— Nie. Może pani odejść — odparł Katzka i wstał z krzesła.

Abby również się podniosła. Przez chwilę stali, patrząc na siebie, jakby oboje nie byli pewni, czy już skończyli rozmowę.

— Dlaczego mnie pan zwalnia? — spytała.

— Na razie nic jeszcze nie wiemy. Musimy prowadzić dalsze dochodzenie.

— Sądzi pan, że jestem winna?

Katzka zawahał się. Wiedziała, że nie powinien na to pytanie odpowiadać, choć najwyraźniej starał się być wobec niej uczciwy. Jednak w końcu postanowił uchylić się od odpowiedzi.

— Przy recepcji czeka na panią doktor Hodell — oświadczył i odwrócił się, by otworzyć jej drzwi. — Będę jeszcze musiał z panią porozmawiać, doktor DiMatteo — dodał, wychodząc z pokoju.

Ruszyła korytarzem do poczekalni.

— Abby? — powiedział cicho Mark.

Pozwoliła mu się objąć, ale jej ciało nie zareagowało na jego dotyk. Jakby unosiła się gdzieś wysoko w górze, obserwując dwoje obcych ludzi, którzy się ściskają i całują.

Jego głos również dobiegał z oddali, gdy powiedział:

— Wracajmy do domu.

Bernard Katzka przyglądał się przez ściankę działową idącej do drzwi parze, patrzył, jak Hodell obejmuje Abby. Policjanci rzadko oglądali takie sceny. Czulość. Miłość. Znacznie częściej widywali bijatyki, posiniaczone twarze, rozcięte wargi, wycelowane w geście oskarżenia palce. Albo dziwki spacerujące po ulicach bostońskiej dzielnicy rozpusty. Katzka też potrzebował czasem kobiecego ciała, ale miłość była uczuciem, którego od dawna nie zaznał, i zazdrościł Markowi Hodellowi.

— Hej, Ślimak! — zawołał ktoś. — Masz rozmowę na trzeciej linii!

Podszedł do telefonu.

— Detektyw Katzka — powiedział.

— Tu biuro medycyny sądowej. Łączę z doktorem Rowbothamem.

Czekając na połączenie, Katzka znów spojrział w stronę poczekalni i zobaczył, że Abby DiMatteo i Hodell już wyszli. Ci ludzie mają wszystko, pomyślał. Urodę, pieniądze, perspektywy kariery. Czy doktor Abby DiMatteo ryzykowałaby swoją przyszłość, by ulżyć w cierpieniu umierającej pacjentce?

Po drugiej stronie odezwał się Rowbotham.

— Ślimak?

— Tak. Co się dzieje?

— Mam niespodziankę.

— Miłą czy nie?

— Powiedzmy, że dość zaskakującą. Właśnie otrzymałem wyniki badań spektrometrycznych tkanki doktora Leviego.

Badania tego rodzaju stosowano w laboratoriach kryminalistycznych, kiedy trzeba było zidentyfikować obecne w ciele denata leki i toksyny.

— Sądziłem, że wszystko już wykluczyliście — odparł Katzka.

— Wykluczyliśmy typowe leki. Narkotyki, barbiturany. Ale tym razem zastosowaliśmy chromatografię immunochemiczną i cienkowsarstwową. Chodziło o lekarza, więc uznałem, że nie możemy poprzestać na rutynowych badaniach. Przeprowadziłem również testy na obecność fentanylu, fencyklidyny i lotnych substancji. Badanie tkanki mięśniowej dało pozytywny wynik.

Wykryłem sukcynylocholinę.

— Co to takiego?

— Czynnikiem blokującym nerwy mięśni. Neutralizuje działanie acetylocholinę, która pobudza impulsy nerwowe. Powoduje podobne skutki jak zatrucie kurarą.

— Kurarą?

— Tak, tyle że sukcynylocholina ma inny skład chemiczny.

Stosuje się ją podczas operacji do zwiotczania mięśni.

— Czy to znaczy, że Levi został sparaliżowany?

— Był całkowicie bezbronny. Nie stracił świadomości, lecz nie mógł walczyć. — Rowbotham zamilkł na chwilę. — To straszna śmierć, Ślimak.

— Jak podaje się ten lek?

— W zastrzyku.

— Przecież nie znaleźliście żadnego śladu po ukłuciu.

— Mógł być na głowie, ukryty między włosami. To bardzo mały punkcik. Mogliśmy go łatwo przeoczyć z powodu po śmiertnych zmian na skórze.

Katzka zastanawiał się nad tym przez chwilę i przypomniał sobie coś, co parę dni temu powiedziała mu doktor DiMatteo. Wtedy zupełnie się tym nie zainteresował.

— Mógłbyś znaleźć dla mnie dwa stare raporty z sekcji? — zapytał Rowbothama. — Jeden sprzed sześciu lat. Facet skoczył z Tobin Bridge. Nazywał się Lawrence Kunstler.

— Przeliteruj mi to... Dobra, mam. A drugie nazwisko?

— Doktor Hennessy. Nie jestem pewien, jak miał na imię. To było trzy lata temu. Przypadkowe zatrucie tlenkiem węgla. Zginęła wtedy cała jego rodzina.

— Chyba pamiętam tę sprawę. Wśród ofiar było dziecko, tak?

— Właśnie. Spróbuję załatwić ekshumację.

— Czego szukasz, Ślimak?

— Nie wiem. Chyba czegoś, co wcześniej przeoczono, a co teraz możemy znaleźć.

Rowbotham zaśmiał się.

— Badając zwłoki, które leżały w ziemi przez sześć lat?

— Następnym bukiet, pani Voss. Przed chwilą je dostarczono.

Chce go pani mieć tutaj czy postawić w salonie?

— Przynies go tutaj — poleciła pokojówce Nina.

Siedząc w fotelu przy swoim ulubionym oknie, patrzyła, jak dziewczyna wnosi do sypialni wazon i stawia go na szafce nocnej, po czym zaczyna układać w nim kwiaty. Po pokoju rozszedł się zapach szaławii i floksów.

— Postaw je koło mnie — poprosiła.

— Oczywiście, proszę pani. — Pokojówka przeniosła wazon na niewielki stolik obok fotela. Żeby zrobić dla niego miejsce, musiała zabrać stojące tam lilie. — Zwykle nie dostaje pani takich bukietów, prawda? — powiedziała, patrząc na kwiaty z wyraźną dezaprobatą.

— Nie — odparła Nina i uśmiechnęła się na widok niesfornego bukietu.

Jej wprawne oko ogrodniczki zidentyfikowało już wszystkie gatunki. Rosyjskie szaławie i różowe floksy. Fioletowe dzwonki i żółte heliopsisy. I margerytki. Mnóstwo margerytek. Skąd takie kwiaty o tej porze roku?

Przesunęła ręką po ich kielichach, wdychając zapachy późnego lata, niezapomniane aromaty ogrodu, którego z powodu choroby nie mogła pielęgnować. Teraz lato minęło i ich dom w Newport był zamknięty na zimę. Nie znosiła tej pory roku — więdnienia roślin w ogrodzie i powrotu do Bostonu, do domu ze złożonymi liśćmi na sufitach, rzeźbionymi drzwiami i łazienkami wyłożonymi marmurem z Carrary. Widok ciemnego drewna ją przygnębiał. Ich letni dom był pełen światła, podmuchów ciepłego wiatru i zapachu morza. A ten kojarzył jej się z zimą. Wyjęła z wazonu margerytkę i wciągnęła w nozdrza jej ostry zapach.

— Nie wolałaby pani mieć koło siebie lilii? — spytała pokojówka. — Tak cudownie pachną.

— Bolała mnie od nich głowa. Od kogo są te kwiaty?

Pokojówka oderwała od wazonu przyklejoną do niego nie wielką kopertę otworzyła ją.

— „Dla pani Voss z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Joy”. To wszystko.

Nina zmarszczyła brwi.

— Nie znam nikogo o takim imieniu.

— Może sobie pani przypomni. Chciałaby pani wrócić do łóżka? Pan Voss mówi, że powinna pani dużo wypoczywać.

— Mam już dość leżenia w łóżku.

— Ale pan Voss mówi...

— Położę się później. Chcę tu trochę posiedzieć. Sama.

Pokojówka zawahała się, a potem, skinąwszy głową, nie chętnie wyszła z pokoju.

Wreszcie, pomyślała z ulgą Nina. Wreszcie jestem sama.

Odkąd wróciła ze szpitala, ciągle ktoś jej towarzyszył. Prywatne pielęgniarki, lekarze, pokojówki. I Victor. Przede wszystkim Victor, krążący ciągle przy jej łóżku. Czytał jej kartki z życzeniami powrotu do zdrowia, decydował o tym, który telefon może odebrać, chronił ją, izolował od świata. Była więźniem we własnym domu.

Wszystko dlatego, że tak bardzo ją kochał. Może za bardzo.

Wsunęła się głębiej w fotel, patrząc na wiszący na przeciwległej ścianie obraz. Był to jej portret, namalowany wkrótce po ślubie. Kiedy Victor go zamówił, zdecydował nawet, co ma na siebie włożyć do pozowania — długą jedwabną suknię w różyczki. Na tym obrazie stała pod obrośniętą winem altanką, ściskając w dłoni pojedynczą białą różę, a jej druga ręka była bezwładnie opuszczona. Uśmiechała się nieśmiało, jakby w głębi duszy myślała: „Ja tylko tu kogoś zastępuję”.

Przyglądając się temu portretowi sprzed lat, uświadomiła sobie, jak niewiele zmieniła się od tamtego dnia. Oczywiście, wyglądała inaczej, bo przecież minęły lata i straciła zdrowie, ale pod wieloma względami pozostała taka sama. Była wciąż nieśmiała i niezdarna. Nadal była kobietą, którą Victor Voss uważał za swoją własność.

Usłyszawszy jego kroki, podniosła wzrok.

— Louisa powiedziała mi, że nie wróciłaś do łóżka — rzekł. — Powinnaś się zdrzemnąć.

— Nie martw się o mnie, Victorze.

— Nie odzyskałaś jeszcze sił.

— Minęło już trzy i pół tygodnia od operacji. Doktor Archer mówił mi, że inni jego pacjenci ćwiczą już na bieżni.

— Nie jesteś taka jak inni. Myślę, że powinnaś się przespać.

Napotkawszy jego spojrzenie, powiedziała stanowczo:

— Posiedzę tutaj, Victorze. Chcę popatrzeć przez okno.

— Nino, chodzi mi tylko o twoje dobro.

Ale ona już odwróciła głowę i spoglądała na park. Na drzewa, których jesienne barwy powoli ustępowały zimowej szarości.

— Chciałabym wybrać się na przejażdżkę.

— Jeszcze na to za wcześnie.

— Do parku. Nad rzekę. Gdziekolwiek, byle z daleka od tego domu.

— Nie słuchasz mnie, Nino...

Westchnęła i powiedziała ze smutkiem:

— To ty mnie nie słuchasz.

Zaległo milczenie.

— Co to za kwiaty? — spytał, wskazując bukiet w wazonie obok fotela.

— Właśnie je dostałam.

— Kto je przysłał?

Wzruszyła ramionami.

— Jakaś Joy.

— Takie kwiaty można zerwać przy drodze.

— Dlatego nazywane są polnymi.

Wziął do ręki wazon i przeniósł go na stół w głębi pokoju, a potem postawił z powrotem obok niej lilie.

— To przynajmniej nie są chwasty — stwierdził i wyszedł z pokoju.

Nina spojrzała na lilie. Rzeczywiście były bardzo piękne. Egzotyczne i doskonałe. Ale ich zapach przyprawiał ją o mdłości.

Zamrugła, bo oczy nagle zaszkliły się jej od łez, i skupiła wzrok na leżącej na stoliku małej kopercie, przyniesionej wraz z polnymi kwiatami.

Joy. Kim była ta Joy?

Otworzyła kopertę i kiedy wyjęła z niej kartkę, zauważyła zdanie zapisane na odwrocie.

Niektórzy lekarze zawsze mówią prawdę.

Pod nim był numer telefonu.

Abby była w domu sama, gdy Nina Voss zadzwoniła do niej o siedemnastej.

— Doktor DiMatteo? — zapytał cichy głos. — Ta, która zawsze mówi prawdę?

— Pani Voss? Dostała pani kwiaty, prawda?

— Tak, dziękuję. I dość dziwny list.

— Próbowałam skontaktować się z panią na wszelkie moż liwe sposoby. Listownie i telefonicznie.

— Jestem w domu od ponad tygodnia.

— Ale była pani niedostępna.

Nina Voss westchnęła i powiedziała:

— Rozumiem.

Ta kobieta chyba nie miała pojęcia, że została przez męża całkowicie odizolowana od świata, pomyślała Abby.

– Czy ktoś słucha teraz tego, co pani mówi? – spytała.

– Jestem sama w pokoju. O co chodzi?

– Muszę się z panią spotkać, pani Voss. Bez wiedzy pani męża. Może to pani jakoś zorganizować?

– Chciałabym najpierw wiedzieć, w jakim celu.

– Przez telefon dość trudno to wyjaśnić.

– Nie umówię się z panią, dopóki mi pani tego nie powie.

Abby zawahała się.

– Chodzi o serce, które wszczepiono pani w Bayside.

– Tak?

– Nikt nie wie, od kogo je pobrano. Ani skąd pochodzi ło. – Zamilkła na chwilę, po czym spytała cicho: – Czy pani to wie, pani Voss?

W odpowiedzi usłyszała jedynie oddech Niny, szybki i nieregularny.

– Pani Voss?

– Muszę już kończyć.

– Chwileczkę. Kiedy możemy się zobaczyć?

– Jutro.

– Jak? Gdzie?

Znów zapanowało milczenie. Zanim połączenie zostało przerwane, Nina Voss powiedziała jeszcze:

– Znajdę jakiś sposób.

W prążkowaną markizę nad głową Abby bębnił deszcz. Od czterdziestu minut stała przed sklepem spożywczym Cellucciego, drżąc z zimna pod wąskim brezentowym daszkiem. Obok niej zatrzymywały się samochody dostawcze, z których wyładowywano kartony z chipsami i papierosami.

O czwartej dwadzieścia deszcz przybrał na sile i zerwał się wiatr. Minęła już godzina. Pod markizę wpadały strugi wody, ochlapując buty

Abby. Miała przemoczone stopy. Nina Voss z pewnością się nie pojawi, pomyślała.

Skrzywiła się, gdy ciężarówka firmy Progresso Foods ruszyła nagle ostro od krawężnika, ziejąc spalinami. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że po drugiej stronie ulicy zatrzymała się czarna limuzyna. Szyba po stronie kierowcy została opuszczona o kilkanaście centymetrów i męski głos zawołał:

– Doktor DiMatteo? Proszę wsiąść do samochodu.

Abby zawahała się. Szyby były przyciemnione i nie widziała wnętrza limuzyny, ale dostrzegła sylwetkę siedzącej z tyłu osoby.

– Mamy niewiele czasu – ponaglił ją kierowca.

Przeszła przez ulicę, kuląc się przed zacinającym deszczem, i otworzyła tylne drzwiczki samochodu. Mrugając powiekami, by strząsnąć z nich krople wody, zajrzała do wnętrza limuzyny.

Siedząca w półmroku Nina Voss, skulona pod ciemnym okryciem, miała kredowobiałą skórę.

– Proszę wsiąść, pani doktor – powiedziała.

Abby wsunęła się na tylne siedzenie obok niej i zamknęła drzwiczki. Limuzyna odbiła od krawężnika i bezgłośnie ruszyła naprzód.

Nina była tak szczelnie owinięta czarnym płaszczem i chustą, że jej blada twarz wydawała się unosić w powietrzu w mrocznym wnętrzu samochodu. Nie sprawiała wrażenia powracającej do zdrowia pacjentki. Abby przypomniała sobie zaróżowioną twarz Josha O'Daya, jego ożywienie i śmiech.

Natomiast Nina Voss wyglądała jak żywy trup.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Miałam trudności z wyjściem z domu.

– Czy pani mąż wie o naszym spotkaniu?

– Nie. – Nina wyprostowała się. Jej twarz niemal cała kowicie zasłaniała czarna tkanina. – Nauczyłam się, że Victorowi pewnych rzeczy nie należy mówić. Sekretem szczęść liwego małżeństwa jest milczenie, doktor DiMatteo.

– Taki związek raczej trudno uznać za udany.

— A jednak. — Nina uśmiechnęła się i odwróciła w stronę okna samochodu. Mdle światło rzucało bezkształtne cienie na jej twarz. — Mężczyzn trzeba chronić przed wieloma rzeczami.

Przede wszystkim przed nimi samymi. Dlatego właśnie nas potrzebują, choć pewnie sami sobie z tego nie zdają sprawy. Uważają, że to oni troszczą się o nas. Ale my i tak wiemy, jak jest naprawdę. — Odwróciła się do Abby i uśmiech zniknął z jej twarzy. — Proszę mi teraz powiedzieć, co takiego zrobił Victor.

— Miałam nadzieję, że usłyszę to od pani.

— Podobno chodzi o moje serce. — Nina dotknęła dłonią swojej piersi. W mrocznym wnętrzu limuzyny ten gest miał niemal religijny charakter. „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”. — Co pani wie na ten temat?

— Wiem, że serca dla pani nie przekazano normalnymi kanałami. Wszystkie narządy do transplantacji są przydzielane biorcom za pośrednictwem Banku Narządów. W pani przypadku tak nie było. Według informacji pochodzących z centralnego rejestru nigdy nie otrzymała pani serca do przeszczepu.

Dłoń Niny, nadal spoczywająca na piersi, zacisnęła się w pięść.

— Więc skąd się wzięło?

— Nie wiem. A pani?

Trupio błada Nina Voss w milczeniu patrzyła na Abby.

— Myślę, że pani mąż to wie.

— Jakim sposobem?

— Kupił je.

— Nie można tak po prostu kupić serca.

— Jeśli się ma dość pieniędzy, można kupić wszystko.

Nina nie odpowiedziała, ale jej milczenie potwierdzało tę fundamentalną prawdę: za pieniądze można kupić wszystko. Limuzyna skręciła w Embankment Road. Jechali na zachód, wzdłuż Charles River. Powierzchnia wody była szara i pomarszczona od deszczu.

— Jak się pani o tym dowiedziała? — spytała Nina.

— Ostatnio mam sporo wolnego czasu. To zdumiewające, jak dużo można działać, gdy nagle traci się pracę. W ciągu kilku minionych dni odkryłam wiele rzeczy. Nie tylko na temat pani operacji, ale także innych. A im więcej wiem, pani Voss, tym bardziej jestem przerażona.

— Dlaczego przychodzi pani z tym do mnie? Czemu nie zawiadomi pani policji?

— Nie słyszała pani, jaki mam teraz przydomek? Doktor Cykuta. Mówią, że zabijam pacjentów z litości. To oczywiście nieprawda, ale ludzie zawsze wierzą takim pogłoskom. — Abby spojrzała na rzekę. — Straciłam pracę, wiarygodność. I w żaden sposób nie mogę udowodnić, że jestem niewinna.

— Co pani zamierza zrobić?

Abby popatrzyła na nią.

— Chcę poznać całą prawdę.

Limuzyna wjechała w kałużę. Rozprysnięta woda zabębniła o podwozie. Oddalili się od rzeki i jechali teraz krętą drogą prowadzącą do Back Bay Fens.

— W dniu pani operacji o godzinie dwudziestej drugiej szpital Bayside otrzymał telefonicznie informację, że znaleziono dawcę w Burlington, w stanie Vermont — powiedziała Abby. — Trzy godziny później dostarczono nam serce na salę operacyjną.

Narząd pobrał podobno chirurg o nazwisku Timothy Nicholls, w szpitalu Wilcox Memoriał. Wykonano przeszczep i nie zdarzyło się nic niezwykłego. Pod wieloma względami była to rutynowa transplantacja. — Zamilkła na chwilę, po czym dodała: — Z jednym istotnym wyjątkiem. Nikt nie wie, kto był dawcą tego serca.

— Powiedziała pani, że dostarczono je z Burlington.

— Podobno. Ale doktor Nicholls gdzieś zniknął. Być może się ukrywa albo nie żyje. A w Wilcox Memoriał zaprzeczają, jakoby tamtej nocy pobierano u nich serce do przeszczepu.

Nina milczała. Sprawiała wrażenie, jakby coraz bardziej się kurczyła pod osłoną swojego wełnianego płaszcza.

— Pani nie była pierwsza — dodała Abby.

Nina popatrzyła na nią.

— Byli jeszcze inni?

— Co najmniej cztery osoby. Widziałam akta z ostatnich dwóch lat. Za każdym razem wszystko odbywało się tak samo. Szpital Bayside otrzymywał telefoniczną informację z Burlington, że mają dawcę. Po północy serce dostarczano na salę operacyjną i wykonywano zabieg. Ale coś tu jest nie w porządku. Mówimy o czterech sercach i czterech zgonach. Sprawdziłyśmy z przyjaciółką nekrologi osób zmarłych w tych dniach w Burlington. Nie znalazłyśmy żadnego potencjalnego dawcy.

— Więc skąd się wzięły te serca?

Abby milczała przez chwilę, a potem odparła:

— Nie wiem.

Limuzyna zawróciła na północ. Znów jechali wzdłuż Charles River, wracając na Beacon Hill.

— Nie mam żadnych dowodów — dodała Abby. — Nie mogę skontaktować się z Bankiem Narządów Nowej Anglii ani z kimkolwiek innym. Wszyscy wiedzą, że byłam przesłuchiwa na przez policję i uważają mnie za wariatkę. Dlatego zwróciłam się do pani. Tamtej nocy, gdy poznałyśmy się na oddziale intensywnej terapii, pomyślałam: „Z taką kobietą chciałabym się zaprzyjaźnić”. — Spojrzała na jej bladą twarz. — Potrzebuję pani pomocy, pani Voss.

Nina przez dłuższy czas się nie odzywała. Nie patrzyła na Abby, tylko gdzieś przed siebie. W końcu odetchnęła głęboko i powiedziała:

— Musi już pani wysiąść. Może być na tym rogu?

— Pani Voss, pani mąż kupił to serce. Skoro jemu się udało, inni też mogą to robić. Nie wiemy, kim są dawcy. Nie wiemy, w jaki sposób...

— Tutaj — poleciła Nina kierowcy.

Limuzyna stanęła przy krawężniku.

— Musi pani wysiąść — powtórzyła Nina.

Abby nie ruszyła się z miejsca. Deszcz bębnił monotonicznie o dach samochodu.

— Proszę — wyszeptła Nina.

— Myślałam, że mogę pani zaufać. Sądziłam... — Abby pokręciła głową. — Do widzenia, pani Voss.

Poczuła na ramieniu dotyk ręki. Odwróciła głowę i spojrzała w udreżone oczy siedzącej obok niej kobiety.

— Kocham mojego męża — powiedziała Nina. — A on kocha mnie.

— Czy to może wszystko usprawiedliwić?

Nina Voss nic na to nie odpowiedziała.

Abby wysiadła i zamknęła drzwiczki samochodu. Po chwili limuzyna odjechała. Patrząc, jak znika w ciemnościach, Abby pomyślała, że pewnie już nigdy nie zobaczy tej kobiety.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie w strugach deszczu.

— Jedziemy do domu, pani Voss? — zapytał kierowca, wrywając Ninę z zamyślenia. Jego wydobywający się z głośnika głos był głuchy i metaliczny.

— Tak — odparła. — Zawieź mnie do domu.

Owinęła się szczelniej w swój kokon z czarnej wełny i patrzyła na spływające po szybach strugi deszczu. Zastanawiała się, co powie Victorowi. I czego nie może mu powiedzieć. Oto, co stało się z naszą miłością, pomyślała. Coraz więcej tajemnic. A wśród nich ta najstraszniejsza...

Opuściła głowę i zaczęła cicho płakać — nad Victorem i nad tym, co się stało z ich małżeństwem. A także nad sobą, bo wiedziała, co musi zrobić, i bardzo się bała.

Krople deszczu spływały po szybach jak łzy.

Rozdział dziewiętnasty

Starsi chłopcy stwierdzili, że Szu-Szu potrzebuje kąpieli. Powtarzali to już od wielu dni, zagrozili nawet, że wrzucą pluszaka do morza, jeśli Aleksiej go nie wypierze. Mówili, że okropnie śmierdzi, lecz Aleksiej wcale się z nimi nie zgadzał. Lubił zapach Szu-Szu. Nigdy go nie mył, a to, czym pluszak pachniał, przywoływało różne wspomnienia. Na przykład zapach sosu, który wylał Szu-Szu na ogon, przypominał kolację ostatniego wieczoru przed wyjazdem, gdy Nadia serwowała mu podwójne porcje wszystkiego (i w dodatku się do niego uśmiechała!). Zapach papierosów — ostry, lecz przyjazny — kojarzył się z wujkiem Miszą. Kwaśna woń buraków pozostała po ostatniej Wielkanocy, kiedy jedli jajka na twardo i Aleksiej wylał Szu-Szu barszcz na głowę. A gdy zamykał oczy i głęboko wciągał powietrze, potrafił czasem wyczuć jeszcze jeden zapach, dużo słabszy, ale utrzymujący się od lat. Nie potrafił określić, czy jest kwaśny, czy słodki. Rozpoznawał go raczej poprzez emocje, które w nim budził. Czuł go w sercu. Był to zapach jego dzieciństwa. Zapach pieszczot, kołysanek i miłości.

Tuląc do siebie Szu-Szu, wsunął się głębiej pod koc. Nigdy nie pozwolę im cię wykąpać, pomyślał.

Nie pozostało już zresztą zbyt wielu chłopców, którzy mogli go dręczyć. Pięć dni temu z mgły wyłonił się kolejny statek i zaczął płynąć równoległe z nimi. Gdy wszyscy chłopcy rzucili się do relingu, by go obejrzeć, Nadia i Gregor chodzili po pokładzie, wywołując nazwiska

wybrańców: „Nikołaj Aleksiejenko! Pasza Priebrażeński!”. Wywołani chłopcy krzyczeli radośnie i unosili w górę zaciśnięte pięści. „Hura! Wreszcie ja też zostałem wybrany!”.

Ci, którzy pozostali, zbili się w gromadkę przy relingu, obserwując w milczeniu, jak motorówka zabiera ich towarzyszy na drugi statek.

— Dokąd oni płyną? — spytał Aleksiej.

— Do swoich nowych rodzin na Zachodzie — odparła Na dia. — A teraz zejdźcie z pokładu. Robi się zimno.

Chłopcy nie ruszyli się z miejsca. Po chwili Nadia przestała się nimi interesować i zeszła na dół.

— Te rodziny na Zachodzie muszą być głupie — mruknął Jaków, z wysuniętą do przodu szczęką wpatrując się w morze.

Aleksiej odwrócił się i popatrzył na niego.

— Dla ciebie wszyscy są głupi — stwierdził.

— Owszem. Przynajmniej wszyscy na tym statku.

— To znaczy, że ty też jesteś głupi.

Jaków nic nie odpowiedział, ścisnął tylko swoją jedyną ręką reling, wpatrując się w odpływający statek, który zniknął we mgle. Kiedy już go zupełnie nie było widać, poszedł sobie.

Przez następnych kilka dni Aleksiej prawie go nie widywał.

Tego wieczoru przepadł gdzieś zaraz po kolacji. Pewnie jest w tej swojej idiotycznej Krainie Czarów i siedzi w skrzyni z mysimi odchodami, pomyślał Aleksiej.

Naciągnął na głowę koc i zasnął skulony na koi, tuląc do twarzy brudnego Szu-Szu.

Ktoś nim potrząsnął i jakiś głos zawołał cicho w ciemnościach:

— Aleksiej! Aleksiej!

— Mamo... — wymamrotał.

— Aleksiej, zbudź się! Mam dla ciebie niespodziankę.

Ocknął się i otworzył oczy. Czyjaś ręka nadal nim potrząsała.

Rozpoznał zapach Nadii.

— Czas już iść — wyszeptała.

— Dokąd?

— Musisz się przygotować na spotkanie z nową mamą.

— Jest tutaj?

— Zaprowadzę cię do niej, Aleksiej. Wybrała cię spośród innych chłopców. Masz wielkie szczęście. Chodź. Ale bądź cicho.

Aleksiej usiadł. Jeszcze nie całkiem się obudził i nie był pewien, czy nie śni. Nadia wyciągnęła rękę i pomogła mu zejść z koi.

— Szu-Szu... — wymamrotał.

Podąa mu pieska.

— Oczywiście, że możesz go zabrać.

Wzięła go za rękę, czego nigdy przedtem nie robiła. Poczłł się tak szczęśliwy, że całkiem oprzytomniał. Trzymał jej dłoń i szli razem na spotkanie z jego matką. Było ciemno, a on bał się ciemności, ale przecież Nadia dopilnuje, by nie spotkało go nic złego. Takie właśnie ma się uczucie, trzymając za rękę matkę, pomyślał — choć nie miał pojęcia, skąd to wie.

Wyszli z kajuty i ruszyli mrocznym korytarzem. Chłopiec potykał się, oszołomiony radością, i nie zwracał uwagi na to, dokąd idą. Skręcili w następny korytarz, którego nie znał. Przeszli przez drzwi.

Znajdowali się w Krainie Czarów.

Przed nimi rozciągał się stalowy pomost, za którym były niebieskie drzwi.

Aleksiej zatrzymał się.

— O co chodzi? — spytała Nadia.

— Nie chcę tam wchodzić.

— Ale to konieczne.

— Tam mieszkają jacyś ludzie.

Nadia mocniej chwyciła jego rękę.

— Aleksiej, nie rób trudności. Musisz tam wejść.

— Dlaczego?

Nagle przykucnęła, jakby zrozumiała, że konieczna jest inna taktyka. Spojrzała mu w oczy i złapała go za ramiona.

— Chcesz wszystko zmarnować? Chcesz ją zdenerwować?

Ona spodziewa się posłusznego chłopca, a ty jesteś nieznośny.

Aleksiejowi zadrżały wargi. Starał się powstrzymać płacz, bo wiedział, jak bardzo dorośli nie znoszą mazgajów. Ale łzy i tak zaczynały mu już spływać po policzkach i był przekonany, że znowu wszystko zmarnuje. Tak jak powiedziała Nadia. Zawsze wszystko marnował.

— Nic jeszcze nie jest ustalone — oświadczyła kobieta. — Ona może wybrać innego chłopca. Czy tego właśnie chcesz?

— Nie... — wychlipał Aleksiej.

— Więc czemu nie zachowujesz się jak należy?

— Boję się tych ludzi z rufy.

— Nie bądź śmieszny. Nie zdziwiłabym się, gdyby nikt nigdy cię nie wybrał. — Wyprostowała się i znów chwyciła go za rękę. — Chodź.

Aleksiej spojrzał na niebieskie drzwi i szepnął:

— Niech mnie pani weźmie na rękę.

— Jesteś za duży, przedźwignę się.

— Proszę!

— Musisz iść sam, Aleksiej. Szybciej, bo się spóźnimy — powiedziała Nadia i otoczyła go ramieniem.

Ruszył naprzód tylko dlatego, że była przy nim i obejmowała go mocno. Tak jak on obejmował Szu-Szu. Dopóki wszyscy troje trzymali się razem, nie mogło się zdarzyć nic złego.

Nadia zapukała do niebieskich drzwi.

Po chwili otworzyły się na oścież.

Jaków słyszał ich nad sobą, kiedy szli pomostem. Szlochanie Aleksieja i pełne zniecierpliwienia ponaglenia Nadii. Podczołgał się do krawędzi skrzyni i ostrożnie spojrzał w górę. Podeszli do niebieskich drzwi i po chwili zniknęli za nimi.

Dlaczego zabrała tam Aleksieja, a nie mnie? — pomyślał.

Wygramolił się ze skrzyni i pobiegł schodami do niebieskich drzwi. Próbował je otworzyć, ale były zamknięte.

Zrezygnowany, wrócił do swojej kryjówki. Była teraz całkiem wygodna. W ciągu minionego tygodnia przyniósł tu koc, latarkę i czasopisma z nagimi kobietami. Podprowadził również Kubiczewowi

zapalniczkę i paczkę papierosów. Czasem sobie jednego zapalił, ale miał ich tak niewiele, że starał się oszczędzać. Kiedyś przypadkiem podpalił trociny — było to ekscytujące. Lubił po prostu mieć papierosy pod ręką i czytać w świetle latarki napisy na paczce.

Właśnie tym się zajmował, kiedy usłyszał na pomoście głosy Ałeksieja i Nadii.

Teraz czekał, aż wyjdą przez niebieskie drzwi. Ale nie wracali. Co tam tak długo robili?

Ze złością rzucił papierosy na podłogę. To nie było fair.

Obejrzał kilka zdjęć w czasopismach. Pstryknął parę razy zapalniczką. Potem stwierdził, że chce mu się spać, więc skulił się pod kocem i zasnął.

Jakiś czas później zbudził go dudniący łoskot. Początkowo pomyślał, że coś jest nie w porządku z silnikami statku, po chwili jednak uświadomił sobie, że łoskot coraz bardziej się nasila i wcale nie dochodzi z Piekła, lecz z pokładu.

Był to śmigłowiec.

Gregor zakręcił słoik, włożył go do foliowej torebki i umieścił w przenośnej lodówce, którą wręczył Nadii.

— Zabierz to — powiedział.

Popatrzyła na niego blada jak ściana. Ta suka się do tego nie nadaje, pomyślał.

— Potrzebny jest lód. Rusz się — dodał i pchnął lodówkę w jej kierunku.

Wzdrygnęła się, a potem, oddychając głęboko, wzięła lodówkę. Przeniosła ją przez pokój, postawiła na blacie i zaczęła wsypywać do niej lód. Gregor zauważył, że drżą jej nogi. Za pierwszym razem każdy był w szoku. Nawet on miał mdłości. Wkrótce się przyzwyczai.

Odwrócił się do stołu operacyjnego. Anestezjolog zapiął już na zamek czarny worek i teraz zbierał zakrwawione chusty. Chirurg nie próbował mu pomóc. Stał oparty plecami o blat, z trudem łapiąc oddech. Gregor popatrzył na niego z obrzydzeniem. Było coś szczególnie odrażającego w lekarzu, który pozwalał sobie na taką

otyłość. Nie wyglądał tego wieczoru zbyt dobrze. Ciężko dyszał podczas całej operacji, a ręce drżały mu bardziej niż zwykle.

— Boli mnie głowa — jęknął.

— Za dużo wypieś. Pewnie po prostu masz kaca — stwierdził Gregor.

Podszedł do stołu i chwycił jeden koniec czarnego worka. Razem z anestezjologiem dźwignęli ciężar i przenieśli go na wózek. Potem Gregor zebrał stertę brudnej odzieży i także położył ją na wózku. Mało brakowało, a zapomnieliby o pluszowym psie, który leżał na podłodze, przesiąknięty krwią. Rzucił go na brudne ubrania, po czym razem z anestezjologiem potoczyli wózek do zsypu na śmieci. Otworzywszy klapę, pozbyli się czarnego worka, ubrań i pluszowego psa.

Chirurg odsunął się od blatu i jęknął:

— To najgorszy pieprzony ból głowy, jaki...

Gregor zignorował go. Ściągnął rękawiczki i poszedł do zlewu, by umyć ręce. Nigdy nie wiadomo, co można złapać przez kontakt z brudną odzieżą. Umył ręce równie starannie jak lekarz przygotowujący się do operacji.

Nagle rozległ się głośny hałas i brzęk spadających na ziemię metalowych narzędzi. Gregor odwrócił się.

Chirurg leżał na podłodze, czerwony na twarzy, poruszając kończynami jak marionetka, nad którą animator stracił kontrolę.

Nadia i anestezjolog patrzyli na niego z przerażeniem.

— Co się z nim dzieje? — zdziwił się Gregor.

— Nie wiem — odparł anestezjolog.

— Zrób coś!

Anestezjolog przyklęknął obok wstrząsanego drgawkami chirurga, próbując go reanimować. Rozpiął fartuch leżącego i przyłożył mu do twarzy maskę tlenową. Konwulsje były coraz silniejsze. Ręce mężczyzny trzepotały jak skrzydła gęsi.

— Potrzyj maskę — polecił anestezjolog Gregorowi. — Dam mu zastrzyk.

Gregor uklęknął przy głowie chirurga i wziął maskę tlenową. Twarz grubego lekarzabyła odrażająca, ziemista i tłusta. Po chwili maska zrobiła się śliska od śliny. Skóra mężczyzny zaczynała przybierać siną barwę i Gregor wiedział, że ich wysiłki są daremne.

Chwilę później chirurg już nie żył.

Przez dłuższy czas wszyscy troje stali w milczeniu, patrząc na nieruchome ciało. Było groteskowo napęczniałe, a fałdy na twarzy rozlały się jak meduzy.

— Co teraz zrobimy? — spytał anestezjolog.

— Potrzebujemy nowego chirurga — odparł Gregor.

— Przecież nie wyciągniemy go z morza. Trzeba będzie zawinąć do portu szybciej, niż planowaliśmy.

— Albo będziemy musieli przewieźć żywy ładunek... — mruknął Gregor.

Nagle spojrzął w górę. Nadia i anestezjolog także unieśli głowy. Wszyscy usłyszeli łoskot śmigłowca. Gregor rzucił okiem na przenośną lodówkę.

— Jest gotowa?

— Tak — odparła Nadia.

— No to zanieś im ją na górę — powiedział Gregor i ponow nie spojrzął na zwłoki chirurga. Kopnął je z odrazą. — A my zajmiemy się tym wielorybem.

Na pokładzie znowu lśniło niebieskie oko.

Jaków obserwował ze swej kryjówki pod schodami mostka, jak najpierw zapala się niebieski reflektor, a potem krąg białych świateł. Świeciły tak jasno, że nie mógł na nie patrzeć. Zamiast tego spoglądał więc w niebo, na krążący nad statkiem śmigłowiec. Zamknął oczy, gdy w twarz uderzył go podmuch powietrza od wirników. Kiedy otworzył je ponownie, zobaczył, że maszyna wylądowała.

Otwarto szeroko drzwi, ale nikt się w nich nie pojawił. Czekano na kogoś, kto miał wejść na pokład.

Jaków przykucnął, by przez szparę między stopniami dokładnie widzieć śmigłowiec. Szczęściarz z tego Aleksieja, pomyślał. Pewnie dziś odleci do nowej rodziny.

Po chwili usłyszał odgłos zamykania drzwi i na krawędzi świetlnego kręgu ukazała się jakaś postać. Była to Nadia. Przeszła przez pokład, pochylając się do przodu i wypinając pośladki. Pewnie boi się, że wirniki utną jej tę głupią głowę, pomyślał Jaków. Zajrzała do wnętrza śmigłowca, nadal wystawiając tyłek, gdy rozmawiała z pilotem. Po paru sekundach wycofała się poza krąg świateł.

Zaraz potem maszyna wystartowała.

Zgaszono światła i pokład pogrążył się w ciemnościach.

Jaków wyszedł spod schodów, by zobaczyć, jak śmigłowiec wznosi się w górę. Dostrzegł jego obracający się ogon, przypominający gigantyczne wahadło na sznurku. Po chwili maszyna z hukiem przeleciała nad wodą i zniknęła w mroku.

Czyjaś ręka chwyciła Jakowa za ramię. Krzyknął, gdy ktoś pociągnął go do tyłu i odwrócił.

— Co ty tu robisz, do cholery? — warknął Gregor.

— Nic.

— Co widziałeś?

— Tylko śmigłowiec...

— Co widziałeś?

Jaków wpatrywał się w niego bez słowa, zbyt przerażony, by odpowiedzieć.

Ich głosy usłyszała Nadia i podeszła do nich.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Ten chłopak znowu podglądał. Myślałem, że zamknęłaś kajutę.

— Zamknęłam. Musiał wymknąć się wcześniej. — Spojrzała na Jakowa. — Ciągłe są z nim problemy. Nie dam rady bez przerwy mieć go na oku.

. — Mam go już dosyć — syknął Gregor i wykręcił Jakowowi rękę, popychając go w kierunku wjazdu przy schodach. — Nie może wrócić do innych chłopców.

Odwrócił się, by otworzyć właz, ale w tym momencie Jaków kopnął go od tyłu w kolano.

Gregor wrzasnął, rozluźniając uścisk.

Chłopiec rzucił się do ucieczki. Słyszał krzyki Nadii i dudniące po metalowym pomoście kroki. Popędził w kierunku rufy i nagle uświadomił sobie, że wbiegł wprost na pokład.

Rozległo się głośne kliknięcie, po czym zapaliły się wszystkie światła.

Jaków znalazł się w blasku reflektorów. Zastaniając oczy, nadal próbował uciekać, jednak został otoczony ze wszystkich stron. Gdy ktoś chwycił go za koszulę, zaczął się szarpać.

Uderzony w twarz, upadł na ziemię. Próbował się czołgać, lecz unieruchomiło go silne kopnięcie w nogi.

— Dosyć! — krzyknęła Nadia. — Zabijesz chłopaka!

— Mały skurwiel! — warknął Gregor.

Chwycił Jakowa za włosy i podniósł z ziemi, a potem poprowadził go przez pokład w kierunku włazu. Chłopiec ciągle się potykał, ale Gregor znów go podnosił za włosy. Jaków nie mógł się zorientować, dokąd idą. Wiedział tylko, że szli najpierw schodami, a potem korytarzem. Gregor kłął przez całą drogę. Trochę kulał, co sprawiało chłopcu pewną satysfakcję.

Dotarli do jakiegoś pomieszczenia i Jaków został pchnięty za próg.

— Trochę tu pognijesz — syknął Gregor i zatrzasnął drzwi.

Po chwili Jaków usłyszał zgrzyt zasuwanego rygla i odgłos oddalających się kroków.

Podciągnął kolana do piersi i poczuł, że ogarnia go jakieś dziwne drżenie. Próbował je powstrzymać, ale nie potrafił. Słyszał, jak szczęka zębami — nie z zimna, lecz z powodu jakiegoś wewnętrznego rozdygotania. Zacisnął powieki i znowu stanęło mu przed oczami wszystko, co widział tego wieczoru. Po oświetlonym pokładzie idzie Nadia, wygląda jakby swobodnie unosiła się w powietrzu. Drzwiczki śmigłowca otwierają się wyczekująco. Nadia pochyla się i podaje coś pilotowi.

Pudełko.

Jaków jeszcze bardziej podkurczył nogi, ale drżenie nie ustało.

Pojękując, wsadził sobie do ust kciuk i zaczął go ssać.

Rozdział dwudziesty

Poranki były dla Abby najgorsze. W pierwszej chwili po przebudzeniu cieszyła ją perspektywa nowego dnia, ale zaraz potem przypominała sobie nagle, że nie ma dokąd pójść. Odczuwała to tak boleśnie, jakby ktoś ją uderzył. Leżała w łóżku, słuchając, jak Mark się ubiera. Słyszała, jak chodzi po ciemnej jeszcze sypialni, jednak była tak przygnębiona, że nie potrafiła się do niego odezwać. Dzielili dom i łóżko, ale prawie ze sobą nie rozmawiali. Tak umiera miłość, pomyślała, gdy frontowe drzwi zamknęły się za Markiem. Nie z powodu kłótni, lecz milczenia.

Kiedy miała dwanaście lat, jej ojciec stracił pracę w garbarni. Przez kilka następnych tygodni wyjeżdżał co rano z domu, jakby nic się nie zmieniło. Abby nigdy się nie dowiedziała, dokąd jeździł i co robił. Nie powiedział jej tego nawet wtedy, gdy umierał. Wiedziała tylko, że przerażała go myśl o siedzeniu w domu i przyznaniu się do porażki, więc każdego ranka udawał, że wychodzi do pracy.

Tak jak teraz ona.

Zostawiła samochód pod domem i ruszyła przed siebie, nie dbając o to, dokąd idzie. W nocy zrobiło się zimno i zanim zatrzymała się w końcu w kafejce z bajglami, zdrętwiała jej cała twarz. Kupiwszy kawę i precel z ziarnem sezamowym, usiadła w jednym z boksów. Gdy ugryzła dwa kęsy, spojrzała przypadkiem na mężczyznę przy sąsiednim stoliku. Czytał „Boston Herald”.

Na pierwszej stronie było jej zdjęcie.

Miała ochotę natychmiast uciec z kafejki. Rozejrzała się ukradkiem, przekonana, że wszyscy będą się jej przyglądać, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Wstała, wyrzuciła bajgla do kosza i wyszła na ulicę. Zupełnie straciła apetyt. Przecznicę dalej kupiła w kiosku egzemplarz „Boston Herald” i skuliła się w bramie, by przeczytać artykuł.

Rygory stażu na chirurgii możliwą przyczyną tragedii Doktor Abigail DiMatteo była wyróżniającą się stażystką— zdaniem doktora Colina Wettiga, szefa szkolenia, jedną z najlepszych w szpitalu Bayside. Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy, wkrótce po tym, jak rozpoczęła drugi rok stażu, zaczęło się z nią dziać coś złego...

Abby musiała przerwać lekturę, bo nagle zaczęło brakować jej powietrza. Dopiero po dłuższej chwili uspokoiła się na tyle, że mogła czytać dalej. Gdy skończyła, poczuła, że robi jej się niedobrze.

Dziennikarz napisał o wszystkim. O pozwach, śmierci Mary Allen, sprzeczce z Brendą. Wszystko to, zebrane razem, składało się na obraz niezrównoważonej, a nawet niebezpiecznej dla otoczenia osobowości. Tworzyło przerażającą wizję niepoczytalnego lekarza, którego nie powinno się dopuszczać do pacjentów.

Nie mogę uwierzyć, że to o mnie, pomyślała.

Nawet gdyby zdołała zachować uprawnienia do wykonywania zawodu lekarza i skończyła staż, ten artykuł odcisnie piętno na jej życiu. ZSSNSZQ pozostaną wątpliwości. Żaden pacjent przy zdrowych zmysłach nie pozwoli się operować psychopatce.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo szła przed siebie z zaciśniętą w dłoni gazetą. Gdy w końcu się zatrzymała, uświadomiła sobie, że jest w kampusie Uniwersytetu Harvarda i uszy bołą ją i z zimna. Dawno już minęła pora lunchu. Straciła całe przedpołudnie. Nie wiedziała, dokąd pójść. Wszyscy w kampusie — studenci z plecakami i profesorowie w tweedowych marynarkach — zmierzali w jakimś kierunku.

Ale nie ona.

Ponownie spojrzała na gazetę. Zdjęcie, które umieszczono przy artykule, pochodziło z księgi stażystów i zostało zrobione, gdy odbywała praktykę. Uśmiechała się do obiektywu, a jej twarz tryskała radością. Była to twarz młodej kobiety, pełnej energii i gotowej realizować swoje marzenia.

Wyrzuciła gazetę do najbliższego kosza i ruszyła w kierunku domu. Będę walczyć, powiedziała sobie. Muszę się bronić.

Ale ani ona, ani Vivian nie mogły trafić na żaden trop. Wczoraj Chinka poleciała do Burlington. Kiedy zadzwoniła do Abby wieczorem, miała dla niej złe wieści: Tim Nicholls zlikwidował praktykę i nikt nie wiedział, dokąd wyjechał. Ślepy zaułek. Również w Wilcox Memoriał Vivian nie znalazła żadnych dowodów, by pobierano tam narządy do przeszczepów któregoś z czterech dni, w czasie których odbywały się transplantacje. Kolejny ślepy zaułek. W aktach miejscowej policji także nie znalazła żadnych raportów na temat zaginionych osób ani niezidentyfikowanych ciał z wyciętymi sercami. Jeszcze jeden ślepy zaułek.

Zatarli wszystkie ślady, pomyślała Abby. Nigdy ich nie pokonamy.

Gdy tylko weszła do domu, zobaczyła, że w telefonie pulsuje światełko. To Vivian zostawiła dla niej wiadomość, podając swój numer z Burlington. Abby wykręciła go, lecz nie było odpowiedzi, więc odłożyła słuchawkę.

Potem zadzwoniła do Banku Narządów Nowej Anglii, ale nie chciano jej połączyć z Helen Lewis. Wyglądało na to, że nikt nie chce wysłuchiwać najnowszych teorii stukniętej doktor DiMatteo. Nie wiedziała, do kogo jeszcze może się zwrócić.

Przejrzała w myślach listą wszystkich, których znała w Bayside. Doktor Wettig, Mark, Mohandas, Zwick, Susan Casado, Jeremiah Parr. Nikomu z nich nie ufała.

Podnosząc słuchawkę telefonu, by spróbować ponownie zadzwonić do Vivian, zerknęła przypadkiem za okno. W głębi ulicy stała zaparkowana brązowa furgonetka.

Ty draniu, pomyślała. Tym razem mi nie uciekniesz!

Pobiegła do szafy w korytarzu i wyjęła lornetkę. Patrząc przez nią z okna, zdołała odczytać numer rejestracyjny furgonetki.

Mam cię, triumfowała.

Podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer Katzki. Kiedy czekała, aż detektyw się zgłosi, wydało jej się nagle dziwne, że dzwoni właśnie do niego. Może była to tylko automatyczna reakcja. Gdy człowiek potrzebuje pomocy, dzwoni na policję. A on był jedynym policjantem, jakiego znała.

— Detektyw Katzka — odezwał się bezbarwnym, oficjalnym głosem.

— Brązowa furgonetka znów się pojawiła!

— Słucham...?

— Mówi Abby DiMatteo. Furgonetka, która mnie śledziła, stoi zaparkowana przed moim domem. Ma numer rejestracyjny pięć-trzydziesiąt TDV. Tablice z Massachusetts.

Katzka zapisał numer, po czym zapytał:

— Mieszka pani przy Brewster Street, prawda?

— Tak. Proszę tu kogoś natychmiast przysłać. Nie wiem, co ten człowiek zamierza.

— Niech pani nie rusza się z domu i pozamyka drzwi, dobrze?

— Oczywiście.

Wiedziała, że drzwi sajuż zamknięte na klucz, ale na wszelki wypadek jeszcze raz je sprawdziła. Wszystko było zabezpieczone. Wróciła do salonu i usiadła obok zastony, wyglądając co chwila przez okno, by upewnić się, czy furgonetka nie odjechała. Bardzo chciała, by nie ruszyła się z miejsca. Chciała zobaczyć, jak zareaguje kierowca na widok policji.

Kwadrans później podjechało pod jej dom znajome zielone volvo i zatrzymało się przy krawężniku po drugiej stronie ulicy, naprzeciw furgonetki. Nie spodziewała się, że Katzka przyjedzie osobiście, ale to właśnie on wysiadł z samochodu. Na jego widok poczuła ulgę. Będzie wiedział, co robić, pomyślała. Jest dość bystry, by sobie ze wszystkim poradzić.

Detektyw powoli podszedł do furgonetki.

Abby przycisnęła twarz do szyby, czując przyspieszone bicie serca. Zastanawiała się, czy Katzka jest tak samo zdenerwowany jak ona. Kiedy podszedł do drzwiczek kierowcy i stanął bokiem, zobaczyła, że trzyma w ręku broń. Nawet nie zauważyła, kiedy po nią sięgnął.

Bała się patrzeć na to, co się stanie. Bała się o niego.

Katzka zajął do kabiny kierowcy. Najwyraźniej nie zobaczył tam nic podejrzanego, bo obszedł pojazd i popatrzył do środka przez tylną szybę. Potem wsunął broń do kabury i rozejrzał się po ulicy.

W pobliskim domu otworzyły się na oścież frontowe drzwi i wybiegł z nich mężczyzna w szarym kombinezonie, krzyząc i wymachując rękami. Katzka spokojnie wyciągnął legitymację. Mężczyzna obejrzał ją, po czym wyjął portfel i pokazał mu swój dowód tożsamości.

Przez chwilę obaj mężczyźni rozmawiali, a potem człowiek w kombinezonie wrócił do domu, z którego wybiegł.

Katzka ruszył w stronę domu Abby.

Wpuściła go do środka.

— Co się stało?

— Nic.

?— Kim jest ten człowiek? Dlaczego mnie śledził?

— Twierdzi, że nie ma pojęcia, o czym pani mówi.

Weszła za Katzka do salonu.

— Nie jestem ślepa! Widziałam tu już przedtem tę furgonetkę. Na tej ulicy.

— Kierowca mówi, że nigdy wcześniej tutaj nie był.

-- Kto to w ogóle jest?

Katzka wyciągnął notatnik.

— John Doherty, lat trzydzieści sześć. Mieszka w Massachusetts. Hydraulik. Mówi, że pierwszy raz dostał wezwanie na Brewster Street. Furgonetka należy do firmy Back Bay Plumbing. Jest w niej pełno narzędzi. — Zamknął notes i wsunął go do kieszeni marynarki, a potem spojrzał na Abby.

— Byłam absolutnie pewna, że to ta furgonetka — mruknęła.

— Nadal pani twierdzi, że ktoś za panią jeździł?

— Tak, do cholery! — krzyknęła. — Wyraźnie widziałam brązową furgonetkę!

Zareagował na jej wybuch lekkim uniesieniem brwi. Zaczerpnęła powietrza. Przy tym człowieku nie należało się unosić. Był uosobieniem spokoju, logiki i rozsądku. Pan Spock z policyjną odznaką.

— Nie mam urojeń — powiedziała po chwili. — I niczego nie zmyślam.

— Kiedy będzie się pani wydawało, że widzi pani tę furgonetkę, proszę ponownie zapisać jej numer rejestracyjny.

— Kiedy będzie mi się wydawało?

— Zadzwoń do Back Bay Plumbing, żeby sprawdzić, czy Doherty mówi prawdę. Ale myślę, że on naprawdę jest tylko hydraulikiem — odparł Katzka i spojrzął na drzwi do salonu, w którym dzwonił telefon. — Nie odbierze pani?

— Proszę jeszcze nie wychodzić. Muszę powiedzieć panu parę rzeczy.

Sięgnął już ręką do klamki, zatrzymał się jednak. Abby podniosła słuchawkę.

— Halo? — powiedziała.

Kobięcy głos zapytał cicho:

— Doktor DiMatteo?

Abby napotkała spojrzenie Katzki. Zrozumiał natychmiast, że to ważna rozmowa.

— Pani Voss? — upewniła się Abby.

— Dowiedziałam się czegoś — odparła Nina. — Nie wiem, co to oznacza. Jeśli w ogóle cokolwiek.

Katzka podszedł do Abby. Zrobił to tak szybko i cicho, że niemal nie zauważyła, kiedy znalazł się obok niej. Pochylił się i przystawił ucho do słuchawki, by słyszeć rozmowę.

— Czego się pani dowiedziała? — spytała Abby.

— Wykonałam parę telefonów. Do banku, do naszego księgowego. Dwudziestego trzeciego września Victor przelał pieniądze na konto spółki Amity Corporation. W Bostonie.

— Jest pani pewna tej daty?

— Tak.

Dwudziesty trzeci września... Dzień przed operacją Niny Voss.

— Co pani wie o tej spółce? — spytała Abby.

— Nic. Victor nigdy o niej nie wspominał. Ale przy tak dużej transakcji zwykle omawiał to ze mną... — Zaległa cisza.

Abby usłyszała jakieś głosy. Kiedy Nina odezwała się ponownie, była wyraźnie spięta i mówiła ciszej: — Muszę już kończyć.

— Wspomniała pani, że to była duża transakcja. Jak duża?

Odpowiedziała jej cisza. Abby pomyślała, że Nina Voss odłożyła słuchawkę, ale po chwili usłyszała jej szept:

— Pięć milionów. Victor zrobił przelew na pięć milionów dolarów.

Kiedy Nina usłyszała kroki męża, odłożyła słuchawkę, ale nie podniosła wzroku, gdy wszedł do sypialni.

— Z kim rozmawiałaś? — spytał.

— Z Cynthią. Chciałam podziękować jej za kwiaty.

— Które są od niej?

— Orchidee.

Spojrzał na wazon na toaletce.

— A, tak. Bardzo ładne.

?— Cynthia mówi, że wiosną lecą do Grecji. Chyba są już zmęczeni Karaibami.

Jak łatwo było go okłamywać. Kiedy to się zaczęło? Kiedy przestali mówić sobie prawdę?

Usiadł obok niej na łóżku. Czuła, że się jej przygląda.

— Gdy tylko wyzdrowiejesz, wrócimy do Grecji — powie działo. — Może nawet pojedziemy z Cynthią i Robertem.

Chciałabyś?

Kiwnęła głową, patrząc na swoje dłonie i obumierające palce. Ja już nigdy nie wyzdrowieję, pomyślała. Oboje to wiemy. Wysunęła nogi spod pościeli.

— Muszę iść do łazienki — oznajmiła.

— Pomóc ci?

— Nie. Dam sobie radę. — Wstając z łóżka, poczuła lekki zawrót głowy. Ostatnio często jej się to zdarzało, kiedy wsta wała. Nie wspomniała o tym Victorowi, zaczekała po prostu, aż jej przejdzie, a potem powoli ruszyła do łazienki.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usłyszała, że mąż podnosi słuchawkę telefonu. Uświadomiła sobie, że ostatni numer, na który dzwoniła, pozostał w pamięci aparatu. Wystarczyło, by Victor nacisnął klawisz „wybierz ponownie”, a zorientuje się, że go okłamała. Dowie się, że nie dzwoniła do Cynthii. I na pewno w jakiś sposób odkryje, że rozmawiała z Abby DiMatteo.

Przyłgnęła plecami do drzwi łazienki, nasłuchując. Victor odłożył słuchawkę i powiedział:

— Nino?

Znów poczuła zawroty głowy. Pociemniało jej w oczach i nogi się pod nią ugięły. Zaczęła osuwać się na podłogę. Rozległo się głośne stukanie do drzwi.

— Nino, muszę z tobą pomówić.

— Victorze... — wyszeptała, wiedziała jednak, że jej nie słyszy. Nikt nie mógł jej usłyszeć.

Leżała na podłodze w łazience, zbyt słaba, by się poruszyć, zbyt słaba, by zawołać męża.

Czuła, że serce trzepocze jej w piersi jak skrzydła motyla.

— To nie może być tutaj — powiedziała Abby. Siedziała z Katzką w samochodzie zaparkowanym na małej uliczce w Roxbury. Była to dzielnica pozamykanych na kłódki sklepików i małych firm stojących na skraju bankructwa. Zyski przynosiła chyba tylko znajdująca się kilka domów dalej siłownia. Przez otwarte okna słyszeli metaliczny brzęk ciężarków i śmiechy mężczyzn. Do siłowni przylegał opuszczony

budynek z napisem DO WYNAJĘCIA. Obok niego stała czterokondygnacyjna kamienica z elewacją z piaskowca i wiszącą nad wejściem tablicą: Amity. Sprzęt medyczny. Sprzedaż i serwis.

Za okratowanymi oknami w zakurzonej witrynie były produkty firmy: kule i laski, butle tlenowe, piankowe podkładowki na materace, zapobiegające odleżynom, szpitalne szafki oraz manekin w stroju pielęgniarki i czepku z lat sześćdziesiątych.

Abby spojrzała na zaniedbaną wystawę i powtórzyła:

– To nie może być ta firma.

– W książce telefonicznej nie ma innej o tej nazwie – odparł Katzka.

– Po co Voss przekazywałby im pięć milionów dolarów?

– Może to tylko filia większej korporacji. I może chodziło o jakąś inwestycję.

Abby pokręciła głową.

– Coś mi tu nie gra. Proszę wczuć się w położenie Victora Vossa. Jego żona umiera, a on rozpaczliwie próbuje załatwić jej serce do przeszczepu. Na pewno nie myślałby w takiej chwili o inwestowaniu.

– To zależy od tego, jak bardzo troszczy się o żonę.

– Bardzo.

– Skąd pani to wie?

Popatrzyła na niego.

– Wiem.

Obrzucił ją swoim spokojnym spojrzeniem. Ale już nie wprawiał jej w zakłopotanie. Otworzył drzwiczki samochodu.

– Zobaczą, czego uda mi się dowiedzieć.

– Co pan zamierza?

– Rozejrzę się. Zadam parę pytań.

– Pójdę z panem.

– Nie, proszę zostać w samochodzie.

Zaczął wysiadać, ale go powstrzymała.

– Niech pan posłucha – powiedziała. – Przecież to ja najbardziej ryzykuję. Straciłam już pracę i pewnie wkrótce stracę także prawo

wykonywania zawodu. Wszyscy nazywają mnie morderczynią i psychopatką. Ci ludzie spieprzyli mi życie. To może być moja jedyna szansa, żeby się bronić.

— Więc nie zmarnujemy jej, dobrze? Ktoś może panią rozpoznać, a wtedy zostaliby ostrzeżeni. Chce pani tego?

Abby opadła na fotel. Katzka nie chciał jej zabierać ze sobą, ale się uparła. Oświadczyła, że pojedzie swoim samochodem, z nim lub bez niego. A teraz nawet nie mogła wejść do tego budynku. Nie mogła już walczyć. To także jej odebrano. Siedziała, potrząsając głową w bezsilnej złości. Była zła na Katzkę, ale wiedziała, że on ma rację.

— Proszę zablokować drzwi — powiedział i wysiadł z samo chodu.

Patrzyła, jak przechodzi przez ulicę i znika w obskurnej bramie. Doskonale wiedziała, co zobaczy w środku. Deprymującą kolekcję wózków inwalidzkich i basenów. Wieszaki z uniformami pielęgniarek, osłoniętymi poźółkłą folią. Pudła z butami ortopedycznymi. Potrafiła sobie to wszystko dokładnie wyobrazić, ponieważ bywała w takich sklepach, kupując dla siebie ubranie lekarskie.

Minęło pięć minut. Potem dziesięć.

Katzka, Katzka. Co pan tam robi?

Powiedział, że zada tylko parę pytań i postara się nie wzbudzać podejrzeń. Ufała w jego rozsądek. Przeciętny policjant z wydziału zabójstw jest pewnie znacznie bystrzejszy od przeciętnego chirurga. Ale od przeciętnego internisty niekoniecznie. W szpitalu często żartowano sobie z chirurgów. Interniści polegali na swoich umysłach, a chirurdzy na swoich bezcennych rękach. Kiedy internista chce wysiąść z windy, ale drzwi zaczynają się za wcześnie zamykać, wsadzi rękę, by je zablokować. A chirurg wsadzi głowę. Ha, ha, ha.

Minęło dwadzieścia minut. Było już po siedemnastej i anemiczne słońce ustępowało miejsca ponuremu zmierzchowi. Przez uchyloną szybę dobiegał szum samochodów jadących bulwarem Martina Luthera Kinga. Była godzina szczytu. Ze znajdującej się kilka domów dalej siłowni wyszli dwaj mężczyźni o imponujących bicepsach i wsiedli do swoich aut.

Abby wciąż wpatrywała się w bramę, czekając na Katzkę.

Była siedemnasta dwadzieścia.

Nawet na tej bocznej ulicy ruch zaczął się nasilać. Sznur samochodów prawie przez cały czas przesłaniał jej bramę. Nagle, gdy ruch na chwilę się przerzedził, dostrzegła mężczyznę, który wyszedł bocznymi drzwiami z budynku firmy „Amity”, przystanął na chodniku i spojrzał na zegarek. Gdy podniósł głowę, serce skoczyło Abby do gardła. Rozpoznała jego twarz. Krzaczaste brwi i jastrzębi nos.

Był to doktor Mapes. Kurier, który dostarczył na salę operacyjną serce dla Niny Voss.

Mężczyzna ruszył przed siebie. W połowie długości ulicy zatrzymał się obok zaparkowanego przy krawężniku niebieskiego samochodu Trans Am i wyjął z kieszeni kluczyki.

Abby spojrzała ponownie na budynek firmy „Amity”. Szybciej! Jeśli Katzka zaraz nie wyjdzie, Mapes ucieknie. Znowu spojrzała na niebieski wóz. Mapes wszedł już do niego i zapinał pas. Po chwili włączył silnik i powoli odbił od krawężnika, czekając na okazję, by włączyć się do ruchu.

Abby rzuciła okiem na stacyjkę i zobaczyła, że Katzka zostawił w niej kluczyki.

To mogła być jej jedyna szansa.

Niebieski trans am odjeżdżał.

Nie było czasu do namysłu.

Wcisnęła się za kierownicę i uruchomiła silnik. Kiedy gwałtownie ruszyła, usłyszała za sobą pisk opon i nerwowe trąbienie.

Przecnicę dalej Mapes przejechał przez skrzyżowanie tuż przed zapaleniem się czerwonego światła.

Abby zahamowała. Przed nią stały cztery samochody, których nie miała jak ominąć. Zanim światło zmieni się na zielone, Mapes może już być kilka przecznic dalej. Odliczała sekundy, przeklinając bostońską sygnalizację uliczną, bostońskich kierowców i swoje niezdecydowanie. Dlaczego nie ruszyła za nim wcześniej? Trans am był już tylko niebieską plamką w rzece pojazdów. Co się dzieje z tymi światłami?

W końcu zapaliło się zielone, ale nikt się nie ruszył. Kierowca samochodu z przodu chyba spał. Abby wcisnęła klakson, trąbiąc głośno. Wreszcie stojące przed nią samochody ruszyły z miejsca. Nadepnęła na gaz, ale zaraz uniosła stopę.

Ktoś walił w bok samochodu.

Spojrzawszy w prawo, zobaczyła, że po chodniku obok niej biegnie Katzka. Zahamowała i odblokowała drzwiczki.

Otworzył je gwałtownie.

— Co pani wyprawia, do cholery?

— Niech pan wsiada!

— Nie, najpierw proszę stanąć...

— Kurwa, wskakuj!

Zamrugał oczami z zaskoczenia i wskoczył do samochodu.

Natychmiast wdepnęła pedał gazu i przemknęli przez skrzyżowanie. Dwie przecznice dalej niebieska plama śmignęła w prawo. Trans am skręcił w Cottage Street. Musi siedzieć mu na ogonie, bo może go tam zgubić. Odbiła w lewo, przejeżdżając przez podwójną ciągłą linię, wyprzedziła trzy samochody i z piskiem opon w ostatniej chwili wróciła na właściwy pas. Usłyszała, że Katzka zapina pas. Bardzo dobrze, pomyślała. Mogła czekać ich szaleńcza jazda. Skręcili w Cottage.

— Powie mi pani wreszcie, o co chodzi? — odezwał się Katzka.

— Facet z tego niebieskiego samochodu wyszedł bocznymi drzwiami z budynku „Amity”.

— Kto to jest?

— Kurier, który dostarczył serce. Mówił, że nazywa się Mapes.

Zauważyła kolejną lukę między pojazdami i znów zjechała w lewo, a potem wróciła na swój pas.

— Chyba ja powinienem poprowadzić — mruknął Katzka.

.— Jedzie do ronda. Którędy teraz? Dokąd on...

Trans am objechał rondo i skręcił na wschód.

— Chyba chce się dostać na autostradę — powiedział Katzka.

— Więc my też — odparła Abby, po czym wjechała na rondo i ruszyła za niebieskim samochodem.

Katzka miał rację, Mapes rzeczywiście kierował się do wjazdu na autostradę. Pędziła za nim, czując, że pocajej się ręce, a serce wali jak szalone. Mogła go tutaj łatwo zgubić. O siedemnastej trzydziści jazda autostradą przypominała wyścig samochodów w lunaparku, bo każdy gnał do domu. Włączywszy się do ruchu, zobaczyła Mapesa daleko przed sobą. Zjeżdżał na lewy pas.

Próbowała zrobić to samo, ale jadąca przed nią ciężarówka nie chciała jej przepuścić. Włączyła kierunkowskaz, zamierzając zjechać na bok, jednak kierowca ciężarówki jeszcze bardziej przyspieszył. Sytuacja stawała się niebezpieczna, ale Abby miała we krwi zbyt dużo adrenaliny, by się bać, poza tym za bardzo zależało jej na dogonieniu Mapesa. Nagle stała się inną kobietą, zdesperowaną, ordynarną babą, którą z trudem poznawała. Nareszcie mogła zacząć walczyć i było jej z tym dobrze. Abby DiMatteo na testosteronie.

Wbiła w podłogę pedał gazu i skręciła gwałtownie w lewo tuż przed ciężarówką.

- Chryste! — wrzasnął Katzka. — Chce nas pani poza bijać?!
- Wszystko mi jedno. Muszę dorwać tego faceta.
- Tak samo zachowuje się pani na sali operacyjnej?
- Pewnie! Sieję postrach. Nie słyszał pan?
- Proszę mi przypomnieć, żebym nie chorował.
- ?— Co ten facet zamierza?

Trans am znów zmienił pas. Skręcił w prawo, w kierunku zjazdu do tunelu Callahan.

- Cholera! — zaklęła Abby i również skręciła w prawo.

Przejechała dwa pasy ruchu i po chwili wjechali w mroczny tunel. Mignęło im przed oczami graffiti na ścianach. Betonowe mury odbijały echem odgłos tarcia opon o nawierzchnię i świst przemykających tunelem samochodów. Szare światło zmierzchu u wylotu niemal ich oślepiło.

Trans am zjechał z autostrady. Abby przez cały czas siedziała mu na ogonie.

Znajdowali się teraz we wschodnim Bostonie, w pobliżu Logan International Airport. Pewnie Mapes tam właśnie jedzie, pomyślała Abby.

Była zaskoczona, gdy przeciął tory kolejowe i skierował się na zachód, oddalając od lotniska. Znowu wjechał w labirynt ulic.

Abby zwolniła, zwiększając dystans. Poziom adrenaliny, której gwałtowny przypływ poczuła w czasie szalonego pościgu na autostradzie, powoli opadał. Trans am nie mógł jej uciec w tej okolicy. Teraz musiała uważać, by jej nie spostrzegł.

Jechali wzdłuż nabrzeży. Za drucianą siatką stały rzędy pustych kontenerów, po trzy, jeden na drugim, jak gigantyczne klocki lego. Za placem z kontenerami znajdował się port przeładunkowy. Na tle zachodzącego słońca majaczyły sylwetki dźwigów i statków. Niebieski samochód skręcił w lewo i przez otwartą bramę wjechał na plac.

Abby zaparkowała przy siatce. Wyglądając prześwitem między wózkiem widłowym i kontenerem, zauważyła, że trans am podejżdża do mola i zatrzymuje się. Mapes wysiadł z samochodu i podszedł do statku zacumowanego przy nabrzeżu. Był to niewielki frachtowiec, mógł mieć jakieś sześćdziesiąt metrów długości.

Mapes krzyknął i po chwili na pokładzie pojawił się jakiś mężczyzna, zapraszając go gestem ręki na górę. Mapes wspiał się po trapie i zniknął we wnętrzu jednostki.

— Po co on tu przyjechał? — zdziwiła się Abby. — Po co wchodzi na statek?

. Jest pani pewna, że to ten człowiek?

Jeśli nie, to ma sobowtóra, który pracuje dla „Amity” — odparła i nagle zamilkła, przypominając sobie, gdzie Katzka spędził ostatnie pół godziny. — Czego pan się dowiedział o tej firmie?

— Zanim zauważyłem, że ktoś kradnie mi samochód? — Wzruszył ramionami. — W środku wszystko wygląda tak, jak należało się spodziewać. Zajmują się dostawą sprzętu medycznego. Powiedziałem, że potrzebuję szpitalnego łóżka dla żony, więc pokazali mi kilka najnowszych modeli.

— Ilu ludzi było w budynku?

— Widziałem tylko trzech. Jeden facet na dole, w sklepie.

Pozostali dwaj siedzieli na piętrze i przyjmowali zamówienia telefoniczne. Żaden z nich nie wydawał się zbyt szczęśliwy, że tam pracuje.

— A dwa górne piętra?

— Przypuszczam, że znajduje się tam magazyn. Nie ma w tym budynku nic podejrzanego.

Popatrzyła przez siatkę na niebieski samochód.

— Mógłby pan przejrzeć ich księgi. Sprawdzić, na co poszło pięć milionów dolarów od Vossa.

— Nie mamy podstaw, żeby żądać wglądu w ich akta.

— Jakich jeszcze potrzebuje pan dowodów? Wiem, że to Mapes był kurierem! Wiem, co ci ludzie robią.

— Pani zeznanie nie przekona żadnego sędziego. Zwłaszcza w obecnych okolicznościach — oświadczył Katzka. — Przykro mi, Abby, ale wie pani, równie dobrze jak ja, że straciła pani wiarygodność.

Poczuła, że ogarnia ją gniew.

— Ma pan całkowitą rację — wycedziła. — Kto by mi uwierzył? Stuknięta doktor DiMatteo znowu plecie bzdury.

Nie zareagował na to i Abby natychmiast pożałowała swoich słów. Dźwięk jej głosu, urażonego i pełnego sarkazmu, zdawał się wisieć w powietrzu między nimi.

Nad nimi z hukiem przeleciał odrzutowiec, rzucając na ziemię cień. Wspiął się w niebo, lśniąc w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Gdy jego huk ucichł, Katzka odwrócił się do Abby.

— Nie twierdzę, że pani nie wierzę — powiedział.

Spojrzała na niego.

— Nikt mi nie wierzy, więc dlaczego pan miałby?

— Z powodu doktora Leviego i okoliczności jego śmierci — odparł, patrząc na pogrążającą się w ciemnościach drogę. — Ludzie zwykle nie odbierają sobie życia w ten sposób.

W pustym, nieużywanym pokoju, w którym przez wiele dni nikt ich nie znajdzie. Nie lubimy myśleć o naszych rozkładają cych się ciałach. Chcemy, by odnaleziono nasze zwłoki, kiedy można w nas jeszcze rozpoznać ludzką istotę. Zanim zabiorą się do nich robaki. Zanim czernieją i spuchną. Poza tym doktor Levi miał mnóstwo planów. Wycieczka na Karaiby.

Święto Dziękczynienia z synem. — Katzka spojrział w bok, na latarnię uliczną, która właśnie rozbłysła w mroku. — Pozostaje także kwestia jego żony Elaine. Często muszę rozmawiać z ludźmi, którzy owdowieli. Niektórzy są w szoku, inni roz paczają. Są i tacy, którzy przyjmują odejście swojego partnera z ulgą. Sam jestem wdowcem. Pamiętam, że po śmierci żony stać mnie było tylko na to, by co rano zwlekać się z łóżka. A co robi Elaine Levi? Dzwoni do firmy przewozowej, pakuje cały dobytek i wyjeżdża z miasta. Wdowa w żałobie tak się nie zachowuje. Chyba że ma coś na sumieniu albo jest przerażona.

Abby kiwnęła głową. Również podejrzewała, że Elaine czegoś się przestraszyła.

— Potem powiedziała mi pani o Kunstlerze i Hennessym — mówił dalej Katzka. — I nagle okazało się, że nie chodzi o śmierć jednego człowieka, lecz o całą serię zgonów. A przy padek Aarona Leviego nie wygląda na samobójstwo.

Wystartował kolejny odrzutowiec, zagłuszając wszystko rykiem silników. Zatoczył łuk w lewo, przecinając wieczorną mgłę, zbierającą się nad portem. Nawet gdy już zniknął na zachodzie, Abby nadal miała w uszach huk jego turbin.

. — Doktor Levi wcale się nie powiesił — dodał detektyw po chwili milczenia. Abby zmarszczyła brwi.

— Sądziłam, że sekcja to potwierdziła.

— Przeprowadzono testy na obecność toksyn. Wyniki z laboratorium kryminalistyki przyszły w ubiegłym tygodniu.

— I co wykazały?

— W tkance mięśniowej znaleziono ślady sukcynylocholin.

Wpatrywała się w niego w oszołomieniu. Sukcynylocholina.

Anestezjologodzy stosowali ją do zwiotczenia mięśni podczas operacji. W sali operacyjnej był to bardzo pożyteczny lek. Poza nią jego podanie powodowało straszliwą śmierć. W pełni przytomny człowiek doznawał całkowitego paraliżu. Zachowywał świadomość, ale nie mógł poruszać się ani oddychać. Z trudem przełknęła ślinę, czując, że nagle zaschło jej w gardle.

— Więc to nie było samobójstwo.

— Nie.

Wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. Była zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek powiedzieć. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, jak musiała wyglądać śmierć Aarona. Popatrzyła przez siatkę w kierunku mola. Nad portem gęstniała wieczorna mgła i jej pasemka zaczynały przesuwać się w stronę nabrzeża. Mapes się nie pojawiał. W nikłym świetle zmierzchu majaczyła czarna sylwetka frachtowca.

— Chcę wiedzieć, co jest na tym statku — powiedziała po chwili. — I po co on tam poszedł — dodała, wyciągając rękę, by otworzyć drzwiczki.

Katzka powstrzymał ją.

— Jeszcze nie teraz.

— Więc kiedy?

— Podjedźmy do następnej przecznicy i poczekajmy. — Spojrzał w niebo, a potem na gęstniejącą nad wodą mgłę. — Wkrótce się ściemni.

—

Rozdział dwudziesty pierwszy

— Ile minęło czasu?

— Około godziny — odparł Katzka.

Abby skrzyżowała ramiona, drżąc z zimna. Wieczór zrobił się jeszcze chłodniejszy i szyby w samochodzie były zaparowane od ich oddechów. Odległa latarnia zabarwiła otaczającą ją mgłę żółtym światłem.

— Dopiero godzina? Mam wrażenie, że minęła już cała noc.

— To kwestia przyzwyczajenia. Na początku mojej kariery spędzałem sporo czasu na obserwowaniu podejrzanych.

Katzka jako młody, nieopierzony nowicjusz? Abby nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Nie widziała go w tej roli.

— Dlaczego został pan policjantem? — spytała.

Wzruszył ramionami. W mrocznym wnętrzu samochodu było to niemal niedostrzegalne.

— Odpowiadała mi ta praca.

— Cóż, to chyba wszystko wyjaśnia.

— A czemu pani została lekarką?

Narysowała palcem kreskę na zaparowanej szybie i spojrzała na prostokątne kaniony, tworzone przez rzędy kontenerów.

— Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć...

— To takie trudne pytanie?

— Odpowiedź jest dość skomplikowana.

Więc pewnie nie kierowała się pani zwyczajnymi moty wami. Takimi, na przykład, jak dobro ludzkości.

Potrząsnęła głową.

— Ludzkość nawet nie zauważyłaby mojej nieobecności.

— Uczyła się pani przez osiem lat. Potem przez kolejnych pięć odbywa staż. Musiała pani mieć dość silną motywację.

Szyba znów zaparowała. Abby przetarła ją ręką. Skroplona na szkle woda wydała jej się dziwnie ciepła.

— Chyba zawdzięczam tę decyzję mojemu bratu. Kiedy miał dziesięć lat, trafił do szpitala. Spędziłam wiele czasu, obserwując jego lekarzy i przyglądając się ich pracy.

Katzka przez chwilę czekał, czy nie powie czegoś więcej, potem zapytał cicho:

— Pani brat nie przeżył?

Pokręciła głową i odparła:

— To było dawno temu.

Popatrzyła na swoją dłoń lśniąca od wilgoci. Te krople są ciepłe jak łzy, pomyślała. Obawiała się, że może się rozplakać. Cieszyła się, że Katzka milczy. Nie miała ochoty odpowiadać na kolejne pytania, odtwarzać w pamięci scen z pogotowia, widoku Pete'a leżącego na wózku w ochlapanych krwią nowych tenisówkach. Wydawały jej się takie małe, o wiele za małe dla dziesięcioletniego chłopca. Potem przez wiele miesięcy patrzyła, jak braciszek leży w śpiączce i niknie w oczach, a jego kończyny kurczą się jak u noworodka. Tej nocy, gdy umarł, podniosła go z łóżka i siedziała, kołyszac go w ramionach. Był lekki i drobny jak niemowlę.

Nie opowiedziała o tym wszystkim Katzce, ale czuła, że ją rozumiał. Nie podejrzewała go o zdolność empatii, jednak zadziwiał ją także w wielu innych sprawach.

Spojrzał w mrok i powiedział:

?— Chyba jest już wystarczająco ciemno.

Wysiedli z samochodu i weszli przez otwartą bramę na plac z kontenerami. Sylwetka frachtowca majaczyła we mgle. Jedyftyrn

światłem na pokładzie statku była dziwna zielona poświata, sącząca się z jednego z dolnych iluminatorów. Poza tym statek wydawał się opuszczony. Weszli na molo, mijając stertę pustych skrzyń ułożonych na palecie.

Przystanęli przy trapie, nasłuchując plusku wody o kadłub i skrzypienia metalu i lin. Wzdrygnęli się oboje, gdy przeleciał nad nimi z hukiem kolejny samolot. Abby spojrzała w niebo i patrząc na znikające w górze światła odrzutowca, miała nieprzyjemne wrażenie, że to ona sama przemieszcza się w czasie i przestrzeni. Omal nie wyciągnęła ręki do Katzki, tak bardzo potrzebowała wsparcia. Jak to się stało, że znalazłam się tutaj z tym człowiekiem? — zastanawiała się. Jaki dziwny splot wydarzeń doprowadził do tego momentu w moim życiu?

Katzka dotknął jej ramienia. Poczowała ciepło jego dłoni.

— Rozejrzę się po pokładzie.

Wszedł na trap, jednak po kilku krokach zatrzymał się i spojrzał na molo.

Za nimi rozbłysła para reflektorów. Przez plac jechał w ich stronę jakiś pojazd. Furgonetka.

Abby nie miała szans ukryć się za skrzyniami i światła reflektorów osaczyły ją na końcu mola.

Furgonetka gwałtownie zahamowała. Oślepiąca ostrym światłem, Abby niemal nic nie widziała, ale słyszała odgłos otwieranych i zatraskiwanych drzwiczek samochodu. Po chwili usłyszała kroki biegnących po żwirze mężczyzn, którzy starali się uniemożliwić jej ucieczkę.

Nagle pojawił się obok niej Katzka. Nie słyszała nawet, kiedy wszedł z trapu. Natychmiast stanął między nią a furgonetką.

— Cofnijcie się — powiedział do nadbiegających mężczyzn. — Nie szukamy kłopotów.

Zatrzymali się na moment, a potem znowu zaczęli iść w ich kierunku.

— Przepuście nas! — krzyknął Katzka.

Częściowo zasłaniał Abby obu mężczyzn, nie widziała więc, co się potem stało. Zobaczyła tylko, że detektyw nagle przykucnął i w tym samym momencie usłyszała huk wystrzału i brzęk pocisku, odbijającego się od betonowego mola za jej plecami.

Oboje rzucili się za stertę skrzyń. Gdy rozległy się kolejne strzały i z drewna posypały się drzazgi, Katzka przygiął jej głowę do ziemi i sam również strzelił trzy razy.

Napastnicy zaczęli się wycofywać, pokrzykując coś do siebie.

Po chwili usłyszeli odgłos uruchamianego silnika furgonetki i pisk opon na żwirze.

Abby podniosła głowę i z przerażeniem zobaczyła, że furgonetka pędzi w ich stronę, najwyraźniej zamierzając staranować stertę skrzyń.

Katzka wycelował broń i znowu zaczął strzelać. Pociski rozbiły przednią szybę pojazdu.

Furgonetka wjechała z szaleńczą prędkością na molo, skręcając w prawo, a potem w lewo, jak taran, który wymknął się spod kontroli.

Katzka oddał dwa ostatnie strzały.

Furgonetka nadal się zbliżała.

Widząc oślepiający błysk reflektorów, Abby rzuciła się z mola w ciemność.

Lodowata woda było szokiem dla organizmu. Machając rozpaczliwie rękami i nogami, Abby wypłynęła na powierzchnię, krztusząc się słoną wodą i rozlaną na jej powierzchni ropą. Usłyszała nad sobą krzyki mężczyzn i głośny plusk. Wzburzona woda zalała jej głowę. Po chwili znów się wynurzyła. Przy końcu mola widać było fosforyzującą zieloną poświatę. Furgonetka zniknęła pod wodą, jej reflektory rzucały dwa snopy mdłego światła. Gdy zatonąła, zielonkawa poświata pograżyła się w mroku.

Katzka. Gdzie on się podział?

Obróciła się w wodzie, próbując coś dojrzeć w ciemnościach. Fale uderzały ją w twarz, oczy piekły od soli.

Nagle usłyszała cichy plusk i dwa metry od niej wyłoniła się z wody głowa Katzki. Spojrzał na nią, a kiedy zobaczył, że nic jej nie jest,

popatrzył w górę. Wzdłuż mola biegało dwóch, może trzech mężczyzn. Krzyczeli coś do siebie, ale Abby nie mogła ich zrozumieć.

To nie angielski, pomyślała. Nie potrafiła jednak określić, jakim mówią językiem.

W górze pojawiło się światło, przenikając mgłę i przeszukując powierzchnię wody.

Katzka zanurkował. Abby również. Płynęła, dopóki starczyło jej powietrza, jak najdalej od mola, w stronę otwartego morza. Co jakiś czas się wynurzała i zaczerpnąwszy tchu, nurkowała ponownie. Kiedy wypłynęła na powierzchnię po raz piąty, znajdowała się już w całkowitych ciemnościach.

Na molo widać było teraz dwa poruszające się światła, przeszukujące mgłę jak para przenikliwych oczu. Abby usłyszała gdzieś blisko plusk wody, a potem świst gwałtownie wciąganego powietrza, i domyśliła się, że to Katzka.

— Zgubiłem broń — wysapał.

— Co tu się dzieje, do cholery?

— Niech pani płynie dalej. Do następnego mola.

Ciemność rozjaśnił nagle porażający oczy blask. Na pokładzie frachtowca zapalono wszystkie światła i każdy szczegół mola stał się wyraźnie widoczny. Na trapie stał jeden mężczyzna, a drugi przykucnął na nabrzeżu z latarką. Trzeci trzymał karabin wymierzony w powierzchnię wody.

— Ruszajmy — powiedział Katzka.

Abby zanurkowała i zaczęła przedzierać się przez mroczną otchłań. Nigdy dobrze nie pływała. Głęboka woda jąprzezała. Wynurzyła się, by zaczerpnąć powietrza, ale wciąż wydawało jej się, że ma go za mało.

— Niech pani płynie! — ponaglał ją Katzka. — Do następ nego mola!

Spojrzała na frachtowiec i zobaczyła, że światła jego reflektorów zataczają coraz większe kręgi na wodzie. Zbliżały się do nich.

Ponownie zanurkowała.

Gdy w końcu wyszli z wody, niemal nie mogła poruszać kończynami. Z trudem wspięła się na skały, śliskie od ropy i wodorostów. Pąkle raniły jej kolana. Kuląc się w ciemnościach, wymiotowała do wody.

Katzka objął ją i próbował uspokoić. Drżała tak mocno, że gdyby nie jego uścisk, chyba rozpadłaby się na kawałki.

Kiedy nie miała już nic w żołądku, z wysiłkiem uniosła głowę.

— Już lepiej? — szepnął.

— Jest mi okropnie zimno.

— Wobec tego musimy poszukać jakiegoś ciepłego miej sca. — Spojrzał na wznoszące się wysoko molo. — Chyba uda nam się tam wdrapać. Chodźmy.

Zaczęli wspinać się razem po skałach, ślizgając się na mchach i wodorostach. Katzka pierwszy dotarł na górę i wyciągnął rękę, by pomóc Abby. Przykucnęli na molo.

W tym momencie mgłę przebiło światło reflektora, oświetlając ich oboje.

Pierwszy pocisk odbił się rykoszetem od betonu tuż za Abby.

— Spadamy stąd! — krzyknął Katzka.

Rzucili się do ucieczki. Światło reflektora ścigało ich zygzakiem w ciemności. Opuścili już betonowe molo, biegnąc w stronę placu z kontenerami. Kule siekły żwir wokół nich. Przed nimi majaczyły sylwetki kontenerów, tworzących gigantyczny mroczny labirynt. Kiedy wbiegli za stojące najbliżej, usłyszeli brzęk pocisków o metal. Potem strzelanina ustała.

Abby zwolniła, by złapać oddech. Wciąż jeszcze była wyczerpana po przepłynięciu długiego dystansu i osłabiona wymiotami. Dygotała z zimna i słała się na nogach.

Usłyszeli głosy. Zbliżały się równocześnie z dwóch stron.

Katzka chwycił ją za rękę i wciągnął głębiej w labirynt kontenerów.

Pobiegli do końca szeregu, skręcili w lewo i biegli dalej. Nagle oboje stanęli.

W miejscu, gdzie kończył się rząd kontenerów, rozbłysło światło.

Katzka gwałtownie skręcił w prawo i wbiegł w inny korytarz. Kontenery wznosiły się nad nimi po obu stronach jak ściany wąwozu. Gdy usłyszeli głosy, znów zmienili kierunek. Skręcali już tyle razy, że Abby zastanawiała się, czy nie biegają w kółko, czy kilka sekund wcześniej nie uciekali już tą samą drogą.

Przed nimi znowu zamigotało światło.

Kiedy zatrzymali się i odwrócili, zamierzając pobiec z powrotem, zobaczyli błysk kolejnej latarki. Jej światło omiało ciemność, posuwając się w ich kierunku.

Ich prześladowcy byli przed nimi i za nimi.

Przerażona Abby cofnęła się i wyciągając rękę dla utrzymania równowagi, trafiła na szczelinę między dwoma kontenerami. Na tyle szeroką, że mogła się w nią wcisnąć.

Światło latarki migotało coraz bliżej.

Chwyciwszy Katzkę za ramię, wsunęła się w szczelinę, ciągnąc go za sobą. Przedzierała się coraz głębiej wśród pajęczyn, aż trafiła na ścianę kontenera. Nie było stąd wyjścia. Znaleźli się w pułapce, zamknięci w przestrzeni niewiele większej od trumny.

Kroki na żwirze słychać było coraz wyraźniej.

Katzka ścisnął rękę Abby, ale jego dotyk jej nie uspokoił. Serce waliło jej jak młotem. Kroki zbliżały się szybko.

Słyszała teraz głosy. Jeden z mężczyzn krzyknął coś do drugiego, a tamten odpowiedział mu w jakimś niezrozumiałym języku. Ale może to krew tak dudniła jej w uszach, że ich słowa stawały się dla niej bełkotem?

Obok szczeliny zamigotało światło. Ścigający ich mężczyźni stali w pobliżu i rozmawiali, wyraźnie zaskoczeni. Gdyby poświecili latarkami w szczelinę, dostrzegliby tam swoje ofiary. Jeden z nich kopnął ziemię i grudki żwiru z metalicznym brzękiem uderzyły o kontener.

Abby zamknęła oczy. Wołała nie widzieć, co się stanie, gdy snop światła omiecie ich kryjówkę. Katzka mocniej ścisnął ją za rękę. Po chwili znów usłyszała skrzypienie butów na żwirze.

Potem kroki się oddaliły.

Abby nie miała odwagi ruszyć się z miejsca. Nie była zresztą pewna, czy da radę. Jej nogi były jak sparaliżowane. Pewnie po wielu latach znajdują tu mój szkielet zeszywniały z przerażenia, pomyślała.

Detektyw precyzyjnie się do wyjścia i już zamierzał wystawić głowę, chcąc się rozejrzeć, gdy nagle usłyszeli cichy trzask i przed szczeliną rozbłysnął płomień zapałki. Katzka znieruchomiał. W ciemnościach rozszedł się zapach dymu z papierosa.

Z oddali dobiegło wołanie jakiegoś mężczyzny.

Palacz odkrzyknął coś w odpowiedzi i po chwili odszedł.

Katzka nadal trwał w bezruchu.

Stali tak, trzymając się za ręce i nie ośmielając się do siebie odezwać. Dwukrotnie słyszeli, jak ich prześladowcy przechodzą obok kontenerów, ale nie zajrzeli do szczeliny.

Gdzieś daleko rozległ się grzmot przypominający pomruk burzy, a potem zapanowała cisza.

Dopiero wiele godzin później wyslizgnęli się w końcu ze swojej kryjówki. Ostrożnie przeszli wzdłuż rzędu kontenerów i przystanęli na chwilę, by przyjrzeć się nabrzeżu. Nic nie zakłócało nocnej ciszy. Mgła podniosła się i na niebie, rozjaśnionym luną światła miasta, migotały gwiazdy.

Sąsiednie molo było pogrążone w ciemnościach. Nie zobaczyli tam nikogo, żadnych światła. Widać było tylko długi, niski kontur wysuniętego w morze betonowego mola i blask księżyca na powierzchni wody.

Frachtowiec odpłynął.

Rozdział dwudziesty drugi

Sygnal alarmowy aparatu monitorującego akcję serca wył jak szalony, gdy przebiegająca przez ekran linia wykonywała chaotyczny taniec śmierci.

— Panie Voss! — Pielęgniarka chwyciła Victora za ramię, próbując odciągnąć go od łóżka Niny. — Lekarze potrzebują miejsca.

— Nie zostawię jej.

— Panie Voss, oni nie mogą wypełniać swoich obowiązków, kiedy pan tu jest!

Victor odtrącił jej rękę tak gwałtownie, że skuliła się, jakby została uderzona. Stał w nogach łóżka żony, ściskając tak mocno jego poręcz, że zbieleły mu kostki palców.

— Cofnąć się! — zawołał jeden z lekarzy. — Wszyscy do tyłu!

— Panie Voss! — krzyknął doktor Archer. — Musimy zastosować defibrylatory! Proszę natychmiast odsunąć się od łóżka.

Victor puścił poręcz i cofnął się.

Ciałem Niny wstrząsnął silny impuls elektryczny. Była zbyt drobna, zbyt delikatna, by postępowano z nią w ten sposób! Wzburzony Victor postąpił krok naprzód, gotów odebrać lekarzom łopatki defibrylatora, ale nagle znieruchomiał.

Poszarpana linia na ekranie monitora nad łóżkiem zamieniła się w serię spokojnych, rytmicznych drgań. Usłyszał czyjeś westchnienie ulgi i poczuł, że sam też wypuszcza z płuc powietrze.

- Ciśnienie skurczowe sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt pięć...
- Rytm się utrzymuje.
- Ciśnienie siedemdziesiąt pięć.
- Proszę zmienić kroplówkę.
- Porusza ręką. Może unieruchomić jej przegub?

Victor przepchnął się między pielęgniarkami do żony. Nikt nie próbował go powstrzymać. Ujął jej dłoń i przytknął do swoich warg. Wyczuł na jej skórze smak soli z własnych łez. Zostań ze mną. Błagam, zostań ze mną.

– Panie Voss? — Głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Odwróciwszy się, zobaczył doktora Archera.

– Czy możemy wyjść na korytarz? — spytał chirurg.

Victor pokręcił głową.

– Na razie pańskiej żonie nic nie grozi — zapewnił go Archer. — Wszyscy się nią troskliwie opiekują. Będziemy obok. Muszę z panem pomówić. To naprawdę pilne.

W końcu Victor kiwnął głową, delikatnie położył rękę Niny na łóżku i wyszedł za Archerem z izolatki.

Stanęli w kącie poczekalni oddziału intensywnej terapii. Światła przygaszono już na noc i na tle zielonej poświaty monitorów widać było nieruchomą sylwetkę siedzącej w dyżurce pielęgniarki.

– Operacja została przełożona — oznajmił Archer. — Pojawił się problem z pobraniem serca od dawcy.

– Jak to?

– Nie możemy dziś operować. Musimy to przełożyć na jutro.

Victor spojrzał w głąb izolatki. Przez niezastłoniętą szybę widział, jak Nina porusza głową. Odzyskiwała przytomność. Powinien być teraz przy niej.

– Jutro wszystko musi się udać — oświadczył.

– Może pan być spokojny.

– Po pierwszej operacji też mi pan tak mówił.

– Nie zawsze można zapobiec odrzuceniu przeszczepu.

Bez względu na to, jak bardzo się staramy.

— Jaką mam pewność, że to się nie zdarzy ponownie?

— Niczego nie mogę panu obiecać. Ale w tym momencie nie mamy wyboru. Cyklospoiyna zawiodła. OKT trzy wywołało reakcję anafilaktyczną. Pozostał tylko kolejny przeszczep.

— Na pewno wykonacie go jutro?

Archer kiwnął głową.

— Na pewno.

Nina nie była jeszcze w pełni przytomna, gdy Victor do niej wrócił. Tyle razy obserwował ją we śnie. Z upływem lat dostrzegał zmiany, jakie zachodziły w jej twarzy. Delikatne zmarszczki w kącikach ust. Lekkie opadanie policzków. Pasemka siwizny we włosach. Ubolewał nad każdą taką zmianą, bo przypominała mu, że ich wspólna podróż jest jedynie krótkotrwałą wędrówką przez zimną, samotną wieczność.

Jednak ponieważ była to jej twarz, kochał wszystko, co w niej widział.

Nina otworzyła oczy dopiero po kilku godzinach. Początkowo nie zauważył, że żona już nie śpi. Siedział na krześle przy jej łóżku, zgarbiony ze zmęczenia, ale nagle coś kazało mu unieść głowę i spojrzeć na nią.

Patrzyła na niego. Rozwarła dłoń w niemej prośbie o dotyk. Ujął jej rękę i pocałował.

— Wszystko będzie dobrze — wyszeptala.

Uśmiechnął się.

— Tak, oczywiście.

— Miałam w życiu szczęście, Victorze. Dużo szczęścia.

— Ja także.

— Ale teraz musisz pogodzić się z tym, że odchodzę.

Victor przestał się uśmiechać i pokręcił głową.

— Nie mów tak.

— Jeszcze wiele przed tobą — powiedziała cicho.

— A co będzie z nami? — Ścisnął teraz jej dłoń w obu rękach jak człowiek, który rozpaczliwie próbuje zatrzymać przeciekającą między palcami wodę. — Ty i ja, Nino, jesteśmy wyjątkowi!

Zawsze to sobie powtarzaliśmy, pamiętasz? Że nie jesteśmy podobni do innych ludzi i że nic złego nigdy się nam nie przydarzy.

— Ale coś się jednak stało, Victorze — wymamrotała. — Coś się stało ze mną.

— Na pewno się tym zajmę.

Nic na to nie odpowiedziała, pokręciła tylko ze smutkiem głową.

Zdawało mu się, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim Nina ponownie zamknęła powieki, był wyraz buntu w jej oczach. Gdy spojrzał na jej dłoń, którą tak zaborczo obejmował, zobaczył, że jest zaciśnięta w pięść.

Kiedy detektyw Lundquist podwiózł wyczerpaną Abby pod jej dom, dochodziła północ. Zobaczyła, że na podjeździe nie ma samochodu Marka. Gdy weszła do mieszkania, poczuła panującą w nim pustkę. Pewnie miał w szpitalu jakiś nagły przypadek, pomyślała. Często bywał wzywany w środku nocy do Bayside, jeśli przywieziono kogoś postrzelonego lub pchniętego nożem. Próbowwała wyobrazić go sobie takiego, jakim wielokrotnie widywała go na sali operacyjnej — w niebieskiej maseczce i z wyrazem skupienia w oczach — ale nie potrafiła przywołać w myślach tego obrazu. Jakby dawne wspomnienia zostały wymazane z jej pamięci.

Podeszła do telefonu, mając nadzieję, że zostawił nagranie na automatycznej sekretarce. Znalazła jednak tylko dwie wiadomości od Vivian. Dzwoniła z innego stanu, z Burlington. Było już zbyt późno, by do niej oddzwaniać. Spróbuje jutro rano.

Wspięła się na piętro, zdjęła z siebie mokre rzeczy, wrzuciła je do pralki i weszła pod prysznic. Zauważyła, że kafelki są suche. Oznaczało to, że Mark nie korzystał tego wieczoru z Prysznica. Czyżby w ogóle nie wrócił do domu?

Czując na ramionach strugi gorącej wody, stała z zamkniętymi oczami i rozmyślała. Bała się tego, co musi powiedzieć Markowi. Po to wróciła tej nocy do tego domu. Tym razem musi stawić mu czoło, zażądać od niego odpowiedzi. Nie potrafi dłużej znosić niepewności.

Kiedy wyszła spod prysznic, usiadła na łóżku i wysłała Markowi sygnał na pager. Była zaskoczona, gdy telefon niemal od razu zadzwonił.

— Abby? — Nie był to Mark, lecz Katzka. — Sprawdzam tylko, czy wszystko w porządku. Dzwoniłem przed chwilą i nie było odpowiedzi.

— Brałam prysznic. Jestem cała i zdrowa. Czekam, aż Mark wróci do domu.

Milczał przez chwilę.

— Jest pani sama?

Troska w jego głosie sprawiła, że Abby uśmiechnęła się lekko. Wystarczyło trochę oskrobać jego pancerz i okazywało się, że kryje się pod nim wrażliwy człowiek.

— Tak, ale pozamykałam wszystkie drzwi i okna — odparła.

Słyszała w słuchawce odgłosy rozmów i piszczenie policyjnego radia i niemal widziała stojącego na nabrzeżu Katzkę, oświetlanego niebieskimi błyskami lamp radiowozu. — Co się tam dzieje? — spytała.

— Czekamy na pletwonurków.

— Naprawdę pan sądzi, że kierowca jest nadal w furgonetce?

— Obawiam się, że tak — odparł i westchnął ciężko.

Wydawał jej się tak zmęczony, że powiedziała:

— Powinien pan wrócić do domu, Katzka. Potrzebny panu gorący prysznic i rosół. To zalecenie lekarza. Moja recepta.

Zaśmiał się. Zaskoczył ją tym, bo nigdy dotąd nie słyszała jego śmiechu.

— Zrobię to, jeśli tylko znajdę aptekę, w której będę mógł ją zrealizować.

Ktoś się do niego odezwał. Jakiś policjant pytał o trajektorie pocisków. Katzka odsunął słuchawkę od ucha, by mu odpowiedzieć, po czym rzekł:

— Muszę iść. Na pewno jest pani tam bezpieczna? Nie wolałaby pani przenieść się do hotelu?

— Nie ma takiej potrzeby.

— W porządku. — Katzka znów ciężko westchnął. — Ale chciałbym, żeby rano wezwała pani ślusarza. Niech zainstaluje rygle na wszystkich drzwiach. Zwłaszcza jeśli zamierza pani często spędzać noce sama.

— Na pewno go wezwę.

Znowu zapadła cisza. Najwyraźniej Katzka musiał zająć się innymi sprawami, ale chyba nie miał ochoty kończyć rozmowy. W końcu powiedział:

— Zadzwoń do pani rano.

— Dziękuję — odparła Abby i odłożyła słuchawkę.

Ponownie wysłała Markowi sygnał na pager, a potem wyciąg nęła się na łóżku i czekała, aż oddzwoni. Nie zrobił tego.

Próbowała uciszyć swój narastający niepokój, wymyślając różne możliwe powody jego milczenia. Mógł spać w jednej ze szpitalnych dyżurek. Mógł mu się zepsuć pager. Mógł być na sali operacyjnej.

Albo nie żył. Tak jak Aaron Levi. Jak Kunstler i Hennessy.

Ponownie puściła sygnał. A potem jeszcze raz.

O trzeciej nad ranem telefon w końcu zadzwonił. Abby natychmiast oprzytomniała i sięgnęła po słuchawkę.

— Abby, to ja — odezwał się Mark. Trzeszczało, jakby dzwonił z bardzo daleka.

— Próbuję cię zlokalizować od wielu godzin — powiedziała ła. — Gdzie się podziewasz?

— Jadę właśnie samochodem do szpitala. — Milczał przez chwilę. — Abby, musimy porozmawiać. Zaszły... pewne zmiany.

— Masz na myśli nasz związek? — spytała cicho.

— Nie, to nie ma nic wspólnego z tobą. Nigdy nie miało.

Chodzi o mnie. Przypadkiem zostałam w to wplątana, Abby.

Próbowałam ich nakłonić, żeby się z tego wycofali, ale sprawy zaszły już za daleko.

— O kim mówisz?

— O zespole.

Bała się zadać następne pytanie, ale nie miała wyboru.

— Wszyscy jesteście w to zamieszani?

— Już nie.

Połączenie zostało na chwilę zakłócone i w słuchawce rozległ się szum ruchu ulicznego, a potem znów usłyszała głos Marka:

— Mohandas i ja powzięliśmy tej nocy decyzję. Byłem właśnie u niego. Abby, kładziemy głowy pod topór, ale uznaliśmy, że czas z tym skończyć. Nie możemy tego dłużej robić.

Zamierzamy nadać tej sprawie rozgłos. Mamy gdzieś ich wszystkich. I całe Bayside. — Przerwał na chwilę, bo nagle załamał mu się głos. — Byłem tchórzem. Przykro mi.

Abby zamknęła oczy.

— Wiedziałaś. Od początku.

— Nie wszystko. Nie miałem pojęcia, jak daleko Archer się posunął. Nie chciałem tego wiedzieć. Potem zaczęłaś zadawać te wszystkie pytania i nie mogłem już chować głowy w pia sek... — Westchnął ciężko i dodał: — To mnie zniszczy, Abby.

Wciąż miała zamknięte oczy. Niemal widziała, jak Mark siedzi w mrocznym wnętrzu samochodu, trzymając jedną ręką kierownicę, a w drugiej ściskając komórkę. Potrafiła sobie wyobrazić rozpacz na jego twarzy. I odwagę. Przede wszystkim odwagę.

— Kocham cię — wyszeptał.

— Wracaj do domu, Mark. Proszę.

— Jeszcze nie teraz. Mam się spotkać w szpitalu z Mohandasem. Chcemy odnaleźć akta dawców.

— Wiesz, gdzie je trzymają?

— Mamy pewne podejrzenia. Ale we dwóch możemy po trzebać sporo czasu, żeby przeszukać wszystkie kartoteki. Gdybyś nam pomogła, do rana moglibyśmy się z tym uporać.

Usiadła na łóżku.

— I tak niewiele dziś pośpię. Gdzie się umówiłeś z Mohandasem?

— W archiwum. On ma klucz. — Mark zawahał się. — Jesteś pewna, że chcesz się w to angażować?

— Chcę być tam, gdzie ty. Zrobimy to razem, dobrze?

— Dobrze — odparł cicho. — Do zobaczenia.

Pięć minut później wyszła z domu i wsiadła do samochodu.

Ulice West Cambridge były opustoszałe. Skrzyła w Memoriał Drive, omijając Charles River w drodze na południowy zachód, w stronę mostu na River Street. Było kwadrans po trzeciej nad ranem, ale dawno już nie czuła się tak rozbudzona. I tak ożywiona.

Wreszcie ich pokonamy! — pomyślała. I zrobimy to razem. Szkoda, że dopiero teraz.

Przejechała przez most, kierując się na płatną autostradę. O tej porze było tam niewiele samochodów i bez trudu włączyła się do ruchu na wschód.

Pięć kilometrów dalej autostrada się kończyła. Abby zmieniła pas, szykując się do zjazdu na Southeast Expressway. Skręcając, ujrzała we wstecznym lusterku światła reflektorów.

Przyspieszyła i wjechała na południowy pas autostrady.

Światła były coraz bliżej. Nie miała pojęcia, od jakiego czasu ma je za sobą, ale osaczały ją jak dwa nietoperze z piekła rodem.

Dodała gazu.

Jadący za nią samochód także przyspieszył, po czym zjechał w lewo, na sąsiedni pas, i zrównał się z jej autem.

Spojrawszy w bok, zobaczyła, że w prześladowującym ją wozie opuszcza się szyba, i kątem oka dostrzegła sylwetkę mężczyzny siedzącego na fotelu pasażera.

W panice wdepnęła do oporu pedału gazu.

Zbyt późno zauważyła stojący przed nią na jezdni samochód. Wcisnęła hamulec. Jej wóz obrócił się i uderzył w betonową barierę. Świat zaczął wirować jej przed oczami. Przez chwilę widziała na przemian ciemność i światło. Potem wszystko ogarnął mrok.

o n D — ...powtarzam, tu jednostka czterdzieści jeden. Przewidywany czas przyjazdu: trzy minuty. Odbiór.

— Przyjąłem, czterdzieści jeden. Jaki stan?

— Ciśnienie skurczowe dziewięćdziesiąt pięć. Tętno sto dziesięć. Podajemy roztwór soli. Hej, chyba zaczyna się poruszać.

- Unieruchomić ją.
- Ma założony kołnierz i usztywniony kręgosłup.
- W porządku, jesteśmy gotowi i czekamy na was.
- Do zobaczenia za minutę, Bayside...

Światło.

I ostry, pulsujący ból w głowie.

Próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Chciała odwrócić się od tego oślepiającego światła, lecz miała unieruchomioną szyję. Była przekonana, że gdyby udało jej się uciec od tego światła i znów pograżyć w mroku, ból by ustąpił. Ze wszystkich sił chciała pokonać paraliż, który unieruchomił jej kończyny.

— Abby! Abby, niech się pani nie rusza! — poleciał jej jakiś głos. — Muszę zajrzeć w pani źrenice.

Szarpnęła się znowu i poczuła więzy na przegubach i kostkach. Uświadomiła sobie, że to nie paraliż uniemożliwia jej ruchy. Wszystkie kończyny miała przywiązane do wózka.

— Abby, tu doktor Wettig. Niech pani na mnie spojrzy.

Proszę patrzeć na światło. Niech pani otworzy oczy.

Zmusiła się, by to zrobić, choć promień kieszonkowej latarki przeszywał jej czaszkę jak sztylet.

— Proszę patrzeć na światło. Doskonale, Abby. W porządku, obie źrenice reagują. Odruchy są prawidłowe. — Latarka wreszcie zgasła. — Ale musimy jeszcze zrobić tomografię.

Abby rozróżniała już kształty. Widziała na tle lamp zarys „łowy doktora Wettiga. Kątem oka dostrzegła także głowy innych krzątających się wokół niej osób i wiszącą obok białą zasłonę, przypominającą chmurę. Nagle wzdrygnęła się, czując bolesne ukłucie na lewym ramieniu.

— Spokojnie, Abby — powiedział kobiecie głos, łagodny i kojący. — Muszę pani pobrać krew. Proszę leżeć spokojnie.

Trzeba napełnić kilka probówek.

Po chwili odezwał się trzeci głos:

— Doktorze Wettig, rentgen już gotowy.

— Chwileczkę — odparł Wettig. — Dajcie igłę o większej średnicy. Szesnastkę. Pospieszcie się.

Abby poczuła kolejne ukłucie, tym razem w prawe ramię. Ból wyrwał ją z oszołomienia i rozjaśnił umysł. Wiedziała już, gdzie jest. Nie pamiętała, jak się tu znalazła, ale zdawała sobie sprawę z tego, że jest na ostrym dyżurze w Bayside i że musiało się zdarzyć coś strasznego.

— Mark — powiedziała nagle, próbując się podnieść. — Gdzie jest Mark?

— Niech się pani nie rusza! Odłączy się kroplówka!

Czyjaś dłoń chwyciła jej łokieć, przyciskając jej rękę do wózka. Nie był to delikatny uścisk.

— Mark! — krzyknęła.

— Abby, niech pani posłucha. — Był to znów Wettig. Mówił niskim, zniecierpliwionym głosem. — Próbujemy skontaktować się z Markiem. Na pewno wkrótce tu będzie. Ale teraz musi pani z nami współpracować, bo inaczej nie będziemy w stanie pani pomóc. Rozumie pani? Abby, czy pani to rozumie?

Spojrzała na niego i znieruchomiała. Jako stażystka zawsze czuła lęk na widok tych beznamiętnych niebieskich oczu. Ale teraz, skrępowana i bezradna, czuła przerażenie. Rozejrzała się po pokoju, szukając jakiejś przyjaznej twarzy, jednak wszyscy byli zbyt zaabsorbowani próbkami z krwią i wskazaniem Monitorów.

Usłyszała szelest odciąganej zasłony i poczuła szarpnięcie, gdy wózek zaczął jechać. Przed jej oczami przesunął się rząd lamp na suficie. Wiedziała, że zabierają ją w głąb szpitala. Na terytorium wroga. Nie próbowała walczyć. Była całkowicie unieruchomiona. Myśl, mówiła sobie w duchu. Musisz coś wymyślić.

Skręcili za narożnik, do sali rentgena. Nad wózkiem pojawiła się kolejna twarz. Technik obsługujący tomograf. Przyjaciel czy wróg? Przenieśli ją na stół i zacisnęli pasy na jej klatce piersiowej i biodrach.

— Proszę się nie ruszać, bo będziemy musieli to powtórzyć — powiedział technik.

Gdy skaner przesuwiał jej się nad głową, nagle ogarnęło ją uczucie klaustrofobii. Pamiętała, jak opisywali to inni pacjenci: „Masz wrażenie, że wciskają ci głowę do temperówki”. Zamknęła oczy. Po chwili usłyszała kuknięcie i aparat zaczął obracać się wokół jej głowy. Próbowwała zebrać myśli, przypomnieć sobie swój wypadek.

Pamiętała, że wsiadła do samochodu i jechała na autostradę. Dalej miała lukę w pamięci. Amnezja wsteczna. Sam wypadek był białą plamą. Ale zdarzenia, które do niego doprowadziły, mogła powoli odtworzyć.

Zanim skończono tomografię, zdołała przypomnieć sobie wystarczająco dużo, by wiedzieć, co musi zrobić, jeśli chciała pozostać przy życiu.

Zachowywała się spokojnie, gdy technik prznosił ją z powrotem na wózek – na tyle spokojnie, że nie związał jej przegubów i zapiał tylko pas na piersi. Potem przepchnął wózek do poczekalni rentgena.

– Zaraz zabiorą panią na ostry dyżur – oznajmił. – Gdyby mnie pani potrzebowała, proszę zawołać. Jestem w pokoju obok.

Słyszała przez otwarte drzwi, jak mówi do telefonu:

– Tak, dzwonię z tomografii. Już skończyliśmy. Doktor Blaise właśnie przegląda klisze. Chcecie ją odebrać?

Abby wyciągnęła rękę i rozpięła klamrę pasa. Gdy usiadła, pokój zawirował jej przed oczami. Przycisnęła dłonie do skroni i zawroty głowy minęły.

Kroplówka.

Zerwała z ręki plaster, krzywiąc się z bólu, i wyciągnęła wenflon. Roztwór soli pociekł z rurki na podłogę. Nie zwracała na to uwagi, skupiając się na tamowaniu krwawienia z żyły. Po nakłuciu szesnastką zostaje całkiem spora dziura. Choć Abby mocno ją zakleiła, spod plastra nadal sączyła się krew. Nie może się teraz tym przejmować. Za chwilę przyjdą po nią.

Zeszła z wózka, stając bosymi stopami w kałuży soli fizjologicznej. W sąsiednim pokoju technik czyścił blat tomografu. Słyszała szelest ręczników papierowych i brzęk metalowego kosza na śmieci.

Zdjęła z haczyka laboratoryjny fartuch i włożyła go na szpitalną koszulę. Nawet ten niewielki wysiłek pozbawił ją resztek energii. Idąc w kierunku drzwi, starała się zebrać myśli, otrząsnąć z zamroczenia. Nogi miała jak z waty, czuła się, jakby brnęła przez ruchome piaski. Po chwili znalazła się na korytarzu.

Nikogo na nim nie było.

Nogi wciąż załamywały się pod nią, więc co jakiś czas wspierała się o ścianę. Skręciła za róg. Na końcu korytarza było wyjście awaryjne. Szła w jego kierunku, przekonana, że jeśli uda jej się do niego dojść, będzie bezpieczna.

Gdzieś za sobą usłyszała głosy i tupot nóg.

Pchnęła drzwi awaryjne i wyszła w mrok nocy. Włączył się alarm. Natychmiast zaczęła uciekać w ciemność. Wpadając na parking, potknęła się o krawężnik. Odłamki szkła i grudki żwiru wbiły się w jej białe stopy. Nie miała żadnego planu, nie wiedziała, dokąd powinna uciekać. Wiedziała tylko, że musi znaleźć się jak najdalej od Bayside.

Usłyszała za sobą krzyki.

Obejrzawszy się, zobaczyła, że z pogotowia wybiegają trzej ochroniarze.

Przykucnęła za samochodem, jednak zrobiła to zbyt późno. Zdążyli ją zauważyć.

Zaczęła znowu biec, ale jej nogi nie były jeszcze całkiem sprawne. Potykała się, klucząc między zaparkowanymi samochodami.

Ścigający ją mężczyźni byli coraz bliżej, nadbiegali jednocześnie z dwóch stron.

Skręciła w lewo, między dwa samochody.

Po chwili byli przy niej. Jeden z ochroniarzy chwycił ją za lewą rękę, drugi za prawą. Kopała ich, okładała pięściami, próbowała gryźć.

Ale oni ciągnęli ją z powrotem do budynku szpitala. Na ostry dyżur, do doktora Wettiga.

— Oni mnie zabijają! — krzyknęła. — Puśćcie mnie!

— Nikt pani nie skrzywdzi.

— Nic nie rozumiecie. Nie rozumiecie!

Drzwi otworzyły się szeroko. Wciągnięto ją do środka, do oświetlonego holu, i położono na wózku. Znowu została skrepowana, choć kopała i wyrywała się.

Po chwili zobaczyła nad sobą twarz doktora Wettiga.

— Pięć miligramów haloperidolu domięśniowo — rzucił.

— Nie! — wrzasnęła. — Nie!

— Natychmiast.

Pojawiła się pielęgniarka ze strzykawką w ręce. Zdjęła osłonę z igły.

Abby szarpała się, próbując uwolnić się z więzów.

— Przytrzymać ją — polecił Wettig. — Do cholery, czy możecie ją unieruchomić?

Przytrzymano ją mocno i obrócono na bok, odsłaniając prawy pośladek.

— Proszę... — błagała Abby, patrząc na pielęgniarkę. — Niech mu pani nie pozwoli mnie skrzywdzić.

Poczuła na pośladku lodowaty chłód alkoholu, a potem ukłucie igły.

— Błagam... — wyszeptała znowu.

Wiedziała jednak, że jest już za późno.

— Będzie dobrze — powiedziała pielęgniarka, uśmiechając się do niej. — Wszystko będzie dobrze.

Rozdział dwudziesty trzeci

— Na molo nie ma śladów hamowania — stwierdził detek tyw Carrier. — Przednia szyba furgonetki jest strzaskana, a kierowca ma dziurę po kuli nad prawym okiem. Znasz procedurę, Ślimak. Przykro mi, ale muszę odebrać ci broń.

Katzka kiwnął głową i spojrzał zmęczonym wzrokiem w wodę.

— Powiedz nurkowi, że znajdzie moją broń na dnie. O ile nie porwał jej prąd.

— Myślisz, że wystrzeliłeś osiem pocisków?

— Może nawet więcej. Wiem, że miałem pełny magazynek.

Carrie poklepał go po ramieniu.

— Wracaj do domu. Wyglądasz jak gówno na słońcu, Ślimak.

— Aż tak dobrze? — mruknął Katzka i ruszył wzdłuż mola, mijając ludzi z laboratorium kryminalistyki, krzątających się przy furgonetce.

Wydobyto ją z wody przed kilkoma godzinami i stała teraz na skraju placu z kontenerami. Z jej osi zwisały wodorosty. Powietrze w oponach obróciło furgonetkę do góry kołami i jej dach pogrzyżył się w mule. Cała przednia szyba była nim umazana. Ustalono już, że pojazd należy do Działu Transportu szpitala Bayside. Kierownik tego działu rozpoznał w niej jedną z trzech furgonetek używanych do przewozu materiałów i personelu. Nie zauważył, by którejkolwiek z nich brakowało, dopóki godzinę temu nie zadzwoniła do niego policja.

Drzwiczki po stronie kierowcy były teraz otwarte i do środka zaglądał fotograf, robiąc zdjęcia tablicy rozdzielczej. Ciało zabrano pół godziny temu. Na podstawie prawa jazdy ustalono, że kierowcą pojazdu był niejaki Oleg Borawoj, lat trzydzieści dziewięć, zamieszkały w Newark, w stanie New Jersey. Czekali na dalsze informacje.

Katzka wolał nie podchodzić do furgonetki. Kwestionowano jego działania, musiał więc trzymać się z dala od materiałów dowodowych. Przeszedł przez plac do miejsca, gdzie za siatką stał jego samochód, wsunął się do środka i ukrył twarz w dłoniach. O drugiej nad ranem pojechał do domu wziąć prysznic i zdrzemnąć się parę godzin, a tuż po wschodzie słońca był z powrotem na molo. Jestem już na to za stary, pomyślał. Co najmniej o dziesięć lat. Bieganie i strzelanie w ciemnościach jest dobre dla młodych, nie dla gliniarza w średnim wieku. A on czuł się człowiekiem w bardzo średnim wieku.

Ktoś zastukał w okno samochodu. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył Lundąuista. Opuścił szybę.

— Cześć, Ślimak. Dobrze się czujesz?

— Chyba pojedę do domu trochę się przespać.

— Jasne, ale zanim pojedziesz, pewnie chciałbyś usłyszeć, kim był kierowca tej furgonetki.

— Przysłali nam coś?

— Sprawdzili nazwisko Oleg Borawoj w komputerze. Mają go w swojej bazie danych. To rosyjski imigrant, przyjechał tu w osiemdziesiątym dziewiątym. Ostatnie znane miejsce zamieszkania Newark w stanie New Jersey. Trzykrotnie aresztowany, ale ani razu nie został skazany.

— O co był oskarżony?

— O porwania i wymuszenia. Zarzutów nigdy nie potwierdzono, ponieważ świadkowie zawsze znikali. — Lundąuist pochylił się i zniżył głos. — Zeszłej nocy wdepnąłeś w nieźle —

gówno. Policjanci z Newark twierdzą, że Borawoj należał do rosyjskiej mafii.

. — Są tego pewni?

. Chyba wiedzą, co mówią. Rosyjska mafia ma swoją bazę w New Jersey. Ślimak, przy tych facetach Kolumbijczycy to Klub Rotarian. Nie zabijają człowieka tak po prostu. Najpierw obcinają mu palce u rąk i nóg. Dla zabawy.

Katzka zmarszczył brwi, przypominając sobie koszmar minionej nocy, gdy siedział w lodowatej wodzie, a nad nim biegali po molo mężczyźni, wykrzykując coś w języku, którego nie rozumiał. Wyobraził sobie poodcinane palce i leżące na ulicach Bostonu części ludzkich ciał. Skojarzyło mu się to ze skalpelami i salami operacyjnymi.

— Co łączy Borawoja z Bayside? — spytał.

— Nie wiemy.

— Prowadził ich furgonetkę.

— Było w niej pełno sprzętu medycznego — dodał Lundquist. — Wartego kilka tysięcy dolarów. Może chodzi o czarny rynek. Borawoj mógł mieć w Bayside wspólników, którzy zaopatrywali go w lekarstwa i sprzęt. A ty nakryłeś go, gdy dostarczał towar na frachtowiec.

— No właśnie, co z tym frachtowcem? Rozmawiałeś z kapi tanatem portu?

— Statek należy do Spółki Sigajewa, firmy z New Jersey.

Pływa pod panamską banderą. Ostatnio zawijał do Rygi.

— Gdzie to jest?

— Na Łotwie. To chyba jakaś była republika radziecka.

Znowu Rosjanie, pomyślał Katzka. Jeśli rzeczywiście chodziło o rosyjską mafię, mieli do czynienia z przestępcami Pozbawionymi jakichkolwiek skrupułów. Z każdą nową falą emigrantów przybywali do Stanów kryminaliści, podążający za swoimi rodakami do ziemi obiecanej w poszukiwaniu łatwej zdobyczy.

Pomyślał o Abby DiMatteo i nagle ogarnął go niepokój. Nie od niej żadnej wiadomości, odkąd o pierwszej w nocy rozmawiali przez telefon. Przed godziną zamierzał znów do niej zadzwonić, ale gdy wystukiwał jej numer, uświadomił sobie, że ma przyspieszony puls. Wiedział, co to oznacza. Oczekiwanie i irracjonalne pragnienie, by znów

usłyszeć jej głos. Nie doznawał takiego uczucia od lat i aż nazbyt boleśnie rozumiał, co się za nim kryje.

Szybko przerwał połączenie i zaczął popadać w coraz głębszą depresję.

Spojrzał w stronę mola. Statek mógł już być sto mil od portu. Ale nawet gdyby go zlokalizowali, byłyby problemy z jurysdykcją.

— Chcę wiedzieć wszystko, co się da, na temat Spółki Sigajewa. I jej powiązań z firmą „Amity” i szpitalem Bayside — powiedział Lundquistowi.

— Zajmę się tym, partnerze.

Katzka uruchomił silnik i spojrzał na niego.

— Twój brat nadal pracuje w Straży Przybrzeżnej?

— Nie. Ale ma tam kolegów.

— Zapytaj ich, czy wchodzili ostatnio na ten frachtowiec.

— Wątpię. Dopiero co przyплыł z Rygi — odparł Lundquist i wyprostował się nagle.

W ich stronę szedł detektyw Carrier, machając ręką.

— Hej, Ślimak! — zawołał. — Dostałeś wiadomość o doktor DiMatteo?

Katzka natychmiast wyłączył silnik. Nie mógł jednak zagłuszyć dudnienia swojego tętna. Popatrzył na Carrier, spodziewając się najgorszego.

— Miała wypadek.

Wózek z obiadem toczył się z hałasem po korytarzu. Abby obudziła się i stwierdziła, że leży w mokrej od potu pościeli. Serce waliło jej jak młotem, bo wciąż miała przed oczami swój senny koszmar. Próbowwała przewrócić się na łóżku, ale nie mogła. Miała związane ręce i obolałe przeguby. Nagle uświadomiła sobie, że to wcale nie był sen. Przeżywała ten koszmar na jawie i nie mogła się z niego obudzić.

Szlochając z rozpaczy, wbiła wzrok w sufit. Nagle usłyszała jyzypienie krzesła i spojrzała w bok.

Przy oknie siedział Katzka. W świetle południowego słońca jego nieogolona twarz wydała jej się starsza i bardziej zmęczona niż kiedykolwiek przedtem.

— Prosiłem, żeby panią rozwiązali — powiedział. — Ale wyjaśnili mi, że nie mogą, bo pani ciągle wyszarpuje przewody od kroplówki. — Wstał i podszedł do łóżka. — Witamy wśród żywych, Abby. Miała pani szczęście, młoda damo.

— Nie pamiętam, co się stało.

— Pani samochód stoczył się z autostrady.

— Czy ktoś jeszcze...

Detektyw pokręcił głową.

— Nikt inny nie ucierpiał. Ale pani auto nadaje się na złom.

Zaległo milczenie. Abby uświadomiła sobie, że detektyw już na nią nie patrzy.

— Panie Katzka? — zapytała cicho. — Czy to była moja wina?

Kiwnął głową.

— Sądząc ze śladów opon, jechała pani z dużą prędkością.

Musiała pani zahamować, żeby uniknąć zderzenia ze stojącym przed panią pojazdem. Pani samochód uderzył w barierkę i przekoziółkował przez dwa pasy ruchu.

Zamknęła oczy.

— O Boże!

Znów zapadła cisza.

— Domyślam się, że nie słyszała pani reszty — dodał po chwili Katzka. — Rozmawiałem z oficerem śledczym. Znaleźli w pani samochodzie rozbitą skrzynkę wódki.

Otworzyła oczy i popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— To niemożliwe.

— Abby, nie może pani pamiętać, co się stało. Ubiegłej nocy na moło przeżyła pani ciężkie chwile. Może musiała pani odreagować i wypić w domu parę drinków.

— Przecież bym to zapamiętała! Nie zapomniiałabym, że piłam...

— Teraz najważniejszą sprawą jest to, żeby...

— To właśnie jest ważne! Nie widzi pan tego, Katzka?

Znowu próbują mnie zrobić!

Przetarł ręką oczy, usiłując przewyciężyć senność.

— Przykro mi, Abby — mruknął. — Wiem, że trudno się pani do tego przyznać, ale doktor Wettig pokazał mi właśnie wyniki testu na poziom alkoholu w pani krwi. Pobrali próbkę zeszłej nocy na pogotowiu. Dwa i jedna dziesiąta promila.

Unikał jej wzroku, wpatrując się w okno, jakby patrzenie na nią było ponad jego siły. Nie mogła się nawet odwrócić, żeby spojrzeć mu w twarz, bo krępowały ją skórzane pasy, którymi była przypięta do łóżka. Szarpnąwszy się gwałtownie, poczuła w przegubach taki ból, że do oczu napłynęły jej łzy. Pohamowała jednak płacz. Do cholery, nie będzie płakać.

Zamknęła oczy, próbując zapanować nad gniewem. Odebrali jej wszystko. Nawet Katzkę.

— Nie piłam — powiedziała powoli. — Musi mi pan uwierzyć. Nie byłam pijana.

— Może mi pani wyjaśnić, dokąd pani jechała o trzeciej nad ranem?

— Tu, do Bayside. Tylko tyle pamiętam. Zadzwoił do mnie Mark i zamierzałam... — Przerwała nagle. — Czy był tutaj? Dlaczego go nie ma?

Detektyw nie odpowiedział. Obróciła głowę, by na niego spojrzeć, ale nie udało jej się zobaczyć jego twarzy.

— Panie Katzka?

— Pager doktora Hodella nie odpowiada.

— Co?

— Jego samochodu nie ma na szpitalnym parkingu. Nikt nie wie, gdzie on jest.

Abby próbowała coś powiedzieć, ale zaschło jej w gardle i zdołała tylko wyszeptać:

— Nie...

— Jeszcze za wcześnie, by wyciągać jakieś wnioski, Abby.]Włóże po prostu zepsuł mu się pager. Na razie nic nie wiemy.

Ale ona wiedziała. Miała niezachwianą, druzgocącą pewność, poczuła nagle, że ogarnia ją odrętwienie. Jakby uszła z niej cała energia. Nie zdawała sobie sprawy, że łyzy spływają jej po twarzy, dopóki Katzka nie wstał z krzesła z chusteczką w ręce, by delikatnie wytrzeć jej policzki.

.— Przykro mi — mruknął. Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów i opiekuńczym gestem dotknął jej czoła. Po chwili powtórzył jeszcze ciszej: — Bardzo mi przykro.

— Niech go pan znajdzie — wyszeptwała. — Błagam, niech go pan znajdzie.

— Dobrze, znajdę go — obiecał.

Kiedy wyszedł z pokoju, uświadomiła sobie, że uwolnił ją z więzów. Mogła wstać z łóżka i wyjść. Nie zrobiła tego jednak, ale wtuliła twarz w poduszkę i znowu zaczęła płakać.

W południe pielęgniarka odłączyła jej kroplówkę i zostawiła tacę z obiadem, jednak Abby nawet nie spojrzała najedzenie.

O drugiej pojawił się doktor Wettig. Przez chwilę stał przy jej łóżku, czytając kartę i pomrukując coś do siebie. W końcu popatrzył na Abby.

— Doktor DiMatteo?

Nie odezwała się.

— Podobno powiedziała pani detektywowi Katzce, że wczoraj nocy nie piła pani alkoholu — oświadczył.

Abby nadal milczała. Wettig westchnął.

— Pierwszym krokiem do wyleczenia jest świadomość choroby. Powinienem zdawać sobie sprawę, z czym pani się przez cały czas boryka. Ale teraz, kiedy już to wiemy, musimy zająć się tym problemem.

Spojrzała na niego.

— O czym pan mówi? — spytała oschle.

— Musi pani pomyśleć o swojej przyszłości. Jazda pod Splywem alkoholu to poważne wykroczenie... Jest pani inteligentną kobietą i oprócz medycyny ma pani przed sobą inne możliwości.

Odpowiedziała mu milczeniem. W tym momencie groźba pozbawienia prawa wykonywania zawodu wydawała jej się niemal bez znaczenia w porównaniu z żalem, jaki odczuwała z powodu zniknięcia Marka.

— Poprosiłem doktora O'Connora, żeby panią zbadał — dodał Wettig. — Wpadnie tu wieczorem.

— Nie potrzebuję psychiatry.

— Myli się pani, Abby. Myślę, że potrzebuje pani pomocy.

Musi pani pozbyć się urojeń, że ktoś panią prześladowa. Nie pozwolę pani wypisać, dopóki doktor O'Connor nie wyrazi na to zgody. Być może skieruje panią na oddział psychiatryczny.

Ma do tego prawo. Nie chcemy, żeby próbowała pani zrobić sobie krzywdę... Bardzo się o panią martwimy, Abby. Dlatego poprosiłem o opinię doktora O'Connora. Proszę mi wierzyć, że chodzi o pani dobro.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Spieprzaj pan, generale.

Skrzywił się i cofnął o krok, zamykając kartę.

— Zjrę do pani później, doktor DiMatteo — powiedział i wyszedł z sali.

Przez długi czas wpatrywała się w sufit. Kilka chwil wcześniej, zanim odwiedził ją Wettig, czuła się zbyt znużona, by podejmować walkę. Teraz jednak miała napięte wszystkie mięśnie i bolały ją ręce. Spojrzawszy na nie, zobaczyła, że są zaciśnięte w pięści.

Pieprzę was wszystkich, pomyślała.

Usiadła na łóżku. Zawroty głowy trwały tylko parę sekund, a potem minęły. Zbyt długo leżała. Musi zacząć działać. Musi odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

Przeszła przez pokój i lekko uchyliła drzwi.

Pielęgniarka podniosła wzrok znad biurka. Na jej identyfikatorze widniało nazwisko W. SORIANO.

— Potrzebuje pani czegoś? — zapytała.

— Hm... nie — wymamrotała Abby, wycofując się z powrotem za drzwi.

Cholera. Była uwięziona.

Chodziła boso po pokoju, próbując zaplanować swój następny ruch. Nie mogła teraz myśleć o Marku, bo skuliłaby się wtedy na łóżku i znowu zaczęła płakać. A przecież tego właśnie chcieli, tego się po niej spodziewali.

Podeszła do krzesła przy oknie i usiadła. Zastanawiała się, co powinna zrobić, jednak nic jej nie przychodziło do głowy. Ubiegłej nocy Mark powiedział jej, że Mohandas jest po ich stronie, ale teraz gdzieś zniknął. Nie mogła ufać Mohandasowi. Nie ufała nikomu w tym szpitalu.

Postanowiła spróbować zadzwonić, więc podeszła do szafki nocnej i podniosła słuchawkę telefonu. Usłyszała sygnał. Kiedy wykręciła numer Vivian, zgłosiła się automatyczna sekretarka. Wtedy przypomniała sobie, że Chinka nadal jest w Burlington.

Zadzwoniła do swojego domu, wstukała kod dostępu i odsłuchiwała nagrane wiadomości. Vivian telefonowała ponownie i sądząc z tonu głosu, miała jakąś pilną sprawę. Zostawiła swój numer kontaktowy w Burlington.

Abby wykręciła go.

Tym razem Vivian odpowiedziała.

— Złapała mnie pani w ostatniej chwili. Miałam właśnie zamiar się wymeldować.

— Wraca pani do domu?

— O szóstej mam lot na Logan. To było szukanie wiatru w polu. W Burlington nie pobierano żadnych narządów do przeszczepu.

— Skąd pani wie?

— Sprawdziłam na tutejszym lotnisku i na wszystkich lądowiskach w okolicy. W dniach, kiedy dokonywano przeszczepów, nie było stąd żadnych nocnych lotów do Bostonu. Burlington to dla nich tylko przykrywka. A przecież Tim Nicholls przywiózł nam oficjalną dokumentację.

— I zaraz potem zniknął.

— Albo się go pozbyli.

Obie przez chwilę milczały, po czym Abby powiedziała cicho:

– Mark zaginął.

– Co takiego?

– Nikt nie wie, gdzie go szukać. Detektyw Katzka mówi, że nie mogą znaleźć jego samochodu. A jego pager milczy.

– Och, Abby... — jęknęła Vivian.

W ciszy, która zaległa na linii, Abby usłyszała jakieś kliknięcie. Ścisnęła słuchawkę tak mocno, że bolały ją palce.

– Vivian? — powiedziała.

Rozległo się kolejne kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

Odłożyła słuchawkę i próbowała zadzwonić ponownie, ale nie było sygnału. Usiłowała połączyć się z centralą, jednak bezskutecznie.

Szpital wyłączył jej telefon.

Katzka stał na wąskim chodniku na Tobin Bridge i wpatrywał się w płynącą w dole rzekę. Była to Mystic River, łącząca się dalej na wschodzie z Chelsea River i razem z nią wpadająca do morza w bostońskim porcie. To byłby niemal na pewno śmiertelny skok, pomyślał, wyobrażając sobie, z jaką siłą ciało lekarza musiałoby uderzyć w wodę.

Odwróciwszy się, spojrzał na pędzące po moście samochody i skupił uwagę na pasie ruchu od strony portu. Próbował odtworzyć przebieg wydarzeń po hipotetycznym upadku ciała do rzeki. Prąd zaniósłby je do portu. Początkowo dryfowałoby pod powierzchnią wody, ocierając się o muliste dno. Potem tworzące się wewnątrz niego gazy rozdełyby zwłoki. Nastąpiłoby to w ciągu paru godzin lub dni, zależnie od temperatury wody i tempa, w jakim bakterie wytwarzające gaz mnożyłyby się w gnijących jelitach. A potem ciało wypłynęłoby na powierzchnię. Spuchnięte i niemal nie do rozpoznania.

I wtedy zostałyby odnalezione.

Katzka odwrócił się do stojącego obok niego policjanta. Musiał podnieść głos, by przekrzyczeć uliczny hałas.

– O której zauważył pan ten samochód?

— Około piątej rano. Stał zaparkowany na awaryjnym pasie ruchu po północnej stronie mostu. O, tam. Ładne zielone BMW.

Natychmiast się zatrzymałem.

— Nie dostrzegł pan nikogo w pobliżu?

— Nie, proszę pana. Wóz sprawiał wrażenie porzuconego.

Sprawdziłem numer rejestracyjny i dowiedziałem się, że nie zgłoszono kradzieży. Pomyślałem, że może kierowca miał problem z silnikiem i poszedł po pomoc drogową. Ale ponieważ samochód stanowił zagrożenie dla ruchu, wezwałem dźwig.

— Nie było kluczyków w stacyjce ani żadnej kartki z jakąś informacją?

— Nie, absolutnie nic. Samochód był w środku zupełnie pusty.

Detektyw ponownie spojrzał na rzekę. Zastanawiał się, jak głęboka jest w tym miejscu i jak szybko płynie.

— Próbowałem dzwonić na domowy numer doktora Hodella, ale nikt nie odpowiadał — dodał policjant. — Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że zaginął.

Katzka w milczeniu wpatrywał się w rzekę, myśląc o Abby i zastanawiając się, co powinien jej powiedzieć. W szpitalu wydała mu się taka bezbronna... Nie mógł znieść myśli, że miałby jej sprawić dodatkowy ból.

Nic jej nie powiem. Jeszcze nie teraz, postanowił. Dopóki nie znajdziemy ciała.

Policjant również spojrzał na rzekę.

— Jezu, myśli pan, że on tam skoczył?

— Jeśli tak — odparł Katzka — to prawdopodobnie ktoś mu w tym pomógł.

Telefony dzwoniły przez cały dzień. Dwie pielęgniarki były na zwolnieniu i dyżurująca tego dnia Wendy Soriano nawet nie miała czasu zjeść obiadu. Bardzo nie chciało jej się zostawać na drugą zmianę, ale od piętnastej trzydziści czekało ją kolejne osiem godzin pracy.

Jej dzieci dzwoniły już dwukrotnie: „Mamusi, Jeffy znów mnie bije. Mamusi, o której wróci tatuś? Mamusi, czy możemy włączyć

mikrofalówkę? Obiecujemy, że nie spalimy domu". Mamusiu, mamusiu, mamusiu.

Dlaczego nigdy nie przeskadzały w pracy tatusiowi?

Ponieważ to, co on robił, było o wiele ważniejsze.

Oparła podbródek na dłoniach i spojrzała na stertę kart z zaleceniami lekarzy. Uwielbiali je zostawiać, była to manifestacja ich władzy. Wpadali do dyżurki i swoimi eleganckimi piórami wypisywali odkrywczе instrukcje w rodzaju: mleczko magnezjowe na zaparcie albo podnieść w nocy poręczę łóżka. Potem wręczali pokreślone karty pielęgniarcom jak Bóg tablice Mojżeszowi. Nie będziesz tolerować zaparcia.

Z westchnieniem sięgnęła po pierwszą kartę.

W tym momencie znowu zadzwonił telefon. Oby to nie były znowu dzieciaki, pomyślała. Nie chciała ponownie usłyszeć: „Mamusiu, on mnie bije". Podniosła słuchawkę i odezwała się rozdrażnionym tonem:

– Wendy Soriano, szóste piętro, wschodnie skrzydło.

– Mówi doktor Wettig.

– Och... — Odruchowo wyprostowała się. Rozmawiając z doktorem Wettigiem, nie należało się garbić, nawet jeśli rozmawiało się z nim przez telefon. — Słucham, panie dok torze?

– Chcę przeprowadzić ponownie badanie poziomu alkoholu we krwi doktor DiMatteo. Wyślijcie próbkę do laboratorium MedMark.

– Nie do naszego?

– Nie. Bezpośrednio do MedMark.

– Oczywiście, panie doktorze — odparła Wendy, sporzą dzając notatkę. Była to niezwykła prośba, ale polecień generała nikt nie kwestionował.

Jak ona się czuje? — spytał.

– Jest trochę niespokojna.

– Próbowwała wychodzić?

– Nie. Nawet nie opuszczała pokoju.

.— To dobrze. Proszę dopilnować, żeby tam pozostała. I absolutnie żadnych odwiedzin. Dotyczy to również personelu medycznego, z wyjątkiem wskazanych przeze mnie osób.

— Tak, doktorze Wettig — odparła Wendy.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na biurko. Podczas tej rozmowy trafiły tam trzy kolejne karty z adnotacjami lekarzy. Cholera. Spędzi nad nimi cały wieczór. Poczwała nagle, że mdli ją z głodu. Nie jadła obiadu, od wielu godzin nie miała ani chwili przerwy.

Zobaczyła, że dwie pielęgniarki gawędzą sobie na korytarzu. Wyglądało na to, że tylko ona jedna haruje bez wytchnienia.

Wyrwała z notatnika kartkę ze zleceniem badania poziomu alkoholu we krwi Abby DiMatteo i wrzuciła ją do skrzynki technika laboratoryjnego. Gdy wstawiała zza biurka, zaczął dzwonić telefon. Zignorowała go. W końcu od tego były recepcjonistki.

Kiedy wychodziła, dzwoniły już dwa aparaty.

Do cholery, chociaż raz ktoś inny może podnieść słuchawkę.

Do pokoju Abby weszła laborantka, niosąc swoją tacę z probówkami, etykietami i igłami.

— Przykro mi, doktor DiMatteo, ale znowu muszę panią ukłuć.

Stojąca przy oknie Abby rzuciła na nią okiem, a potem znowu zaczęła wyglądać na zewnątrz.

— Ten szpital wysłał już ze mnie wszystką krew — mru knęła.

Ponury widok za szybą nie napawał optymizmem. Z parkingu do wejścia biegły pielęgniarki z rozwianymi włosami, w targanych wiatrem płaszczach przeciwdeszczowych. Na wschodzie i gromadziły się złowieszcze czarne chmury. Czy niebo W nigdy się nie przejaśni? — zastanawiała się Abby. Usłyszała za sobą brzęk szklanych probówek.

— Pani doktor, naprawdę muszę pobrać pani krew.

— Nie potrzebuję już żadnych dodatkowych badań.

— Zlecił je doktor Wettig — powiedziała dziewczyna i po chwili dodała z lekką nutą rozpaczony w głosie: — Proszę nie stawiać mnie w trudnej sytuacji.

Abby odwróciła się od okna. Laborantka wyglądała bardzo młodo. Przypominała ją samą z dawnych czasów, kiedy ona także obawiała się Wettiga, bała się stracić wszystko, na co tak ciężko pracowała. Teraz nie miała już takich obaw.

Westchnąwszy ciężko, podeszła do łóżka i usiadła.

Laborantka postawiła tacę na szafce nocnej i zaczęła rozrywać sterylne opakowania z gazą, jednorazową igłą i strzykawką. Sądząc z liczby napęcznionych probówek, wykonywała już dziś te czynności wiele razy. W stojaku pozostało tylko kilka pustych otworów.

— Którą rękę pani woli?

Abby przyglądała się obojętnie, jak dziewczyna zakłada jej gumową opaskę. Zaciśnęła pięść. Na nabrzmiałej żyłce widać było siniaki po poprzednich nakłuciach. Gdy igła wniknęła w skórę, Abby odwróciła głowę i popatrzyła na tacę laborantki, na starannie opisane probówki z krwią. Bombonierka wampirzycy.

Nagle jej uwagę zwróciła probówka, na której był napis:

VOSS, NINA ODDZIAŁ INTENSYWNEJ TERAPII, ŁÓŻKO 8 —
Gotowe — powiedziała dziewczyna, wyciągając igłę. —?

Może pani przytrzymać gazik?

Abby podniosła głowę.

— Słucham?

— Proszę przytrzymać gazik, żebym mogła założyć plaster.

Abby przycisnęła gazik do ręki i ponownie spojrzała na probówką z krwią Niny Voss. W rogu etykiety widać było nazwisko zlecającego badanie lekarza. Był nim doktor Archer.

Nina Voss wróciła do szpitala, pomyślała Abby. Na oddział chirurgii klatki piersiowej.

Laborantka opuściła pokój.

Abby podeszła do okna i spojrzała na ciemniejące chmury. Po parkingu fruwały kawałki papieru. Okno drżało lekko przy podmuchach wiatru.

Coś jest nie tak z nowym sercem.

Powinna była wiedzieć to już kilka dni temu, gdy spotkały się w limuzynie. Pamiętała, jak wyglądała Nina w mrocznym wnętrzu samochodu. Błada twarz, sine wargi. Już wtedy przeszczep nie funkcjonował jak należy.

Podeszła do szafy. Stała w niej duża plastikowa torba z napisem: RZECZY PACJENTA. Były w niej jej buty, zaplamione krwią spodnie i torebka. Brakowało portfela. Pewnie został zamknięty w szpitalnym sejfie. Przeszukawszy dokładnie torebkę, znalazła na dnie kilka monet. Potrzebowała każdego centa.

Wciągnęła spodnie, wsunęła do nich szpitalną bluzę i włożyła buty. Potem podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz.

Siostry Soriano nie było przy biurku, ale w dyżurce siedziały dwie inne pielęgniarki. Jedna rozmawiała przez telefon, druga była pochylona nad papierami. Żadna nie patrzyła w stronę Abby.

Spojrzała w głąb korytarza i zobaczyła, że na oddział wjeżdża wózek z wieczornym posiłkiem. Pchał go starszy wiekiem wolontariusz w różowym uniformie. Wózek zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek. Wolontariusz zdjął z niego dwie tace i zaniósł je do najbliższego pokoju.

Abby natychmiast wymknęła się na korytarz. Wózek z kolacją zasłonił ją przed wzrokiem pielęgniarek, gdy przechodziła obok ich dyżurki.

Nie mogła ryzykować, że ktoś zauważy ją w windzie, więc poszła schodami.

Pokonawszy sześć kondygnacji, znalazła się na dwunastym piętrze. Tuż przed sobą miała sale operacyjne, a za rogiem oddział intensywnej terapii. Wzięła ze stojącego na korytarzu wózka z bielizną niebieski fartuch chirurgiczny, czepek w kwiatki i ochraniacze na buty. W takim stroju mogła przejść niezauważona.

Skreśliła za róg i weszła na oddział intensywnej terapii.

Panował tam chaos. Pacjent na łóżku numer dwa miał kryzys. Sądząc z podniesionych głosów i nerwowej bieganiny personelu, reanimacja nie przebiegała pomyślnie. Nikt nawet nie spojrzał na Abby, gdy mijała monitory, kierując się do izolatki numer osiem.

Zajrzała tam przez szybę, by upewnić się, czy na łóżku rzeczywiście leży Nina Voss, po czym weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nią, tłumiąc odgłosy reanimacji. Zaciągnęła zasłony, żeby nikt nie mógł zajrzeć do wnętrza izolatki, po czym odwróciła się w stronę łóżka.

Nina spała, zupełnie nieświadoma gorączkowych działań za zamkniętymi drzwiami jej pokoju. Odkąd Abby ją ostatnio widziała, jeszcze bardziej schudła i jakby się skurczyła, niczym świeca powoli spalana płomieniem choroby. Wyglądała jak mała dziewczynka.

Abby wzięła do ręki kartę wiszącą w nogach łóżka i rzuciła okiem na zanotowane tam informacje. Powiększające się ciśnienie w płucach. Słabnąca akcja serca. Bezskuteczne próby pobudzenia go zwiększonymi dawkami dobutaminy.

Z powrotem powiesiła kartę na poręczy łóżka. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że Nina ma otwarte oczy i patrzy na nią.

— Dzień dobry, pani Voss — powiedziała.

Nina uśmiechnęła się i wyszeptała:

— Pani doktor, która zawsze mówi prawdę.

— Jak się pani czuje?

Nina westchnęła.

— Cóż... chyba jestem zadowolona.

Abby podeszła do łóżka. Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa, a potem Nina powiedziała:

— Nie musi mi pani nic mówić. Wszystko wiem.

Co, pani Voss?

— Że to już prawie koniec — odparła Nina i zamknęła oczy. Abby wzięła ją za rękę.

— Nie miałam jeszcze okazji pani podziękować. Za to, że próbowała mi pani pomoc.

— Próbowałam pomóc Victorowi.

— Nie rozumiem.

— On jest jak ten człowiek z greckiej mitologii, który zszedł do Hadesu, aby odzyskać żonę.

— Orfeusz.

— Właśnie. Victor chce mnie odzyskać. Za wszelką cenę. — Otworzyła oczy. Miała całkowicie przytomne spojrzenie. — Będzie go to zbyt wiele kosztowało — wyszeptała.

Nie miała na myśli pieniędzy. Mówiła o duszy. Nagle drzwi izolatki się otworzyły. Odwróciwszy się, Abby zobaczyła zdumioną twarz pielęgniarki.

— Och! Doktor DiMatteo, co pani... — zaczęła, ale urwała i popatrzyła na zaciągnięte zasłony, a potem na monitory i kroplówkę.

Szuka śladów sabotażu, pomyślała Abby.

— Niczego nie dotykałam — oświadczyła.

— Proszę stąd wyjść.

— Wpadłam tylko z wizytą. Dowiedziałam się, że pani Voss wróciła na oddział intensywnej terapii i...

— Pacjentka potrzebuje odpoczynku. — Pielęgniarka otworzyła drzwi i wyprowadziła Abby z izolatki. — Nie widziała pani tabliczki ZAKAZ ODWIEDZIN? Pani Voss ma dziś wieczorem operację. Nie wolno jej przeszkadzać.

— Jaką operację?

— Ponowny przeszczep. Znaleźli już dawcę.

Abby popatrzyła na zamknięte drzwi izolatki numer osiem i spytała cicho:

— Czy pani Voss o tym wie?

— O czym?

— Czy podpisała zgodę na operację?

— Zrobił to za nią jej mąż. Proszę natychmiast stąd wyjść Abby odwróciła się bez słowa i wyszła z oddziału. Nie wiedziała, czy ktokolwiek zauważył jej zniknięcie. Szła przed siebie korytarzem, aż znalazła się przy windzie. Po chwili drzwi się otworzyły. Kabina była pełna ludzi. Abby weszła do środka i szybko odwróciła się plecami do współpasażerów, twarzą do drzwi.

Znaleźli dawcę, pomyślała, gdy winda zjeżdżała na dół. Jakimś sposobem znaleźli dawcę. Tej nocy Nina Voss będzie miała nowe serce.

Zanim zjechała na parter, wyobraziła sobie, co wkrótce nastąpi. Dokładnie wiedziała, jak to będzie wyglądało. Koło północy zawiozą Ninę na salę operacyjną, gdzie zespół Archera przygotuje ją do zabiegu. Potem będą czekali na telefon. W tym samym czasie drugi zespół chirurgów w innej sali operacyjnej zgromadzi się wokół innego pacjenta. Sięgną po skalpele i zaczną przecinać skórę i mięśnie, po czym rozlegnie się zgrzyt piły do kości. Kiedy mostek zostanie przecięty, jeden z lekarzy podniesie żebra, odsłaniając ukryty pod nimi skarb. Żywe, bijące serce.

Potem wytną je szybko i zręcznie, tak samo jak poprzednio.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, Abby wysiadła z pochyloną głową, patrząc w podłogę, i przez frontowe drzwi wyszła na smaganą wiatrem ulicę.

Dwie przecznice dalej, trzęsąc się z zimna, weszła do budki telefonicznej. Wykorzystując garść monet znalezionych w torebce, zadzwoniła do Katzki.

Nie było go w pokoju. Policjant, który odebrał telefon, powiedział, że przekaze mu wiadomość.

— Mówi Abby DiMatteo — przedstawiła się. — Muszę się z nim pilnie skontaktować. Nie ma pagera albo czegoś takiego?

— Połączę panią z centralą.

Usłyszała dwa kliknięcia, a potem głos telefonistki, która oświadczyła:

— Spróbuję powiadomić go przez radio.

Chwilę później odezwała się ponownie:

— Przykro mi, ale detektyw Katzka wciąż nie odpowiada. Czy ma do pani oddzwonić?

— Sama nie wiem... Spróbuję zadzwonić później — odparła Abby i odwiesiła słuchawkę. Nie miała już monet i możliwości telefonowania.

Wyjrzała z budki telefonicznej i zobaczyła fruujące w powietrzu kawałki gazet. Nie miała ochoty wychodzić znów na ten wiatr, ale nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić.

Nagle uświadomiła sobie, że może zadzwonić do jeszcze jednej osoby.

W książce telefonicznej brakowało połowy kartek, zaczęła je jednak przerzucać i o dziwo, znalazła nazwisko, którego szukała.

I.Tarasoff.

Drżały jej ręce, gdy wykręcała numer połączenia na koszt abonenta. Błagam, niech pan odbierze. Niech pan ze mną porozmawia.

Po czterech sygnałach rozległo się jego ciche „Halo?”. Słyszała brzęk porcelany, odgłosy nakrywania do stołu, dźwięki muzyki klasycznej, a potem odpowiedź: „Tak, przyjmę rozmowę”.

Poczuła taką ulgę, że zalała Tarasoffa potokiem słów.

— Nie miałam do kogo zadzwonić! Nie mogę złapać Vivian, a nikt inny nie chce mnie słuchać. Musi pan zawiadomić policję. Przekonać ich!

— Powoli, Abby. Proszę mi wyjaśnić, co się dzieje.

Wciągnęła głęboko powietrze. Czowała, jak wali jej serce.

Musiała zrzucić z siebie ten ciężar.

— Nina Voss ma mieć w nocy drugi przeszczep — powie działa. — Doktorze Tarasoff, chyba wiem, jak to działa. Nie dostarczają serc samolotem z innego miejsca. Są pobierane tutaj, w Bostonie.

— Gdzie? W którym szpitalu?

Zobaczyła nagle samochód jadący powoli ulicą. Znieruchomiała i wstrzymywała oddech, dopóki nie zniknął za rogiem.

— Abby?

— Tak. Jestem.

— Proszę posłuchać. Wiem od pana Parra, że żyje pani ostatnio w silnym stresie. Czy nie jest możliwe, że...

— Niech pan mnie posłucha! — Zamknęła oczy, próbując zachować spokój. Chciała, żeby jej słowa brzmiały racjonalnie.

Nie mógł wątpić w jej poczytalność. — Dzisiaj z Burlington dzwoniła do mnie Vivian. Powiedziała, że nie pobierano tam żadnych narządów. Nie mogły pochodzić z Vermont.

— Więc gdzie je pobierają?

— Nie jestem pewna. Ale przypuszczam, że w budynku firmy Amity Medical Supplies w Roxbury. Policja musi tam dotrzeć przed północą. Zanim zdążą pobrać następne serce.

— Nie wiem, czy potrafię ich przekonać.

— Musi pan! W wydziale zabójstw pracuje detektyw Katzka.

Jeśli zdołamy się z nim skontaktować, myślę, że nas wysłucha.

Doktorze Tarasoff, tu nie chodzi o zwykłe dostarczanie narządów do przeszczepu. Oni generują dawców. Zabijają ludzi.

Usłyszała w słuchawce głos kobiety:

— Iwanie, nie masz zamiaru jeść obiadu? Wszystko będzie zimne.

— Teraz nie mogę, kochanie — odparł Tarasoff. — Mamy nagły przypadek... — Po chwili odezwał się znowu: — Chyba nie muszę pani mówić, Abby, że cała ta sprawa mnie przeraża.

— Ja też cholernie się boję.

— Więc jedźmy na policję. Niech oni się tym zajmą. Dla nas to zbyt ryzykowne.

— Zgadzam się z panem w stu procentach.

— Zrobimy to razem. Łatwiej zdołamy ich przekonać.

Zawahała się.

— Obawiam się, że moja obecność może tylko zaszkodzić.

— Nie znam wszystkich szczegółów tak jak pani.

— W porządku — powiedziała po chwili. — Załatwimy to razem.

Może pan po mnie podjechać? Zmarłam na kość.

I bardzo się boję.

— Gdzie pani jest?

Wyjrzała przez szybę. Dwie przecznice dalej pulsowały w ciemnościach światła szpitala.

— W budce telefonicznej. Nie wiem, co to za ulica. Kilka przecznic na zachód od Bayside.

— Znajdę panią.

— Doktorze Tarasoff...

— Słucham?

— Proszę... niech się pan pośpieszy — szepnęła.

Rozdział dwudziesty czwarty

Gdy samolot wylądował na lotnisku Logan International, Vivian Chao czuła narastający niepokój. Nie zdenerwował jej lot. Była nieustraszoną podróżniczką i potrafiła spać nawet podczas najgorszych turbulencji. Gdy samolot stanął na płycie lotniska i wyjmowała torbę ze schowka nad głową, dręczyło ją coś innego. Ostatnia rozmowa telefoniczna z Abby. Przerwane nagle połączenie. I to, że Abby nie zadzwoniła ponownie.

Próbowała telefonować do niej do domu, ale nikt nie odbierał. Zastanawiając się nad tym podczas lotu, uświadomiła sobie, że nie wie, skąd Abby dzwoniła. Połączenie zostało przerwane zbyt szybko, by mogła to sprawdzić.

Taszcząc torbę, wyszła z samolotu na płytę lotniska. Była zaskoczona widokiem kłębiącego się przy wyjściu tłumu ludzi. Zobaczyła cały las kolorowych baloników i nastolatków trzymających tablice z napisami: WITAJ W DOMU, DAVE!, ZUCH CHŁOPAK i NASZ BOHATER! Kimkolwiek był Dave, miał wielu fanów. Potem usłyszała owacje i odwróciwszy się, ujrzała szeroko uśmiechniętego młodego człowieka, który wyszedł z samolotu zaraz za nią. Tłum potoczył się do przodu, by entuzjastycznie powitać swojego bohatera, i Vivian musiała przeciskać się przez gromadę piszczących małych latków.

Wszystkie przerastały ją co najmniej o głowę.

Musiła ciężko pracować łokciami, by się między nimi przepchnąć. Kiedy w końcu wydostała się z tłumu, ruszyła naprzód tak gwałtownie, że wpadła na jakiegoś stojącego z boku mężczyznę. Mruknęła coś przepraszająco i pomaszerowała dalej. Dopiero po przejściu kilku kroków uświadomiła sobie, że potrącony człowiek nic jej nie odpowiedział.

Najpierw pobiegła do toalety, bo ze zdenerwowania czuła silny nacisk na pęcherz. Po chwili wróciła do hali.

Znów zobaczyła mężczyznę, na którego niedawno wpadła. Stał obok sklepu z pamiątkami naprzeciwko damskiej toalety i czytał gazetę. Rozpoznała go, bo miał podniesiony kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego. Kiedy się z nim zderzyła, właśnie na ten szczegół zwróciła uwagę.

Poszła dalej, do sali odbioru bagażu.

Kiedy mijała szereg bramek, nagle coś ją zastanowiło. Czemu ten człowiek stał przy wyjściu, skoro na nikogo nie czekał? A jeśli z kimś się spotkał, dlaczego był teraz sam?

Zatrzymała się przy stoisku z gazetami, wybrała jakieś czasopismo i podała je kasjerce. Gdy kobieta kasowała należność, Vivian rozejrzała się dyskretnie.

Mężczyzna w płaszczu z podniesionym kołnierzem stał przy stanowisku samoobsługowego zakupu ubezpieczeń lotniczych, najwyraźniej czytając instrukcje na tablicy.

Ten facet cię śledzi, pomyślała Vivian. Chyba że to miłość od pierwszego wejrzenia. Może kiedy cię zobaczył, postanowił nie pozwolić ci odejść ze swego życia.

Płacąc za czasopismo, czuła, jak mocno wali jej serce. Zastanów się, dlaczego cię śledzi, powiedziała sobie.

Nietrudno było się tego domyślić. Telefon od Abby. Jeśli ktoś podsłuchiwał ich rozmowę, wiedział, że przylatuje z Burhngton na lotnisko Logan o osiemnastej. Zanim połączenie zostało przerwane, słyszała jakieś dziwne kliknięcia na linii.

Postanowiła zatrzymać się na chwilę przy stoisku z gazetami. Oglądała książki, zastanawiając się gorączkowo, co powinna teraz zrobić. Mężczyzna prawdopodobnie nie miał bronii K musiałby przemycić ją przez punkt kontrolny. Nic jej' powinno grozić, dopóki nie opuści terminalu.

Wyjrzała ostrożnie zza półki z książkami.

Mężczyzna zniknął.

Odeszła od stoiska z gazetami i rozejrzała się wokół. Nigdzie go nie zauważyła.

Coś sobie ubzdurałaś, pomyślała. Nikt cię nie śledzi.

Przeszła obok punktu kontrolnego, a potem ruszyła schodami w dół, do sali odbioru bagażu.

Walizki z samolotu z Burlington wjeżdżały właśnie na taśmą. Kiedy zobaczyła swoją czerwoną walizę marki Samsonite i zamierzała przepchnąć się bliżej, znowu dostrzegła mężczyznę w płaszczu przeciwdeszczowym. Stał przy wyjściu z terminalu, czytając gazetę.

Natychmiast odwróciła głowę, czując ściskanie w gardle. Czekał, aż odbierze bagaż. Aż wyjdzie na zewnątrz, w ciemność.

Jej czerwona walizka zrobiła kolejną rundę na taśmie.

Wciągnęła głęboko powietrze i wmieszała się w tłum pasażerów wypatrujących swoich bagaży. Czerwona walizka znów koło niej przejeżdżała. Vivian nie zabrała jej, obserwowała tylko, jak powoli krąży. Stojąc po drugiej stronie taśmy, nie widziała zza tłumy śledzącego ją mężczyzny.

Podjęła decyzję. Upuściła torbę i zaczęła biec.

Przed nią były jeszcze dwie taśmy bagażowe, obie w tym momencie nieużywane. Przebiegła obok nich i rzuciła się do wyjściowych drzwi.

Na zewnątrz była wietrzna noc. Usłyszała, że po jej lewej stronie ktoś biegnie. Był to człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym, który właśnie precyzyjnie przycisnął się sąsiednim wyjściem. Kilka kroków za nim pojawił się drugi mężczyzna, wskazał na Vivian i warknął coś niezrozumiałego.

Ruszyła biegiem po chodniku. Wiedziała, że ją ścigają. Słyszała odgłos przewracanego wózka z bagażami i gniewne okrzyki tragarza.

Po chwili rozległo się głuchoe pyknięcie i poczuła, że coś musnęło jej włosy.

Pocisk.

Serce waliło jej jak młotem, płuca łapczywie chwyciły gęste od spałm powietrze.

Zobaczyła przed sobą jakieś drzwi. Przebiegła przez nie i popędziła do najbliższych ruchomych schodów. Niejechały w górę, tylko w dół. Gdy pokonując po dwa stopnie naraz dotarła do ich szczytu, usłyszała kolejny strzał. Tym razem pocisk drasnął jej skroń i poczuła na policzku ciepłą strużkę.

Tuż przed nią było stanowisko obsługi linii American Airlines. Stała tam długa kolejka pasażerów.

Usłyszała za sobą tupot nóg na ruchomych schodach. Jeden z mężczyzn znowu wykrzykiwał coś niezrozumiałego.

Popędziła do stanowiska obsługi, przewracając po drodze jakiegoś mężczyznę i wózek bagażowy. Wpadła na kontuar, przeleciała na drugą stronę i wylądowała na pasie transmisyjnym do załadunku walizek.

Cztery przedstawicielki linii lotniczych patrzyły na nią ze zdumieniem.

Na drżących nogach podniosła się z ziemi i ostrożnie wyjrzała zza kontuaru, ale zobaczyła tylko tłum zaskoczonych gapiów. Ścigający ją mężczyźni gdzieś zniknęli.

Popatrzyła na dziewczyny z American Airlines.

— Nie wezwiecie ochrony? — zapytała.

Jedna z kobiet bez słowa sięgnęła po telefon.

— Proszę także wykręcić dziewięćset jedenaście — powie działa Vivian.

Do budki telefonicznej powoli podjechał ciemny mercedes i zatrzymał się. Abby widziała tylko profil kierowcy, oświetlony reflektorami przejeżdżającego samochodu. Był to Tarasoff.

Podbiegła do drzwiczek od strony pasażera i wsiadła do środka.

— Dzięki Bogu, że pan się zjawił!

— Na pewno pani zmarzła. Proszę wziąć mój płaszcz. Jest na tylnym siedzeniu.

— Proszę, niech pan już jedzie. Uciekajmy stąd.

Gdy ruszał od krawężnika, obejrzała się, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi. Ulica za nimi była ciemna.

— Widzi pani jakieś samochody? — spytał.

— Nie. Myślę, że na razie jesteśmy bezpieczni.

Tarasoff westchnął ciężko.

— To nie dla mnie. Nie lubię nawet filmów sensacyjnych.

— Dobrze pan sobie radzi. Jedźmy od razu na komisariat.

Zadzwonimy do Vivian, żeby do nas dołączyła.

Chirurg nerwowo spojrział we wsteczne lustro.

— Chyba zauważyłem jakiś samochód.

Przestraszona Abby obejrzała się, ale nic nie zauważyła.

— Skręć tutaj. Zobaczymy, co się stanie.

— Będę obserwowała ulicę.

Gdy skręcali za róg, przez cały czas patrzyła na drogę za nimi. Nie widziała żadnych świateł ani samochodów. Kiedy się zatrzymali, spojrzała znów do przodu.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Nic — odparł Tarasoff i wyłączył światła.

— Dlaczego pan... — zaczęła Abby, ale słowa zamarły jej w gardle.

Tarasoff wcisnął guzik, odblokowując zamki.

Drzwiczki od strony pasażera otworzyły się gwałtownie i do wnętrza samochodu wdarł się podmuch wiatru. Czyjeś ręce wyciągnęły Abby z fotela. Włosy opadły jej na oczy, zasłaniając wszystko. Walczyła na oślep z napastnikami, jednak trzymali ją mocno. Związali jej ręce za plecami i zakleili usta taśmą, a potem wrzucili ją do bagażnika stojącego w pobliżu samochodu.

Zatrzasnęli klapę. Została uwięziona w ciemnościach.

Samochód ruszył.

Przewróciła się na plecy i zaczęła kopać pokrywę bagażnika.

Kopała tak długo, aż rozbolały ją uda i nie mogła już unieść nóg. Doszła do wniosku, że to bezcelowe. Nikt jej nie usłyszy. Wyczerpana, skuliła się na boku i próbowała zebrać myśli.

Tarasoff... Co on może mieć z tym wspólnego?

Powoli łamigłówka układała się w logiczną całość. Leżąc skurczona w ciemnościach i słysząc łoskot kół na asfalcie, Abby powoli zaczynała wszystko rozumieć. Tarasoff był szefem jednego z najbardziej cenionych zespołów transplantologów na Wschodnim Wybrzeżu. Jego nazwisko przyciągało chorych z całego świata, pacjentów, których stać było na to, by wybrać sobie najlepszego chirurga. Mieli bardzo duże wymagania i mnóstwo pieniędzy.

Ale przepisy uniemożliwiały im kupowanie tego, czego potrzebowali, by odzyskać zdrowie lub uratować życie: serc. Ludzkich serc.

Mógł im je dostarczyć zespół transplantologów z Bayside. Przypomniała sobie, co Tarasoff kiedyś powiedział: „Cały czas wysyłam pacjentów do Bayside”.

Był ich pośrednikiem. Zdobywał dla nich narządy.

Poczuła, że samochód hamuje i skręca. Opony zazgrzytały na żwirze i auto stanęło. Usłyszała huk startującego odrzutowca. Wiedziała już, gdzie się znajdują.

Po chwili otwarto bagażnik i wyciągnięto ją z pojazdu. Wiał porywisty wiatr. Powietrze było przesycone zapachem ropy i morza. Dwaj mężczyźni powlekli Abby, na poły niosąc ją, na poły ciągnąc, wzdłuż mola i po trapie. Jej krzyki tłumiała taśma, którą miała zaklejone usta, zresztą wszystko i tak zagłuszał huk startującego samolotu. Przez moment widziała pokład frachtowca, dostrzegła w ciemności jakieś ruchy i geometryczne cienie, po czym zaczęto ciągnąć ją na dół po metalowych schodach. Jedną kondygnację, a potem następną.

Zaskrzypiały drzwi i wepchnięto ją do jakiegoś ciemnego pomieszczenia. Jej ręce były wciąż związane za plecami, nie mogła więc zamortyzować upadku i uderzyła podbródkiem o metalową podłogę. Ból przeszył jej czaszkę jak sztylet, ale była zbyt oszołomiona, aby się

poruszyć czy choćby jęknąć. Na schodach rozległy się kroki i usłyszała stłumiony głos Tarasoffa:

— Przynajmniej do czegoś się przyda. Zdejmijcie jej taśmę z ust. Nie możemy pozwolić, żeby się udusiła.

Przewróciła się na plecy i wyteżyła wzrok. W półmroku dostrzegła sylwetkę Tarasoffa, stojącego w drzwiach. Wzdrygnęła się, gdy jeden z mężczyzn pochylił się i zdarł jej taśmę z twarzy.

— Dlaczego? — wyszeptła. Tylko to jedno przychodziło jej do głowy. — Dlaczego?

Tarasoff wzruszył ramionami, jakby jej pytanie nie miało żadnego znaczenia. Dwaj pozostali mężczyźni wyszli z pomieszczenia. Najwyraźniej zamierzali ją tu zamknąć i zostawić.

— Czy chodziło panu o pieniądze? — zapytała. — Czyżby odpowiedź była taka prosta?

— Pieniądze nic nie znaczą, jeśli nie można za nie kupić tego, czego się chce — odparł Tarasoff.

— Na przykład serca?

— Na przykład życia swojego dziecka. Albo żony, siostry czy brata. Pani powinna to najlepiej rozumieć, doktor DiMatteo.

Słyszeliśmy o wypadku małego Pete'a. Miał zaledwie dziesięć lat, prawda? Proszę pomyśleć, pani doktor, co by pani dała, by ocalić życie bratu?

Nic na to nie odpowiedziała. Jej milczenie wystarczyło mu za odpowiedź.

— Nie zapłaciłaby pani za to każdej ceny? Nie zrobiłaby wszystkiego, co w pani mocy?

Tak, pomyślała. Zrobiłabym.

— Proszę sobie wyobrazić, jak to jest, gdy człowiek widzi, że jego dziecko umiera... — ciągnął Tarasoff. — Ma wszystkie pieniądze świata, ale wie, że musi poczekać na swoją kolejkę.

Za alkoholikami i narkomanami. Za upośledzonymi umysłowo.

[za utrzymującymi się z zasiłków łapserdakami, którzy nie „spracowali am jecznego dnia w życiu... — Zamilkł na chwilę, L czym dodał cicho: — Niech pani to sobie wyobrazi.

Zamknął drzwi i zasunął skrzypiący rygiel.

Abby leżała w kompletnych ciemnościach. Słyszała kroki na schodach, gdy trzech mężczyźni wracali na pokład, i głuchy stukot zamykanego włazu. Potem dochodziło do niej tylko wycie wiatru i piszczenie lin kołyszącego się na wodzie statku.

„Niech pani to sobie wyobrazi”.

Zamknęła oczy, starając się nie myśleć o swoim młodszym bracie, ale natychmiast pojawił się przed nią dumny ze swojego nowego mundurka skauta. Przypomniała sobie, co powiedział, gdy miał pięć lat: że jest jedyną dziewczyną, z którą chciałby się ożenić. Pomyślała, jak bardzo musiał być rozczarowany, dowiedziawszy się, że nie może poślubić siostry...

Co bym zrobiła, żeby cię ocalić? Wszystko.

Coś zaszeleściło w ciemnościach.

Abby znieruchomiała. Po chwili znów usłyszała cichy szmer. Szczury.

Cofnęła się i jakoś udało jej się uklęknąć. Nic nie widziała, ale wyobrażała sobie, że wokół niej roi się od wielkich gryzoni. Podźwignęła się na nogi.

W tym samym momencie rozległo się ciche pstryknięcie i nagle oślepił ją blask światła. Schyliła się gwałtownie. Nad jej głową kołysała się żarówka, z cichym brzękaniem uderzając o zwisający obok niej łańcuszek.

Zobaczyła, że to nie szczur poruszał się w ciemnościach, lecz mały chłopiec.

Patrzyli na siebie bez słowa. Chociaż chłopiec stał spokojnie, w jego oczach czaił się strach. Był w krótkich spodenkach i Abby widziała, że mięśnie jego wychudzonych gołych nóg są napięte, gotowe do ucieczki. Ale nie miał dokąd uciec.

Mógł mieć jakieś dziesięć lat i był jasnym blondynem o bardzo bladej cerze. W świetle kołyszącej się żarówki jego włosy wydawały się niemal srebrne. Zauważyła, że ma na policzku niebieskawą smugę i uświadomiła sobie, że to nie brud, lecz siniak. Jego głęboko osadzone oczy także wyglądały, jak siniaki.

Gdy zrobiła krok w jego kierunku, natychmiast się cofnęła, — Nic ci nie zrobie — powiedziała. — Chcę tylko z tobą porozmawiać.

Zmarszczył czoło i pokręcił głową.

— Obiecuję, że cię nie skrzywdzę.

Coś odpowiedział,, ale go nie zrozumiała. Tym razem to ona pokręciła głową.

Patrzyli na siebie ~w milczeniu.

Nagle oboje spojrzeli w górę. Silniki statku zaczęły pracować.

Abby w napięciu słuchała zgrzytu łańcuchów i pisku tłoków. Po chwili poczuła drżenie kadłuba. Opuszczali port i wypływali w morze.

Nawet gdybym uwolniła się z więzów i wydostała się stąd, nie mam dokąd uciekać, pomyślała.

Z rozpaczą spojrzała na chłopca.

Nie zwracał już uwagi na odgłosy turbin, wpatrywał się w Abby. Po chwili obszedł ją powoli i spojrzał na jej skrupowane za plecami przeguby. Potem popatrzył na swoją rękę. Dopiero wtedy Abby zauważyła, że brakuje mu lewej dłoni. Do tej pory przyciskał ramię do boku, ukrywając przed nią swoje kalectwo.

Spojrzał na Abby i znów coś powiedział.

— Nie rozumiem, co mówisz — odparła.

Powtórzył swoje słowa, tym razem z nutą rozdrażnienia w głosie. Czemu ta kobieta go nie rozumie? Co z nią jest nie tak?

Abby ponownie pokręciła głową.

Przez parę sekund spoglądali na siebie zdesperowani. Nagle chłopiec uniósł podbródek, jakby podjął jakąś decyzję. Podeszedł do Abby z tyłu i pociągnął ją za przeguby, próbując jedną ręką rozluźnić więzy. Ale sznur był zbyt mocno zaciśnięty. Chłopiec przyklęknął na podłodze i po chwili poczuła na skórze dotyk jego zębów i ciepło

oddechu. W świetle kołyszącej się nad nimi żarówki zaczął przegryzać więzy jak mała, ale zdeterminowana mysz.

.— Przykro mi, ale już po godzinach odwiedzin — oświadczyła pielęgniarka. — Chwileczkę, nie wolno tam wchodzić. Proszę się zatrzymać!

Katzka i Vivian zignorowali ją, minęli stanowisko pielęgniarek i poszli prosto do pokoju numer sześćset dwadzieścia jeden.

— Gdzie jest Abby? — spytał detektyw.

Doktor Colin Wettig odwrócił się do nich.

— Doktor DiMatteo zaginęła — odparł.

— Zapewniał mnie pan, że będzie tu bezpieczna — powie dział Katzka.

— Była bezpieczna. Nikt tu nie wchodził bez mojego po zwołania.

— Więc co się z nią stało?

— Będzie pan musiał ją samą o to spytać.

Katzkę drażnił obojętny ton głosu Wettiga i jego beznamiętny wzrok. To człowiek, który nigdy nie zdradza swoich uczuć i zawsze panuje nad sytuacją, pomyślał, patrząc na kamienną twarz lekarza. Nagle dostrzegł w nim odbicie samego siebie i to odkrycie nim wstrząsnęło.

— Była pod pańską opieką, doktorze. Co z nią zrobiliście?

— Nie podobają mi się pańskie insynuacje.

Katzka przeszedł przez pokój, złapał Wettiga za poły laboratoryjnego fartucha i przycisnął go do ściany.

— Gadaj pan, do cholery! — warknął. — Dokąd ją za braliście?

W niebieskich oczach Wettiga pojawiła się iskierka strachu.

— Już panu mówiłem, że nie wiem, gdzie ona jest. Pielęg niarki zadzwoniły do mnie o wpół do siódmej z wiadomością, że zniknęła. Zaalarmowaliśmy ochronę. Przeszukali cały szpital, jednak jej nie znaleźli.

— Ale pan wie, gdzie ona jest?

Wettig pokręcił głową.

— Wie pan, prawda? — powtórzył Katzka i jeszcze raz nim potrząsnął.

— Nie wiem! — wysapał Wettig.

Podeszła do nich Vivian i próbowała ich rozdzielić.

— Niech pan przestanie! Udusi go pan! Panie Katzka, proszę go puścić!

Detektyw zwolnił uścisk. Lekarz oparł się plecami o ścianę, dysząc ciężko.

— Myślałem, że skoro ma urojenia, będzie bezpieczniejsza w szpitalu — mruknął Wettig.

Wyprostował się, rozcierając sobie kark w miejscu, gdzie kołnierzyk fartucha pozostawił czerwoną pręgę. Katzka popatrzył na nią, zaszokowany tym dowodem swej brutalności.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że Abby może mówić prawdę — dodał Wettig, po czym wyjął z kieszeni skrawek papieru i podał go Vivian. — Właśnie dostałem to od pielęg niarek.

— Co to jest? — spytał Katzka.

Vivian zmarszczyła brwi.

— Wynik badania poziomu alkoholu we krwi Abby. Zerowy.

— Dziś po południu zleciłem wykonanie testu w niezależnym laboratorium — wyjaśnił lekarz. — Powtarzała uparcie, że nie była pijana. Pomyślałem, że jeśli przedstawię jej niepodważalne dowody, przestanie zaprzeczać...

— To badanie wykonano w innym laboratorium?

Wettig kiwnął głową.

— Całkowicie niezależnym od Bayside.

— Mówił pan, że miała we krwi dwa i jedną dziesiątą promila alkoholu.

— Tak wynikało z testu wykonanego o czwartej nad ranem w naszym laboratorium.

— Okres połowicznej eliminacji alkoholu z krwi wynosi od dwóch do czternastu godzin — oświadczyła Vivian. — Jeśli o czwartej rano

jego poziom był tak wysoki, drugi test powinien wykazać przynajmniej śladowe ilości.

— Nie stwierdzono w ogóle obecności alkoholu — powie dział detektyw.

— A to oznacza, że albo jej wątroba zdumiewająco szybko go metabolizuje, albo w laboratorium Bayside popełniono błąd — podsumował Wettig.

— Nazywa pan to błędem? — wycedził Katzka.

Wettig milczał. Sprawiał wrażenie wykończonego. I bardzo starego. Usiadł na niezastłanym łóżku.

— Nie zdawałem sobie sprawy... nawet nie dopuszczałem do siebie myśli...

— Że Abby mówiła prawdę? — wtrąciła Vivian.

Wettig pokręcił głową.

— Mój Boże... — mruknął. — Jeśli doktor DiMatteo ma rację, to ten szpital należałoby zamknąć.

Katzka wyczuł, że Vivian na niego patrzy i odwrócił się do niej.

— Czy jeszcze ma pan jakieś wątpliwości? — spytała cicho.

Chłopiec od kilku godzin spał w ramionach Abby. Czuła na szyi jego ciepły oddech. Leżał z rozrzuconymi na boki rękami i nogami, tak jak to często robią dzieci pogrążone w głębokim, spokojnym śnie. Drżał, gdy po raz pierwszy go przytuliła. Wymasowała jego gołe nogi. Przypominało to nacieranie zimnych, suchych patyków. W końcu przestał się trząść i gdy zaczął spokojniej oddychać, poczuła ciepło, jakie wydzielają ciała śpiących dzieci.

Ona sama też się na chwilę zdrzemnęła.

Kiedy się ocknęła, wiatr musiał się nasilić, bo statek cały skrzypiał, a żarówka nad jej głową kołysała się tam i z powrotem.

Chłopiec jęknął i poruszył się. Pomyślała, że zapach małych chłopców jest słodki jak woń trawy w lecie. Musiało to mieć coś wspólnego z ich androgenami. Pamiętała, jak Pete przytulił się do jej ramienia, śpiąc na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy jechali z ojcem

gdzieś dalej. Czuła wtedy delikatne bicie serca swojego małego braciszka — tak samo, jak teraz czuła bicie serca tego chłopca.

Nagle się obudził i spojrzał na nią, powoli ją rozpoznając.

— E... bi... — wyszeptał.

Kiwnęła głową.

— Zgadza się. Abby. Pamiętasz. — Uśmiechnęła się i po gładziła go po twarzy, muskając palcem siniak na policzku. — A ty jesteś... Jaków.

Przytaknęła i oboje się uśmiechnęli.

Na zewnątrz wył wiatr i Abby czuła, jak kołysze się pod nimi podłoga. Po twarzy chłopca przemykały cienie.

— Jaków — powtórzyła i lekko dotknęła wargami jego jasnej, jedwabistej brwi.

Kiedy uniosła głowę, poczuła na ustach wilgoć. Nie były to łzy chłopca, lecz jej własne. Przysunęła twarz do jego ramienia, by je otrzeć. Gdy znów na niego spojrzała, zauważyła, że przygląda się jej z dziwnym, niemal nabożnym skupieniem.

— Jestem przy tobie — szepnęła i przeczesła palcami jego włosy.

Po chwili zaniknął powieki i znów zasnął.

— Obejdzie się bez nakazu rewizji — stwierdził Lundquist, wyważając kopniakiem drzwi. Kiedy otworzyły się na oścież i grzmotnęły o ścianę, wślizgnął się ostrożnie do środka i znieruchomiał. — Co to jest, kurwa?

Katzka pstryknął przełącznikiem na ścianie.

Obaj mężczyźni zmrużyli oczy przed oślepiającym światłem trzech zawieszonych na suficie lamp. Gdziekolwiek Katzka spojrzał, wszędzie widział lśniąco powierzchnie. Szafki ze stali nierdzewnej, tacki na narzędzia, stojaki do kroplówek, monitory z pokrętłami i wyłącznikami.

jsja środka pomieszczenia stał stół operacyjny.

Katzka podszedł do niego i spojrzał na zwisające po bokach rzemienie. Dwa na przeguby, dwa na kostki, dwa dłuższe na biodra i klatkę piersiową.

Przeniósł wzrok na wózek anestezjologa, stojący u wezglowia. Wysunął z niego górną szufladę. Leżał w niej rząd strzykawkę i igieł w plastikowych osłonach.

— Co to tu robi, do cholery? — spytał Lundquist.

Katzka zamknął szufladę i otworzył następną. Zobaczył w niej niewielkie szklane fiolki. Wyjął jedną z nich. Chlorek potasu. Była w połowie opróżniona.

— Ten sprzęt jest przez cały czas używany — stwierdził.

— Dziwne. Jakie operacje mogły być tu przeprowadzane?

Katzka ponownie spojrzął na stół i rzemienie i nagle przypomniał sobie przywiązaną do łóżka Abby ze strużkami łez na policzkach. Było to tak bolesne wspomnienie, że pokręcił głową, by się z niego otrząsnąć. Obawa o nią nie pozwalała mu zebrać myśli. A jeśli nie będzie mógł myśleć, nie potrafi jej pomóc. Nie zdoła jej uratować. Odszedł od stołu.

Lundquist popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Dobrze się czujesz, Ślimak?

— Tak. Nic mi nie jest — odparł Katzka, po czym odwrócił się i ruszył do drzwi.

Wyszedł na ulicę. Dłuższą chwilę stał w podmuchach wiatru na chodniku i patrzył na budynek firmy „Amity”. Z zewnątrz nie dostrzegano się w nim nic niezwykłego. Jedna z wielu zaniedbanych kamienic na obskurnej ulicy. Brudna fasada z piaskowca, okna z wystającymi klimatyzatorami. Gdy poprzedniego dnia wchodził do środka, widział tylko to, czego się spodziewał. To, co miał zobaczyć. Niechlujne pomieszczenie z wystawionymi pojedynczymi egzemplarzami produktów firmy, stare biurka ze stertami katalogów. Kilku sprzedawców rozmawiających przez telefon. Nie dotarł na najwyższe piętro. Nawet nie podejrzewał, że gdyby pojechał windą na górę, zobaczyłby salę operacyjną.

I stół z rzemieniami.

Niecałą godzinę wcześniej jego młodszy kolega ustalił, że budynek należy do Spółki Sigajewa — tej samej firmy z New Jersey, na którą zarejestrowany był frachtowiec. Znów trafili na ślad rosyjskiej mafii. Jak

głębokie były jej powiązania z Bayside? Może Rosjanie mieli tam tylko łącznika? Kogoś, kto nielegalnie handlował z nimi ludzkimi narządami?

Stał przed budynkiem, myśląc o Abby i zastanawiając się, gdzie powinien jej szukać. Przetrzyąsnęto już cały szpital, parking i okolice. Wyglądało na to, że Abby sama wyszła ze szpitala. Dokąd mogła pójść? Do kogo by zadzwoniła? Musiałby to być ktoś, komu ufała.

— Ślimak!

Odwróciwszy się, zobaczył, że Lundquist macha do niego telefonem.

— Kto jest na linii?

— Straż przybrzeżna. Czeka na nas śmigłowiec.

Na schodach zadudniły kroki.

Abby gwałtownie uniosła głowę. Jaków dalej spał spokojnie w jej ramionach. Serce zaczęło jej walić jak młotem i była niemal pewna, że go to obudzi, ale nawet się nie poruszył.

Otworzyły się drzwi. W progu stanął Tarasoff w towarzystwie dwóch mężczyzn.

— Czas iść — oświadczył.

— Dokąd? — spytała.

— Na krótki spacer. — Tarasoff spojrzał na Jakowa. — Niech go pani obudzi. On też pójdzie.

Abby mocniej przytuliła chłopca.

— On nie — powiedziała.

— Zwłaszcza on.

Pokręciła głową.

— Dlaczego?

— Ma grupę krwi AB plus. Nie mamy w tej chwili innego dawcy z tą grupą.

Spojrzała na Tarasoffa, a potem na Jakowa, którego twarz zarumieniła się we śnie. Czowała bicie serca w jego chudziutkiej piersi. Nina Voss, pomyślała. Nina Voss ma grupę krwi AB plus...

Jeden z mężczyzn chwycił ją za ramię i postawił na nogi. Puściła chłopca, który upadł na podłogę i mrugał oczami, nie rozumiejąc, co się dzieje. Drugi z mężczyzn szturchnął go nogą i warknął coś po rosyjsku.

Chłopiec podniósł się powoli.

Tarasoff poprowadził ich ciemnym korytarzem, przez uchylony wąż, a potem po schodach do kolejnego wjazdu i stalowego pomostu. Zobaczyli przed sobą niebieskie drzwi. Tarasoff ruszył w ich stronę. Pomost zadrżał pod jego ciężarem.

Nagle chłopiec odwrócił się i zaczął biec z powrotem tam, skąd przyszli. Jeden z mężczyzn chwycił go za koszulę. Jaków odwrócił się i wbił mu zęby w rękę. Mężczyzna wrzasnął z bólu i uderzył go w twarz tak mocno, że mały upadł.

– Niech pan przestanie! – zaprotestowała Abby.

Mężczyzna postawił Jakowa na nogi i znów go uderzył. Gdy chłopiec stracił równowagę, Abby wzięła go na ręce. Jaków przyłgnął do niej, szlochając cicho. Mężczyzna ruszył w jej kierunku, chcąc ich rozdzielić.

– Zostaw go w spokoju! – krzyknęła Abby.

Chłopiec drżał, pojękując niezrozumiale. Dotknęła wargami jego włosów i szepnęła:

– Kochanie, jestem z tobą. Jestem tutaj z tobą.

Jaków uniósł głowę. Patrząc w jego przerażone oczy, Abby pomyślała: on wie, co się z nami stanie.

Pchnęli ją do przodu, na pomost, w stronę niebieskich drzwi.

Po chwili znaleźli się w całkiem innym świecie.

Ściany korytarza były wyłożone boazerią z białego drewna, a podłoga białym linoleum. Z sufitu sączyło się delikatne rozproszone światło. Ich kroki odbijały się echem od ścian, gdy mijali spiralne schody i skręcali za róg. Na końcu korytarza znajdowały się szerokie drzwi.

Chłopiec drżał coraz bardziej i zaczynał być ciężki. Abby postawiła go na ziemi i dotknęła dłonią jego twarzy. Ich spojrzenia spotkały się na sekundę, przekazując sobie to, czego nie mogli wyrazić słowami. Abby

chwyciła Jakowa za rękę i uścisnęła ją. Ruszyli razem w kierunku drzwi na końcu korytarza. Jeden z mężczyzn szedł przed nimi, drugi z tyłu. Tarasoff prowadził. Gdy otwierał kluczem drzwi, Abby puściła rękę Jakowa i pochyliła się, napinając mięśnie.

Tarasoff pchnął drzwi. Otworzyły się na oścież, ukazując nieskazitelnie białe pomieszczenie.

Abby rzuciła się do przodu, uderzając z całej siły łokciem idącego przed nią człowieka. Mężczyzna wpadł na Tarasoffa, który potknął się na progu i runął na kolana.

— Dranie! — krzyknęła Abby, wymachując pięściami. — Kanalie!

Mężczyzna idący za nią próbował złapać ją za rękę, ale wyslizgnęła mu się i z całej siły uderzyła go pięścią w twarz. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch — to Jaków zdołał czmychnąć i zniknął za rogiem. Mężczyzna, którego popchnęła, podniósł się z ziemi i zbliżał się do niej z drugiej strony. Obaj napastnicy chwycili ją pod rękę i podnieśli do góry. Nie przestawała walczyć i wrywać się, gdy przenosili ją przez drzwi prowadzące do białego pomieszczenia.

— Musicie jej pilnować! — syknął Tarasoff.

— Ten chłopak...

— Zapomnijcie o nim! Nie ma dokąd uciec. Połóżcie ją na stół!

— Będzie się szarpać!

— Kanalie! — krzyknęła znowu Abby, uwalniając jedną nogę.

Usłyszała, że Tarasoff szuka czegoś w szafkach.

— Przytrzymajcie jej ramię — polecił. — Muszę mieć do niego dostęp.

Po chwili podszedł do niej ze strzykawką w rękę. Abby jęknęła głośno, gdy wbił jej igłę. Przekreśliła się, jednak nie udało jej się uwolnić. Ponownie próbowała się wyrwać, ale tym razem mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Miała też problemy z widzeniem. Zamykały jej się powieki. Usiłowała krzyczeć, ale nawet nie mogła złapać oddechu.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie mogę się poruszyć?

— Zabierzcie ją do sąsiedniego pokoju — powiedział Tarasoff. — Musimy natychmiast ją zaintubować, bo inaczej się udusi.

Mężczyźni zanieśli ją do pokoju obok i położyli na stole. Zapalono oślepiająco jasne światła. Choć Abby była w pełni przytomna i świadoma, nie mogła poruszyć żadnym mięśniem. Czuła jednak wszystko. Rzemienie zacisnięte wokół przegubów i kostek. Dotyk dłoni Tarasoffa na czole, gdy odchyłał jej głowę do tyłu. Zimną stal laryngoskopu, który wkładał jej do gardła. Krzyk przerażenia rozbrzmiewał tylko w jej umyśle, z krtani nie wydobył się żaden dźwięk. Czuła, jak plastikowa rurka wsuwa się do jej tchawicy między strunami głosowymi, kneblując ją i dusząc. Nie mogła się poruszyć ani zaczerpnąć powietrza. Po chwili rurka została przyklejona taśmą do jej twarzy i podłączona do przenośnego aparatu tlenowego. Tarasoff nacisnął miech i klatka piersiowa Abby uniosła się i opadła w trzech szybkich oddechach. Potem podłączył rurkę do respiratora, który zaczął pompować powietrze do płuc.

— Teraz niech któryś złapie chłopca! — warknął Tarasoff. — Nie, nie obaj. Potrzebuję kogoś do pomocy.

Jeden z mężczyzn wybiegł, a drugi podszedł bliżej do stołu.

— Zapnij jej pas na piersi — powiedział Tarasoff. — Sukcynylocholina za chwilę przestanie działać. Nie powinna się szarpać, kiedy podłączę kroplówkę.

Sukcynylocholina. Tak właśnie zginął Aaron, pomyślała Abby. Nie mogąc się bronić ani oddychać.

Objawy działania leku powoli ustępowały. Czuła, jak mięśnie jej klatki piersiowej kurczą się w proteście przeciwko obecności rurki. Mogła już unieść powieki i zobaczyć twarz stojącego nad nią mężczyzny. Rozcinał jej ubranie, spoglądając z wyraźnym zainteresowaniem na jej nagie piersi i brzuch.

Tarasoff podłączył kroplówkę. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że Abby wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Wyczytał w nich pytanie.

— Twoja zdrowa wątroba nie może się zmarnować — oznajmił. — Pewien dżentelmen z Connecticut od ponad roku czeka na dawcę. — Sięgnął po drugą torebkę kroplówki i po wiesił ją na stojaku, po czym

znowu spojrzął na Abby. — Był zachwycony, że znaleźliśmy w końcu odpowiedniego dawcę.

Krew, którą mi pobierali w Bayside, była im potrzebna do przeprowadzenia testów, pomyślała.

Tarasoff kontynuował swoje przygotowania. Podłączył do rurki drugą torebkę z kroplówką i nappełnił strzykawkę lekami. Choć mięśnie Abby znowu zaczynały funkcjonować, mogła mu się tylko przyglądać w milczeniu, gdyż mówienie uniemożliwiała jej rurka intubacyjna. Mogła już poruszać palcami i ramionami. Po jej skroni spłynęła kropla potu — spociła się z wysiłku, próbując odzyskać kontrolę nad swoim ciałem. Zegar na ścianie wskazywał kwadrans po jedenastej.

Tarasoff skończył układać strzykawkę na tacy. Usłyszawszy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, odwrócił się w ich stronę.

— Chłopak uciekł — wyjaśnił. — Jeszcze go nie znaleźli, więc najpierw pobierzemy wątrobę.

Ktoś podszedł do stołu i Abby zobaczyła nad sobą jeszcze jedną twarz.

Tyle razy widziała ją naprzeciwko siebie nad stołem operacyjnym. Tyle razy te oczy uśmiechały się do niej znad chirurgicznej maski. Jednak teraz nie były uśmiechnięte.

Załkała z rozpaczy i przerażenia, ale jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichy szum powietrza w rurce respiratora. Nie...

Nad nią stał Mark.

Rozdział dwudziesty piąty

Gregor wiedział, że z rufy statku można się wydostać tylko przez niebieskie drzwi, które były zamknięte na klucz. Pomyślał, że chłopiec musiał uciec po spiralnych schodach.

Spojrzał w górę, ale zobaczył jedynie pograżone w mroku kręte stopnie. Gdy zaczął się po nich wspinać, zabręczały pod jego ciężarem. Ugryziona przez chłopca ręka nadal go bolała. Cholerny bękart. Od początku sprawiał kłopoty.

Kiedy dotarł na następne piętro, zszedł ze schodów na gruby dywan. Były tu apartamenty chirurga i jego asystenta. Bliżej rufy znajdowały się dwie prywatne kajuty ze wspólnym przedsionkiem i prysznicem, a z drugiej strony dobrze zaopatrzony niewielki salon. Można było stamtąd wyjść tylko spiralnymi schodami. Chłopak tkwił w pułapce.

Gregor skierował się najpierw w stronę rufy i wszedł do kajuty zmarłego chirurga. Cuchnęła papierosami. Włączywszy światło, zobaczył niepościelone łóżko, otwartą szafkę i biurko, na którym stała przepelniona niedopałkami popielniczka. Zajrzał do szafki, ale znalazł w niej tylko przesiąknięte dymem ubrania, pustą butelkę po wódce i stertę pism pornograficznych. Chłopca nigdzie nie było.

Potem przeszukał kajutę asystenta chirurga. Wyglądała o wiele schludniej. Łóżko było zasłane, a leżące w szafce rzeczy starannie wyprasowane. Jednak tam także nie znalazł chłopca.

Zajrzał do przedsionka, po czym ruszył w kierunku salonu. Zanim tam dotarł, usłyszał jakieś stłumione skrzypnięcie.

Wszedł do pomieszczenia i zapalił światła. Rozejrzał się wokół, obrzucając wzrokiem kanapę, stół z krzesłami i telewizor ze stertą leżących na nim kaset wideo. Gdzie ten chłopak mógł się ukryć? Obszedł salon i stanął, wpatrując się w przeciwległą ścianę.

Winda kuchenna.

Podbiegł do niej i szarpnięciem otworzył drzwiczki, ale zobaczył tylko kable. Wcisnął guzik z napisem DO GÓRY i kable zaczęły się poruszać, z piskiem dźwigając ciężki ładunek. Gregor pochylił się do przodu, przygotowany do natychmiastowego pochwylenia chłopca.

Zobaczył jednak tylko pustą windę.

Pomyślał, że chłopak pewnie jest już w kambuzie.

Ruszył z powrotem w stronę schodów. Nic strasznego się nie stało, bo kambuz był zabezpieczony. Sam zamykał go każdej nocy na kłódkę, odkąd stwierdził, że załoga wynosi jedzenie ze spiżarni. Był pewien, że chłopak wciąż tkwi w potrzasku.

Przecisnął się przez niebieskie drzwi i zaczął iść pomostem.

— Przykro mi, Abby — powiedział Mark. — Nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko.

Błagam, pomyślała. Błagam, nie rób tego...

— Gdyby istniało inne wyjście... — Pokręcił głową. — Ale byłaś zbyt dociekliwa. Potem już nie mogłem cię powstrzymać.

Straciłem nad tobą kontrolę.

Z jej oka spłynęła łza, znikając we włosach. Dostrzegła na jego twarzy grymas bólu, zaraz jednak odwrócił głowę.

— Czas zabrać się do pracy — oświadczył Tarasoff. — Zechcesz zacząć? — zapytał, podając Markowi strzykawkę. — Pentobarbital. W końcu chcemy być humanitarni, prawda?

Mark po chwili wahania wziął strzykawkę i odwrócił się do stojaka z kroplówką. Zdjąwszy osłonę z igły, wsunął ją do portu. Ponownie spojrzął na Abby i jakby się zawahał.

Kochałam cię, pomyślała. Tak bardzo cię kochałam. Mark wcisnął tłok strzykawki.

Światła zaczęły ciemnieć i po chwili jego twarz znikła w gęstniejącej mgle. Kochałam cię. Kochałam cię...

Drzwi kambuza były zamknięte.

Jaków szarpał za klamkę, ale nie mógł ich otworzyć. Co teraz? Znow kuchenna winda? Podbiegł do niej z powrotem i wcisnął guzik. Bez efektu.

Rozejrzył się rozpaczliwie po kambuzie, zastanawiając się, gdzie mógłby się schować. W spiżarni? W szafkach? W chłodni? Wszystkie te miejsca mogły stanowić tylko chwilową kryjówkę. Ci ludzie na pewno wszędzie zajrzą i w końcu go znajdą.

Musi przynajmniej utrudnić im zadanie.

Spojrzał na sufit, z którego zwisały trzy nagie żarówki. Podbiegł do kredensu, wyciągnął z niego ciężki ceramiczny kubek do kawy i cisnął nim w najbliższą żarówkę.

Rozpadła się na kawałki i zgasła.

Wyciągnął jeszcze kilka kubków. Po trzech kolejnych rzutach roztrzaskał drugą żarówkę.

Kiedy zamierzał wycelować w ostatnią, jego wzrok padł nagle na radio kucharza. Stało tam gdzie zwykle, na szczycie kredensu. Powiódł wzrokiem po kablu, który biegł po blacie obok tosteru.

Na kuchence zauważył pusty garnek na zupę. Zdjął go z palnika, zaniósł do zlewu i odkręcił kurek.

Radio w kambuzie grało na cały regulator. Gregor otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka. W ciemnościach grzmiała muzyka. Perkusja i elektryczne gitary. Wymacał ręką kontakt i pstryknął przełącznikiem. Nie było światła. Spróbował jeszcze kilka razy, ale bez skutku. Zrobił krok do przodu i nadepnął na szkło.

Ten mały bękart stłukł żarówki i chce mi się wymknąć po ciemku, pomyślał.

Zaniknął drzwi. Przyświecając sobie zapałką, wsunął klucz w zamek i przekręcił go. Teraz z kambuza nie było ucieczki. Zapałka zgasła.

Odwrócił się.

— Pokaż się, chłopcze! — krzyknął. — Nic ci nie zrobię!

Ryczące na cały głos radio wszystko zagłuszało. Ruszył w jego stronę, ale po chwili przystanął, żeby zapalić jeszcze jedną zapałkę. Radio stało na kuchennym kontuarze, tuż przed nim. Kiedy je wyłączył, zauważył leżący obok tasak do mięsa. Koło niego zobaczył skrawki czegoś, co wyglądało jak brązowa guma.

Ten mały bękart dorwał się do kuchennych noży, pomyślał.

Zapalił następną zapałkę, wyciągnął broń i zawołał:

— Wyłaź!

Dopiero wtedy zauważył, że ma mokre nogi.

Zapalił czwartą zapałkę i spojrzał na podłogę.

Stał w kałuży wody. Jego skórzane buty całkiem przemokły i z pewnością mocno ucierpiały. Skąd się wzięła ta woda? Rozejrzał się w drżącym świetle zapałki i zobaczył, że połowa podłogi jest zalana. Potem zauważył kabel, którego końcówka ze ściągniętą izolacją błyszczała w wodzie. Ze zdumieniem powiódł za nim wzrokiem.

Zanim zapałka zgasła, dostrzegł jeszcze lśnienie jasnych włosów i sylwetkę chłopca, który wyciągał rękę w stronę gniazodka.

Trzymał w niej drugi koniec kabla.

Tarasoff podał mu skalpel.

— Niech pan zrobi pierwsze nacięcie — powiedział Tarasoff do Marka.

W oczach młodszego kolegi dostrzegł wahanie i odrazę. Nie masz wyboru, Hodell, pomyślał. To ty próbowałeś zwerbować ją do zespołu. Popełniłeś błąd, więc teraz musisz go naprawić.

Mark wziął do ręki skalpel. Nawet jeszcze nie zaczęli, a już pot wystąpił mu na czoło. Stał nieruchomo, trzymając ostrze nad odsłoniętym brzuchem Abby. Obaj wiedzieli, że to próba — być może ostateczna.

No, dalej. Archer wykonał swoje zadanie, zajmując się Mary Allen. Zwick zaopiekował się Aaronem Levim. Teraz twoja kolej. Udowodnij,

że nadal należysz do zespołu, że jesteś jednym z nas. Rozetnij brzuch kobiecie, z którą się kochałeś.

Zrób to.

Przesunął skalpel w dłoni, jakby chciał go lepiej uchwycić. Potem wziął głęboki oddech i przytknął ostrze do skóry.

Tnij.

Wykonał długie zakrzywione nacięcie. Skóra się rozeszła i na chusty chirurgiczne pociekła strużka krwi.

Tarasoff odetchnął z ulgą. Z Hodellem nie będzie już problemu. Tak naprawdę przekroczył krytyczny punkt już dawno temu, jeszcze jako stażysta. Pewnej nocy za dużo wypił, wziął parę niuchów kokainy i następnego ranka obudził się w cudzym łóżku, w towarzystwie ślicznej studentki, która leżała obok niego uduszona. I w ogóle nie pamiętał, co się stało. Potem już łatwo było go namówić do współpracy.

Ich związek cementowały także pieniądze.

Kij i marchewka. To niemal zawsze działało. Okazało się skuteczne w przypadku Archera, Zwicka i Mohandasa. I przez jakiś czas również wobec Aarona Leviego. Byli zamkniętą grupą, pilnie strzegącą swoich tajemnic. I zysków. Nikt w Bayside, ani Colin Wettig, ani nawet Jeremiah Parr, nie miał pojęcia, jakie pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Za takie sumy można było kupić najlepszych lekarzy do zespołu, który stworzył Tarasoff. Rosjanie dostarczali jedynie narządów i — w razie potrzeby — brutalnej siły. Ale w sali operacyjnej to ich zespół transplantacyjny dokonywał cudów.

Same pieniądze nie wystarczyły, by zatrzymać Aarona w ich gronie. Ale Hodelle nadal należał do nich. Udowadniał to teraz każdym ruchem skalpela.

Tarasoff asystował mu, zakładając rozwieracze i tamując krwawienie. Praca z taką zdrową, młodą tkanką stanowiła prawdziwą przyjemność. Ta kobieta była w doskonałej kondycji fizycznej. Miała minimalną ilość podskórnego tłuszczu, a mięśnie jej brzucha były płaskie i napięte — do tego stopnia, że ich asystent, stojący u wezglowia stołu, musiał podać jej dodatkową dawkę sukcyinylocholiny.

Ostrze skalpela przeniknęło przez warstwę mięśni. Byli teraz w jamie brzusznej. Tarasoff szerzej rozchylił nacięcie. Pod cienką warstwą otrzewnej lśniła wątroba i zwoje jelita cienkiego. Wszystko takie zdrowe! Ludzki organizm był doprawdy godny podziwu.

Nagle światło zamigotało i przygasło.

— Co się dzieje? — zaniepokoił się Hodell.

Spojrzeni na lampy. Znowś świeciły pełnym blaskiem.

— To pewnie tylko jakieś chwilowe zakłócenia — stwierdził Tarasoff. — Słyszę, że generator działa.

— Statek nie jest najlepszym miejscem. Kołysze się, mogą być przerwy w dostawie prądu...

— To tymczasowe rozwiązanie. Dopóki nie znajdziemy nowej siedziby dla „Amity” — odparł Tarasoff i wskazał pole operacyjne. — Niech pan robi swoje.

Hodell uniósł skalpel i nagle znieruchomiał. Był specjalistą od chirurgii klatki piersiowej. Tylko kilka razy wycinał wątrobę. Może potrzebował wskazówek.

A może w końcu zaczynało do niego docierać, co robi.

— Jakiś problem? — spytał Tarasoff.

— Nie. — Mark przełknął ślinę. Znowś zaczął ciąć, ale drżała mu ręka. Uniósł skalpel i wziął kilka głębokich oddechów.

— Nie mamy zbyt wiele czasu, doktorze Hodell. Trzeba jeszcze pobrać narząd od drugiego dawcy.

— Czy tu nie jest... za gorąco?

— Nie wydaje mi się. Niech pan kontynuuje.

Hodell kiwnął głową. Kiedy zamierzał wykonać kolejne nacięcie, nagle znowu zmarł.

Tarasoff usłyszał za sobą trzaśnięcie otwieranych drzwi.

Mark powoli ponownie uniósł skalpel.

Pocisk trafił go prosto w twarz, odrzucając głowę do tyłu. Po stole rozprysły się fragmenty kości, mózg i krew.

Tarasoff obrócił się na pięcie w stronę drzwi. Zobaczył jasne włosy i bladą twarz chłopca, który im uciekł.

Broń wypaliła po raz drugi.

Pocisk chybił, roztrzaskując szklane drzwiczki w szafce ze sprzętem. Na podłogę posypały się kawałki szkła.

Anestezjolog ukrył się za respiratorem.

Tarasoff cofnął się, nie spuszczać oka z broni. Był to pistolet Gregora, wystarczająco mały i lekki, aby potrafiło posłużyć się nim dziecko. Ale mała dłoń, która ścisnęła tę broń, zbyt mocno drżała, by strzały mogły być celne. To tylko dzieciak, pomyślał Tarasoff. Przerażony chłopiec, który nie może się zdecydować, do kogo ma najpierw strzelić: do anestezjologa, czy do niego.

Zerknął w stronę tacy z narzędziami i zobaczył leżącą na niej strzykawkę z sukcylinylocholiną. Zostało w niej jeszcze wystarczająco dużo leku, by obezwładnić małego. Powoli przesunął się w bok, przestępując nad ciałem Hodella i rozszerzając się kałużą krwi. Zaraz jednak znieruchomiał, bo lufa broni znów skierowała się w jego stronę.

Chłopiec szlochał i z trudem łapał oddech.

— Wszystko w porządku — próbował go uspokoić Tarasoff. — Nie bój się. Próbuję przywrócić do zdrowia twoją przyjaciółkę. Jest bardzo chora. Nie wiedziałeś o tym? Potrzebuje pomocy lekarza.

Chłopiec skupił wzrok na stole operacyjnym i leżącej na nim kobiecie. Zrobił krok do przodu, potem jeszcze jeden i nagle z jego ust wydobył się przejmujący jęk. Nie zauważył, że anestezjolog przebiegł obok niego i uciekł z sali. Najwyraźniej nie słyszał też głuchego łoskotu śmigłowca, który przygotowywał się do lądowania, by odebrać przesyłkę.

Tarasoff wziął strzykawkę z tacy i ostrożnie podszedł bliżej.

Chłopiec uniósł głowę i jego lament zamienił się w rozpaczliwy krzyk.

Tarasoff podniósł strzykawkę.

W tym momencie chłopiec spojrzał na niego. W jego oczach nie było już strachu, tylko wściekłość.

Wycelował pistolet Gregora w Tarasoffa i strzelił po raz ostatni.

Rozdział dwudziesty szósty

Nie odchodził od łóżka Abby. Od chwili, gdy pielęgniarki przewiozły ją na wózku z sali pooperacyjnej na oddział intensywnej terapii, przez cały czas tkwił przy niej jak mały blady duszek. Pielęgniarki dwukrotnie brały go za rękę i wyprowadzały z izolatki, ale on ciągle wracał. Teraz stał, zaciskając dłonie na poręczy łóżka i wzrokiem błagając Abby, żeby się obudziła. Jednak przynajmniej już nie histeryzował, tak jak w chwili, gdy Katzka znalazł go na statku. Pochylał się nad pokiereszowanym ciałem Abby, szlochając rozpaczliwie i zaklinając ją, by nie umierała. Detektyw nie rozumiał, co chłopiec mówi, ale wyczuwał jego przerażenie i rozpacz.

Ktoś zapukał w szybę izolatki. Odwróciwszy się, Katzka zobaczył Vivian Chao, która przywoływała go ręką. Otworzył drzwi i wyszedł z izolatki.

— Ten chłopiec nie może tu siedzieć przez całą noc — oświadczyła.
— Przeszkadza lekarzom i pielęgniarkom. Poza tym nie wygląda zbyt schludnie.

— Za każdym razem, gdy próbują go zabrać, zaczyna krzyżeć.
— Nie może pan z nim porozmawiać?
— Nie znam rosyjskiego. A pani?
— Wciąż czekamy na szpitalnego tłumacza. Nie może go pan po prostu wyprowadzić?

— Pozwólcie mu trochę z nią pobyc — poprosił Katzka i spojrzał przez szybę na łóżko.

Wciąż miał przed oczami widok, który będzie go prześladował do końca życia: Abby leżąca na stole z rozkrojonym brzuchem i lśniącymi w świetle lamp sali operacyjnej wnętrznościami, a obok lamentujący chłopiec, obejmujący dłońmi jej twarz. Na podłodze leżeli w kałuży krwi dwaj mężczyźni: martwy Hodell i nieprzytomny, ale wciąż jeszcze żywy Tarasoff. Podobnie jak cała załoga frachtowca, chirurg został zatrzymany.

Wkrótce miały nastąpić dalsze aresztowania. Śledztwo dopiero się zaczynało. Władze federalne dobrały się już do Spółki Sigajewa. Zeznania załogi frachtowca pozwoliły ustalić, że handel narządami miał znacznie większy zasięg i był o wiele bardziej przerażający, niż Katzka sobie wyobrażał.

Zamrugął oczami i skoncentrował uwagę na tym, co miał przed sobą. Za szybą leżała Abby z obandażowanym brzuchem. Jej klatka piersiowa wznosiła się i opadała. Wykres na monitorze pokazywał równomierny rytm pracy jej serca. Katzka przypomniał sobie, jakie przerażenie ogarnęło go na statku, gdy serce Abby zaczęło nagle bić jak oszalałe. Myślał, że ją straci, a śmigłowiec, którym mieli przylecieć Vivian i Wettig, był jeszcze wiele kilometrów od frachtowca. Dotknął szyby i znów zamrugął oczami. A potem jeszcze raz.

Stojąca za nim Vivian powiedziała cicho:

— Wyjdzie z tego. Generał i ja dobrze pracujemy.

Kiwnął głową i z powrotem wślizgnął się do izolatki.

Chłopiec popatrzył na niego. Miał tak samo wilgotne oczy jak on.

— E — bi — wyszeptał.

— Tak, chłopcze. Tak ma na imię — odparł Katzka i uśmiechnął się.

Obaj spojrzeli na łóżko. Ciszę zakłócało tylko delikatne, równomierne pikanie monitora. Stali obok siebie, czuwając wspólnie przy kobiecie, której żaden z nich dobrze nie znał, ale na której tak bardzo im zależało.

W końcu detektyw wyciągnął do chłopca rękę.

— Chodź. Potrzebujesz snu. Ona także.

Chłopiec zawahał się. Przez chwilę przyglądał się Katzce, po czym niechętnie ujął jego dłoń.

Ruszyli razem przez oddział intensywnej terapii. Plastikowe buty chłopca szurały po linoleum. Po chwili zaczął iść wolniej.

— Co się stało? — spytał detektyw.

Chłopiec zatrzymał się przed inną izolatką. Katzka również zajrzał do niej przez szybę.

W środku na krześle przy łóżku pacjentki siedział siwy mężczyzna. Miał twarz ukrytą w dłoniach, a całym jego ciałem wstrząsał bezgłośny szloch. Są rzeczy, których nawet Victor Voss nie może kupić, pomyślał Katzka. Teraz straci wszystko. Żonę i wolność. Spojrzał na leżącą na łóżku kobietę. Jej twarz była biała jak porcelana, a półotwarte oczy zasnuwała mgiełka nadchodzącej śmierci.

Chłopiec przycisnął czoło do szyby.

Gdy się pochylił, w oczach kobiety rozbłysła ostatnia iskierka życia. Skupiła na nim wzrok, a na jej wargach pojawił się słaby uśmiech. Potem zamknęła powieki.

— Pora już iść — powiedział detektyw.

Chłopiec spojrzał na niego i stanowczo pokręcił głową, po czym zawrócił i zaczął iść z powrotem do izolatki Abby. Katzka przyglądał się temu bezradnie, nie próbując go zatrzymać.

Poczuł się nagle niewiarygodnie znużony. Jeszcze raz spojrzał na Victora Vossa, skulonego z rozpacz. Potem popatrzył na leżącą na łóżku kobietę, z której właśnie ulatywała dusza. Tak mało mamy czasu, pomyślał. Tak mało czasu możemy spędzić na ziemi z ludźmi, których kochamy.

Westchnął ciężko i również zawrócił, wszedł do izolatki Abby i stanął obok chłopca.